

CILLA & ROLF

BÖRJLIND

Powieść tak samo dobra jak poprzednie z serii. Autorzy wiedzą, jak opisać zbrodnię w najdrobniejszych szczegółach, śledzą i zbierają każdą wskazówkę. – „Nordjyske Stiftstidene”

GANGRENA



CILLA & ROLF
BÖRJLIND

GANGRENA

Z języka szwedzkiego przełożyła
Inga Sawicka



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

CHOMIKO_WARNIA

Kallbrand

© Cilla and Rolf Börjlind 2016 by Agreement with Grand Agency

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2023 for the Polish translation by Inga Sawicka

(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Wojciech Wawoczny + LOGO (por. np. *Trzeci głos*)

Zdjęcie na okładce: © Asian Images/Shutterstock

Zdjęcie autorów: © Thron Ullberg

Redakcja: Mariusz Kulan

Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Joanna Rodkiewicz, Kinga Dolczewska

ISBN: 978-83-8230-523-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2023

SPIS TREŚCI

Gangrena

Przypisy

Przez park podąża piękny młodzian,

nie brak mu niczego.

Niczego?

Niczego, szepcze jego pielęgniarz.

Północna Tajlandia

Little Pluto biegł przez gęstą ciemność. Z jego głębokich skaleczeń na plecach ciekła krew, ale przeczołgując się pod drutem kolczastym, na szczęście nie upuścił plastikowego worka. Dochodził do niego skowyt, ale wiedział, że psy go nie dogonią, znał ten teren na pamięć, również po ciemku. Miał dwanaście lat, a tu żył od czterech. Ślizgając się, sunął mokrą ścieżką w dół w stronę rzeki, z drzew parowało gorące powietrze, czuł muchy pełzające w jego skaleczeniach. Już niedaleko. Nad samą rzeką pójdzie mu szybciej, paręset metrów brzegiem i będzie bezpieczny. Przystanął, żeby złapać tchu. Psy ucichły. Teraz słyszał tylko znajome odgłosy dżungli i cichy szum płynącej żółtobrazowej wody. Chwycił mocniej worek, całkiem lekki jak na tak poważną zawartość.

Starczy na długo, pod warunkiem że będą rozsądni.

Nagle rzekę przeciął szeroki zimny promień światła. Little Pluto drgnął. Zdarzało się, że nocą płynęły tam ciemne łodzie ze zgaszonymi silnikami, włączonymi mocnymi reflektorami i groźnymi załogami szukającymi chłopców, którzy przedostali się pod drutem kolczastym.

Nie tym razem.

Chmury się rozproszyły i odłoniły księżyc w pełni. Little Pluto odetchnął, zbiegł po pochyłości i podniósł wzrok. Wielka stara barka leżała na brzegu trochę przekrzywiona, w świetle księżyca wyglądała jak statek widmo. Coś błyskało w szybach bulajów, pnące liany dotarły do pokładu i opłotły komin, drewniane wręgi rozeschły się, a w szparach rósł zielony mech. Little Pluto patrzył na barkę.

„Contamana”.

Jego dom.

Little Pluto wszedł ostrożnie po trapie, wiedział dokładnie, które deski skrzypią i na które pod żadnym pozorem nie wolno mu nastąpić, by nie obudzić Dechy¹. Skradał się boso po twardym drewnianym pokładzie, niosąc w ręce plastikowy worek. Skaleczenia na plecach piekły, ale nie myślał o tym.

Przecież się udało.

Dotarł do najdalszej kabiny i się odwrócił. Żadnych ruchów, żadnych odgłosów u Dechy. Dobrze. Za lekko uchylonymi drzwiami kabiny stało trzech chłopców, jego rówieśników. Prawdopodobnie dostrzegli go już wtedy, gdy dotarł nad rzekę. Różnili się wzrostem, ale wszyscy byli chudzi i mieli na sobie krótkie czarne spodenki. Gdy wszedł, zamknęli za nim drzwi. Na podłodze paliła się świeczka, na ziemi wzdłuż ścian kabiny leżały cztery materace, pod bulajem stała podłużna bambusowa klatka ze zwierzęciem. Światło świeczki odbijało się w twardym pancerzu łuskowca. Chłopcy złowili go w dżungli poprzedniego dnia, w Chiang Rai można go było sprzedać odpowiedniej osobie za sporą sumę.

– Boli cię? – wyszeptał chłopiec, który zobaczył plecy Little Pluto.

– Piecze.

Drugi chłopiec stał mu ostrożnie szmatką krew z pleców. Zabolało, ale Little Pluto starał się nie wydać z siebie jęku.

– Dziękuję – powiedział, wysypując zawartość plastikowego worka.

Ciemną podłogę pokryły maki z mnóstwem makówek. Patrzyli przez kilka sekund na maki, wabiące ich światem mroczniejszym niż noc, podróżami poza czas i przestrzeń. Tętno już im przyspieszyło, krok w makową noc łączył się zawsze z gwałtownym napięciem, dwaj chłopcy już się spocili. Little Pluto sięgnął po kawałek folii i rozłożył na ziemi. Wszyscy wzięli sobie po

makówce i wyciągnęli żyletki. Powoli i uważnie robili nacięcie z każdej strony makówki, żeby czerwony sok kapał na folię. Kiedy już było go wystarczająco dużo, zaczęło się czekanie. Działali w absolutnym milczeniu. Znajdowali się niedaleko dużej kabiny Dechy. W niektóre noce odgłos jego chrapania rozchodził się po pokładzie, wtedy byli spokojni. Tej nocy panowała zupełna cisza.

Po pewnym czasie sok zastygł.

Little Pluto wyjął krótką plastikową słomkę, a jeden z chłopców podstawił świeczkę pod folię. Już po chwili pojawiły się opary.

– A teraz będziemy ściągać smoka – szepnął Little Pluto.

Przystawił słomkę do ust i zaczął wdychać opary. Załatwił makówki, więc miał pierwszeństwo. Zaraz słomka zaczęła krążyć wśród pozostałych.

Kiedy już nawdychał się dość, opadł na swój materac, twardy i cienki, ale do niego przywykł. Zresztą już odpływał w miejsca zupełnie różne od tej podłogi w kabinie, odwiedzane przez niego tylko w makowe noce.

Takie miejsca, gdzie w smoczych oparach znikają wspomnienia palącego się z krzykiem niemowlęcia.

Kilka godzin później, gdy księżyc zaszedł za chmurami, świeczka się wypaliła, smok odleciał. W nagrzanym kabinie na czterech cienkich materacach zostało czterech chłopców. Little Pluto, leżący obok klatki z łuskowcem, zasnął z kciukiem w buzi.

Jutro znów będzie musiał pamiętać.

Mróz i śnieg jak zwykle całkowicie zaskoczyły mieszkańców Sztokholmu. „Co to, kurde, jest? Sam środek zimy!” W kilka godzin zrobiło się bardzo ślisko, czego efektem były kilometrowe zatory na trasach dojazdowych do miasta, ludzie wysiadali z samochodów i szli piechotą. Śnieg walił z nieba, powodując blokowanie się ulic również w śródmieściu. W mediach pojawiały się prawie katastroficzne nagłówki: „Najsroźsza zima, odkąd sięga ludzka pamięć!”. Pamięć mediów zwykle sięga ledwie kilka lat wstecz.

Fakt, padał śnieg, a mróz dochodził w nocy do minus dwudziestu stopni. Na stacjach benzynowych i w sklepach wykupiono płyn niezamarzający do chłodziń i drewno opałowe, a każdy, kto odważył się wyjść na dwór, czuł ukąszenia mrozu na policzkach.

Podobnie wyglądała sytuacja w Gribbylund w Täby.

Była siódma rano, dwudziesty czwarty lutego. Przejeżdżający pług zasypywał źle zaparkowane samochody – wyglądały potem jak śnieżne domki. Ochroniarz z pobliskiego centrum handlowego zabijał ręce o ramiona i kłął, że niepotrzebnie zamienił się dyżurami. Staruszek zmuszony do wyjścia w tę paskudną pogodę, bo jego piesek chciał się załatwić, kopał nogą śnieg, by przykryć odchody, bo gdyby sięgnął po przeznaczoną do ich zbierania torebkę, pewnie zostawiłby na ziemi odmrożone palce. Śnieg skrzypiał pod jego butami, gdy sapiąc, odchodził z miejsca przestępstwa, a z każdym oddechem z jego ust wydobywał się obłok pary. Spojrzał w stronę willowego osiedla, gdzie sąsiad właśnie podniósł klapę bagażnika czarnego audi. Stojący na miejscu postojowym pojazd był podłączony do podgrzewacza silnika. Staruszek pomachał sąsiadowi, ale tamten go nie zauważył.

Mężczyzna wyszedł za furtkę i otworzył skrzynkę na listy. Porannej gazety jeszcze nie dostarczono. W taki poranek trudno mieć o to pretensje, pomyślał i ruszył z powrotem do samochodu. Nazywał się Kaj Brovall i wybierał się z rodziną na ferie zimowe do Sälen. Udało mu się równocześnie z żoną wziąć urlop – chcieli spędzić tydzień z córką.

Takie rzeczy są ważne.

Wszystko było gotowe do drogi, chciał wyruszyć jak najprędzej. Zważywszy na krytyczną sytuację na drogach, istniało ryzyko, że planowane szusowanie na nartach zamieni się w zjazdy na sankach z przyszkolonej górki. Kaj wszedł do żółtej drewnianej willi, żeby ponaglić żonę i córkę. Głównie córkę, bo żona już była ubrana i gotowa do wyjazdu, zostało jej tylko przejrzanie poczty w skrzynce mailowej. Z córką sprawa wyglądała inaczej. Miała szesnaście lat i typowe dla swojego wieku tempo działania i pojęcie czasu. „Powinniśmy wyjechać najpóźniej o siódmej!” jej tata rozumiał dosłownie, a dla niej „siódma” stanowiła jedynie punkt orientacyjny, czyli „będzie dobrze, jeśli już będziemy wtedy na nogach”. Kiedy Kaj wszedł do jej pokoju, była tylko częściowo ubrana, w dodatku właśnie czatowała ze swoim chłopakiem Sebastianem.

– Idę już, tato!

Westchnęła, a słowo „idę” zaakcentowała w taki sposób, by do ojca dotarło, że jest niemożliwy, bo ciągle ją stresuje. Kaj zacisnął zęby i ruszył do swego gabinetu.

Po drodze zerknął do mijanych pomieszczeń, w jednym poprawił parę poduszek na kanapie. Piękne, elegancko urządzone pokoje mówiły wiele zarówno o guście, jak i zasobach finansowych właścicieli. Kaj pracował jako biegły księgowy, a jego żona była prokuratorem, dom kupili za jej pieniądze ze spadku, a potem starannie i niespiesznie umeblowali.

Zdaniem Kaja był to teraz ich dom marzeń.

– Będiesz zaraz gotowa?

Spojrzał na siedzącą tyłem do drzwi Malin. Właśnie zamknęła pocztę i wyłączyła komputer.

– Tak – odpowiedziała, nie odwracając się.

Patrząc na jej plecy, zorientował się, że jest spięta.

– Co się dzieje? – spytał.

– W nocy przyszedł nieprzyjemny mail.

Malin prowadziła obecnie śledztwo w sprawie komórki terrorystycznej. Jednak nie miała pewności, czy mail z pogrozkami miał z tym związek.

– Przesłałam go dalej – ciągnęła. – Spoko.

Odwróciła się i spojrzała na męża.

– No i dobrze – odparł.

I pomyślał: nie będę jej jeszcze nic mówił, wrócimy do tego po powrocie z Sälen.

– Co z Idą? – spytała Malin.

– Próbowałem ją pogonić, naprawdę powinniśmy już jechać. Warunki drogowe są fatalne i dotarcie na miejsce zajmie dużo czasu.

Malin kiwnęła głową, wstała i zawołała:

– Ida!

Tak samo jak mąż miała dość guzdrania się córki, ale była bardziej wyrozumiała. Dziewczyna w tym wieku funkcjonuje w innym rytmie, sama kiedyś też tego doświadczała, chociaż w tamtych czasach nie spędzało się jednej połowy nocy na pisaniu komentarzy w mediach społecznościowych, a drugiej na czatowaniu z chłopakiem. Malin podejrzewała, że jej córka jest z nim w stałym kontakcie nawet podczas snu, co jakoś ją uwierało. Odbierała Sebastiana jako faceta, który chce wszystko kontrolować, próbowała nawet rozmawiać o tym z córką. Ida oczywiście się wściekła, że matka się wtrąca, chociaż nie ma o niczym pojęcia, i zamknęła się w swoim pokoju. A potem zadzwoniła do Sebastiana.

Malin nie wróciła do sprawy, ale niepokój pozostał i ciągle się tlił.

– Jedziemy! – zawołał do Idy Kaj, ruszając do drzwi wejściowych. Ubrał się lekko na długą jazdę samochodem. Wziął ostatnią paczkę sprzętu narciarskiego. Gdyby czegoś zabrakło, najwyżej wypożyczą to na miejscu.

Poszedł do samochodu, włożył paczkę do bagażnika dachowego i zamknął go. Genialny wynalazek, pomyślał. W tym momencie zjawiała się Malin, niosąc w rękach kurtkę puchową i plastikową torebkę z prowiantem, który powinien wystarczyć na część drogi. U Idy ochota, żeby coś przekąsić, pojawiała się zazwyczaj zaraz po wjeździe na autostradę.

Kaj usiadł za kierownicą i zamknął drzwi. Malin podeszła z drugiej strony i otworzyła drzwi po stronie pasażera.

– Ja chcę siedzieć z przodu! Proszę! – Ida właśnie trzasnęła drzwiami wejściowymi i zamknęła je na klucz. – Bo czuję, że będę chora!

Malin zrobiła krok w tył. Wiedziała, że córka od czasu do czasu zмага się z chorobą lokomocyjną, najczęściej, gdy chce zająć lepsze miejsce.

Ale czegoż to człowiek nie zrobi dla swojej jedynaczki.

Malin przytrzymała Idzie drzwi samochodu. Dziewczyna podeszła niespiesznie, w uszach miała słuchawki, a w ręce telefon. Włożyła džinsy i cienką koszulkę, zjeżdżając jej lekko z jednego ramienia. Rzuciła się na fotel obok Kaja. Ojciec spojrzał na nią.

– Ida?!

Córka nie zareagowała, bo nadal prowadziła rozmowę z chłopakiem.

– A gdzie reszta? – spytał. – Kurtka, spodnie? Przecież musisz zabrać...

– Już spakowałam – wtrąciła się Malin, zatrzasnęła drzwi za Idą i otworzyła tylne, żeby

wsiąć. – Wszystko w porządku.

Kaj potrząsnął głową i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Potężna eksplozja wstrząsnęła okolicą.

Samochód Brovallów został rozerwany na kawałki, części chłodnicy wyżłobiły w śniegu bruzdę długości dziesięciu metrów, bagażnik dachowy przeleciał na drugą stronę ulicy i wybił okno w domu naprzeciwko, krew pokryła zaspę, zimne powietrze huczało od płomieni buchających z rozdartej karoserii.

A potem nastąpiła cisza.

Paraliżująca.

Jedynym odgłosem był trzask ognia w płonącym wraku.

Kobieta stara się utrzymać dziecko nad powierzchnią, ale wypuszcza ciało z rąk i sama opada w dół, nie, nie tyle opada, coś ją wsysa. Niebieski, czerwony, żółty, zielony: kolory obejmują jej ciało i ciągną nieubłaganie w głąb. Krągłe? Kolory są krągłe, przyciskają się do niej, ogarniają ją, połykają, miękko, ale jednocześnie duszą. Trudno nabrać powietrza. Powinna wydostać się na górę. Dla dziecka. Jest takie malutkie. Nie poradzi sobie samo. Jest bliska paniki. Stopami szuka dna. Przecież musi być, zawsze jest. Jej usta otwierają się i formują do krzyku, ale kolory pochłaniają głos i nie wydobywa się żaden dźwięk. Trzeba się wydostać na powierzchnię. Po pomoc. Nagle wsysanie ustaje, kobieta znów może przeć w górę. Między kolorami pojawiają się rozbłyśki światła. Tam! Kontury małego ciała. Dziecko zostało na górze! Żyje! Huśta się na powierzchni krągłych kolorów! Poczucie szczęścia dodaje jej sił, pozwala rzucić się ku górze. Przez co? Kiedy w końcu udaje jej się odepchnąć od siebie ostatnie krągłe kolory i dociera do ciepłego powietrza, widzi: morze piłek? Znajduje się w niekończącym się morzu piłek? Rozlega się kwilenie, odwróciwszy głowę, widzi swoje dziecko, które jest na wyciągnięcie ręki. I widzi, jak pokryta meszkiem główka zaczyna znikać pod powierzchnią pokrytą piłkami, podczas gdy ona wreszcie może nabrać tchu. A więc krzyczy i rozpaczliwie próbuje dostać się do dziecka, ale nie może się ruszyć z miejsca. Utknęła. Jak w imadle. Piłki kleją się do jej ciała jak mokry piach. Czy tak czuła mama? – zastanawia się, widząc jednocześnie, jak morze piłek wsysa dziewczynkę z taką samą siłą, z jaką przed chwilą sama się zmagala. Widzi, jak morze piłek połyka jej nienarodzoną córeczkę. Małeńka jasnożółta skarpetka zsunęła się ze stópki dziecka i unosi się przez chwilę na czerwonej piłce, a potem również znika w głębi.

Bezradność!

Dlaczego jestem kompletnie bezradna?

Uporczywy dźwięk telefonu w końcu wybudził Olivię z jej koszmarnego snu. Była cała mokra. Zanim wyświetlacz zgasł, zobaczyła jeszcze, że dzwoni Mette Olsäter.

Olivia usiadła. Znów ten sen powracający w różnej postaci. Dziecko, którego nie zdołała uratować. Które postanowiło opuścić jej ciało zaledwie po dziesięciu tygodniach. Było to ciężkie przeżycie, bo zdążyła już przejść od zdumienia, że jest w ciąży, i miotania się z decyzją, co zrobić, do poczucia szczęścia, że spodziewa się dziecka.

Prawie euforii.

A potem przyszło krwawienie. Poronienie. Jamie był z nią w szpitalu, tulił, pocieszał. Był dla niej dobry. I smutny.

Przez pewien czas po poronieniu jeszcze się tulili do siebie. Przecież zdecydowali, że będą rodzicami, chociaż jej ciąża stanowiła zaskoczenie zarówno dla niej, jak i dla niego. Jednak okazało się, że tylko ona ich jeszcze łączyła, bo uczuciowo rozstali się już jakiś czas temu. Krótki powrót do siebie, który zaowocował zapłodnieniem, wynikał jedynie z wielkiej potrzeby bliskości. Teraz tylko od czasu do czasu wymieniali się esemesami. Olivia musiała samotnie zmagać się ze swymi koszmarami sennymi.

Odwróciła mokrą poduszkę. Co się dzieje w jej podświadomości?

Morze piłek?

Sięgnęła po komórkę, tę starą, bo miała dwie. Ósma rano, sobota. Wolny dzień. Mette zadzwoniła na telefon służbowy. Czyli nie chodzi o kolację w jej przytulnym domu na Kummelnäs.

– No nareszcie! – odezwała się Mette.

Olivia zorientowała się już po jej głosie – donośnym i chwilami ochryplym – że Mette

doświadcza przyływu adrenaliny. Było to dość niezwykle, bo nie miała zwyczaju byle czym się podniecać. Olivia chciała ją upomnieć, żeby pamiętała o swoim ciśnieniu, ale wiedziała, że Mette tylko by się rozłościła. Nie zносиła, kiedy jej się mówiło, że powinna na siebie uważać.

– Co jest? – spytała Olivia.

– Nie widziałas?

– Nie, bo co?

Nie chciała przypominać, że normalni ludzie lubią się wyspać, kiedy mają wolne.

– Bomba w samochodzie w Täby. Malin Brovall. Wiesz, o kogo chodzi?

– O tę prokuratorkę?

– Tak. Miała jechać w góry z mężem i córką, rano ich samochód wyleciał w powietrze przed domem. Możliwe, że to zamach terrorystyczny. Przyjeżdżaj natychmiast!

– Już jadę.

Olivia się rozłączyła, odsunęła kołdrę i natychmiast tego pożałowała. W mieszkaniu panowało lodowate zimno. Uprzytomniła to sobie dopiero teraz. Puchowa kołdra i senny koszmar sprawiły, że w nocy było jej gorąco. Podeszła do kaloryfera. Zaledwie letni, trzeba się skontaktować z gospodarzem domu. Rzut oka na termometr za oknem uzmysłowił jej, że na dworze jest minus dziewiętnaście stopni. Wyjrzała na zewnątrz. Z szarego nieba nad Söder sypało wielkimi ciężkimi płatkami śniegu.

Nie znoszę zimna i ciemności, pomyślała Olivia i dygocząc, poszła do łazienki.

Bomba w samochodzie?

Wychodząc z bramy swojego domu na Högalidsgatan, jeszcze miała mokre włosy. Przy takiej temperaturze nie było to za mądre. Naciągnęła kaptur kurtki, wsunęła ręce do kieszeni i przedzierając się przez lodowaty wiatr, pochyliła głowę i wbiła wzrok w swoje czarne martensy ślizgające się na śniegu zalegającym na chodniku.

Końcówki włosów już zamarzały, gdy doszła do przystanku autobusowego na Långholmsgatan. Na ulicy prawie nie było samochodów. Pług odgarniał śnieg na chodnik i musiała odskoczyć, żeby jej nie zasypał. Kawalek dalej, na Västerbron, zobaczyła autobus, który wskutek poślizgu uderzył w barierkę mostu i teraz mrugał wszystkimi światłami. Olivia zdała sobie sprawę, że to nieodpowiedni dzień na jazdę autobusem, i ruszyła do stacji metra.

Kiedy w końcu dotarła na piętro zajmowane przez Centralne Biuro Operacyjne (NOA), odniosła wrażenie, że ściany aż wibrują od gorączkowej aktywności obecnych na miejscu osób. Wszyscy wydawali się skupieni i w pełnej gotowości, Olivia musiała uważać, żeby nie zderzyć się z kolegami, którzy w biegu wykonywali swoje zadania. Doszła do uchylonych drzwi do pokoju Mette, ze środka dobiegały dźwięki włączonego telewizora.

Zapukała lekko.

– Tak?

Olivia weszła. Mette i Bosse Thyrén wpatrywali się w ekran, stojąc tuż obok siebie. Oboje mieli trochę potargane włosy i lekko zaczerwienione policzki. Gdyby ich nie znała, może nawet poczułaby się zażenowana, przypuszczając, że przerwała im coś intymnego.

Tak jednak nie było.

Wiedziała, że nie.

Patrzyła na dwójkę swoich kolegów, którzy w ten sobotni poranek zostali wcześniej wezwani do pracy, tak samo jak ona, z tą różnicą, że przypuszczalnie darowali sobie prysznic, żeby dojechać jak najprędzej. Na ekranie telewizora widać było reportera stojącego w zamieci przed taśmą policyjną przy domu Brovallów w Täby. W tle przy wypalonym wraku auta uwijała się ekipa techników kryminalistycznych. Reporter usiłował przepytac rzeczniczke policji, ale nie miała żadnych konkretnych informacji o zdarzeniu i poinformowała jedynie o przygotowywanej

konferencji prasowej.

Mette ściszyła odbiornik i odwróciła się do Olivii.

– Długo ci zeszło. Za dziesięć minut robimy odprawę.

Lisa Hedqvist weszła w momencie, gdy Mette wypowiadała ostatnie słowa. Skinęła lekko Olivii, po czym zwróciła się do Mette:

– Wydaje mi się, że wszyscy już są.

– Dobrze. Upewniłaś się, że sprzęt działa?

– Tak jest.

Mette poprawiła ręką kędzierzawe, niesforne włosy i obciągnęła bluzkę, żeby sprawiać wrażenie osoby pozbieranej i porządnej. Już nie pamiętała o spojrzeniu, jakie jej rzucił ukochany mąż Mårten, kiedy rano wychodziła pośpiesznie do czekającego auta. Emerytura, owszem, ale dopiero za jakiś czas. Kiedy człowieka potrzebują, to znaczy, że musi zostać. Prokuratorka Malin Brovall i jej bliscy zginęli w eksplozji dokładnie dwie godziny i dwadzieścia siedem minut temu.

Mette była gotowa, by ustalić, dlaczego tak się stało.

Gdy Mette z najbliższymi współpracownikami weszła do zatłoczonego pomieszczenia, gwar rozmów ucichł. Oprócz najlepszych dochodzeniowców NOA zgromadzili się w nim eksperci z różnych dziedzin i dwójka mundurowych policjantów z patrolu, którzy pierwsi przybyli na miejsce. Ci ostatni wyglądali na wyczerpanych tym przeżyciem, mieli jeszcze sadzę na twarzach i mundurach. Mette zwróciła się najpierw właśnie do nich, prosząc o relację.

Zacząła posterunkowa Göransson. Siedzieli w wozie patrolowym przy centrum handlowym w Täby w związku z podejrzeniem włamania – o siódmej osiemnastce zadzwoniono pod numer sto dwanaście. Zawiadomienie złożyła sąsiadka Brovallów, którą obudził wybuch. Z jej słów wynikało, że eksplodował ich samochód stojący na podjeździe do garażu przy Furuvägen na osiedlu Gribbbylund. Policjanci na miejscu byli już po siedmiu minutach, chwilę po nich przyjechali strażacy i ratownicy medyczni. Zastali potworny widok. Samochód jeszcze płonął. Zszokowana sąsiadka, która zadzwoniła pod sto dwanaście, siedziała w szlafroku na śniegu i tuliła głowę Malin Brovall trzymaną na kolanach. Wcześniej wybiegła z domu, żeby sprawdzić, czy może jakoś pomóc. Była wyziębiona i cała pokryta krwią. Jakiś staruszek chodził tam i z powrotem z pieskiem w ramionach i płakał. Kilku innych sąsiadów też wybiegło, aby zobaczyć, co się stało. Próbowali też gasić ogień.

Na próżno.

– Kaj Brovall chyba siedział za kierownicą – stwierdziła Göransson. – Zginął na miejscu, rozerwany podczas eksplozji. Jego córka Ida, zajmująca fotel obok niego, również straciła życie wskutek wybuchu, ale jej ciało jest mniej uszkodzone. Malin Brovall dawała oznaki życia, więc została błyskawicznie odwieziona do szpitala Danderyd. Podobnie jak zszokowana sąsiadka, której jeszcze nie udało się przesłuchać.

– Czyli Malin Brovall prawdopodobnie nie było w samochodzie w chwili eksplozji? – spytała Mette.

– Tak. Albo właśnie wsiadała. Sądząc po śladach na śniegu, sąsiadka odciągnęła ją od auta, żeby się nie spaliła.

Mette włączyła komputer. Na ekranie za jej plecami pojawiły się zdjęcia z miejsca zbrodni.

– To zdjęcia, które zrobiliście na miejscu? – spytała.

– Tak, zaraz po tym, jak zabrano Malin Brovall i sąsiadkę.

– Miejsce nie zostało odgrodzone?

– Zostało, ale dopiero później.

Posterunkowa spojrzała na swojego kolegę, a on przytaknął.

- Tak, odgradziliśmy teren taśmą po wykonaniu najpilniejszych czynności – dodał.
- Czyli przy samochodzie zdażyło się pokręcić sporo ludzi? – zauważyła Mette.
- Tak, miejsce przestępstwa zostało zanieczyszczone zarówno przez personel ratowniczy, jak i sąsiadów. I przez śnieg. Ale jeden z techników kryminalistycznych zdażył przyjechać, kiedy tam jeszcze byliśmy.

Przepytywanie posterunkowych z Täby potrwało jeszcze jakiś czas. Potem opuścili pomieszczenie i spróbowali dojść do siebie po traumatycznym przeżyciu. Według Mette spisali się znakomicie zarówno na miejscu, jak i podczas relacjonowania całego zdarzenia.

- Zabieramy się do pracy – powiedziała po wyjściu patrolowców. – Wszystkie oczy są skierowane na nas, musimy być maksymalnie skuteczni. Podzielimy się na następujące zespoły.

Nacisnęła odpowiedni klawisz i na ekranie za nią pojawił się schemat zespołów od A do F.

– Jak wiadomo, Malin Brovall jest prokuratorką. Ostatnio prowadziła śledztwo w sprawie podejrzanego komórki terrorystycznej, składającej się ze zradkalizowanych młodych ludzi, których już od dłuższego czasu obserwowało Säpo². Poprosiłam o wszystkie materiały z tego śledztwa. Na razie wiemy, że Malin Brovall dostała w nocy maila z pogrózkami, przekazała go swojemu przełożonemu. Nie wiadomo jeszcze, kto był nadawcą, ale zważywszy na śledztwo, którym się zajmowała, może on być powiązany ze wspomnianą komórką terrorystyczną. Stąd tylu oddelegowanych do zespołu A, który skupi się na głównym tropie, czyli terrorystycznym. Jednocześnie musimy prowadzić dochodzenie szeroko, bez z góry przyjętych założeń. Sprawdzamy każdy najmniejszy ślad.

Mette mówiła dalej, objaśniając zadania dla poszczególnych zespołów. Olivia wraz z Lisą trafiły do zespołu F.

Ostatniego.

Były w nim tylko one.

Zerknęła na Lisę, która wyczuła jej spojrzenie i wzruszyła ramionami, jakby z rezygnacją. Żadna nie rozumiała, dlaczego znalazły się poza ścisłym centrum działań. W tym momencie Mette zwróciła się właśnie do nich:

- To tyle, jeśli chodzi o zespół E. Przy okazji chcę zauważyć, że ani w podziale na zespoły, ani w ich nazwach nie ma nic wartościującego. Takie przypisanie do grup wynika wyłącznie z pośpiechu. Mam nadzieję, że to rozumiecie.

Mette patrzyła na Olivię, czekając na potwierdzenie. Ona wszystko rejestruje, skonstatowała Olivia, nawet to, co się myśli. Skinęła lekko głową na znak, że rozumie.

- Wreszcie zespół F: Olivia Rönning i Lisa Hedqvist. Chciałabym, żebyście pracowały bez z góry przyjętych założeń i sprawdziły inne ewentualne tropy, dawne śledztwa Malin Brovall i temu podobne. Czy to jasne?

Przytaknęły.

– Dobrze. Każdy zespół ma szefa, który raportuje do mnie. Odprawy codziennie o dziewiątej i o piętnastej, przed wejściem macie zamykać swoje prywatne komórki w szafkach na zewnątrz. Korzystamy wyłącznie z telefonów służbowych. Nic nie może stąd wyciec. Absolutnie nic. Ja i szef zespołu A, Bosse Thyren, bierzemy na siebie stały kontakt z Säpo.

Zerknęła na zegarek.

– Za pięć minut odbędzie się konferencja prasowa, możecie ją oglądać stąd, na dużym ekranie. Po konferencji Bosse, Ellinor i ja jedziemy na miejsce przestępstwa. Widzimy się ponownie o piętnastej. Dziękuję!

Mette zamknęła stronę ze schematem organizacyjnym zespołów. Znow rozbrzmiały rozmowy. Lisa pracowała przy komputerze, starając się przełączyć na duży ekran transmisję

telewizyjną. Olivia podeszła do niej, chcąc jej pomóc. W tym momencie w drzwiach stanął nieznany mężczyzna w ciemnym ubraniu i dał znak Mette. Podeszła do niego i zanim opuściła pomieszczenie, obejrzała się za siebie. Olivia patrzyła za nimi.

– Kto to był? – spytała Lisę.

– Nie mam pojęcia.

– Säpo – szepnął Bosse, który pojawił się obok nich.

Uśmiechnął się.

– I nie przekupiłem jej, żeby trafić do zespołu A – ciągnął.

– Naprawdę?

Lisa odpowiedziała mu uśmiechem. W tej samej chwili wróciła Mette. Bez gościa z Säpo. Szybkie to spotkanie, pomyślała Olivia. Odniosła wrażenie, że Mette jest przybita.

Dopiero później zrozumiała dlaczego.

Mette chrząknęła.

– Poproszę znów o uwagę.

Patrzyła na wszystkich, ale w gruncie rzeczy na nikogo.

– Niestety muszę poinformować, że wskutek obrażeń zmarła również Malin Brovall.

Pochyliła głowę.

*

Mężczyzna trzymał w ręce szmatkę i wycierał nią pędzel, patrząc jednocześnie na telewizor stojący na regale. Trwała konferencja prasowa w związku z wybuchem bomby w samochodzie w Täby. Skończył osuszać pędzel, wyłączył odbiornik, wyjął ołówek i na stoliku przed sobą otworzył nieduży dzienniczek. Na pustej stronie zanotował pięknym charakterem pisma: „Malin Brovall rozerwana w wybuchu”.

Dopisał jedno zdanie, potem przeszedł do pracowni i zapalił świetlówki na suficie. Czuł narastający ból głowy, wkrótce się to stanie. Sprawdził, czy tubki z farbami są na miejscu, trzy czarne, jedna niebieska i cztery w kolorze ochrowożółtym.

Malin Brovall?

Zobaczył przed sobą twarz mamy, łązy na policzkach; próbowała żuć herbatnik. „Nic się nie kończy” – powiedziała. Spojrzał na trzymany w rękę pędzel.

Jej żebra, pomyślał, wyciskając na miękkim pędzel krótki wężyk ochrowożółtej farby.

Nic się nie kończy.

*

Dziewczyny z zespołu F przyniosły sobie kubki kawy i usiadły w przydzielonym pokoju. Dwa biurka, prawie pusty regał z brzoźowego drewna i niewiele więcej. Współczynnik przytulności raczej niewysoki, ale w końcu nie o to chodziło. Za oknem wciąż walił śnieg. W ich pokoju nie było tej gorączkowej aktywności co w pomieszczeniach innych zespołów. Czekwały na materiały, od których miały zacząć.

Czyli dawnych spraw prokurator Malin Brovall.

Olivia spojrzała na Lisę, która dmuchała na swoją gorącą kawę. Znów miały obozować we dwie. Kiedyś nie obywało się bez tarć, ale to już przeszłość. Teraz dobrze im się współpracowało. Chociaż nie aż tak, żeby po pracy robić coś wspólnie. Olivia nie opowiedziała Lisie o poronieniu, ale z drugiej strony nie rozmawiała o tym z nikim poza Jamiem.

No i z Luną, partnerką Toma Stiltona.

A Luna dostała przyzwolenie, żeby powiedzieć Tomowi, ale na tym koniec. Nawet mama nie wiedziała. Przed upływem pierwszych kluczowych trzech miesięcy nie chciała nikomu

mówić o ciąży. Dobrze się stało. To, co się wydarzyło, dotyczyło jej i Jamiego, razem to opłakali. Wersja dla postronnych była taka, że Olivia wróciła do pracy po kilkudniowej „grypie żołądkowej”.

Uniknęła współczujących spojrzeń kolegów w pracy.

W tym Lisy.

– Mam wrażenie, jakbyśmy zostały w pewien sposób pominięte – odezwała się Lisa, odstawiając gorący kubek z emblematem FBI.

Dostała go od kolegi rozpracowującego źródła finansowania terroryzmu. Uwielbiała ten kubek i nie pozwalała go używać nikomu innemu. Olivia nie miała podobnego, choćby z napisem Sztokholmska Policja albo NOA. Przejęła po Mette stary kubek z hasłem „Najlepsza babcia na świecie”, który prowokował wiele uwag.

– Pozostaje tylko polubić – odparła Olivia. – Co tam jakiś bal na zamku, kiedy można przeglądać materiały ze starych śledztw? Wolę uznać, że zostałyśmy wybrane, bo jesteśmy najlepsze w rozumowaniu poza schematem.

Lisa się uśmiechnęła.

Naprawdę ją polubiła, zwłaszcza że w ciągu tych kilku lat, odkąd zaczęły współpracować, Olivia bardzo dojrzała. Lisa się domyślała, że koleżanka przechodzi ostatnio trudny okres, i choć podejrzewała, o co chodzi, nic nie powiedziała. Olivia była bardzo niezależna, a Lisa to szanowała. Wiedziała też, że Olivia jest osobą godną zaufania. Miała właściwie wszystkie te cechy, które Lisa ceniła u przyjaciół, jednak nie przyjaźniły się tak naprawdę, były po prostu dobrymi koleżankami.

– Okej, stoi – powiedziała. – Jesteśmy specjalnie wybraną grupą dochodzeniową pod znakiem wielkiego F. Od czego zaczynamy?

– Wychodzimy od teraźniejszości i cofamy się w czasie, tak myślę.

Olivia upiła łyk kawy. Zapieкло ją w żołądku, co jej przypomniało, że nie zdążyła zjeść śniadania.

– Czy w sali konferencyjnej jest coś do jedzenia? – spytała.

– Wydaje mi się, że mieli zorganizować kanapki. Jak chcesz, to pójde sprawdzic.

Lisa wstała.

– Sama mogę pójść – zauważyła Olivia.

– Nie ma sprawy – odparła Lisa, pokazując na swój nadgarstek. – Muszę nabić trochę kroków na liczniku, więc chętnie się przejdę. Coś czuję, że przez pewien czas będzie dużo siedzenia.

Lisa wyszła z pokoju, Olivia spojrzała przez okno na padający śnieg. Muszę zdążyć kupić dodatkowy grzejnik, pomyślała. Administrator domu nie przyjdzie wcześniej jak w poniedziałek, do tego czasu zdążę zamarnąć.

W tym momencie rozległ się dźwięk, sygnalizujący, że do jej skrzynki mailowej wpadła spora porcja dokumentów. Otworzyła je i zaczęła drukować.

Lisa wróciła z dwiema bułkami z serem starannie zawiniętymi w plastik i podała jedną koleżance. Oliwia wbiła zęby w bułkę i zorientowała się, że nie jest pierwszej świeżości, trudno, musi jej wystarczyć.

– A jeśli to nie był zamach na Malin Brovall, tylko na jej męża? – odezwała się, żując czerstwe pieczywo.

– Był biegłym księgowym. Ich też mordują w ten sposób? – odparła Lisa i z obrzydzeniem wyjęła z kanapki zwiędły listek sałaty.

– Może. Jeśli komus nie podoba się bilans albo przeprowadza nielegalne transakcje. Jego też powinniśmy sprawdzic.

– Zdecydowanie. I córkę. Idę.

– Ile miała lat?

– Szesnaście.

– Ale zacznijmy od tego – powiedziała Olivia, wskazując na drukarkę, która wypluwała kartkę za kartką.

– Ja chyba zacznę od ochroniarza – stwierdziła Lisa.

– Tak? Dlaczego?

– Bo był tam w nocy, niedaleko domu Brovallów. Nie wiesz, co to za firma ochroniarska?

– Nie.

Lisa zadzwoniła do wydziału patrolowego i zapytała o nazwę firmy. Sztokholmska spółka ochroniarska. Zatelefonowała i uzyskała nazwisko ochroniarza, który według grafiku miał pełnić nocny dyżur w centrum handlowym. Bengt Näs. Połączyła się z nim i zaraz zaczęły się schody, bo okazało się, że tej nocy nie pracował.

– W takim razie kto pracował?

– Anders.

– Anders, a jak dalej? – spytała.

– Grytman. Zamieniliśmy się dyżurami.

– Tak? A dlaczego?

– Musiałem się zająć chłopakiem, ma świnkę, a żona miała nocny dyżur w Sös³.

– Rozumiem, ma pan numer tego Grytmana?

Näs podał jej numer. Chwilę później zadzwoniła się do Andersa Grytmana.

– Podobno ostatniej nocy zamienił się pan z Bengtem dyżurami, zgadza się? – spytała.

– Tak, potrzebowałem pieniędzy, jestem w finansowym dołku, a Bengt się zgodził – odparł Anders Grytman.

– Tak? Nie chodziło o opiekę nad chorym dzieckiem?

– Nie, skąd?

– Co to za finansowy dołek? – dopytywała.

– A dlaczego miałbym o tym opowiadać?

– Drażliwy temat?

– Nie, mam trochę długów karcianych – odpowiedział Grytman.

– Okej. W takim razie dziękuję. W razie czego jeszcze się odezwiemy.

Rozłączyła się i w komputerze otworzyła policyjny rejestr, żeby sprawdzić Andersa Grytmana. Był zamieszany w bójkę w knajpie, ale sprawa została umorzona ze względu na niską społeczną szkodliwość czynu. Z informacji w rejestrze wynikało również, że miewał kontakty z gangiem motocyklowym Bandidos w Sztokholmie, a także był właścicielem mieszkania w Pattai w Tajlandii.

Warto mu się przyjrzeć, pomyślała.

Mette wysiadła z samochodu przed domem Brovallów w towarzystwie Bossego i aspirantki Ellinor Valbom i zaraz skłęła samą siebie za buty. Rano była w takim stresie, że chcąc oszczędzić na czasie, wsunęła stopy w półbuty, zamiast włożyć ciepłe botki.

O czym ja wtedy myślałam?

Przecież napadało co najmniej pół metra śniegu.

Dotarcie do Täby zajęło mnóstwo czasu z powodu warunków drogowych. Wszędzie widać było samochody, które po wpadnięciu w poślizg wypadły na pobocze – te, którym udało się utrzymać na jezdni, posuwały się autostradą z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Tak więc podczas jazdy zdążyli to i owo przejrzeć oraz pozyskać aktualne informacje od Säpo, między innymi pewien adres w Märsta, gdzie przypuszczalnie pomieszkiwało kilku podejrzanych

terrorystów. Mette skonsultowała się z przełożonymi w sprawie wysłania tam policyjnej specgrupy z Narodowych Oddziałów Interwencyjnych – na razie pozostawała ona w gotowości.

Ledwie Ellinor zatrzymała samochód, rzucili się na nich zmarznięci na kość reporterzy. Mette odprawiła ich uprzejmie, acz zdecydowanie. W obecnej sytuacji nie mogli działać pod presją rozgorączkowanych dziennikarzy. Mette podniosła taśmę policyjną i przeszła pod nią wraz z Bossem i Ellinor.

Technicy kryminalistyczni zmagali się z padającym śniegiem, kilku topiło go wokół miejsca przestępstwa w poszukiwaniu ewentualnych śladów. Była to iście syzyfowa praca, bo z nieba wciąż leciał nowy. Nad spalonym samochodem, kiedy tylko stało się to możliwe po ugaszeniu ognia, została rozpięta plandeka, ale konstrukcja już się chwiała pod ciężarem śniegu i właśnie zapadła decyzja o przetransportowaniu wraku do lokalu techników.

Mette spojrzała na dom Brovallów.

Wiele lat temu była tu parę razy na kolacji. Ona i Malin należały do tego samego klubu czytelniczego, założonego przez kobiety znające się z pracy, które chciały poczytać coś poza protokołami sądowymi czy dokumentami ze śledztw i aktami policyjnymi. Klub przetrwał kilka lat, zdążyły przeczytać dzieła zarówno znanych, jak i zapoznanych autorek, a przy tym miały okazję, żeby coś razem zjeść, napić się wina i pogadać. Mette pamiętała, że Malin zachwycała się książkami Joan Didion, ale zapomniała, dlaczego przestały się spotykać w klubie. Pewnie z braku czasu.

W domu Brovallów trwały czynności o zupełnie innym charakterze. Ellinor podeszła do policjantów przed domem, żeby się dowiedzieć, czy ustalili coś istotnego, kiedy chodzili po sąsiadach. Bosse przebrnął przez śnieg do jednego z techników stojących przy spalonym aucie, który właśnie podawał jakieś narzędzie komuś leżącemu pod autem – spod niego wystawały tylko jego ciężkie buciory.

– Znaleźliście samą bombę? – zapytał tego z buciorami.

– Resztki, niewielkie. Ale prawdopodobnie była podłączona do stacyjki.

– Potrafisz określić rodzaj?

Bosse nachylił się do mężczyzny, a ten się wyczołgał, wstał i otrzepał ze śniegu lepiącego się do jego ubrania. Mette poznała go i też do nich podeszła.

– Magnus! Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

– Pani Olsäter, dawnośmy się nie widzieli! – Magnus uśmiechnął się szeroko.

Pani Olsäter, kurde, pomyślał Bosse, ujdzie mu to bezkarnie? Jednak Mette nie zareagowała, odpowiedziała uśmiechem.

– Więc co powiesz? – spytała. – Co to za ładunek?

– Bomba o dużej sile wybuchu, ale jeszcze nie mogę określić typu.

– Mamy kolejną odprawę o trzeciej, będziesz mógł przyjść?

– Absolutnie tak. Pewnie jeszcze nie uzyskam wszystkich odpowiedzi, ale przekażę, co już będę wiedział.

– Dobrze.

Weszli do domu, gdzie uwijali się technicy. Bosse zaczął wypytywać, co dotąd znaleźli. Nie było tego wiele. W związku z mailem, jaki otrzymała Malin, zainteresowali się komputerami domowników. Podjęli próbę zalogowania się do nich, ale nieudaną, potrzebni byli specjaliści. Już jechali na miejsce. Poza tym w domu nie odkryli nic świadczącego o tym, że jeszcze przed wybuchem coś się tam wydarzyło. Wszędzie było posprzątane i panował porządek, jeśli wykluczyć nieposłane łóżko dziewczyny.

Zadzwoiła komórka, Mette odeszła na bok, żeby znaleźć się poza zasięgiem słuchu obecnych w domu. Obserwujący ją Bosse zobaczył, jak się nagle wyprostowała i gestykulowała,

a potem się rozłączyła.

– Co się stało?

– Antyterrorysty są już w Märsta, w mieszkaniu coś się dzieje, więc zaraz wchodzą. Chyba powinniśmy wracać.

Oddział antyterrorystów we wskazanym lokalu przy Rudvägen w Märsta zastał tylko mocno przerażoną sprzątaczkę – powiedziała, że kazano jej wysprzątać mieszkanie w związku z przeprowadzką. Rozłożone na podłodze materace świadczyły o tym, że nocowało w nim co najmniej pięć osób jednocześnie. Poza tym było pusto. Oddział opuścił mieszkanie, robiąc miejsce technikom kryminalistycznym.

*

Pięć minut przed godziną piętnastą, na którą zaplanowano odprawę, w sali byli już wszyscy z wyjątkiem Mette. Wiadomość o nieudanym szturmie antyterrorystów wywołała burzliwe dyskusje. Drzwi się otworzyły i Magnus Larsson, ekspert od ładunków wybuchowych, przytrzymał je dla Mette. Olivia przyglądała się dość niskiemu mężczyźnie o jasnych kręconych włosach i pewnym sobie spojrzeniu. Przystanął za Mette i zatoczył wzrokiem po pomieszczeniu.

Zachowuje się jak człowiek mający bardzo dobre zdanie na swój temat, pomyślała Olivia, ale jest nawet dość przystojny. Zerknęła na Lisę, licząc na wymianę porozumiewawczych spojrzeń, ale ona nie podniosła oczu znad swoich papierów.

– Proszę wszystkich o ciszę.

Na dźwięk głosu Mette wszyscy jak zwykle zamienili się w słuch.

– Najpierw chciałabym przedstawić Magnusa Larssona – powiedziała. – Jest ekspertem od materiałów wybuchowych. Ośmielę się twierdzić, że najlepszym w tym kraju. Magnus powie teraz, co on i jego zespół ustalili do tej pory w sprawie bomby i związanych z nią działań.

Zdaniem Olivii Magnus przedstawił wszystko rozwleknie i zbyt prosto. Mówił tak, jakby miał przed sobą przedszkolaków, a nie najlepszych dochodzeniowców w kraju.

Mansplaining, pomyślała.

Właściwie była do tego przyzwyczajona, bo odkąd sięgała pamięcią, mężczyźni zawsze tłumaczyli jej rzeczy zupełnie oczywiste, więc już w szkole policyjnej przestała słuchać. Rozwinęła w sobie filtr przepuszczający to, co istotne – najczęściej było tego niewiele – a przez resztę czasu pozwalała sobie rozmyślać o czymś mądrzejszym.

Larsson dotarł w końcu do konkretów na temat bomby i od razu zrobił zastrzeżenie.

– W tej chwili jeszcze nie wiemy, jaki to typ ładunku, potrzebujemy więcej czasu, ale domyślamy się, że chodzi o dość prostą konstrukcję, choć o bardzo dużej sile wybuchu. Można ją łatwo znaleźć w sieci.

Na ekranie wyświetlił odpowiednią stronę internetową, po czym zademonstrował fragmenty bomby z auta i kontynuował swój wywód.

Trwało to prawie dwadzieścia pięć minut, choć na najważniejsze fakty wystarczyłoby pięć. Skończywszy, zadowolony z siebie spojrzął na słuchaczy, jakby czekał na oklaski. Mette zerknęła na zegarek. Pewnie też uznała, że straciła mnóstwo cennego czasu, pomyślała Olivia.

– Magnus, dziękuję za te cenne informacje – powiedziała. – A teraz przejdziemy do sprawozdania grupy A. Wiecie, że interwencja w Märsta nie doprowadziła do żadnych zatrzymań. W tej chwili zabezpieczamy ślady w mieszkaniu. Coś jeszcze, Bosse?

Bosse, kochany Bosse, mówił krótko i treściwie, co Olivia uwielbiała. Bez ozdobników. Powiedział, że w miejscach, gdzie mogą przebywać podejrzani, planuje się interwencje. W pierwszej kolejności jest to jeden konkretny adres. Stwierdził też, że przyjęto hipotezę o potencjalnym następnym zamachu, do którego może dojść w każdym momencie.

– Bomba u Brovallów mogła być pojedynczym zdarzeniem, ale liczymy się z tym, że w najgorszym razie dojdzie do następnych zamachów.

Pokazał na zdjęcie rękawiczki znalezionej pod śniegiem obok wraku auta.

– Jak widzicie, to męska rękawiczka. Mogła należeć do Kaja Brovalla, ale jeśli szczęście nam dopisze, to zgubił ją ktoś inny. Przesłaliśmy ją do NFC⁴.

Kolejne grupy zrelacjonowały podjęte czynności, takie jak sprawdzanie billingów oraz komputerów rodziny Brovallów. Olivia spojrzała na Lisę, która wciąż wpatrywała się w swoje papiery. Śpi z otwartymi oczami? Czy medytuje?

Jednak ożywiła się, kiedy Mette, wypowiedziawszy kilka słów zachęty, zakończyła odprawę. Po jej wyjściu Olivia spytała Lisę:

– Znasz tego Magnusa Larssona?

– Dlaczego tak myślisz?

Odpowiedź padła błyskawicznie, co tylko potwierdziło, że przypuszczenie jest słuszne.

– Tak się tylko zastanawiam – odparła Olivia.

Lisa nic na to nie powiedziała.

Była dziewiąta wieczorem, gdy Olivia mogła wreszcie wrócić do domu po długim intensywnym dniu. Kiedy wyszła z gmachu policji, śnieg nie padał już tak mocno jak wcześniej, ale wciąż było bardzo zimno. Odetchnęła suchym mroźnym powietrzem, włożyła rękawice pożyczone od Lisy i postanowiła, że przespaceruje się do domu. Czuła, że po całym dniu spędzonym w zamkniętym pomieszczeniu musi się poruszać.

Nie zważając na mróz, poszła rażno z Kungsholmen w stronę Söder. Zamarznięty świeży śnieg skrzypiał jej pod butami i w głowie pojawiły się wspomnienia z dzieciństwa: jazda na biegówkach i gorąca czekolada z termosu pita nad jeziorem na Tynningö. Tata obierający jej pomarańczę i uczący ją, jak na nartach wykonać pełny obrót w miejscu.

Dotarła na Västerbron. Na moście mocno wiało, więc musiała przytrzymywać kaptur, żeby jej nie spadał z głowy. Przystanęła chwilę i spojrzała na Riddarfjärden. Zatoka, podobnie jak miasto, była w całości spowita białym, kruchym i skrzącym się śniegiem. Olivia wprawdzie nie cierpiała zimy i chłodu, ale musiała przyznać, że jest pięknie, gdy śnieg dłużej poleży, nawet jeśli wiatr szczypie w policzki.

Grzejnik!

Nie zdążyła załatwić sobie dodatkowego grzejnika.

A teraz było już za późno.

Kolejna zimna noc.

Pokonując ostatni odcinek mostu, przypomniała sobie o barce. Barka Luny. Luna zawsze miała mnóstwo dodatkowych grzejników, które w razie potrzeby wstawiała do kabin. Luny i Toma jednak nie było, ku wielkiemu żalowi Olivii. Nie mogła do nich pójść i posiedzieć z nimi, gdy w mieszkanku na Högalidsgatan dokuczyła jej samotność. Brakowało jej tego. Oboje byli w Tajlandii u przyrodniej siostry Toma Aditi i Olivia nie miała pojęcia, kiedy zamierzają wrócić.

Może nigdy.

Luna wynajęła barkę Minkenowi. Akurat jemu. Że też się nie bała, Olivia nie mogła się nadziwić. Minken, były kapuś i mistrz równowagi, nie należał do najuczciwszych spośród ich znajomych. Posiadał za to niesamowitą umiejętność wkradania się w cudze łaski. Najwyraźniej Luna uznała, że Minken potrafi się zaopiekować barką pod jej nieobecność.

Olivia postanowiła skrócić z mostu w stronę Långholmen i Söder Mälarstrand, by zajrzeć na barkę i choćby ze względu na Lunę zobaczyć, jak sobie radzi Minken, a jednocześnie sprawdzić, czy da się od niego pożyczyć jakiś zapasowy grzejnik.

Zszedłszy na nabrzeże, spojrzała z pewnej odległości na barkę „Sara la Kali” i lekko ją

zatkało. W ciemności ubranej w śnieg barka wyglądała jak statek kosmiczny. Z wszystkich bulajów biło mocne światło o fioletowym zabarwieniu. Olivia wiedziała, co to znaczy. Brała udział w licznych rajdach na plantacje marihuany i nie miała żadnych wątpliwości. To nieziemskie światło pochodziło z lamp do upraw szklarniowych. Czyżby uprawiał trawkę na barce Luny? A może otworzył solarium? W przypadku Minkena wszystko było możliwe.

Zawahała się.

Przecież nie mogę tam wejść, odkryć uprawę i nie zgłosić.

Podeszła bliżej i zobaczyła, że przy trapie śnieg jest porządnie uprzątnięty. Zdziwiło ją to. Nie potrafiła sobie wyobrazić Minkena z szuflą do odgarniania śniegu w rękę. Zaciekawilo ją to i próbowała zajrzeć przez niewielkie bulaje. Ponieważ jednak były małe i biło z nich silne światło, niczego nie zdołała dostrzec. Postanowiła wejść na pokład i zapukać. Jeśli Minken prowadzi na pokładzie nielegalną uprawę marychy, to Luna ma prawo o tym wiedzieć.

I Tom.

Zapukała i z dołu usłyszała głos Minkena.

– Tak?

– To ja, Olivia, mogę wejść?

Nacisnęła klamkę, zamknięte. Potem rozległy się kroki i drzwi się otworzyły, ale nie stanął w nich Minken. Oliwia zobaczyła wysoką puszystą blondynkę o pełnych kształtnych ustach w wieku między trzydzieści pięć a czterdzieści lat.

– Cześć – odezwała się Olivia.

Kobieta wyciągnęła do niej rękę.

– Cześć, jestem Bettan.

– Olivia. – Podała jej swoją dłoń.

Uścisk Bettan był z tych zdecydowanych, więc Olivia też mocno ją chwyciła, żeby nie wyjść na słabszą. Bettan się uśmiechnęła. W jej oczach były energia i rozbawienie.

– Jest Minken? Wydawało mi się...

– Pewnie, że jest. Wejdz – powiedziała Bettan.

Olivia zeszła za nią po schodkach i stanęła. Wielki salon był skąpany w lekko fioletowym świetle, a na jego środku siedział najemca barki we własnej osobie.

Leif „Minken” Minqvist.

Rzucało się w oczy, że jest w formie, i to znakomitej. Miał na sobie żółty garnitur trochę niemodnego kroju z marynarką o szerokich klapach. Włosy zaczesał do góry. Od jego drobnej postaci aż biła pewność siebie. Kiedyś dysponował prywatnym kanałem dostaw z Kolumbii prosto do jego nosa, teraz najwyraźniej napędzało go co innego.

Oliwię uderzyła również inna rzecz: mimo mrozu na zewnątrz w środku było przyjemnie ciepło. Nie to co w jej mieszkaniu. W dodatku w salonie panował wielki porządek, cytrynowe drzewka Luny wyglądały na zadbane, a wszystko wręcz tonęło w zieleni. Była wszędzie. Do upraw wykorzystano stare butelki pet, opakowania po mleku i wielkie puszki po konserwach: rosły w nich kielki, sałata i zioła.

Oliwię zamurowało.

– No nie? – Minken uśmiechnął się i rozłożył ramiona. – Zatkaną pannę Kwaśną?

Zza pleców Olivii wyłoniła się Bettan.

– Siadaj, może się czegoś napijesz? – spytała. – Mamy własną herbatę miętową.

– Bardzo chętnie, poproszę.

Olivia usiadła naprzeciwko Minkena.

– Pięknie, co? – powiedział.

– Rzeczywiście, ale co wy z tym wszystkim zrobicie?

– Opchniemy, to jasne! – Minken wyraźnie się nakręcił. – Małym sklepom i restauracjom! Bettan ma znajomości w lepszych knajpach! Takich, co potrafią docenić uprawy z barki w centrum miasta. Mamy nawet slogan handlowy: „Lokalna uprawa z »Sara la Kali«! Bliżej się nie da”. Nie masz pojęcia, ile ludzie są gotowi wybulić na żarcie, w tym interesie jest więcej szmalu niż w haszu.

Zaśmiał się, a Olivia się uśmiechnęła. To, co zobaczyła, było naprawdę imponujące.

– Chodź, musisz to obejrzeć – odezwała się Bettan. – Leif, przypilnujesz wodę na herbatę? Oprowadzę Olivię.

– Oczywiście, serce moje.

Leif, pomyślała Olivia i poszła za Bettan, zdumiewającym stworzeniem, które najwyraźniej odmieniło życie Minkena.

– Przepraszam – odezwała się Olivia. – Nie miałam pojęcia, że ty też tutaj mieszkasz.

– Tak, wynajęłam swoje trzypokojowe mieszkanie w Hägersten i wprowadziłam się kilka miesięcy temu. Poznaliśmy się i – trzask! – zamieszkaliśmy razem, szybko poszło!

I teraz ten statek kosmiczny zamieszkują dwa ufoludki, pomyślała Olivia.

– Gdzie się poznaliście? – spytała.

– Na imprezie dla przedsiębiorców.

– Tak? A co tam robił Minken, przepraszam, Leif?

– Zarządzał sprzętem do karaoke. On się świetnie zna na technice.

Na technice? – zdziwiła się w myślach Olivia. Zupełnie jej to umknęło.

– No i stało się. – Bettan się zaśmiała. – Od razu wpadłam, on ma taki urok, że nie można mu się oprzeć!

Owszem, można, pomyślała Olivia, ale są gusta i guściki. Może to i dobrze, bo dzięki temu każdy może mieć nadzieję.

Bettan otwierała drzwi do kolejnych kabin, wszędzie były uprawy. Poziomo, pionowo, wszystkie tak samo zadbane.

– To uprawy hydroponiczne, niesłychanie praktyczne, bo nie nabrudzimy ziemią i tak dalej. Leif jest w tym bardzo dobry, w końcu uczył się ogrodnictwa.

– Aha, ogrodnictwa – przytaknęła Olivia. – Nie wiedziałam.

Jeszcze jedna rzecz, której nie wiedziała.

Olivia podejrzewała, że doświadczenie Minkena w dziedzinie ogrodnictwa sprowadzało się do kontaktu z sadzonkami konopi indyjskich i może jeszcze kwiatkami doniczkowymi jego mamy.

– No właśnie, mnie też to nie mogło się pomieścić w głowie – odparła Bettan. – Jak on to wszystko zdążył? Tyle robił w życiu fantastycznych rzeczy! Codziennie mnie czymś zaskakuje, to coś wspaniałego.

– Domyślam się. A skąd pomysł, żeby wystartować z czymś takim?

– Jak mówiłam, właściwie jestem przedsiębiorczynią. Miałam własny interes. Od wielu lat prowadzę bloga. Botox-blog Bettan, może znasz?

– Niestety nie.

– Ciuchy i makijaż, porady, no wiesz, miałam sto tysięcy followersów. Już się zabierałam do uruchomienia własnego brandu kosmetycznego, ale poczułam, że mam trochę dosyć tej branży. Tyle tam niepoważnych ludzi, przecież byle celebryta, choćby malutki, ma własną markę, konkurencja jest strasznie ostra, więc chciałam spróbować czegoś, co naprawdę jest na czasie. Rośliny hodowane jak najbliżej konsumenta. I wtedy wpadłam na ogrodnika! Ale miałam farta, co?

– No rzeczywiście – odparła Olivia, zaglądając do dawnej kabiny Toma.

Stały tam długie rzędy roślin; ciekawa była, czy Tomowi podobałoby się, że jego materac został zamieniony na grządkę sałaty.

– Prawda, jakie to fantastyczne? – powiedziała Bettan i rozłożyła szeroko ręce.

– Kiełki udaje nam się wyhodować w tydzień. Zaczęłam również przyjmować zamówienia przez Facebooka, no i zmieniłam nazwę mojego bloga na Bio Logiczne Porady Bettan. Dzielę się tam pomysłami na uprawy w środowisku miejskim.

Od kosmetyków do upraw, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pomyślała Olivia. Z Minkenem w roli rzeczoznawcy. Nie minął jeszcze czas cudów.

– Moje panie! Herbata! – zawołał Minken.

Olivia i Bettan wróciły do salonu. Minken nalał herbatę miętową do pięknych, ręcznie formowanych szklanek Luny. Bettan usiadła obok Minkena, a on ją objął i pocałował w usta. Była o głowę wyższa od niego, więc musiał się nieźle wspinać, ale mu się udało.

– Masz pojęcie, jakiego ja fanta zgarnąłem? – powiedział do Olivii. – Ona, kurde, jakby mi z Himalajów spadła! Mój anioł śnieżny! Ekonomiczny geniusz!

Bettan uśmiechnęła się do niego czule.

– Tak, no i zastanawiamy się nad tym, czyby się nie rozwinąć. Wiem o paru skalnych jaskiniach pod miastem, które niedługo będą do wynajęcia. Wtedy w to wejdziemy!

Do Olivii właśnie zaczęło docierać, że ta kobieta, wcześniej używająca ksywy Bettan Botox, nie jest bynajmniej głupią blondynką, tylko wytrawną bizneswoman. Pozostawało zagadką, jak mogła zadurzyć się w Minkenie. W każdym razie oboje byli wyraźnie zakochani.

Olivia upiła łyk gorącej, dobrej herbaty i spojrzała na Minkena.

– Nie wiedziałam, że byłeś ogrodnikiem – powiedziała.

– Wielu rzeczy o mnie nie wiesz, mała. Praktycznie wychowałem się w warzywniku, matka miała szklarnie i tak dalej. Urodziłem się z marchewką w uchu.

Olivia wiedziała, że to bujda, bo Minken wychował się w Kärtrorp, a jego mama hodowała co najwyżej pelargonie. Jednak odpuściła. Zdawała sobie sprawę, że jeśli chce się z nim zadawać, musi ścierpieć jego mitomanię.

– Miałeś jakieś wieści od Toma i Luny? – spytała, żeby przy okazji wysondować, czy jej przyjaciele wiedzą, że Minken i Bettan zamienili barkę w pływającą szklarnię.

– Tak, kurde, oni są w jakiejś nirwanie, czują się tam jak ryby w wodzie!

– Wysłałam Lunie zdjęcie przez WhatsAppa, gdy nasza pierwsza dostawa poszła do restauracji Mathiasa Dahlgrena – dodała Bettan.

Jakby się domyśliła, dlaczego Olivia pyta.

– I w odpowiedzi przysłała mi to.

Bettan wyjęła komórkę i pokazała zdjęcie Stiltona w pozycji lotosu. Coś, co – jak wiedziała Olivia – było całkowicie sprzeczne z naturą Toma. Roześmiała się głośno, pewna, że zdjęcie zrobiła ukradkiem Luna.

Tomowi by się nie podobało, że ktoś to ogląda.

– Sama widzisz, brzuchaty Budda, w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

– W dosłownym znaczeniu, kochanie – poprawiła go Bettan, patrząc na niego czule.

Znów zaczęły opowiadać o swoich planach na przyszłość, a Olivia uzmysłowiła sobie ze zdziwieniem, że jest jej bardzo przyjemnie w towarzystwie tej dwójki dziwaków. Rozmowa o roślinach była niezwykle relaksująca, zwłaszcza że tak mocno kontrastowała z całym jej dniem naznaczonym śmiercią ludzi rozerwanych w eksplozji. Mogła się rozluźnić i pośmiać, kiedy Minken rozwodził się nad tym, ile szmalu zarobi.

– Niedługo będę mógł uszczelnić ściany paczkami banknotów! – powiedział.

– Grodzie – odezwała się Bettan.

- Jakie grodzie?
 - Znajdujesz się na barce. Tu nie ma ścian, są grodzie.
 - Widzisz, jaka ona jest? Chodząca encyklopedia! Ale z nas kombo!
- Ucałował Bettan; dla Olivii ich uczucie było dość wzruszające.

Gdy potem brnęła przez śnieg, idąc do domu z grzejnikiem pod pachą, czuła się wprawdzie zmęczona, ale miała całkiem dobry nastrój. Większość ludzi w końcu kogoś sobie znajduje, oby to dotyczyło również jej. Cieszyła się, że zdecydowała się wstąpić na barcę, i to nie tylko ze względu na grzejnik. Bettan sprawiła, że Minken pokazał się od najlepszej strony, i okazało się, że jest całkiem fajny, byle w odpowiednich dawkach.

Co ta miłość może zrobić z człowiekiem, pomyślała, wchodząc do swego ciemnego i zimnego mieszkania. Zapaliła lampę w przedpokoju i postawiła grzejnik na podłodze, żeby się rozebrać. W tym momencie przytłoczył ją kontrast pomiędzy jej lokum a ciepłą zieloną barką. Włączyła grzejnik i postawiła go między sypialnią a salonem, żeby trochę nagrzać oba pokoje. Następnie usiadła na kanapie i weszła na Tindera.

Nic ciekawego.

Potem na Instagrama, aby sprawdzić, czy Lennie wrzuciła jakieś nowe fajne zdjęcia z imprez w Kopenhadze. Okazało się, że tak. Fotografie roześmianych koleżanek, i to z dzisiejszego wieczora. Poczula ukłucie zazdrości, już nie była taką częścią życia Lennie jak kiedyś. Całkiem do bani. Po zerwaniu z Erikiem Lennie rzuciła prawo i przeprowadziła się z Lundu do Kopenhagi, żeby się uczyć złotnictwa. Wiodła teraz inne życie z nowymi koleżankami i chłopakami.

Olivia nie miała ani jednych, ani drugich, i nie miała Lennie. Siedząc w swoim zimnym mieszkaniu, pomyślała, że były kapuś i jego dziewczyna to jedyni znajomi, do których mogła pójść.

Bettan Botox.

Poczula się strasznie samotna.

Tom Stilton również się tak czuł, chociaż nie był samotny. Leżał na nieco zbyt twardym łóżku pod moskitierą, wpatrując się w niedziałający wentylator na suficie. On też nie działał. Czuł pustkę w środku. Zza bambusowej ściany dochodziły szepty. Aditi i jego partnerka Luna siedziały tam i rozmawiały, może nawet o nim, nie rozróżniał słów, zresztą nie chciało mu się wysilić i podsłuchać.

Schronił się tu, u swojej przyrodniej siostry Aditi w jej ośrodku jogi w Mae Phim w Tajlandii. Zrobił to z bardzo osobistego powodu, mianowicie zabił człowieka. Na samą myśl o tym czuł, jak mu się ściska gardło. Napad lęku pojawiał się nieoczekiwanie, jak odruch wymiotny. Całe jego ciało tak reagowało. Zabił kogoś z premedytacją i teraz musiał z tym żyć.

Tylko nie wiedział jak.

Na Filipinach ta śmierć została zakwalifikowana jako wypadek. Maria Cosmina Basescu zginęła podczas skoku z mostu na bungee. Puściło zabezpieczenie. Policja nie potrafiła ustalić, dlaczego tak się stało, dlaczego postanowiła skoczyć z mostu ani czy była wtedy sama. Pewien właściciel baru mówił, że spotkał ją w towarzystwie mężczyzny z Zachodu, którego wcześniej nie widział w okolicy. Chyba Holendra. Gość miał na imię René, ale nie udało się trafić na jego trop. Kiedy potem się okazało, że kobiety poszukiwał Interpol za morderstwa na kilkorgu dzieciach w Szwecji, znalezienie tego człowieka nie było już takie pilne. Filipińska policja uznała w końcu, że Basescu postanowiła popełnić samobójstwo.

I tylko Stilton wiedział, że ktoś jej w tym pomógł. Luna i Aditi nie miały pojęcia, co go dręczy. Wtedy zadziałał pod wpływem impulsu: ruch ręką i zabrakło jednego najpotrzebniejszego zapięcia.

Takie to było łatwe. Wtedy.

Teraz było gorzej.

Stilton obserwował gekona, który schodził szybko po bambusowej ścianie, czemu towarzyszył charakterystyczny cmokający odgłos. Trochę jak wiewiórka, pomyślał, przymykając oczy. Pomruk rozmowy podziałał uspokajająco. Nie pojawiły się obrazy zniekształcone lękiem, Tom odpłynął w drzemkę bez snów.

Na zewnątrz w ogrodzie Luna i Aditi leżały razem na czymś podobnym do hamaka z żółtymi i pomarańczowymi poduszkami. Otulało je jak okład letnie powietrze, jeszcze nierozgrzane upałem. Był wczesny ranek, właśnie zakończyły ćwiczenia jogi z gośćmi ośrodka Aditi, głównie kobietami.

Aditi spędziła w Tajlandii niemal całe swoje dorosłe życie. Z początku była to ucieczka od życia w Szwecji naznaczonego wieloma tragicznymi wydarzeniami, ale teraz już zapuściła tu korzenie. Przez wiele lat prowadziła kilka ośrodków jogi, w końcu wylądowała w Mae Phim. Ta niewielka wieś w ostatnim czasie rozrosła się podobnie jak wiele nadmorskich osad w Tajlandii wyniuchanych przez turystów, dla których zrobiło się zbyt ciasno i gwarno wśród wspaniałości w innych miejscach.

– Jak myślisz? – zapytała Aditi. – Może uda się go namówić, żeby się dzisiaj ogolił?

Wyciągnęła muskularne ramiona nad głową i odwróciła twarz do Luny. Jej długie, siwe już włosy ułożyły się na kolorowych poduszkach jak wachlarz. Według Luny wyglądały jak aureola. Aditi była wyjątkowa, cała jej postać emanowała spokojem, który – co imponowało Lunie – działał uzdrawiająco na innych. Właściwie to na wszystkich z wyjątkiem Toma.

Jemu nie dała rady, przynajmniej dotąd. Jednak nie przestawała się starać, za co Luna była jej głęboko wdzięczna.

– Zawsze możemy spróbować – odpowiedziała Luna, uśmiechając się do Aditi.

Jej oczy zdradzały co innego. Bezradność. Przyglądanie się, jak jej ukochany zмага się ze swoimi demonami, było wyczerpującym doświadczeniem. Zżerało ją poczucie, że chociaż jest mu potrzebna, to jednak mu nie wystarcza. Mimo to była wdzięczna, że dzieje się to tu, a nie w domu. Dawała radę dzięki Aditi i codzienności w jej ośrodku.

Mało tego.

Zadomowiła się tu od pierwszego dnia po przyjeździe i stała się niemal niezastąpiona. Uwielbiała wykonywać wszystkie najpotrzebniejsze czynności, jak sprzątanie, dbanie o to, żeby po każdym ćwiczeniu goście zawsze mieli świeże owoce, wodę i herbatę, pilnowanie zbierania kwiatów i układania ich na talerzykach z wodą, umieszczanych przed wszystkimi posągami Buddy stojącymi w ogrodzie.

Z kolei Aditi szybko zrozumiała, że Luna pomaga w ten sposób nie tylko jej, ale również sobie. Te zajęcia odganiały jej niepokój o Toma.

Aditi podniosła się zwinnie z poduszek i pocieszająco poklepała Lunę po nodze.

– Pewnego dnia się uda – powiedziała, uśmiechając się. – Potrzeba czasu, żeby wyjść z depresji.

– Tak, wiem.

– A jemu nie będzie lepiej, jeśli ty się będziesz źle czuła.

O tym Luna również wiedziała.

– Boję się tylko, że on się zupełnie zamknie w sobie i zniknie – odparła. – Już raz tak się zdarzyło.

– Teraz tego nie robi.

– Skąd wiesz?

– Bo wydaje mi się, że jego stan jest skutkiem konkretnego wydarzenia, które on teraz przepracowuje – odparła Aditi.

– Powiedział ci to?

– Nie i pewnie na tym polega jego problem. Że się upiera, żeby nie rozmawiać o tym, i zamiast tego woli leżeć i samotnie przeżuwać lęki z wielkiego czarnego wóra. Jak ten wór się skurczy, będzie mógł wydusić jego zawartość i przepuścić ją przez siebie. Tylko że to zajmuje dużo czasu. Najchętniej zrobiłabym mu lewatywę, ale tylko on może zdecydować, kiedy będzie pora na wypróżnienie.

W oczach Luni pojawił się cień uśmiechu. Te porównania – miejscami drastyczne – jaskrawo kontrastowały z niemal anielskim wizerunkiem Aditi jako nauczycielki duchowej. Bywały przy tym zabawne, więc w odpowiednich momentach wywoływały śmiech, który rozładowywał napięcie.

– A tak w ogóle to pora na śniadanie – ciągnęła Aditi, wstając i podając Lunie rękę, żeby pomóc jej się podnieść z bujanego ogrodowego łóżka.

Zanim Luna za nią poszła, zajrzała jeszcze do Toma. Leżał nieruchomo na łóżku i chyba spał. Wygląda aż za spokojnie, pomyślała, zamykając delikatnie drzwi za sobą.

Sirikit, prawa ręka Aditi, przygotowywała w kuchni śniadanie dla gości. Wchodząc tam, Luna poczuła zapach pieczonego chleba. Świeżo wyciśnięte soki zostały rozlane do pięknych szklanych karafek. Wielkie półmiski uginały się od całych i drobno pokrojonych na sałatki owoców. Miseczki napełniono orzechami i różnymi ziarnami do jogurtu, który z kolei wypełniał dużą ceramiczną misę. Dla wegetarianki takiej jak Luna tutejsze śniadania i w ogóle jedzenie były jak sen erotyczny. Sirikit stanowiła niewyczerpane źródło nowych ciekawych przepisów.

Aditi zaczęła roznosić herbatę i chleb, Luna chwyciła karafki, żeby jej pomóc. Za pięć

minut jadalnia będzie pełna gości przebranych już po porannych ćwiczeniach jogi.

Po śniadaniu dla Aditi przychodził czas na komputer i zajęcia biurowe. Wtedy włączano Wi-Fi. Była to pora dnia przeznaczona na cyfrowe kontakty dla wszystkich, również dla gości. Potem Wi-Fi wyłączano, podobnie jak wszystkie telefony i komputery. W razie potrzeby można było skorzystać z przeznaczonego do kontaktów telefonu stacjonarnego.

Według Luni to działało, nie miała problemu z tym, że nie jest stale on-line. Odczuwała to wręcz jako wyzwolenie. Teraz jednak włączyła telefon, by sprawdzić maile i esemesy. Niewiele tego było. Ojciec pytał, co u niej i czy mógłby ją odwiedzić. Uśmiechnęła się do siebie na myśl o swoim starym tacie wśród tutejszych dam ubranych w stroje do jogi, wegetariańskich potraw i zdrowych ziółek. Piekliłby się i pytał, gdzie, kurde, jest whisky.

Następnie przeczytała krótkiego esemesa od Mette z pytaniem, czy u Toma nastąpiła jakaś poprawa.

Kochana Mette odzywała się kilka razy w tygodniu, niestety również tym razem Luna nie miała dla niej dobrych wiadomości. Musiały nadal dzielić niepokój o Toma.

Choć nie miały pojęcia, z czego wynika jego stan.

Luna odpowiedziała na mail i esemesa, po czym wyłączyła telefon i poszła do Aditi, która siedziała przed komputerem w ładnym, choć skromnie urządzonym gabinecie. Właśnie w skupieniu czytała coś na ekranie. Luna jeszcze nie widziała u niej takiego spojrzenia, wyglądała na wzburzoną.

– Stało się coś? – spytała, siadając na krześle przed biurkiem Aditi.

– Co? Nic szczególnego, ale wściekam się, kiedy czytam, jak laureatka Pokojowej Nagrody Nobla traktuje mniejszość narodową. Tak ją zawsze szanowałam, a kiedy wreszcie sama objęła władzę, pozwala na coś takiego. To obrzydliwe!

Luna domyśliła się, że Aditi mówi o Birmie, Aung San Suu Kyi i prześladowaniu ludu Rohingja. Podzielała jej wzburzenie. Czytała potworne relacje o gwałtach, paleniu wsi i dzieciach porywanych w górach opiumowych na północy.

– Świat całkiem zwariował – ciągnęła Aditi. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ludzie chcą spędzać swój czas na Ziemi, dręcząc i zabijając innych. Może jestem naiwna, ale dla mnie to kompletnie niezrozumiałe.

– Jesteś naiwna – dobiegło od drzwi. Stał tam Tom.

Luna się odwróciła. Wyglądał, jakby dopiero się obudził. Włosy na karku sterczały mu odgniecione od poduszki, owinął się zielonym kimonem należącym do ośrodka. Brodę miał rozwichrzoną.

A ja go kocham, bezwarunkowo, pomyślała Luna. I to również jest niezrozumiałe.

W niedzielę czwartego marca o godzinie piątej trzydzieści cztery, kiedy Olivia spała w najlepsze, policyjna specgrupa przeprowadziła drugi szturm w ciągu tygodnia. Tym razem na dom w Vårby. Właśnie o tym adresie wspomniał Bosse Thyrén. Mieszkanie znajdowało się pod obserwacją Säpo, agencja tylko czekała na oznakę jakiegokolwiek aktywności. Kiedy ją dostrzeżono, ogłoszono alarm.

Tym razem specgrupa nie zastała przerażonej sprzątaczkii, tylko czterech rozespanych młodych mężczyzn, dwudziesto- i trzydziestolatków. Zaskoczyła ich nie w łóżkach, lecz na materacach. Byli w samych kalesonach, kiedy założono im kajdanki i wyprowadzono z mieszkania. Do środka weszli technicy kryminalistyczni i stwierdzili obecność nielegalnych substancji chemicznych i innych materiałów świadczących o produkcji ładunku wybuchowego. Albo o takim zamiarze. Jeszcze nie było wiadomo. Na miejsce wezwano policyjnych pirotechników z Magnusem Larssonem na czele, żeby sprawdzili, czy to, co znalezione, ma jakiś związek z ładunkiem wybuchowym z samochodu Brovallów.

Dla Säpo najbardziej niepokojące było to, że w mieszkaniu zatrzymano tylko czterech członków grupy. Piąty poszukiwany pozostawał na wolności.

Informację tę Mette Olsäter otrzymała o godzinie szóstej.

Z bramy wyszedł dość niski ciemnowłosy młody człowiek z gołą głową. Przystanął na chwilę i delikatnie dotknął kamizelki pod kurtką. Został dobrze przygotowany. Dziś jego dzień. Był dumny, że go wybrano. Wspaniałe uczucie. Zupełnie inne od tego, jakiego doświadczał przez całe dotychczasowe życie.

Wybraniec.

Ruszył wzdłuż fasady budynku. Wychował się w tym społeczeństwie bez moralnego kręgosłupa i nigdy nie odnosił wrażenia, że jest u siebie. W pewnym momencie chciał pojechać do Syrii, żeby walczyć, ale został powstrzymany przez rodzinę, która nie miała zrozumienia dla jego nowych przekonań.

Postępy kalifatu śledził zatem z dystansu.

Teraz zaś, gdy Państwo Islamskie zaliczało porażkę za porażką, on i jego towarzysze zrozumieli, że muszą pomóc i przystąpić do działania w obronie wyznawanych wartości. Za najlepszy sposób uznali doprowadzenie do chaosu i rozłamów w społeczeństwie szwedzkim. Wiedzieli, że brutalne zamachy bombowe posłużą siłom, które są wrogie imigrantom, i że właśnie te siły nakręca strach.

A społeczeństwo oparte na strachu gnije od środka.

I taki był ich cel.

Na ostatku, pomyślał, być może runie cały świat Zachodu, ponieważ wszystkie wielkie imperia padają na skutek własnych słabości.

A on się do tego przyczyni.

Idąc, uśmiechał się lekko. Nie bał się śmierci, było mu obojętne, że umrze. Przemoc i śmierć były stale obecne w jego życiu w tej czy innej formie. Przechodząc na ukos przez jezdnię, pomyślał o swoich kolegach. Zgadzał się z nimi we wszystkim, kiedy powołując się na Koran, mówili o deprawacji zachodniego społeczeństwa, ale nie o to chodziło, kiedy szedł teraz w tej kamizelce z ładunkami wybuchowymi pod kurtką. Bardziej chodziło o niego samego. O szansę, żeby stać się Kimś.

O zrobienie czegoś, co przejdzie do historii.

O to, że jego imię będzie kojarzone z bohaterskim czynem.

Że zostanie męczennikiem.

Idąc chodnikiem, poczuł przyływ adrenaliny, zimna nie czuł, obserwował mijanych ludzi i napawał się samym sobą.

Wreszcie poczuł moc!

*

Poranna odprawa została przełożona w związku ze szturmem z dziewiątej na siódmą trzydzieści. Mette obudziła się o szóstej, po niewielu godzinach snu.

Podobnie jak Bosse i jego zespół.

Szturm okazał się sukcesem, chociaż jeden z poszukiwanych wciąż przebywał na wolności. Mimo niewyspania wszyscy byli zadowoleni i pełni energii. Odpoczywać będą po trochu w ciągu dnia. Teraz chodziło o znalezienie piątego podejrzanego o terroryzm i połączenie już zatrzymanych z zamachem na Brovallów. Mieszkanie w Vårby zostało dokładnie sprawdzone w poszukiwaniu dowodów na to, że przebywający w nim mężczyźni zaplanowali i przeprowadzili ten zamach. Część z tych dowodów Mette już dostała. Były to głównie ręczne notatki na kartkach, ich fotografie przesłano jej drogą elektroniczną. Problem polegał na tym, że

zostały sporządzone po arabsku. Policja miała swoich ekspertów, ale Mette nie była pewna, czy w niedzielny poranek są w pracy, wobec czego wybrała inne rozwiązanie.

Zadzwoiła do Abbasa.

– Cześć, tu Mette. Możesz przyjechać do budynku policji? Potrzebna nam pomoc w rozwiązaniu pewnego problemu językowego.

Abbas zjawił się w jej gabinecie po dwudziestu minutach.

Właśnie za to go lubiła, a także za jego niesłychaną skuteczność i lojalność. Patrzyła teraz na tego człowieka, przyjętego do serca przez całą jej rodzinę – stał się jej częścią. Ubrany był jak zwykle nieskazitelnie. Obecnie golił głowę, by ukryć skłonność do łysienia. Brodę miał perfekcyjnie przystryżoną, a z czarnych oczu biły ciekawość i energia.

Objęli się.

– Dobrze, że mogłeś przyjść tak szybko – powiedziała. – Wszystko dobrze?

– Jak zawsze. W czym ci mogę pomóc?

Mette wydrukowała przysłane jej materiały z mieszkania terrorystów i podała Abbasowi.

– Znaleźliśmy to podczas porannej interwencji i chcemy wiedzieć, czy to coś, czego można użyć przeciwko zatrzymanym osobom.

– Dotyczą zamachu bombowego, jak przypuszczam – powiedział Abbas, biorąc od niej papiery.

– Tak.

Abbas usiadł i zaczął czytać. Mette stanęła obok w wielkim napięciu. Abbas podniósł wzrok.

– Usiądź, nie będzie szybciej, jak mi będziesz sapała w kark.

– Ojej, przepraszam.

Mette poszła do swojego fotela biurowego i poczuła, jaka jest zmęczona. Nie ma już dwudziestu pięciu lat. Na horyzoncie majaczyła emerytura i może mimo wszystko będzie to przyjemny czas. Dużo ją kosztowały takie intensywne dni i noce. Przymknęła na chwilę oczy i kilka razy głęboko odetchnęła dla uspokojenia organizmu.

– Powiedziałbym, że chodzi o planowanie jakiejś akcji.

Drgnęła na jego słowa. Czyżby przysnęła?

– Naprawdę? Wymienili Malin Brovall?

– W tym, co na razie przeczytałem, to nie.

Abbas czytał dalej. Mette była już całkiem rozbudzona.

– A więc wspominają o czymś, co określają jako „imprezę” – ciągnął Abbas. – Co muszą załatwić na tę „imprezę” i tak dalej, a ponieważ mowa między innymi o zakupie chemikaliów, to „imprezą” jest zapewne zamach, prawda?

– Wydaje się to prawdopodobne – odparła Mette. – Masz coś jeszcze na ten temat?

– Tak, datę. Trochę trudno to odczytać.

– Dwudziesty czwarty?

– Nie, powiedziałbym raczej, że czwarty.

Abbas podniósł wzrok znad papierów i spojrzał na Mette.

– Czwarty, jesteś pewien? – spytała.

– Tak jest napisane. A impreza nie jest u Brovallów.

– Tylko gdzie?

Jej puls przyspieszył gwałtownie, podczas gdy Abbas rozczytywał sfotografowane pismo.

– Na statku „Schebriz” czwartego o dziesiątej. Przed Grand Hotelem.

– Na pewno chodzi o statek „Sjöbris” przy nabrzeżu Strömmen. Jest miesiąc?

Abbas spojrzał jeszcze raz na papier.

– Tak, marzec.
– O Boże. – Mette zerknęła na zegarek, wskazywał dziewiątą dwadzieścia pięć. – Czytaj dalej! Ja muszę...

Nie skończyła zdania, już była przy drzwiach.

*

Miał jeszcze sporo czasu.

Spojrzał na godzinę w smartfonie, dziewiąta dwadzieścia sześć. Szedł powoli przez Kungsträdgården w stronę nabrzeża Strömmen. Kamizelka była ciężka, ale dobrze chroniła przed mrozem. Poczucie mocy utrzymywało się przez cały czas. Stojąc w metrze, był wręcz odurzony radością. Rozejrzał się po wagonie i stwierdził, że gdyby tylko zechciał, mógłby odebrać życie tym wszystkim ludziom. Wszystkim niewiernym.

Upojna myśl, jednak nie taki był plan, więc jego współpasażerowie pozostali w szczęśliwej nieświadomości, co ich mogło spotkać tego ranka.

Z początku zamierzali czekać do lata. Do Midsommar. Do idealnej okazji i idealnego celu, żeby spowodować totalny chaos, jednak potem doszło do takiego rozwoju wypadków, że musieli zmienić plany. Pozostawali w kontakcie z emirem, który był zdeterminowany, żeby działać już, natychmiast, żeby przypomnieć o istnieniu kalifatu i udowodnić, że w żadnym razie nie jest osłabiony.

Miała to być akcja o symbolicznym znaczeniu.

Wybuch bomby na środku zatoki w Sztokholmie naprzeciw zamku królewskiego.

Liczba ofiar śmiertelnych nie była tak ważna jak samo przesłanie: „Patrzcie, jesteśmy wśród was i możemy robić, co nam się podoba!”.

Podchodził już do statków cumujących przy nabrzeżu.

*

Mette biegła korytarzem, co obecnie prawie jej się nie zdarzało. Zdumiony Bosse zobaczył, jak jednym pchnięciem otworzyła drzwi do pokoju, gdzie zespół A pracował intensywnie nad przypisaniem zatrzymanych do zamachu na Brovallów i zlokalizowaniem piątego podejrzanego terrorysty.

– Musimy natychmiast się skontaktować z oddziałem interwencyjnym! – krzyknęła. – Prawdopodobnie na dziesiątą jest planowany zamach na statek przy nabrzeżu Strömmen!

Co ona bredzi, pomyślał Bosse, ale był na tyle rozsądny, żeby nie kwestionować jej słów, tylko sięgnął po telefon, wybrał numer do dowódcy oddziału interwencyjnego i podał aparat Mette.

Szybko przekazała, co ustalił Abbas, czyli że o dziesiątej może dojść do zamachu.

– Dzwon do Waxholmsbolaget⁵ – powiedział dowódca oddziału interwencyjnego. – Żaden statek nie może odbić od nabrzeża!

Kapitan statku „Sjöbris” spoglądał z mostka na nabrzeże. Był fantastyczny zimowy dzień. Przed Grand Hotelem skrzył się śnieg, który napadał poprzedniego dnia, chmury na niebie zaczęły się rozchodzić i po raz pierwszy od wielu tygodni wyjrzało słońce. Gromadka ludzi czekających na wpuszczenie na pokład nie była zbyt liczna, trochę rodzin z dziećmi, które postanowiły na jeden dzień wypłynąć do swoich letnich domków, poza tym trochę turystów, którzy mieli ochotę zobaczyć Archipelag Sztokholmski albo Vaxholm w zimowej szacie.

Wkrótce zostaną wpuszczeni na pokład, gdzie będzie im cieplej.

Oczywiście pod warunkiem, że Erik, to znaczy sprzedawca biletów i facet od rzucania cum, raczy się zjawić w pracy na czas. Dzwonił, że zasnął, nie pierwszy raz mu się to

przydarzyło. Kapitan zerknął na zegarek. Pięć po wpół do dziesiątej. Spojrzał przez okno mostka kapitańskiego i zobaczył postać biegnącą nabrzeżem. Obserwował ją z lekkim uśmiechem. Erik poślizgnął się na śniegu i prawie wpadł na młodego, ciemnowłosego i grubo ubranego faceta, który zmierzał powoli w stronę statku.

W tym momencie zabręczała komórka kapitana.

Dzwoniła żona z informacją, że zostali zaproszeni na kolację do sąsiadów.

– To bardzo miło – odparł.

– Tylko nie wiem, o której dziś kończysz.

Kapitan się zorientował, że ktoś jeszcze próbuje się do niego dodzwonić, ale nie przejął się tym. Erik dobiegł do statku, pomachał mu radośnie i wskoczył na pokład. Odmachał mu.

– Powinienem być w domu około szóstej – odpowiedział żonie.

Człowiek w kamizelce dotarł na miejsce.

Niemal zderzył się z jakimś idiotą, który widocznie pracował na statku. Gdyby się przewrócili, mogłoby się źle skończyć, diabli wzięliby cały plan.

Spojrzał na czekających na nabrzeżu. Matka z wózkiem. Kilku japońskich turystów robiących sobie selfie przed statkiem z zamkiem po drugiej stronie zatoki w tle. Obejmująca się para młodych ludzi, żeby było im cieplej, i kilka rodzin. Nagle, kiedy zobaczył, kogo zabierze ze sobą, idąc na śmierć, stracił pewność siebie i poczucie mocy. Starając się odepchnąć od siebie te myśli, wyjął komórkę i wysłał esemesa do swoich towarzyszy: „Zaraz wchodzę na pokład, można zaczynać imprezę”.

Kapitan zakończył rozmowę z żoną, podczas której kilkakrotnie słyszał, że ktoś usiłuje się z nim połączyć. Erik przyszedł na mostek i przeproszał, że się spóźnił.

– Mogę już wpuszczać? – spytał.

– Tak, wpuszczaj, zimno jest.

Kapitan spojrzał na swoją komórkę. Kto się tak do niego dobija? Claes z biura? Czego on chce? Powinien dziś mieć wolne. Oddzwonił.

Człowiek w kamizelce wpatrywał się w komórkę. Dlaczego nie odpowiadają na mojego esemesa? Przecież siedzą tylko i czekają, aż zrobię swoje.

Zezłościł się. To on się poświęca, a oni nie dotrzymują umowy. Nie mieli kontaktu od wczoraj, od kiedy wyszedł od nich z kamizelką, no i w porządku, tak się umawiali, żeby nie ryzykować.

Jednak przed jego wejściem na pokład mieli się skontaktować ostatni raz.

Tak było ustalone.

Dzwonić do nich? – zastanawiał się, gdy facet, który poprzednio omal nie wpadł na niego, zaczął szykować trap.

Postanowił, że najpierw wejdzie na statek.

Kapitan dodzwonił się do Claesa, a ten od razu zaczął prawie krzyczeć do niego, żeby pod żadnym pozorem nie odbijał od brzegu ani nie wpuszczał na pokład pasażerów! Chyba że już to zrobił. Kapitan zaczął walić pięścią w szybę i gestykulować, by dać znać Erikowi, żeby nie otwierał bramki prowadzącej na trap. Erik odmachał mu wesoło, nie rozumiejąc, o co chodzi. Kapitan chwycił za megafon.

– Proszę państwa, rejs został niestety odwołany z powodu awarii maszynowni!

Erik spojrzał ze zdziwieniem na kapitana. Ludzie na nabrzeżu patrzyli po sobie, a japońscy turyści, którzy nic nie zrozumieli, pytali kobietę z wózkiem, co powiedział kapitan.

Grubo ubrany młody człowiek rozejrzał się niespokojnie i przyłożył telefon do ucha. Od strony Kungsträdgården pędziła na nabrzeże kolumna czarnych pojazdów. Mężczyzna schował telefon, po czym wsunął rękę pod kurtkę, chwytając niebieską linkę detonatora.

Co się dzieje? Co powinienem teraz zrobić?

Ruszył biegiem w stronę Grand Hotelu w chwili, gdy czarne auta wjechały z łoskotem na nabrzeże. Wpadł do westybulu i obejrzawszy się za siebie, zobaczył, jak z hamujących samochodów wyskakują w biegu mężczyźni z bronią w ręku. Podbiegł do otwartej windy i wskoczył do środka – drzwi od razu się zamknęły, kabina ruszyła do góry na czyjeś wezwanie. Spojrzał na swoją spoconą i wystraszoną twarz w lustrze. Co robić? Przecież się nie wysadzę w windzie.

Dźwig zatrzymał się na trzecim piętrze, drzwi się rozsunęły, wsiadła elegancko ubrana kobieta w średnim wieku. Skinęła mu uprzejmie i zapytała:

– Jedzie pan na dół?

Nie odpowiedział, więc wcisnęła guzik parteru. Widział w lustrze, że zerka na niego, na jego grubą kurtkę.

– Mieszka pan w tym hotelu? – spytała.

Pokręcił głową i znów wsunął rękę pod kurtkę.

Gdy kabina dotarła na parter, szybko chwycił kobietę od tyłu za szyję i popchnął w kierunku otwierających się drzwi. Krzyknęła przeraźliwie. Przed windą kręciło się kilku policjantów z wyciągniętą bronią. Wrzasnął:

– Wysadzę ją w powietrze, jeśli mnie dotkniecie!

Wysiadł, przyciskając kobietę mocno do siebie. Policjanci cofnęli się, kilku stojących nieco dalej kontaktowało się z dowództwem znajdującym się na zewnątrz. Używając kobiety jako tarczy, popychał ją przed sobą do wyjścia, była teraz za bardzo przerażona, by krzyżeć. Dotarł do drzwi i wyszedł na chodnik. Wszędzie było pełno czarnych samochodów i policjantów.

– Żądam taksówki! – krzyknął, przyciskając się plecami do wielkich okien hotelu i jednocześnie trzymając mocno kobietę.

Funkcjonariusze czekali na odpowiedni moment. Nie odważą się strzelać, dopóki trzyma kobietę przed sobą.

Nagle dostrzegł rząd stojących nieopodal taksówek i ruszył w tamtą stronę. Wsiadę, pomyślał, ją wypuszczę, a kierowcy każę jechać, grożąc, że wysadzę auto w powietrze!

Jednak los zainterweniował w sposób, jakiego mężczyzna nigdy nie potrafiłby sobie wyobrazić.

Kiedy dotarł do postoju, zza jednej taksówki wyszedł kierowca w starszym wieku i złapał go za kurtkę, krzycząc:

– Ali!

Ali gapił się na wujka, z którym nie widział się, odkąd zerwał z rodziną.

– Co ty robisz? Co tu się dzieje? – zapytał wujek.

– Puszczaj! Nic nie rozumiesz! Wszystko zepsujesz! – krzyknął Ali.

Ale wujek nie puszczał właśnie dlatego, że rozumiał. Domyślił się, co Ali ma pod kurtką, i postanowił nie dopuścić do czegoś, co mogło być niezgodne z wolą Allaha.

A to nie było.

Trzymał więc mocno siostrzeńca, narażając własne życie. Kobieta w tym momencie wyrwała się i uciekła.

Parę sekund później byli już przy nich policjanci.

W pokoju dowództwa komendy policji Mette, Lisa i Olivia stały w grupie funkcjonariuszy, których na bieżąco informował obecny na nabrzeżu w centrum Bosse. W pomieszczeniu woń potu wywołanego przyplływem adrenaliny mieszała się z zapachem kawy.

Na nabrzeżu policja odgrodziła teren taśmą. Dzięki bohaterskiemu kierowcy taksówki zdjęto terroryście kamizelkę z ładunkiem wybuchowym i położono ją na ziemi, żeby zajęli się nią

pirotechnicy, kiedy już dojadą z mieszkania w Vårby. Panowała atmosfera nerwowego oczekiwania; po chwili, która wydawała się wiecznością, z przestawionego na tryb głośnomówiący telefonu dobiegł głos Bossego.

– Przyjechali. Ekipa pirotechniczna jest na miejscu. Odezwe się, jak tylko będę coś wiedział, ale nie rozłączam się.

Mette oddychała głęboko, zrobiło jej się trochę niedobrze. Sporo wysiłku ją kosztowało, żeby nie pobiec do toalety. Wpatrywała się w telefon, jakby myślała, że potrafi go zahipnotyzować i skłonić do podania pozytywnej informacji, ale dochodziły z niego tylko jakieś szuranie i rozmowy z pewnej odległości. Bosse widocznie włożył komórkę do kieszeni. Mijały minuty. Ktoś w pokoju zakaszłał. Ktoś inny zebrał się na odwagę i spróbował wycisnąć ostatnie krople kawy z termosu na pompkę, co tylko wydobyło syk z urządzenia i wywołało karcące spojrzenia zirytowanych kolegów. Olivia siedziała w fotelu biurowym Bossego i kręciła się to w lewo, to w prawo. Nagle zobaczyła Abbasa, który pojawił się w drzwiach. Kiwnęła mu głową, uśmiechając się lekko. Odkiwnął jej. Mette przestała hipnotyzować telefon, chciało jej się pić. Lisa spojrzała na nią, zorientowała się, czego potrzebuje, i szybko przyniosła jej butelkę wody.

– Dziękuję – szepnęła Mette.

Zacząła się niecierpliwić, nie mogła znieść, że nie kontroluje sytuacji na miejscu.

– Co się dzieje? – spytała w końcu przez telefon Bossego.

Brak odpowiedzi.

– Bosse, co się dzieje? Opanowali sytuację?

W telefonie zatrzeszczało.

– Odpowiedź: tak. Ocenili ryzyko, właśnie mają uruchomić robota, potem odwiozą obiekt do Rosersberg, gdzie go zdetonują.

Mette odetchnęła. Jeśli pirotechnicy mówią, że panują nad sytuacją, to znaczy, że tak jest.

– Okej – powiedziała. – Możesz nas podłączyć, żebyśmy widzieli, co się dzieje?

Bosse uznał, że może.

W absolutnym milczeniu obserwowali na ekranie, jak robot zbliża się do kamizelki z ładunkiem wybuchowym, podnosi ją i transportuje na skrzyniową przyczepę.

Wszyscy odetchnęli, gdy samochód z bombą powoli odjechał. Miejsce zostało zabezpieczone, a niedoszły zamachowiec był w drodze do izby zatrzymań. Olivia zobaczyła kątem oka, że Abbas zniknął, wyszedł na korytarz. Pomknęła za nim.

– Abbas!

Już skręcał za róg. Słyszając jej wołanie, zatrzymał się i cofnął. Olivia podeszła i go uściskała.

– Jesteś bohaterem dnia i się wymykasz?

Abbas uśmiechnął się swymi brązowymi oczami.

– Jesteście zajęci, a ja mam sprawy do załatwienia. Ale cieszę się, bo mam wrażenie, jakbyśmy się bardzo dawno nie widzieli. Dobrze się czujesz? Ostatnim razem wydawało mi się, że trochę kiepsko.

Prosto z mostu. Trafnie. Cały Abbas. Czujny, nic mu nie umknie.

– Rzeczywiście, ale już jest dobrze. Taki niewielki spadek formy.

Zaśmiała się, podkreślając, że wszystko w porządku, chociaż świetnie wiedziała, że Abbas nie da się nabrać.

– A co u ciebie? – ciągnęła.

– Brakuje mi wieczorów, podczas których graliśmy z Tomem w tryktraka, poza tym wszystko w porządku.

– Ale ja jestem w tym świetna! Tryktrak?

Abbas zaśmiał się krótko, oczy mu się zaświeciły.

– No jasne, dlaczego o tym nie pomyślałem?

– Olivia! – zawołała Lisa, stając w drzwiach pokoju dowództwa.

Olivia odwróciła się do niej.

– Mette chce z nami porozmawiać, niedługo ma konferencję prasową.

– Idę – odpowiedziała Olivia.

Abbas położył rękę na jej ramieniu.

– Zmywam się, przekaz Mette, że się odezwę. I zadzwoń, jak będziesz chciała, żebym ci spuścił lanie w tryktraka.

Olivia się uśmiechnęła.

– Dobra, to znaczy zadzwonię, a tego o laniu nie słyszałam.

Uściskała go i patrzyła za nim, jak odchodzi korytarzem i znika za rogiem. Powinnam zadbać o moje przyjaźnie, zamiast się nurzać w samotności, pomyślała.

*

W sali przebywało mnóstwo dziennikarzy, którzy przyszli na konferencję prasową. Mette Olsäter siedziała na podeście. Udało się zapobiec zamachowi terrorystycznemu, więc wszyscy byli bardzo zadowoleni. Współpraca Säpo i policji okazała się wręcz wzorowa, co do tego panowała zgoda. Obecnie trwały próby ustalenia związku między dzisiejszą próbą zamachu a bombą podłożoną pod auto Brovallów – zakomunikowano, że może to jeszcze potrwać.

– Czyli nie macie pewności, że to ci sami sprawcy? – spytał jeden z reporterów.

– Nie mamy – potwierdziła Mette. – Istnieje jednak duże prawdopodobieństwo, ale pewność zyskamy dopiero wtedy, gdy uda się ich powiązać z miejscem przestępstwa w Täby. Przesłuchania zatrzymanych rozpoczną się dziś po południu, miejmy nadzieję, że uda się uzyskać odpowiedzi na niektóre pytania. Czekamy również na informację od pirotechników, czy bomba, którą miał na sobie terrorysta, jest tego samego typu co ładunek wybuchowy użyty w samochodzie Brovallów. I czy można ją powiązać ze znaleziskami w mieszkaniu, które specgrupa szturmowała dziś rano w Vårby.

I tym na razie musiały się zadowolić media.

*

Pokój odpraw był pełen już przed piętnastą. Panował nastrój odprężenia. Ktoś zamówił kilka tortów, nawet nie pytając Mette, która stała oparta o ścianę i z wielką serdecznością patrzyła na swoich współpracowników – ciężko pracowali przez przeszło tydzień, który upłynął od eksplozji samochodu. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, komu ostatecznie zawdzięczali to, że udało się zapobiec dzisiejszemu zamachowi. Gdyby Abbas el Fassi nie zjawił się tak szybko i nie miał odpowiednich umiejętności językowych, na zatoce w samym centrum Sztokholmu wyleciałby w powietrze spory statek. Wraz z pasażerami.

Chrząknęła kilka razy, wszyscy spojrzeli w jej kierunku. Gdy zapadła cisza, powiedziała:

– Udało nam się dzisiaj zapobiec czemuś, co mogłoby wywołać jeszcze jedną narodową traumę, powinniśmy być z tego dumni. Wszyscy.

Olivia i Lisa spojrzały po sobie pytająco, bo raczej nie uczestniczyły w zapobieganiu jakiejś traumie.

– Ale pozostała jeszcze tragedia, którą musimy się zająć – ciągnęła Mette.

Zatoczyła ręką w stronę ściany ze zdjęciami z miejsca przestępstwa w Täby.

– Sprawa potwornego zamachu na rodzinę Brovallów musi zostać rozwiązana i jest to nasze zadanie. Terrorysty siedzą i zostaną jak najszybciej przesłuchani. Mam nadzieję, że uda się

powiązać ich z bombą w samochodzie, chociaż na razie nic na ten temat nie wiadomo. Zjedzcie sobie te torty, a potem wracamy do roboty.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Magnus Larsson.

– Dobrze, że jesteś – skomentowała Mette. – Właśnie była mowa o bombie w samochodzie. Masz coś nowego?

Słowa Magnusa ostudziły nastrój. Zrelacjonował ustalenia ekipy, która przeszukała mieszkanie terrorystów.

– Bomba wyprodukowana w tym mieszkaniu nie jest tego samego rodzaju co ta podłożona pod auto Brovallów. Nie wyklucza to jednak związku zatrzymanych terrorystów z wysadzeniem samochodu, przecież mogli przygotować ładunek gdzie indziej.

Olivia zerknęła na Lisę, która wyraźnie unikała patrzenia na Magnusa. Coś się dzieje między nimi?, zastanawiała się. A może sobie coś wmawiam?

*

Pochodząca z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku wielka czerwona willa w Kummelnäs była częściowo zaśnieżona i ciemna. Świeciło się tylko w jednym oknie na piętrze, tam gdzie znajdowała się duża sypialnia z białymi szafami i bezpośrednim wejściem do łazienki. Było już po północy, gdy oboje w końcu wyszli z łazienki, kierując się do szerokiego podwójnego łóżka.

Mette uczciła sukces, ale również popracowała, a wracając do domu, zadzwoniła do męża z prośbą o napełnienie dla niej wanny letnią wodą.

Nie lubiła gorącej kąpieli.

Gdy w końcu zanurzyła się w wannie, mając kieliszek czerwonego wina w zasięgu ręki i nieco dalej męża siedzącego na zamkniętym sedesie, mogła się wreszcie odprężyć. Sprawa bomby w samochodzie pozostawała wciąż nierozwiązana, chociaż nadzieja na uporanie się z nią znacznie wzrosła po dzisiejszych działaniach. Zastanawiała jednak liczba zamachów. Dwa, jeden po drugim, ale bez oczywistego powiązania. To się już zdarzało, w wielu miejscach, również w Europie, jednak było niepokojące.

– Wciąż masz w głowie robotę? – odezwał się Mårten, trzymając swój kieliszek w ręku.

– Wcale nie! Myślałam o... – Jakoś nie wpadła na to, o czym mogłaby rozmyślać, więc ta pauza tylko potwierdziła podejrzenie Mårtena.

– Widziałem cię w telewizji – powiedział.

– Dobrze wypadłam?

– Wyraziście. Jak zwykle.

– Czy to komplement?

– Stwierdzenie faktu. Zrobiłaś, co do ciebie należało.

Podciągnęła się, opierając o brzeg wanny, i spojrzała na niego.

– Fajnie mieć męża, który naprawdę docenia własną żonę.

– Doceniam cię i wiesz o tym; doceniam cię od chwili, kiedy mnie aresztowałaś.

– Zatrzymałam, kochanie, w Szwecji się nie aresztuje, naoglądałeś się angielskich kryminalistów.

W latach swej radykalnej młodości Mårten wziął udział w nielegalnej demonstracji w Kungsträdgården, gdzie został dość niedelikatnie potraktowany przez młodą policjantkę.

Taki był początek ich historii miłosnej.

Teraz policjantka leżała naga w wannie, a demonstrant uśmiechał się, siedząc parę metrów od niej na zamkniętym sedesie.

Mette znów się zanurzyła w wodzie.

– Uważam, że powinniśmy zaprosić Magnusa i Elinor – odezwała się. – Okazał się prawdziwą opoką.

– Bardzo chętnie. Niedługo będziemy mieli trochę więcej czasu na takie kolacje.

Mårten nawiązał delikatnie do jej rychłej emerytury, na którą bardzo czekał. W przeciwieństwie do Mette. Dlatego niezwykle ostrożnie dobierał słowa. Gdyby trafił na jej zły nastrój, riposta byłaby błyskawiczna.

Kąpiel wywołała, jak to najczęściej bywa, pewną ospałość i łagodność reakcji, więc Mette stwierdziła tylko:

– Tak, miło będzie.

– A skoro już o tym mowa! – Mårten się zorientował, że powstała szczelina. Dostrzegł w leżącej w wannie pani komisarz skłonność do ustępstw i postanowił dalej drażnić. – Spójrz na to! – powiedział, wyjmując coś spod tyłka.

– Co to takiego?

Mąż podał jej kolorowy folder.

– Niesamowicie ciekawy prospekt Temaresor⁶, tygodniowa wycieczka do południowej Anglii, w programie są między innymi wizyta w domu należącym kiedyś do Grupy Bloomsbury i zwiedzanie ogrodów. Fantastycznych ogrodów! Fantastycznych domów! Prawda, jakie to pasjonujące?

Mette chwyciła wiszący obok ręcznik i zaczęła wycierać ręce, robiła to bardzo starannie. Chodziło nie tyle o prospekt, ile o czas. Mieli zupełnie odmienny pogląd na to, co „pasjonujące”. Dla Mårtena byłoby tym zwiedzanie ogrodów, dla niej zupełnie inne i bardziej skomplikowane rzeczy.

Skończyła wycierać ręce, wzięła folder i przejrzała go w parę chwil. Wyczuła oczekiwanie męża, nie musiała patrzeć na jego twarz.

Że też nie może się tego nauczyć, pomyślała, jesteście razem od stu lat, a on wciąż myśli, że coś takiego może wywołać mój zapach.

Jednak te sto lat nauczyło ją również, jak odpowiadać na rozbuchane i naiwne nadzieje.

– Świetny pomysł, takie zwiedzanie ogrodów – odparła. – Może wrócimy do tego, kiedy już się wszystko uspokoi?

Oddała folder Mårtenowi, który zrozumiał, że na razie więcej nie uzyska. Starannie wybrał moment. Można powiedzieć, że zasiał ziarno, teraz musiał tylko je podlewać i odpowiednio o nie dbać.

– Przecież *Morderstwa w Midsomer* zawsze ci się podobały – powiedział.

– Tak, rzeczywiście – zauważyła dość kwaśno, zanurzając się w wodzie razem z głową.

Bardzo skuteczny sposób na zakończenie rozmowy.

Położyli się do łóżka, każde od swojej strony. Mette sięgnęła do wyłącznika lampy. Wiedząc, że zostało tylko parę minut do czasu, aż Mårten zacznie chrapać, przytrzymała go jeszcze chwilę.

– Olivia wydaje się jakaś osowiała.

– Tak? To przykre. Może brakuje jej Toma?

– Brakuje jej faceta na życie, i nie jest to Tom.

– Nie, no jasne, ale znajdzie takiego, jakiego potrzebuje, tylko trochę to potrwa, musi najpierw dojść do ładu ze swoim bagażem i zrobić następny krok.

– Łatwo powiedzieć.

– Ale to prawda. Pewnego dnia spotka takiego, który pokona jej wał obronny i będzie po sprawie.

– Albo będzie jak z Abbasem. Nie potrafił zapomnieć o tej dziewczynie z Marsylii.

– A ja myślę, że zapomniał. I też trafi na odpowiednią dziewczynę, prędzej czy później.
Mette wciąż trzymała palec na wyłączniku lampy, sama nie wiedziała dlaczego, chyba się zamyśliła.

– Kiedyś myślałam, że mogliby się spiknąć – powiedziała. – Abbas z Olivia.

– „Spiknąć się”... W telewizji się tak nie wyrażałaś.

– Wydaje mi się, że Olivia miała kiedyś słabość do Abbasa.

– Wszyscy mieliśmy. I mamy. Ale wiesz co? – powiedział Mårten.

– No?

– Może byśmy ją zaprosili na to zwiedzanie ogrodów? To by poprawiło jej humor!

W tym momencie Mette zgasła lampę, sprowadzając ciemność.

Olivia wyszła z bramy, tym razem prosto w breję pośniegową, bo mróz zelżał nieco i piękna biała szata zamieniła się w ponure błocko. Dla niej była to zmiana na lepsze. W mieszkaniu zrobiło się trochę cieplej i dni wydawały się dłuższe, choć wciąż pozostawały szare. Pojawiła się nadzieja, że i w tym roku przyjdzie wiosna.

W całkiem niezłym nastroju i z muzyką w uszach skierowała się w stronę przystanku autobusowego na Långholmsgatan. Na wysokości Borgargatan poczuła na swoim ramieniu czyjąś rękę. Drgnęła i się zatrzymała.

– Cześć, Olivia!

Odwróciła się i zobaczyła Jamiego z jakąś ciemnowłosą atrakcyjną dziewczyną. Olivia wyciągnęła słuchawki z uszu i uśmiechnęła się, trochę zaskoczona. Nie spodziewała się, że natknie się na niego tutaj, zwłaszcza w towarzystwie nowej pięknej dziewczyny. Nie wiedziała, czy w tej sytuacji odpowiedni będzie uścisk, więc go sobie darowała.

– Cześć – odparła.

– Przedstawiam ci Amandę. Pracujemy razem.

I chyba nie tylko to robicie razem, pomyślała Olivia, chwytając rękę Amandy z nieco przesadnym uśmiechem i bąkając „miło poznać”.

– Dawno się nie widzieliśmy – odezwał się Jamie. – Nie odpowiedziałas, kiedy do ciebie ostatnio esemesowałem.

– Naprawdę?

– Nawet się trochę obraziłem.

– Przykro mi, zupełnie mi umknął ten esemes. W pracy było ostatnio dość nerwowo, więc wybacz. A czego chciałeś?

– Siedziałem akurat w knajpie na Högalidsgatan, gdzie serwują tapas, i chciałem ci zaproponować wspólne piwo.

– Chętnie bym przyszła – odparła.

– Innym razem. Chcę się tylko pochwalić, że podpisałem kontrakt z firmą płytową i będę produkował własną muzykę.

– Ale fajnie, gratuluję, Jamie!

Teraz go uściskała, Amanda – dziewczyna, nie dziewczyna – niech sobie myśli, co chce.

– Dzięki – powiedział Jamie. – Idziesz gdzieś czy poszłabyś na kawę?

– Muszę iść do pracy, już jestem spóźniona, ale fajnie było się spotkać z...

Chwilę się zaważała przed słowem „wami”.

Zapewnili się nawzajem, że się do siebie odezwą, i się rozstali. Amanda i Jamie skręcili w stronę Hornstull. Olivia popatrzyła za nimi, by po chwili pójść dalej przed siebie. Jamie, przystojny, uroczy Jamie z dreadami, spokojnym luzackim sposobem bycia i wyraźnym dołkiem w brodzie. Mogli być parą spacerującą z wózkiem, w którym leżałoby najcudowniejsze dziecko na świecie.

Ale tak się nie stało.

Może tak miało być, bo przecież od początku nie chodziło o dziecko.

Ścisnęło ją w środku, oczy zaszyły jej łzami. Co pewien czas, ale z coraz większymi przerwami, wracało do niej poczucie straty. Włożyła ponownie słuchawki i pogłośniła muzykę, żeby nie myśleć.

Wysiadając z pięćdziesiątkiczwórki przy ratuszu, niemal wpadła w ramiona Magnusa Larssona, który chyba też szedł na poranną odprawę. Nie do końca jej to pasowało, nie miała

ochoty prowadzić rozmowy o niczym w drodze do komendy, bo wciąż była trochę wytrącona z równowagi spotkaniem z Jamiem. Więc patrzyła w bok, starając się sprawiać wrażenie całkowicie pochłoniętej światem w słuchawkach.

Nie pomogło.

– O, cześć! Olivia, prawda?

– Tak.

Zostawiła słuchawki na uszach, zaznaczając w ten sposób, że nie jest gotowa do rozmowy. Też nie pomogło.

– Nie przywitaliśmy się porządnie.

Wyciągnął do niej rękę i wtedy musiała skapitulować, nie chcąc być nieuprzejma. Wyjęła słuchawki z uszu i podała mu dłoń.

– Kiedy widziałem cię ostatnio, byłaś taka malutka – powiedział.

Zaśmiał się i pokazał ręką, że Olivia miała wtedy około metra wzrostu; nie pamiętała tej sytuacji.

– Pracowałem czasem z twoim tatą – powiedział. – Ogromnie go lubiłem i wielka szkoda, że odszedł tak wcześnie.

Poklepał ją współczująco po ramieniu. Podchodzili już do wejścia do budynku.

– Jak mama? – spytał.

A kto to wie, pomyślała.

– W porządku, jest teraz na Majorce – odparła.

Z nowym facetem, a w perspektywie z nowym mężem.

– Pozdrów ją serdecznie ode mnie i mojej żony Elinor. Spotykaliśmy się kiedyś rodzinnie. Mamy syna, Johannes, który jest twoim rówieśnikiem. Świetnie się razem bawiliście.

Przez pamięć Olivii przemknął obraz śmiejącego się chłopca o zupełnie białych włosach, który rzucał piłką tenisową, i goniącego za nią małego białego pieska.

– Chyba rzeczywiście pamiętam – powiedziała. – Mielicie psa?

– Tak, maltańczyka. Lajkę. Długo była u nas. Byli nierozłączni z Johannesem.

Magnus otworzył drzwi przed Olivią przesadnie rycerskim gestem.

– Damy przodem, chociaż dziś pewnie nie powinno się tak mówić – powiedział, puszczając oko.

Olivia postanowiła zignorować tę uwagę.

– Jestem ze starej szkoły, więc proszę o wyrozumiałość – ciągnął.

Olivia uśmiechnęła się, okazując, że w tej sprawie jest wyrozumiała dla starej szkoły. W tym momencie nie miała siły być młodą gniewną, podkreślającą, że właśnie takie sformułowania świadczą o przynależności do patriarchy i niechęci, żeby się zmienić, zresztą chyba każdy, niezależnie od płci, lubi, jak mu przytrzymują drzwi.

– A co dziś porabia Johannes? – spytała, chcąc wrócić do mniej drażliwych tematów.

Uśmiech Magnusa zastygł, a potem przeszedł w lekki grymas, w spojrzeniu pojawił się jakiś nieuchwytny smutek. Widocznie weszła na minę.

– Niewiele, niestety – odparł Magnus. – Kilka lat temu miał wypadek motocyklowy i właśnie znów się uczy chodzić.

– Ojej, przykro mi. Nie wiedziałam...

– Skąd miałabyś wiedzieć?

Mówiąc to, miał udreżony wyraz twarzy, na chwilę zapadł się w sobie. Olivia nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, więc udała, że grzebie w torebce, szukając przepustki, chociaż doskonale pamiętała, gdzie jest. Magnus trzymał swoją w ręce i pierwszy przeszedł przez bramkę. Zatrzymał się, widząc, że nie idzie za nim.

– Nie masz przepustki? – spytał.

– Ależ mam.

Wyjęła ją i też przeszła.

– Przepraszam cię, ale zawsze się trochę zawieszam, kiedy ktoś pyta o Johannes – odezwał się, gdy znów znalazła się obok niego. – Smutek to trudna rzecz. Spada na człowieka nagle, jak drgawki, którym nie można zapobiec. Ale na pewno to znasz, śmierć Arnego musiała być dla was ciężkim przeżyciem.

Przytaknęła. Zdziwiła się, że mówi tak otwarcie o swoich emocjach, nie wydawał się takim człowiekiem. Za szybko przychodzi mi ocenianie ludzi, pomyślała.

– Z początku nie wiedzieliśmy, czy w ogóle przeżyje – mówił dalej. – Potem, czy nie będzie rośliną do końca życia. Czy jego mózg będzie funkcjonował tak jak kiedyś. Patrzanie na cierpienie własnego dziecka... Nikomu tego nie życzę.

Przed oczami znów stanął jej obraz roześmianego chłopca. Życie zmienia się tak szybko. Jedni mają szczęście, drudzy pecha. Doszli właśnie do korytarza NOA i tym razem Olivia przytrzymała drzwi Magnusowi. Spojrzał na nią i przygnębienie na jego twarzy zastąpił uśmiech.

– Bystra jesteś!

– Jestem z nowej szkoły – odparła, uśmiechając się.

Zaśmiał się głośno na te słowa.

– Znów się okazałeś bystra! Miło się z tobą rozmawiało, fajnie, że poszłaś w ślady swojego taty. Był naprawdę dobrym policjantem i pod każdym względem dobrym człowiekiem.

Magnus poklepał ją po ramieniu, gdy przystanęli przed pokojem odpraw. Kątem oka Olivia zobaczyła Lisę, która wyjrzała z ich wspólnego pokoju. Pomachała jej. Lisa odpowiedziała szybkim machnięciem i wróciła do pomieszczenia.

– Tak, miło było – odpowiedziała Olivia. – Zaraz się zobaczymy, ale przed odprawą muszę jeszcze zajść do siebie.

– Nie zapomnij przekazać pozdrowień swojej pięknej mamie.

– Nie zapomnę – odparła, idąc do pokoju.

W środku zastała Lisę przeglądającą papiery.

– Cześć – powiedziała Olivia. – Jak tam?

– W porządku.

– Szłam od autobusu z Magnusem Larssonem.

– Tak, widziałam – odpowiedziała Lisa, skupiona wciąż na tekście, który miała przed sobą.

– On jest całkiem sympatyczny – ciągnęła Olivia. – Z początku wydawał mi się trochę nadęty, no wiesz, i gaduła, a wobec Mette jakiś taki nadskakujący, ale okazał się bardzo otwarty. Wychodzi na to, że w dzieciństwie bawiłam się z jego synem, nawet go pamiętam. A teraz się dowiedziałam, że miał okropny wypadek na motocyklu, wielka szkoda.

Boże, ale się rozgadałam. Czyżby tylko po to, żeby wywołać jakąś reakcję u Lisy? Nie było żadnej. Nawet nie mrugnęła okiem, nie mówiąc o podniesieniu wzroku. Olivia dała spokój, zdjęła kurtkę i powiesiła ją nad okryciem Lisy na odpadającym od ściany wieszaku.

– Musimy coś z tym zrobić – powiedziała, wskazując hak.

– Co za skurwiol – odezwała się cicho Lisa.

– Kto?

– Sebastian Landback.

– Chłopak Idy?

– Tak, dostałam właśnie ich konwersację esemesową od zespołu D.

– I co?

– Posłuchaj tylko, co on pisze: „Ty dziwko, widziałem, jak siedziałaś mu na kolanach”. Ona mu na to: „Sebbe, przecież to było ze dwie sekundy, przyciągnął mnie na kolana!”. On dalej: „Widać nie bez powodu, skoro tak się zachowujesz. Jeśli masz być ze mną, to możesz siedzieć tylko na moich kolanach, ty pizdo. OK?”. Ona na to „OK” i serduszko. „Dobrze, bo jesteś moja, pamiętaj o tym”. Dalej jest tylko gorzej.

Głos Lisy drżał, nie dało się nie zauważyć jej wzburzenia.

– I jeszcze publikuje jej nagie zdjęcie na Instagramie, żeby ją ukarać. Ida, zrozpaczona, pisze, że kocha tylko jego, że to się nigdy nie powtórzy. On usuwa zdjęcie, ale grozi, że jeszcze raz, a będzie jeszcze gorsze zdjęcie, „wiesz, co mam na myśli”.

Lisa opuściła trzymaną kartkę i spojrzała na Olivię pierwszy raz od chwili, gdy ta weszła do pokoju. Poczerwieniała na szyi, rumieniec ogarniał już twarz i policzki. Lisę naprawdę to wzburzyło, co zaskoczyło Olivię. Wprawdzie te esemesy były wyzywające i bulwersujące, jednak dla policjantów stanowiły niestety chleb powszedni.

– Poza tym wydaje się, że był z nią na FaceTimie dokładnie w momencie wybuchu w samochodzie – powiedziała Lisa. – Godzina się zgadza.

Olivia drgnęła. Nie mieli pojęcia, że ktoś oglądał to w realu. Dlaczego nie wiedzieli o tym wcześniej? Dlaczego, jeśli tak było, Sebastian sam się do nich nie odezwał?

– Musimy z nim porozmawiać – stwierdziła. – Gdzie on mieszka? Wiemy coś na ten temat?

– Tak, też mieszka w Täby. Sprawdzę w naszych rejestrach, czy na niego coś jest.

Lisa zerknęła na zegarek.

– Ale dopiero po odprawie.

Mette i Bosse byli w gabinecie Mette. Do odprawy zostało pięć minut. Bosse zwrócił uwagę, że Mette uderza dłońmi o kolana.

– Stresujesz się? – spytał.

– Tak.

– Dlaczego?

Bosse, podobnie jak Lisa, pracował z Mette od wielu lat, czyli na długo przed dołączeniem Olivii. Był też na tyle blisko z Mette, że mógł sobie pozwolić na osobiste pytanie. Takie, jakie zadał w tej chwili.

– Mam wrażenie, że coś tu nie pasuje – odpowiedziała Mette.

– Chodzi o terrorystów? I Brovallów?

– Tak.

– Też tak czuję.

Zapadła cisza.

Całe dochodzenie zostało skoncentrowane na znalezieniu związku między bombą w samochodzie a terrorystami. To był cel wszystkich w ekipie. Tymczasem dwoje najważniejszych uczestników dochodzenia miało to samo poczucie, że coś się nie zgadza.

– Czy Państwo Islamskie nie przyznałoby się do tego zamachu, gdyby terroryści mieli z nim coś wspólnego? – zapytał Bosse.

– Chyba tak.

– Ale do zamachu Akiłowa⁷ się nie przyznało.

– Rzeczywiście, jednak to było co innego – zauważyła Mette.

– Fakt.

– Zostaje to między nami. – Spojrzała na Bossego, jakby chciała się upewnić, że potraktuje to poważnie.

Bosse przytaknął, a potem oboje wstali i wyszli.

Kiedy Olivia z Lisą przyszły na odprawę, Mette stała razem z Bossem i Magnusem Larssonem. Sprawiali wrażenie, jakby coś ich rozśmieszyło. Magnus poklepał Mette po ramieniu, jednocześnie mówiąc coś, a ona się zaśmiała. Olivia zerknęła na Lisę, która też odnotowała tę sytuację, a zaraz potem spuściła wzrok i usiadła na krześle pod ścianą. Bosse kiwnął głową Olivii na „cześć” i poszukał spojrzenia Lisy, ale ta skupiła się na wertowaniu swoich papierów. Olivia zauważyła, że również Magnus rzucił okiem na Lisę, z aprobatą, jak jej się wydawało. Zastanawiała się, czy między nim a Lisą toczy się jakaś gra.

Wzięła krzesło i usiadła obok Lisy pod ścianą. Lisa podniosła wzrok i się uśmiechnęła. Gdy wszyscy już przyszli, Mette zaczęła odprawę.

– Sytuacja przedstawia się następująco – odezwała się. – Dostaliśmy odpowiedź z NFC w sprawie rękawiczki z podjazdu do garażu Brovallów. Nie należała do Kaja Brovalla ani do żadnej z pozostałych osób w tej rodzinie. Porównaliśmy również DNA w rękawiczce z DNA zatrzymanych i niestety nie stwierdziliśmy zgodności.

Rozległy się szepty wyrażające rozczarowanie. Wszyscy liczyli, że szybko uda się powiązać terrorystów z zamachem na Brovallów.

– To oznacza, że przy samochodzie musiała się znaleźć jakaś nieznana osoba – stwierdziła Mette.

Lissa szturchnęła lekko Olivię i podsunęła kartkę z napisem „Sebastian?”. Olivia kiwnęła głową, szepcząc „może”. Mette ciągnęła:

– Jak idzie zespołowi A?

Skinęła głową Bossemu, który zanim zaczął mówić, przez chwilę przytrzymał jej spojrzenie.

– Cóż, na razie zatrzymani wszystkiemu zaprzeczają, ale mamy dostatecznie dużo dowodów, żeby ich powiązać z udaremnionym zamachem i przygotowaniem do zbrodni terrorystycznej. Oprócz tego, o czym już mówiliśmy, w ich mieszkaniu znaleźliśmy jeszcze azotan potasu, kwas siarkowy i inne chemikalia, noże, plany różnych znanych budynków w Sztokholmie, między innymi zamku królewskiego, jak również wycinki z gazet o finansowaniu działalności terrorystycznej. W tekście jednego z tych ostatnich pojawiło się nazwisko Malin Brovall. Może to wskazywać, że wiedzieli, kim była i czym się zajmowała. A więc nadal nad tym pracujemy, prowadzimy intensywne przesłuchania i zobaczymy, czy uda się ich złamać.

– Plany zamku? – odezwała się głośno Olivia. – Chcecie powiedzieć, że przygotowywali zamach na zamek królewski?

– Owszem, wydaje się, że był to jeden z potencjalnych celów.

Obecni w pokoju uprzytomnili sobie po raz kolejny, czemu zapobiegli poprzez interwencję w Vårby, a potem na nabrzeżu Strömmen.

– Nie wychodzimy z tym do mediów, dopóki nie będzie pewności, że to prawda – podsumowała Mette. – Dziękuję, Bosse. Magnus?

Magnus wstał.

– Ustaliliśmy, że bomba, którą miał na sobie zatrzymany sprawca, została wykonana w mieszkaniu w Vårby.

Następnie przeszedł do objaśniania szczegółów konstrukcji ładunku wybuchowego, posiłkując się zdjęciami na dużym ekranie, aby zilustrować działania swojej ekipy. Było to nieco skomplikowane i – przynajmniej dla Olivii – raczej nieciekawe, ale udawała, że słucha uważnie, kiedy Magnus zatrzymywał spojrzenie na niej. Skończywszy, podziękował i skierował do obecnych członków ekipy dochodzeniowej kilka słów zachęty.

– To my dziękujemy – powiedziała Mette. – Za kawał świetnej roboty. Na pewno jeszcze

do tego wrócimy. Ktoś jeszcze ma nowe informacje?

Olivia spojrzała na Lisę i zdała sobie sprawę, że koleżanka nie zamierza nic powiedzieć, chociaż sama wpadła na trop. Siedziała jakby nieobecna, rysując dziwne figurki na swoich papierach. W tym momencie Olivia zupełnie jej nie rozumiała. Lisa, zawsze taka aktywna na zebraniach, w pokoju odpraw przeszła w tryb leniwca.

– Chciałybyśmy się przyjrzeć Sebastianowi Landbackowi, chłopakowi Idy – odezwała się Olivia. – Okazuje się, że wysyłał Idzie esemesy, w których jej mniej lub bardziej bezpośrednio groził. Na dodatek wiemy, że był z nią na FaceTimie akurat w momencie zamachu, co znaczy, że mógł widzieć rzeczy, o których w tej chwili nie mamy pojęcia.

– Dobrze. Natychmiast się tym zajmijcie – powiedziała Mette.

Lisa z Olivią zabrały się do pracy.

Lisa sprawdziła rejestry i znalazła wyrok sądowy Sebastiana wydany za pobicie bez spowodowania ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Zrobiło się jeszcze ciekawiej, gdy się okazało, że Sebastian pobił swoją ówczesną dziewczynę.

W trakcie tych poszukiwań Lisa dostała esemesa. Olivia widziała, jak koleżanka patrzy na wiadomość i natychmiast ją kasuje.

Olivia spostrzegła, że Lisie znów wyszły czerwone plamy na szyi. Chętnie przeczytałaby tego esemesa.

I mocno by się zdziwiła, bo brzmiał: „Czy nadal lubisz żółte róże?”

Lisa zerwała się na nogi, opowiedziała o wyroku Sebastiana za pobicie, po czym sięgnęła po kurtkę i ją szarpnęła, wrywając wieszak ze ściany. Olivia się zaśmiała.

– Co cię nagle tak śmieszy? – była ciekawa Lisa.

– Wieszak – odparła Olivia.

Lisa spojrzała gniewnie.

– Jedziemy? – spytała, idąc do drzwi.

Olivia wstała, podniosła z podłogi swoją kurtkę leżącą obok wieszaka i pospieszyła za nią.

– Obraziłaś się? – spytała, dogoniwszy Lisę na korytarzu.

– Nie, jestem wściekła.

– Na kogo?

– Na Sebastiana Landbacka, rzecz jasna.

Olivia spojrzała na Lisę. Dla niej to wcale nie było jasne.

Lisa prowadziła, Olivia siedziała obok i usiłowała upewnić się telefonicznie, że Sebastian jest w domu. Nie odebrał, gdy zadzwoniła na jego komórkę. Odebrała za to jego matka Beata.

– Sebastian jest chory – powiedziała. – Na grypę, ale chyba już nie zaraża.

I to również ona im otworzyła, kiedy zadzwoniły do drzwi szeregowca. Podkrążone oczy pięćdziesięciolatki o długich włosach farbowanych henną i wyraźnie zarysowanym nosie zdradzały, że ostatnio nie dosypia.

– Proszę wybaczyć nieporządek. Ciężko jest, bo Ida była dla nas jak członek rodziny, a Sebbe, biedactwo, jest kompletnie załamany.

Lisa i Olivia weszły do środka, gdzie nie było żadnego bałaganu. Wręcz przeciwnie.

Może Beacie chodziło o psychiczny nieład.

– Sebbe! Już są! – zawołała w stronę piętra, skąd w odpowiedzi padło burknięcie.

Wskazała im salon, mówiąc:

– Proszę wejść i usiąść, podać coś?

– Nie, nie trzeba – odparła krótko Lisa i usiadła na kanapie.

– Ja też dziękuję – odezwała się Olivia, starając się o trochę uprzejmniejszy ton.

Beata uśmiechnęła się z wdzięcznością. W tym momencie od schodów dobiegł odgłos powolnych kroków i pojawił się Sebastian, wysokie tyczkowe stworzenie z włosami sterczącymi na wszystkie strony.

– Już prawie jest zdrowy, ale może lepiej się nie witajcie – powiedziała Beata, gdy Sebastian wszedł do pokoju.

Chłopak zdecydowanie wyglądał niezdrowo. Był blady, a między rzadko rosnącymi włoskami na jego podbródku prześwitywało kilka czerwonych pryszczycy. On również miał podkrążone oczy. Wodził niepewnie wzrokiem i w końcu usiadł na fotelu naprzeciw Lisy i Olivii. Beata nadal stała, tarła ręce i patrzyła niepewnie.

– Chcemy rozmawiać z Sebastianem na osobności – odezwała się Lisa.

– Jeśli można – dodała Olivia.

– Sama nie wiem – odparła Beata. – Sebastianie?

– Sebastian ma dziewiętnaście lat, jest pełnoletni i pani nie jest już jego opiekunem prawnym – stwierdziła sucho Lisa. – Możemy go przesłuchać na komendzie, jeśli pani woli.

Olivia spojrzała na nią z irytacją, nie podobało jej się zaczepne zachowanie Lisy. Nie było powodu, żeby tworzyć antagonizm. Przyszło jej na myśl, że Lisa z jakiejś przyczyny jest wytracona z równowagi i zachowuje się cholernie nieprofesjonalnie, pozwalając, żeby to się odbijało na obecnej sytuacji.

Bardzo to do niej niepodobne.

– Syn nie jest o nic podejrzany – wyjaśniła Olivia Beacie. – Po prostu chcemy z nim porozmawiać i bez obecności kogoś bliskiego może być łatwiej. Wam obojgu.

Beata popatrzyła pytająco na syna. Sebastian odpowiedział krzywym uśmiechem, niesięgającym oczu.

– Spoko – powiedział i się rozkaszał.

Beata spojrzała na niego niespokojnie.

– Wziąłeś lekarstwo na kaszel?

– Taak, idź już.

Sebastian przestał kaszleć, a jego matka wyszła. Olivia jednak była niemal pewna, że Beata zatrzyma się w takim miejscu, z którego i tak będzie wszystko słyszeć. Siedząca na kanapie Lisa wyprostowała się, jakby się szykowała do ataku, więc Olivia uznała, że musi odezwać się pierwsza.

– Sebastianie, domyślamy się, że jest ci teraz ciężko, zdaje się, że ty i Ida byliście ze sobą od dość dawna?

Sebastian spojrzał na Olivię zaczerwienionymi oczami.

– Tak, prawie rok. Mieliśmy to uczcić po jej powrocie z gór.

Pociągnął nosem i wytarł go dłonią.

– Często się kontaktowaliście?

– Tak, cały czas, jej matka się na nas wściekała, że ciągle siedzimy na FaceTimie. Ale byliśmy strasznie zakochani.

Olivia kiwnęła głową. Już miała spytać o poranek, w którym nastąpił wybuch, ale uprzedziła ją Lisa, szybka jak kobra.

– W takim razie muszę cię o coś spytać. Jak definiujesz miłość?

Sebastian spojrzał na nią zdeorientowany.

– Co? O co pani chodzi? Jak to: definiuję?

– To proste pytanie, ale pomogę ci. Czy dla ciebie miłość znaczy, że się dziewczynie grozi i nazywa ją dziwką?

– Lisa – odezwała się cicho Olivia.

– Nie – odparł Sebastian.

– A przecież właśnie to robiłeś. Czytałyśmy wasze esemesy.

Sebastian potarł nos. Zdał sobie sprawę, że policjantki są doskonale zorientowane w treściach jego esemesów z Idą. Niby wiedział, że takie rzeczy są do odtworzenia, ale nie przypuszczał, że komuś będzie się chciało to robić.

– Takie rzeczy się wyrzuca z siebie – powiedział – ale przecież nie na poważnie.

– A jak opublikowałeś jej nagie zdjęcie, to też nie było na poważnie? – spytała Lisa.

– Bo się na nią wkurwiłem, okej? – odparł ze złością. – Zresztą zaraz je usunąłem. To nic takiego.

Ze zdenerwowania drżały mu nogi, zaczęło mu ciec z jednej dziurki w nosie. Wytarł go szybko rękawem.

– Według ciebie nic takiego? A jak to przyjęła Ida, jak myślisz? Kiedy zobaczyła swoje nagie zdjęcie w sieci?

Lisa nachyliła się w stronę Sebastiana. Olivia uspokajająco położyła rękę na jej ramieniu, ale Lisa już się nakręciła. Ton jej głosu zmienił się, stał się osobisty, niemający nic wspólnego z rolą przesłuchującej policjantki.

– Bo ja myślę, że miałeś to gdzieś – ciągnęła. – Miałeś gdzieś, że bardzo ją dotknąłeś i że się przestraszyła, kiedy zagroziłeś wrzuceniem do sieci więcej zdjęć, gorszych. Za każdym razem, kiedy robiła coś nie tak, jak chciałeś, wymierzałeś jej karę, żeby podporządkowała się twojej woli, prawda? I ona, biedna, przepraszała, zapewniała, że cię kocha, a ty się wtedy czułeś fajnie, że masz nad nią taką władzę. Właśnie w ten sposób przemocowcy traktują swoje ofiary, łamią je, żeby w końcu reagowały na każde skinienie. Tak mają się zachowywać twoje partnerki, prawda? Już cię raz skazali za pobicie swojej dziewczyny, nie chciała ci się podporządkować, tak?

Odchyliła się lekko, zdając sobie sprawę, że użyła artylerii do osobistej wendety.

O tym Olivia nie wiedziała.

Trzymała się roli policjantki prowadzącej przesłuchanie i dla niej problemem było to, że wciąż jeszcze nie doszły do rozmowy na FaceTimie. Tymczasem Lisa odwróciła ustalony porządek i zaczęła od tego, o co zamierzały pytać dopiero na końcu.

Olivia zobaczyła kątem oka, że Beata uchyliła drzwi od kuchni. Nie wiedziała, co ma zrobić, żeby jakoś uspokoić sytuację. Sebastian patrzył na Lisę z nienawiścią.

– O co pani chodzi?! – zapienił się.

– Może chciałeś ją jeszcze bardziej ukarać? – powiedziała spokojnie Lisa. – Niż tylko publikując nagie zdjęcia? Może chciałeś wysadzić w powietrze całą jej rodzinę?

– Kurde, na głowę pani upadła!

Sebastian zerwał się z fotela i nachylił do niej.

– Idź w cholere! – krzyknął.

– Sebastian – odezwała się Olivia, siląc się na spokój. – Siadaj, proszę.

Zwróciła się do Lisy:

– Wyjdź, ja dokończę, okej?

– Właśnie, zjeżdżaj stąd! – Sebastian opadł z powrotem na fotel, co Olivia przyjęła z ulgą, ale gapił się wciąż na Lisę, która przybrała zupełnie obojętny wyraz twarzy. – Możesz być pewna, że dopóki tu będziesz, słowem się nie odezwę.

– Lisa?

Olivia spojrzała stanowczo na Lisę, a ona szybko wstała i wyszła. Trzasnęły drzwi wyjściowe.

– Pizda – szepnął pod nosem Sebastian.

– Słyszałam – powiedziała Olivia.

– A ja go rozumiem – odezwała się od drzwi Beata. – Sama go sprowokowała, przekroczyła wszelkie dopuszczalne granice. Przecież ten biedak widział, jak jego dziewczyna wylatuje w powietrze, a wy go tak traktujecie!

Podeszła do syna i położyła mu rękę na ramieniu. Sebastian drgnął, jakby chciał odeprzeć cios. Olivia zaczęła się zastanawiać, jak w rzeczywistości wyglądają stosunki matki i syna. Czy Beata naprawdę jest tą czułą matką, za którą chce uchodzić?

– Przepraszam – powiedziała Olivia, zwracając się do Sebastiana. – Możemy zacząć od początku? Czyli widziałeś wybuch na wyświetlaczu komórki?

Sebastian skinął głową, patrząc w dół.

– Dlaczego nie zgłosiłeś tego policji? A może zgłosiłeś, tylko nam to jakoś umknęło?

Sebastian pokręcił głową.

– No to dlaczego?

– Przecież on, biedak, był w zupełnym szoku – wtrąciła Beata, siadając na miejscu, które wcześniej zajmowała Lisa. – A potem na dodatek się rozchorował, dostał wysokiej gorączki i majaczył.

Olivia kiwnęła głową.

– Szkoda, bo Sebastian może być w posiadaniu ważnych informacji.

– Ale ja nic nie wiem – powiedział cicho. – Nic nie widziałem, rozmawialiśmy i patrzyłem tylko na jej twarz, daliśmy sobie buzi i wtedy huknęło.

– I co wtedy zrobiłeś?

– Zacząłem wrzeszczeć. Nie rozumiałem, co się dzieje. Na wyświetlaczu było czarno. Potem przyszła mama i zadzwoniła pod sto dwanaście.

– Ale wtedy już inni zdążyli zadzwonić – wtrąciła Beata.

– A podczas rozmowy zauważyłeś coś więcej? – dopytywała Olivia. – Cokolwiek. Zapamiętałeś może, czy jej mama albo ojciec coś mówili?

– Nie. Kurde, nic nie pamiętam poza tym, że huknęło... A ta pani koleżanka jeszcze chciała zrobić ze mnie sprawcę, to jest, kurde, chore.

Sebastian schował głowę w dłoniach, widać było, że płacze. Jego długim tykawatym ciałem wstrząsał szloch.

– Chyba już dość go wymęczyłyście, co? – odezwała się Beata.

Olivia zdała sobie sprawę, że nie ma sensu dłużej wypytywać Sebastiana o szczegóły.

Okazja przepadła.

– Jeszcze tylko jedna rzecz – powiedziała. – Mogę?

Wyjęła fotografię rękawiczki znalezionej na podjeździe do garażu Brovallów i podsunęła Sebastianowi.

– Poznajesz ją?

Sebastian spojrzął na zdjęcie i pokręcił głową.

– To nie twoja?

– Nie – odparł.

Beata również spojrziała na fotografię, Olivia mogłaby przysiąc, że przez mgnienie oka wyglądała na zdezorientowaną. Czyżby ją poznała?

– Nie, on nigdy nie miał takich – powiedziała, patrząc Olivii prosto w oczy.

Wychodząc od Landbacków, Olivia była rozczarowana i jednocześnie wściekła. Nie poszło tak, jak chciała, nie wyciągnęły z Sebastiana nic istotnego. Nie wiedziała, czy przesądziło o tym niewczesne wejście Lisy, była przeświadczona, że koleżanka jest jej winna przeprosiny. Spojrzała w stronę auta, gdzie Lisa czekała na nią, siedząc za kierownicą.

Na pewno zrozumiała, że posunęła się za daleko, pomyślała Olivia, idąc do samochodu. Otworzyła drzwi i usiadła po stronie pasażera.

– Nigdy więcej nie odnoś się do mnie w ten sposób – odezwała się Lisa.

Trzymała ręce na kierownicy i patrzyła prosto przed siebie. Olivia spojrzała na nią.

– Lisa.

– Słyszałaś, co powiedziałam, kazałaś mi wyjść, jakbym była jakąś zasraną asyistentką, nigdy więcej tego nie rób!

Olivia poczuła, jak dosłownie jeżą jej się włosy na głowie. Wściekła, że po tym wszystkim, co wydarzyło się w domu Landbacków, Lisa jeszcze ją atakuje, grzmotnęła ręką w deskę rozdzielczą.

– Przecież to ty rozwaliłaś nasz plan! Żeby oskarżać go o wybuch, kiedy chodziło nam o zupełnie co innego. Całkiem go zablokowałaś! Takie to było sprytne?

Lisa nie odpowiedziała, ruszyła i z parkingu wyjechała za szybko.

– Lisa? – Olivia nie dawała za wygraną.

– Tacy jak on nigdy nic nie powiedzą, dopóki się ich nie sprowokuje – fuknęła Lisa.

– I wiesz to na pewno?

– Wiem, bo przesłuchiwałam setki takich chłopaków jak on.

– Ale co chciałaś osiągnąć? Przecież ta prowokacja nic nie dała. Naprawdę wierzysz w to, że miał coś wspólnego z wybuchem?

– Może i nie, ale chciałam, żeby się przynajmniej zawstydził po tym, co zrobił. Idzie. Okej? Bydlak jeden, nawet na to go nie było stać.

Olivia obserwowała profil Lisy. Zaciśnięte szczęki, nieco potu u nasady włosów. Nie rozumiała, co się dzieje w głowie Lisy, ale było dla niej jasne, że koleżanka nie jest sobą.

– Lisa, masz jakiś problem – odezwała się. – Nie wiem, o co chodzi, ale, cholera, musisz się wziąć w garść, bo nie będę cię więcej ratować z takich sytuacji.

Lisa nie odpowiedziała, tylko włączyła radio na cały regulator. Z głośnika popłynął *Hotel California* i przez resztę jazdy nie padło już ani jedno słowo.

Było późne popołudnie, Little Pluto siedział nad brzegiem rzeki i chlapał sobie na stopy, trzymając się swego rytuału.

Znajdował się daleko od Rakhine, swojej wsi, rodziny i tego wszystkiego, co stanowiło jego historię. Miał tylko dwanaście lat, ale dzieci zmuszone do dorosłości mają inną rachubę czasu, ich wiek liczy się nie w latach, tylko ich przeżyciami. A to, co przeżył, znacznie go postarzyło.

Włożył rękę do ciepłej wody i tam przytrzymał, patrząc na podpływające małe brązowe rybki. Nie wiedział, co to za gatunek, może w jego stronach też były? Przyjemna myśl. Odwrócił głowę i spojrzał na barkę. Kilku jego kolegów opierało się o reling, nic nie robili. To z powodu Dechy. Podczas jego nieobecności nic nie działo się samo z siebie. Długo go nie było, nieraz się to zdarzało. Żaden z chłopców nie wiedział, gdzie się wtedy podziewa, mówił, że jeździ do kraju, gdzie jest zimno, pada śnieg i mieszkają farangowie.

– Little Pluto! – zawołał jeden z chłopców stojących przy relingu i pokazał palcem na rzekę.

Little Pluto spojrzał, ale z miejsca, w którym był, nic nie widział. Podniósł się i wtedy zobaczył długie ciemne cienie na środku rzeki, tuż pod powierzchnią. Wiedział, co to znaczy, i cofnął się kilka kroków.

– Chodź!

Chłopcy wołali, więc niespiesznie wdrapał się na górę. Nie bał się ani krokodyli, ani Dechy. Mieszkał kiedyś w slumsach Wansingi i widział rzeczy, których nie powinien oglądać ośmiolatek, zresztą nikt inny też nie. Nauczył się wtedy, że jego ciało jest nic niewarte.

Teraz był tutaj.

I tak było lepiej.

Tutaj da się obmyć stopy w spokojnie płynącej rzece i patrzeć na małe brązowe rybki, które być może przyplłynęły aż z jego stron. A jeśli ma się szczęście i trochę odwagi, to także przedostać się pod drutem kolczastym w górach i przynieść sobie makówki.

Poszedł do relingu i przypomniał mu się dziadek, jak siedział skulony przed swoim drewnianym szałasem i pluł na muchy. Czasem machał cienką bambusową laską na przebiegające dzieciaki – wtedy się podchodziło i siadało obok. Dziadek patrzył człowiekowi prosto w oczy dziwnym, zamglonym wzrokiem, było to nieprzyjemne, ale wszyscy wiedzieli, że nie wolno wówczas odwrócić głowy. Tego się nie robiło dziadkowi, chociaż czasem spojrzenie zjeżdżało na jego jedyny ząb. Dziadek był okropnie pomarszczony i wydawał kwaśny zapach.

– Jesteś Little Pluto.

Tak powiedział, kiedy Little Pluto usiadł przed nim po raz ostatni. Dziadek chyba nie był pewien, które z dzieci przebiegło właśnie obok.

– Tak, to ja.

Dziadek oparł laskę na jego ramieniu, bardzo delikatnie, i nachylił się.

– Mak jest tu.

Uniósł laskę i pokazał na swoją głowę. Little Pluto nie rozumiał, co dziadek ma na myśli.

– Cały nasz smutek i całe nasze szczęście jest zawsze tu, w środku. Nigdy nie chodź na skrót. Mak to taki skrót. To fałszywa droga.

Little Pluto oczywiście nie zrozumiał, co powiedział do niego prawie bezzębny dziadek, ale dużo później myślał o tym. Wiele razy. Ostatnio, podchodząc właśnie do relingu. Mak był skrót, ale potrzebował go. Tej krótszej drogi prowadzącej nie do smutku czy szczęścia, jak

mówił dziadek, ale do zapomnienia.

O tym dziadek w ogóle nie wspomniał.

Ale też nie musiał doświadczyć tego, co Little Pluto. Dziadek zmarł na tydzień przed
przyjściem ognia.

Olivia miała za sobą noc bez koszmarów, przespaną jednym ciągiem aż do budzika. Czują się wypoczęta. Siedziała teraz przy biurku w pracy i zastanawiała się, gdzie się podziewa Lisa. Powinna już być. Czy jeszcze jest wściekła?

Spojrzała na stertę materiałów, które mogły mieć jakiś związek z wybuchem w samochodzie. Wiedziała, że poszukiwanie tropów i powiązań często nie doprowadza tam, gdzie trzeba, stanowiło jednak część pracy policyjnej, co wpajano im jeszcze w szkole. Przedzierać się przez pozornie nieistotne materiały. Przy odrobinie szczęścia i dzięki uważnej pracy dało się trafić na trop prowadzący dalej, ale równie dobrze można było zajść w ślepy zaułek.

A więc przez cały dzień przedzierała się przez stare sprawy Malin Brovall. Było ich naprawdę wiele, bo Malin była dobrą i cenioną prokuratorką. Olivia przejrzała może jedną trzecią dokumentów, gdy postanowiła zrobić sobie przerwę, przejść się, napić się wody albo po prostu skończyć na dziś.

Jeszcze tylko jedna sprawa.

Pamiętała ją, kilka lat temu sama miała w niej niewielki udział. Chodziło o młodego człowieka skazanego za brutalny gwałt, do którego się nie przyznawał. Jego młodszy brat Lukas Bengtsson był okropnie oburzony wyrokiem, już podczas procesu kilka razy werbalnie zaatakował Malin Brovall. Krótco po ogłoszeniu wyroku samobójstwo popełniła matka Lukasa, a on sam wysłał list z pogroźkami do Malin. Olivia znalazła ten list, napisał między innymi: „Jesteś gorsza od najgorszej żmii, to zimne zło musi być starte z powierzchni ziemi, nie zasługujesz na to, aby żyć na tym świecie!”.

Jednak te poważne groźby pochodziły sprzed wielu lat i były podyktowane szczególnymi okolicznościami.

A może jednak?

Lukas Bengtsson?

Czy mógł być zamieszany w zamach?

Czuła, że to strzał w ciemno, jednak Mette podkreśliła wyraźnie: zajrzeć pod każdy kamień.

To nie był nawet kamień, już raczej ziarenko, ale i tak postanowiła zajrzeć.

Weszła do sieci w poszukiwaniu aktualnych informacji na temat Lukasa Bengtssona. Nie znalazła go w żadnych mediach społecznościowych. Facet ma dwadzieścia dziewięć lat i jest nieobecny w internecie? To niezwykle, pomyślała. W końcu trafiła na jego nazwisko na stronie małego wydawnictwa. Niedawno opublikował zbiór wierszy prozą zatytułowany *Gangrena*.

Dziwny tytuł, pomyślała, wstając.

Dosyć na dziś, pora iść do domu.

Już tam szła, gdy zmieniła zdanie. Pójście do domu wydało jej się mało pociągające. Spędziła cały dzień sama w zamknięciu, zachciało jej się pobyć wśród ludzi, więc postanowiła zjeść coś w Urban Deli na Skånegatan. Trochę za drogo jak dla niej, ale znalazła sałatkę cesarską za niewygórowaną cenę i posiedziała tam przeszło godzinę.

Po wyjściu uzmysłowiła sobie, że ma blisko do Ronny’ego Redlösa. Zajrzę tam, pomyślała. Może zna tę *Gangrenę*.

Ronny Redlös miał na Katarina Bangata antykwariat, który był oazą dla mniej lub bardziej wynędzniałych rozbitków życiowych. Ronny wspierał ich, oferując im coś do jedzenia i kieliszek wina. Był znany z wielkiego serca i pasji do literatury. Bezdomni i poobijani przez los

musieli potem wysłuchać czytanej na głos lektury z kanonu, który Ronny uznawał za absolutnie nieodzowny dla każdego myślącego człowieka. Przyjmowali to jednak ze spokojem, zresztą czasem były to teksty rzeczywiście pobudzające zarówno do myślenia, jak i do rozmów. W innych przypadkach po prostu słuchali go tylko po to, żeby dostać coś na ząb.

Nieraz chodziło o jedno i drugie.

Dziś było to coś między jednym a drugim. Ronny siedział w antykwariacie z Bensemanem, zniszczonym i wyraźnie doświadczonym przez los starszym mężczyzną, w przeszłości bezdomnym. Na stole oświetlonym wysoką lampą podłogową stało trochę jedzenia i karton wina. Benseman nie był gościem, który przyszedł skuszony konsumpcyjną ofertą, lecz pracował u Ronny'ego w niepełnym wymiarze godzin i w związku z tym traktowano go jak personel.

– Nie przeszkadzam?

Nie czekając na odpowiedź, Olivia zamknęła za sobą drzwi.

– Wiesz, że ty nigdy nie przeszkadzasz, Olivio – powiedział Ronny. – Jesteś głodna?

Kiedy spytał, zorientowała się, że rzeczywiście odczuwa głód, chociaż dopiero co zjadła sałatkę.

– Owszem, trochę – odparła.

– Siadaj.

Olivia umościła się w jednym z foteli do czytania, tuż obok Bensemana, a on poklepał ją lekko po ramieniu.

– Wyglądasz na zmęczoną – zauważył.

– Nie jest tak źle. A ty jak się masz?

– Dobrze.

Ronny odgrzał w mikrofalce resztki potrawy, a Benseman, nie pytając, nalał Olivii trochę czerwonego wina do plastikowego kubka. Nie miała nic przeciwko temu. Gdy Ronny postawił przed nią talerz, przypomniała sobie, po co przyszła.

– Słuchaj, Ronny, może znasz książkę zatytułowaną *Gangrena*, którą napisał Lukas Bengtsson?

– Mam ją.

No jasne.

Ronny zawsze był na czasie, nie tylko w kwestii książek antykwarycznych, śledził rynek wydawniczy i chętnie brał książki z mniejszych oficyn. Często wynajdywał prawdziwe perełki, przeczuwając, że wcześniej czy później staną się obiektem pożądania dla osób poszukujących czegoś spoza nurtu literatury przemijającej. Podszedł do regału, przesunął palcem po kilku grzbietach i wyciągnął cienki szary tomik.

– Jest!

Podał książeczkę Olivii, a ona przyjrzała się okładce, na której widniał tylko tytuł: *Gangrena*. Otworzyła ją i przeczytała podtytuł: *Gnijąc od środka*.

– Czytałeś? – spytała.

– Tak. Jest dziwna.

– W jakim sensie?

– Niektóre teksty są tak nagie, intensywne i osobne, jakby zostały napisane bez udziału autora. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, to rodzaj prozy o ogromnym ładunku poetyckim, bardzo obnażający. A potem następują potoki słów, prawie maniakalne, przypominające *Nagi lunch*⁸, szalenie sugestywne, ekstatyczne i metaforyczne. Trochę się dziwię, że nie pisano o niej więcej. Czy autor to jakiś twój znajomy?

– Nie. Mogę ją pożyczyć?

– Oczywiście. Ale obchodź się z nią ostrożnie, chciałbym ją odzyskać.

Ronny włożył książkę do torebki foliowej i podał Olivii.

– Tom się odzywał? – spytał Benseman.

– Czasem do siebie esemesujemy, nie wydaje się spragniony kontaktu.

– Jak zwykle.

– Długo tam będzie? – spytał Ronny.

– Nie mam pojęcia.

Ronny dolał do kubka Olivii wina z coraz lżejszego kartonu. Wypiła łyk i poczuła, że ma ochotę jeszcze tu posiedzieć, dobrze jej było w tej ciepłej atmosferze, wśród książek na półkach i stołach, we wrośniętej w to miejsce ciszy, z Ronnym i Bensemanem, ludźmi należącymi tak czy inaczej do kręgu jej znajomych, głównie poprzez Toma, ale zawsze. Teraz nie miała wokół siebie zbyt wielu takich osób.

Odstawiła kubek i spojrzała na Bensemana, wysokiego siwowłosego Norrlandczyka o życzliwych oczach. Poruszał palcem, przesuając go po swoim kubku. Właściwie mało o nim wiedziała.

– Gdzie ty się wychowałeś? – spytała.

Benseman spojrzał na Ronny'ego, jakby oczekiwał od niego potwierdzenia, że da radę wysłuchać tego jeszcze raz. Ronny się uśmiechnął, co Benseman odczytał jako zgodę. Pociągając za swoje długie włosy, zwrócił się do Olivii:

– Wychowałem się w gospodarstwie pod Jukkasjärvi, ojciec był kaznodzieją, strzygł mnie sekatorem. Będziesz silny albo kruchy, mawiał, dla Boga to za jedno. Matka umarła w połogu. Kiedy miałem dwadzieścia dwa lata, ojciec odebrał sobie życie i zostałem sam na gospodarstwie. Siostra wyjechała za granicę. Byłem człowiekiem dość zeskorupiałym.

Benseman upił łyk wina. Widziała, że drży mu ręka – albo ta opowieść sporo go kosztuje, albo też chodzi o co innego.

– Potem pewnej nocy poznałem Louise, stała przed nieczynną stacją kolejową, a w oczach miała zorze. Otworzyła drzwi do pomieszczenia w moim sercu, o którego istnieniu nie wiedziałem, i wprowadziła się do mnie. Została przez zimę, utrzymując na dystans zimno i mróz. A kiedy przysła wiosna, odeszła z pewnym domokrążcą z Boden, na stole zostawiła kartkę. „Przepraszam”. Potem zostałem bibliotekarzem i nawiązałem dożywotni romans z kobietą, która mnie nigdy nie zawiodła. Baronową von Alkohol. Na zdrowie.

Benseman uniósł kubek. Olivia wiedziała, że przez wiele lat prowadził życie alkoholika w tych samych śmierdzących uliczkach co Tom. Jednak nieźle stanął na nogi, miał pracę w antykwariacie. O tym, że kiedyś był bibliotekarzem, nie wiedziała. Benseman należał do niewielu osób z lat bezdomności Toma, z którymi ten utrzymywał kontakt. Jednooka Vera i Muriel nie żyły. Tom również mógł być martwy.

Postanowiła, że po powrocie do domu do niego zadzwoni.

Po wejściu do mieszkania najpierw wyłączyła dodatkowy grzejnik. Już nie był potrzebny, odnieś go ekscentrycznej parze na barce. Czowała jeszcze wino, więc wypiła szklanekę wody, zanim się położyła na łóżku. Książkę od Ronny'ego umieściła na nocnym stoliku i sięgnęła po komórkę. Czekwała kilka sygnałów, zanim usłyszała w słuchawce ciche mruknięcie.

– Cześć, mówi Olivia!

– Stało się coś? – spytał Stilton.

– Nie, bo co?

– A wiesz, która godzina?

– Około jedenastej?

– Tu jest piąta rano – powiedział Stilton.

– Ojej! Przepraszam, nie pomyślałam, spałeś?

– A ty co zwykle robisz o piątej rano?

– Bardzo cię przepraszam, zadzwonię kiedy indziej – powiedziała Olivia.

– Coś ważnego?

– Nie. To znaczy tak, chciałam się dowiedzieć, jak się miewasz.

Zapadło milczenie. Albo się zastanawia, jak się ma, pomyślała Olivia, albo znów zasnął.

– Pusto tu bez ciebie – dodała.

– Miło słyszeć.

Czyli nie zasnął.

– Długo jeszcze tam zostaniesz? – spytała.

– Może na zawsze.

– Poważnie?

– Nie, ale myślę, że Luna chętnie by została, ja za jakiś czas wyruszę do domu. A co u ciebie?

Jednak się trochę interesuje.

– Pracuję. Czytałeś o tej bombie w samochodzie?

– Nie, ale Luna mi wspomniała. Masz z tym coś wspólnego?

– Mette kieruje dochodzeniem, obie z Lisą pracujemy nad tym.

– No i dobrze.

Zapadło milczenie, tym razem dłuższe, Olivia musiała zacząć jeszcze raz.

– Spotkałam się dziś z Ronnym i Bensemanem, masz pozdrowienia.

– Jak tam Benseman?

– Wydaje się, że dobrze, słyszałeś historię o jego życiu w tym gospodarstwie w Norrlandii?

– Tak.

Milczenie.

Znów.

No i? Po co zadzwoniła? Obudziła go, pewnie teraz przysypiał. W dodatku Tom nie należał do geniuszy konwersacji nawet wtedy, gdy był całkiem rozbudzony.

– No nic, chciałam się tylko odezwać – powiedziała.

– Dzięki. Czasem myślę o tobie.

– Tak?

– Miłych snów.

Rozmowa zakończona.

Więcej nie uzyskała, ale i tak była to jego pierwsza od dawna osobista wypowiedź. Olivia wiedziała, że Tom ma kiepskie samopoczucie, trzyma się z dala od ludzi. Orientowała się mniej więcej dlaczego. Uczestniczyła w tych samych trudnych sprawach, chociaż najbardziej dotknęły one Toma. Zwłaszcza morderstwo poobijanej przez życie ćpunka Muriel z grupki jego nielicznych przyjaciół z lat bezdomności. Muriel, Vera i Benseman.

Został już tylko Benseman.

Całe szczęście, że Tom ma przy sobie Lunę, pomyślała, patrząc w sufit, nie to co ja.

Użalenie się nad sobą nie leżało w zwyczaju Olivii, a więc złożyła je na karb tego, że trochę wypić, i na jeszcze parę innych rzeczy.

By przełamać ten nastrój, sięgnęła do stolika nocnego po książkę.

Gangrena.

Otworzyła ją i zaczęła czytać. Pierwsze zdania brzmiały tak: „Życie jest tej nocy niespokojne, tak samo jak poprzedniej. Próbuję określić bliżej ten niepokój. Nie chodzi

o samotność czy smutek, raczej o utratę zdolności do tęsknoty. Można tęsknić za dzieckiem albo wiarą, to jest tęsknota, która trzyma cię przy życiu. Ja nie tęsknię za niczym. Nie wiem, co to tęsknota. I przez to noc staje się niespokojna”.

Czy to z powodu lekkiego rauszu, zmęczenia czy poczucia samotności, sama nie wiedziała czemu, ale czytała dalej, bo te słowa dotknęły samego jej jestestwa. Były to teksty o smutku i bezradności, o sensie życia, żarliwości, radości z powrotu tam, gdzie się nigdy przedtem nie było.

Nie potrafiła się przed tym bronić, czuła się głęboko poruszona. Przypomniała sobie słowa Ronny’ego o sugestywnym i ekstatycznym języku pełnym metafor. Wzięła ołówek i zaczęła podkreślać niektóre wyrażenia, dziwne sformułowania, parę godzin później zdała sobie sprawę, że przeczytała całość dwukrotnie. Nie była to wprawdzie gruba książka, ale jednak.

Na przedostatniej stronie znajdowało się jedno jedyne zdanie: „W środku oka siedzi Gustave Doré i graweruje w spojrzeniu taniec śmierci”. Olivia przeczytała to zagadkowe zdanie wiele razy. Nie rozumiała go, jednak obraz oka pozostał.

Spojrzenie.

Przyjrzała się zdjęciu Lukasa Bengtssona na obwolucie. Ciemne, lekko kręcone włosy, prosty nos, niewielki dołek w brodzie, intensywnie niebieskie oczy pod szerokimi ciemnymi brwiami. Przystojny, pomyślała. Jego usta kogoś jej przypomniały, ale nie mogła sobie skojarzyć kogo. Zamknęła książkę, odłożyła ją i weszła pod kołdrę.

Lukas Bengtsson.

Pisarz.

Który groził Malin Brovall.

Czy mógł być zamieszany w ten wybuch bomby w samochodzie?

Niedaleko od mieszkania Olivii, najwyżej kwadrans jazdy autobusem, Lukas Bengtsson wycisnął z tubki nieduży kleks farby w kolorze ochry i złapał go pędzelkiem szerokości paznokcia. Odłożył tubkę i odwrócił się do płótna rozpiętego na ścianie. Zamierzał pomalować nogi bladożółtego konia. Nachylił się i miękkimi pociągnięciami poprowadził pędzel po płótnie, wiedział dokładnie, gdzie zaznaczyć to coś ekstra. Skończywszy, cofnął się parę kroków i spojrzał na wielki obraz. Wiedział, do czego zmierza, ale było to jeszcze daleko.

Jeszcze nie dotarł dostatecznie głęboko.

Jeszcze tkwił w sobie.

Nie zdarzało się to często, może raz na pół roku, ale właśnie się zdarzyło. Mårtenowi udało się wyciągnąć Mette podczas przerwy w pracy na lunch. Przekonał ją, że musi mu pomóc wybrać marynarkę. Miał spotkanie po latach z kolegami ze Skå⁹ i uznał, że jego „front marynarkowy” wymaga modernizacji. Znalazł dwie, które były do przyjęcia, ale nie wiedział, którą wybrać. A raczej w której będzie mu do twarzy.

I to był jeden z powodów.

Drugi był taki, że chciał się spotkać z żoną poza domem. Pospacerować z nią po mieście, popatrzeć na ludzi, na sklepy, czyli robić wszystko to, co w ich małżeństwie leżało odłogiem. Być zakochaną parą starszych ludzi, którzy mają za sobą kawał wspólnego życia.

Cudowne uczucie, uznał Mårten.

Tak samo myślała Mette.

Mårten przycisnął jej ramię, gdy stanęli przy ruchliwym skrzyżowaniu w pobliżu domu towarowego NK. Mette mogła się przekonać, że istnieje inny świat, strumienie ludzi zdążają w różne strony, słońce odbija się od fasad budynków, słychać głosy, jest ruch, życie – nie wszystko dzieje się w zamkniętym pokoju odpraw w NOA.

W kosmosie są światy alternatywne.

Więc była w świetnym humorze, kiedy wybierała dla Mårtena marynarkę, według niej identyczną jak ta druga.

Ale Mårten się cieszył.

Kiedy wracali spacerem na stację kolejki, rozpoczął rozmowę.

– Miałaś wiadomość od Toma?

– Nie, od Luny.

Mette dzwoniła regularnie do Luny. Do Toma właściwie też, ale z dość mizernym skutkiem. Z Luną mogła rozmawiać o tym, co ją niepokoi. I jak się miewa Tom.

– I co ci powiedziała?

– Najwyraźniej Tom czuje się do dupy.

Mårten kiwnął głową, wiedział, co najbardziej ją martwi, bo czuł to samo. Tom miał za sobą historię, w którą oboje zaangażowali się aż po granice desperacji. Jego psychoza, totalna ucieczka od rzeczywistości, potem tragiczne życie w bezdomności, gdy znajdował się już całkiem poza ich zasięgiem.

– Po prostu martwię się, żeby znów nie wpadł w psychozę – powiedziała Mette.

– Jest aż tak źle?

– Tego nie wiem, ale Luna to przeżywa, a ona jest najbliżej.

Mårten pomacał torbę z marynarką i nagle poczuł, jakie to nieważne. Tom żył kiedyś w tak strasznej nędzy psychicznej i fizycznej, wręcz nieludzkiej.

Czyżby miało się to powtórzyć?

– Możemy coś zrobić? – spytał Mårten.

– Nie wiem, nie wydaje mi się. Najlepiej by było, gdyby mógł się skupić na czymś poza własną osobą, żeby musiał pomyśleć w sposób konstruktywny i praktyczny. Ja wiem, jak on funkcjonuje, zresztą ty też, on ma to wszystko, tylko trzeba to w nim uruchomić.

– A jeśli się tego nie uruchomi, istnieje ryzyko, że Tom zatonie.

I to stwierdzenie towarzyszyło im, aż doszli do budynku komendy policji.

Ryzyko, że Tom znów zatonie, wpadnie w stan, do którego nie chciałby już nigdy wrócić, było jeszcze większe, niż Mårten i Mette mogli przypuszczać. Kiedyś już wylądował na samym dnie, samotny i apatyczny gardził sobą. Przez wiele lat czuł się jak przedmiot, z największym trudem przetrwał, i to tylko dzięki innym, podobnym sobie.

Myśl, że mógłby ponownie się osunąć w taką egzystencję, była równie przerażająca, co pociągająca. Opuścić. Wszystko. Dzięki Lunie i Aditi jeszcze tego nie zrobił, ale poprzednim razem też miał wokół siebie ludzi kochających go równie mocno – żonę, Abbasa, Mette i Mårtena. A jednak opuścił. Ich miłość i wsparcie okazały się niewystarczające. Co gorsza, po pewnym czasie ich wysiłki, by go zatrzymać, odniosły przeciwny skutek. Chciał tylko uciekać.

Teraz czuł podobnie.

Szedł sam pustą plażą w pewnej odległości od ośrodka. W środku nocy doznał potwornego poczucia bezsilności i wręcz wyczołgał się z bungalowu. Luna spała mocno i prawdopodobnie nie zauważyła, jak zniknął w ciemności. Nad horyzontem zaczynało świtać, czerwonożółte słońce wytaczało się z morza, udowadniając, kto jest bogiem światła.

Stilton był na to zupełnie obojętny.

Musiał iść, ruszać się, oddychać, poczuć, że ma przynajmniej kontakt z własnym ciałem, z fizyczną częścią siebie samego. Szedł powoli, stawiając kolejne kroki w piasku, starając się zapanować nad własnym mózgiem, nad jego wszystkimi przebłyskami bez żadnego kontekstu. Dno, które jest we mnie, jest dnem także w tobie, gdzieś przeczytał taką wypowiedź o podstawach człowieczeństwa. Odnosił się do tego sceptycznie. Miał wielką nadzieję, że dna, które on poznał, inni nie doświadczyli. Przynajmniej większość z nich. A może chodziło raczej o to, że moje dno stanowi niebezpieczeństwo również dla innych.

Świsty w głowie osłabły, tak jak błyskawice, dzięki temu łatwiej było mu uchwycić się jakiejś pojedynczej myśli. Muszę się trzymać, pomyślał. Oddychać, iść, wkrótce będzie ranek, Luna się obudzi, zjemy śniadanie, przyjdzie Aditi z dzwonekami we włosach.

A potem?

Opadł na wydnię i zaczął wyrywać cienkie źdźbła z kępki traw. Kocha, nie kocha, kiedy doszedł do ostatniego źdźbła, zorientował się, że się pomylił. Wyrwał je i włożył do ust.

I wtedy ją zobaczył.

Siedzącą nieopodal dziewczynkę. Skąd się wzięła? Nie zauważył, kiedy przyszła. Pewnie nie zauważyłby nawet „Titanica”, egocentryk najpierw robi się ślepy. Spojrzał na dziewczynkę, miała czarne włosy ściągnięte zieloną gumką, była bosa, cienka jasna koszulka opadała luźno na czarne spodnie. W ręce trzymała małą papierową parasolkę.

Stilton wysilił się na uśmiech i pomachał jej. Nie zareagowała. Uznał, że już zrobił to, czego można było się po nim spodziewać, i ponownie spojrzął na morze. Kątem oka zarejestrował, że dziewczynka wstaje i idzie w jego kierunku. Nie poruszył głową. Kiedy znalazła się tylko parę metrów od niego, usiadła na tej samej wydmi.

Wtedy znów popatrzył.

– Cześć. Jak się nazywasz?

Raczej nie mówiła po angielsku, ale ponieważ on nie znał zbyt wielu słów po tajsku, nie miał wielkiego wyboru. Dziewczynka nie odpowiedziała, patrzyła na Stiltona, ponieważ się odezwał, ale potem znów odwróciła głowę w stronę morza.

Stilton zrobił to samo.

Tonący mężczyzna i dziewczynka z papierową parasolką siedzieli tak naprawdę długo,

patrzac na morze i wschodzace slonce. Stilton widzial, ze czasem poruszala bosymi stopami w piasku, rysujac kreski palcami, po pewnym czasie tez sciagnal sandaly i zaczal robic to co ona.

Na plazy panowala zadziwiajaca cisza, nie bylo zadnych ludzi, zadnych zwierzat, wietrzyk poruszal listkami platanow, fale wplywaly na brzeg z miekkim poszumem.

Stilton nie myslal o niczym.

Wreszcie.

Dziewczynka wstala nagle i podala mu parasolke. Stilton popatrzyt na nia i wziat podarek. Dziewczynka zasmiata sie kroutko i pobiegla brzegiem. Patrzyt za nia, dopoki nie zamienila sie w kropke, a w koncu zniknela, oddalajac sie w strone wsi.

Wtedy spojrzal na trzymana parasolke i wstal.

Moge powiedziec Lunie, ze wyszedlem kupic jej parasolke, pomyslal. Smieszna rzecz.

Czemu nie?

Olivia nie wiedziała do końca, jak się do tego zabrać. Znalazła adres Lukasa Bengtssona i odkryła, że mieszka całkiem niedaleko.

Przy Ringvägen.

Siedziała w autobusie, wzięła ze sobą jego książkę, żeby mieć jakiś punkt wyjścia do rozmowy. Nie wiedziała, dokąd ją to zaprowadzi. Była ciekawa, kim jest Lukas Bengtsson.

I jakie są jego ewentualne powiązania z Malin Brovall.

Przed jego klatką schodową paliły się dwie pochodnie, drzwi wejściowe były otwarte i zastawione cegłą. Weszła schodami na drugie piętro. Drzwi z wizytówką Bengtsson też były otwarte. Ze środka dobiegała głośna muzyka, więc doszła do wniosku, że nie ma sensu pukać czy dzwonić.

Weszła do przedpokoju, gdzie leżały sterty wierzchnich okryć. Domyśliła się, że odbywa się impreza, i już chciała się wycofać, kiedy zobaczyła człowieka ze zdjęcia z obwoluty książki, szedł do niej z kieliszkiem wina w rękę.

Lukas Bengtsson.

Na głowie miał miękki filcowy kapelusz, był w szarych chinosach i cienkiej poplamionej koszulce.

– Cześć! – odezwał się. – Wejdz!

– Cześć. Nie będę przeszkadzać, przyjdę kiedy indziej...

– Nie przeszkadzasz, jest impreza! Czy my się znamy?

– Nie, ale trafiłam na twoją książkę w antykwaracie i totalnie mnie zafascynowała, więc chciałam cię poznać.

Zupełnie jak w operze mydlanej, ale tyle zdołała z siebie wykrztusić.

– Ale fajnie! – odparł Lukas. – Zapewniam cię, że niewiele osób ją przeczytało.

Zaśmiał się i zamknął drzwi za Olivią.

– Chcesz kieliszek wina?

– To nie... Nie mogę zostać, muszę...

– Ojej, no chodź! Oczywiście, że możesz się napić wina!

Lukas chwycił ją lekko pod ramię i przelał przez stertę ubrań, Olivia poszła za nim do bardzo kolorowego salonu pełnego ludzi. Wszystkie miejsca na kanapach i fotelach były zajęte, młodzi ludzie tańczyli, pili, śmiali się i rozmawiali bardzo głośno, żeby przekrzyczeć muzykę. Wszędzie paliły się świece: w świecznikach, kubkach i glinianych miseczkach, również w kinkietach na ścianach, które dodawały kolorytu pomieszczeniu.

Dziwne, że się nie boi tylu palących się świeczek, pomyślała Olivia, przemykając się do ściany, by trzymać się nieco z boku. Nic z tego. Lukas to zauważył i zanim zdążyła zareagować, już był przy niej z butelką czerwonego wina i pustym kieliszkiem.

– Dopiero co umyty – powiedział, napełniając szkło. – Jak masz na imię?

– Olivia.

– Zdrowie!

Olivia uniosła kieliszek. Wino było smaczne. Miała właśnie spytać Lukasa, czy mogliby się dzwonić jutro, ale przepadł. Jakaś dziewczyna w zielonym turbanie wyciągnęła go na środek, przed stół kawowy, gdzie znajdowało się minimalne miejsce do tańca, i rozpoczęła pokaz jakiejś formy gimnastyki. Olivia patrzyła na to z uśmiechem, gdy nagle się zorientowała, że w jej kierunku sunie bardzo brodaty facet, jej rówieśnik. Jego chód zdradzał, ile pochłonął już alkoholu.

O cholera, pomyślała, uśmiechając się.
– Przyszłaś dopiero co? – zagadnął, jego słowom towarzyszył chuch śmierzący zgniłym jajem.

– Właśnie – odpowiedziała.

– Skąd znasz Lukasa?

– Czytałam jego książkę, a jego nie znam.

– Nieważne, bo jego nikt nie zna, ale jest cholernie dobrym malarzem! Zatańczysz?

– Nie.

– Szkoda.

Brodacz poszedł dalej, poszukać sobie kogoś innego, na kogo będzie mógł chuchać zgniłym jajem. Olivia skorzystała z okazji, żeby się ruszyć, i zobaczyła, że nieco dalej w sąsiednim dużym pokoju świeci się światło. Może tam będzie spokojniej. Przepchnęła się przez tłum imprezowiczów i poszła w tamtym kierunku.

Po chwili ktoś zawołał, że pora ruszyć w miasto, i wszyscy natychmiast na to przystali.

Impreza miała być kontynuowana w lokalu.

Lukas pożegnał ostatnich gości w przedpokoju i obiecał, że wkrótce do nich dołączy, tylko trochę posprząta. Zamknął drzwi, zdmuchnął część świeczek i poszedł do pracowni.

W dużym i wysokim pokoju jedyne okno zostało zaklejone szarym papierem, we wnęce okiennej stały puszki z farbami i pusta karafka, światło pochodziło z dwóch mocnych świetlówek na suficie, nie było dywanu, a jedyny mebel stanowiło proste drewniane krzesło z mnóstwem plam po farbach.

Olivia przystanęła przy wnęce okiennej ze swoim kieliszkiem, starając się ogarnąć zgromadzone w pokoju obrazy. A więc jest również malarzem. Niektóre prace były oprawione i znajdowały się na podłodze, inne przymocowano takerem do ściany. Wszystkie w mocnych, mrocznych i sugestywnych barwach. Pachniało olejem i terpentyną, zastanawiała się, czy Lukas w ogóle tu wietrzy, zwłaszcza że zaklecił okno.

– Interesujesz się sztuką?

Drgnęła lekko, stała plecami do drzwi, zupełnie pochłonięta patrzeniem na obrazy. Odwróciła się, Lukas szedł do niej z butelką wina w ręce.

– Tak – odparła. – Moja mama była artystką, zajmowała się tkactwem artystycznym.

– Nie żyje?

– Tak.

Mogłaby dodać, że została zamordowana na plaży na Nordkoster, ale dała spokój. Nie chciała wyciągać tej tragedii.

– Od wielu lat – dodała.

Lukas kiwnął głową i zanim zdążyła zaprotestować, dolał jej wina. Odwróciła się i spojrzała na duży, niezwykle sugestywny obraz pokrywający niemal całą ścianę, pełen surrealistycznych postaci w intensywnych kolorach.

– Ten jest bardzo mocny – powiedziała. – Malujesz swoje sny?

– Nie, swój stan.

– Jak to: stan?

– Nie wiem. Nie ma mnie przy tym.

– Nie ma cię przy tym?

– Nie, ale próbuję go namalować.

Lukas uśmiechnął się lekko i usiadł na krześle pod ścianą, wisiało nad nim inne duże płótno z czarnym odrażającym potworem jadącym na bladej koniu. Lukas zobaczył, że Olivia mu się przygląda.

– Jeździec na bladej żółty koniu – powiedział.

– To tytuł obrazu?

– Chwilowo tak.

– Co to za monstrum na koniu? – spytała.

– To śmierć.

Lukas uniósł kieliszek w niemym toaście. Olivia upiła łyk wina.

– Boisz się śmierci? – spytała.

– W niektóre noce, kiedy idę spać i nie wiem, czy się obudzę. To dość irracjonalne. A ty się boisz?

– Śmierci?

– Tak.

– Nie chciałabym teraz umrzeć.

Uśmiechnęli się do siebie, jakby ta nieśmiała rozmowa dotyczyła w gruncie rzeczy czegoś innego, a przestrzeń tego pokoju nadawała ich słowom szczególny wydźwięk. Olivia oparła się o parapet i czekała, spokojna i zaciekawiona.

– Podobała ci się moja książka? – spytał.

– Tak, bardzo.

– Dlaczego?

– Domagasz się pochwał?

– Niewiele osób ją przeczytało i właściwie nikt nie powiedział, co o niej myśli. Ty jesteś pierwsza. To wiele dla mnie znaczy.

– Dlaczego?

– Udało mi się do kogoś dotrzeć. Posyłasz w przestrzeń część siebie i liczysz, że jest tam ktoś, kto cię złapie, bo jeśli go nie ma, to znikniesz.

– Na szczęście jestem.

– Tak. Mogę jeszcze podrażnić?

– Proszę.

– Co ci się podobało w tej książce?

– Mnóstwo rzeczy. Przeczytałam ją dwukrotnie, raz za razem, leżałam sobie i podkreślałam różne zdania i zwroty.

– Na przykład?

– „Włócznie czasu przechodzi przez sam środek bezsensu”.

Lukas spojrział na Olivię. Widziała, że bezgłośnie powtórzył to zdanie, zapadł się w siebie, lewą ręką przesunął powoli po udzie, a kiedy się ocknął, spytał:

– Tak było w książce?

– Tak. Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Nie mam pojęcia.

Patrzyła na Lukasa i przypomniała sobie słowa Ronny’ego o książce, że niektóre jej fragmenty wydają się napisane bez obecności autora.

– Może to też był taki stan? – dopytywała. – Kiedy to napisałeś?

– Prawdopodobnie. Czym się zajmujesz?

Zmiana tematu nastąpiła tak nagle, że Olivia zrozumiała, że to koniec rozmowy o książce, chociaż nie bardzo wiedziała dlaczego.

„Czym się zajmujesz?”

Zawahała się. Powiedzieć, że jest policjantką? Zdawała sobie sprawę, że zawsze wywołuje to jakieś reakcje, jednych zaciekawia, drugich peszy. Większość ludzi reaguje na policję w określony sposób.

Pozytywnie albo negatywnie.

– Obecnie pracuję w państwowej instytucji, która zajmuje się problemami społecznymi. –
Chcąc uniknąć dalszych pytań, dodała szybko: – A ty? Utrzymujesz się z malarstwa?

– Nie maluję dla zarobku – odpowiedział.

– No dobrze, ale możesz z tego żyć?

– Nie. Ale zaraz będę miał indywidualną wystawę i jeśli się dobrze sprzeda, to przez jakiś czas dam radę.

Podniósł z podłogi leżący tuż obok krzesła pędzel z żółtym drewnianym trzonkiem i przesunął miękko po dłoni.

– Dziwna rzecz – odezwał się.

– Co takiego?

– Czasem wyobrażam sobie, że pędzel jest żebrem mojej mamy, że maluję jej historię.

Olivia pamiętała, że matka Lukasa popełniła samobójstwo, było to w aktach dochodzenia związanego z jego pogrozkami pod adresem Malin Brovall.

– Nie jest to dla ciebie trudne? – spytała.

– Jest. Ale kiedy indziej myślę sobie, że maluję coś zupełnie innego, coś, co mi siedzi w głowie, bez mojej wiedzy, jakieś fragmenty wewnętrznego piękna. Zabrzmiało mętnie?

– Tak.

Lukas głośno się roześmiał.

– Może usiądziemy sobie trochę wygodniej?

Pokazał ręką w stronę salonu i Olivia ruszyła w tamtym kierunku. Od kanapy dzieliło ją niewiele metrów, ale ta odległość dała jej wystarczającą ilość czasu na refleksję co do swojej reakcji. Na Lukasa. Trochę ją wytrącił z równowagi. Nie chciała ulec jego urokowi, jego energii, intensywnemu spojrzeniu, jego ciepłemu niskiemu głosowi, nie przyszła tu, żeby się poddać czemukolwiek.

Ogólnie rzecz biorąc.

Jednak nad pewnymi reakcjami chemicznymi własnego ciała nie potrafiła zapanować, choćby chciała.

Albo powinna.

– Jaką muzykę lubisz?

Lukas stanął przed swoim sprzętem audio, w rękę trzymał komórkę, pewnie otworzył Spotify.

– Sam coś wybierz – odpowiedziała.

Żeby za bardzo się nie odsłonić.

Wybrał muzykę instrumentalną, flety i głuche bębny, nic, co by rozpoznała.

Niemniej była to piękna i nastrojowa muzyka.

– Próbowałam cię znaleźć w mediach społecznościowych – powiedziała. – Ale chyba nigdzie cię nie ma.

– Nie ma.

– A dlaczego?

– A muszę być? – spytał.

– Nie, ale większość ludzi tam jest.

Uśmiechnął się, wziął butelkę z winem i opadł na fotel. Olivia siedziała na dość szerokiej kanapie. Doceniła, że nie zajął miejsca obok niej.

– Twoja mama zajmowała się tkactwem artystycznym? – upewnił się.

– Tak.

– Jak się nazywała?

– Adelita Rivera.

– Rivera?

Olivia spotkała się z różnymi reakcjami na nazwisko swojej biologicznej matki, często kojarzyło się ludziom ze znanym artystą Diegiem Riverą – kiedyś nawet to wykorzystała, twierdząc, że istnieje jakieś pokrewieństwo.

Nie istniało, o ile się orientowała.

– Tak – odparła. – I nie była krewną Diega.

– Ale była z Meksyku?

– Tak.

– Czyli jesteś pół-Meksykanką?

Tylko się uśmiechnęła, odpowiedź była oczywista. Miała nadzieję, że Lukas nie będzie już pytał o jej matkę, ta kwestia należała do sfery prywatnej, o której nie chciała mówić, chociaż sama o nią zahaczyła.

– Kiedyś przez pół roku jeździłem autostopem po Meksyku – oświadczył Lukas.

– Tak? A kiedy?

– Parę lat temu, miałem dość tutejszego bagna i potrzebowałem inspiracji.

Wstał i podciągnął koszulkę, odsłaniając wyrzeźbione mięśnie na brzuchu. Olivia wcisnęła się w oparcie kanapy.

Co on chce zrobić?

Między piersiami na wysokości sutków miał tatuaż, dwa słowa niebieskimi wersalikami: XIPE TOTEC.

Uśmiechnął się.

– Xipe Totec? – zapytała Olivia.

– Bóg obdarty ze skóry. To z mitologii azteckiej. Sam się obdzierał ze skóry, aby dać ludziom ziarno.

Obciągnął koszulkę, usiadł i nalał sobie wina.

– Chcesz trochę? – spytał.

– Trochę i wystarczy.

Jedna z najczęstszych i najbardziej zakłamanych kwestii.

– Dziwne – odezwała się. – Znam to imię Xipe Totec, gdzieś je widziałam.

– Zrobiłem sobie ten tatuaż w Cuatro Cienegas, takim małym miasteczku – powiedział Lukas. – Hotel się tak nazywał.

Olivia o mało nie rozlała wina.

Cuatro Cienegas?

Miasteczko, gdzie kiedyś wysiadła z autobusu i trafiła do hotelu na pustyni, wypija kilka mocnych piw, postanowiła zmienić nazwisko na Rivera i wylądowała w łóżku z młodym sepleniącym barmanem.

W pustynnym hotelu o nazwie Xipe Totec.

– Co jest? – spytał. – Też tam byłeś?

– Tak. Właśnie w tym hotelu. Cholernie dziwne, nie?

– Może i tak, Cuatro Cienegas przyciąga ludzi Zachodu.

– Niby dlaczego?

– Przypuszczam, że z powodu pejotlu, zaczytywali się Castanedą, tam jest tego dużo.

– Mnie nie chodziło o żaden pejotl.

– A mimo to tam trafiłaś – powiedział Lukas, uśmiechając się. – Wytatuowałaś sobie coś?

Olivia nie miała pewności, czy chodzi mu o to, żeby i ona podciągnęła koszulkę, ale ponieważ nie wytatuowała sobie niczego między sutkami, po prostu odpowiedziała:

– Niespecjalnie mi się podobają tatuaże.

– Mądrze – zauważył.

– Dlaczego mądrze?

– Bo często są to deklaracje, jakie się składa w pewnych sytuacjach życiowych, ale jeśli nie zatrzymasz się w tym miejscu, to cały czas będą ci przypominać rzeczy, do których już nie chcesz się przyznawać.

– Chyba że to deklaracje, których się trzymasz do końca życia. Czy taki jest twój tatuaż?

– Mam taką nadzieję. Chociaż zrobiłem go, żeby się przytrzymać samego siebie.

Spojrzał na kieliszek. Zaobserwowała, że zachowuje się tak samo jak wcześniej, kiedy rozmawiali o książce. Jakby się zapadł w sobie.

– Jak się czujesz? – spytała.

Sama nie wiedziała, dlaczego pyta, pół godziny temu nie spytała. Teraz zrobiła to zupełnie spontanicznie.

– Czuję się bardzo dobrze – odparł, podnosząc wzrok. – Zaraz będę miał wystawę indywidualną, malowałem dniami i nocami i jestem cholernie zadowolony z rezultatu, a teraz siedzę sobie z interesującą kobietą, która była w Cuatro Cienegas. A ty jak się czujesz?

Powinna była odruchowo odpowiedzieć: „ja również bardzo dobrze”, ale z jakiegoś powodu się zamyśliła, jakby nie chcąc kłamać.

W końcu jednak skłamała, chociaż tylko w połowie.

– Też dobrze.

– Ale nie twoje oczy.

Wbił wzrok w oczy Olivii.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Uważam, że żona Diega, Frida, była od niego pod każdym względem znacznie bardziej interesująca, potrafiła wyrażać takie rzeczy, do których on nie mógłby się nawet zbliżyć, ale najbardziej fascynujące u niej były oczy. Jeśli człowiek zna się na oczach, to wie, że była w nich historia nieskończonego smutku.

Umilkł i odwrócił wzrok, jakby chciał dać jej przestrzeń do poradzenia sobie z tym, co powiedział.

Spróbowała.

Nic o niej nie wiedział, o dramatach, które odcisnęły się na jej dorosłym życiu, o morzu piłek, nic.

Spojrzał tylko w jej oczy i przypisał jej różne rzeczy.

– Jakiś czas temu poroniłam – powiedziała. – Nie wiem, czy właśnie to ujrzałeś w moich oczach, ale może widać moją stratę. Nie staram się tego ukrywać.

Lukas kiwnął głową, wstał, wziął swój kieliszek i usiadł na kanapie obok niej. Odsunęła się trochę.

– Wybacz – powiedział. – Czasem się za bardzo spoufałam, chociaż bez takiego zamiaru. Po prostu staram się być tu, w tym miejscu, ale czasem nie jestem.

– A gdzie jesteś?

– Nie wiem, przenoszę się tam, gdzie nie boli.

– A co cię boli? Kiedy się nie przenosisz?

– Boli bycie człowiekiem, tak myślę. Świadomość, że na świecie nie ma czegoś tak nieludzkiego, czego nie bylibyśmy częścią w ten czy inny sposób. Od tego czasem staram się uciec.

– I dokąd wtedy uciekasz? – spytała.

– Do Cuatro Cienegas.

Oboje się roześmiali. Lukas powiedział:

– Ale fajnie, że tu przyszłaś!

I wstał.

Olivia odstawiła kieliszek i również się podniosła, aż za szybko, zachwiała się, ale zapanowała nad ciałem. Lukas ruszył do przedpokoju. Idąc, wziął z krzesła swój biały filcowy kapelusz i włożył na głowę.

– Proszę! – Podał jej kartonik.

Spojrzała, było to zaproszenie na wernisaż Lukasa.

– Dziękuję! – powiedziała.

– Byłoby fajnie, gdybyś wpadła. Nie jest to specjalnie renomowana galeria, ale będzie wino i trochę fajnych ludzi.

– Postaram się – odparła z uśmiechem.

– Masz przy sobie moją książkę?

– Tak, bo co?

– Wpisać ci jakąś dedykację?

Zaskoczył ją. Pożyczyła tę książkę od Ronny'ego, ale i tak postanowiła, że ją kupi, więc czemu nie?

– Tak, poproszę – powiedziała, wyciągając egzemplarz z kieszeni kurtki.

Lukas ją otworzył.

– Masz pióro? – spytał.

– Tak.

Miała pióro w wewnętrznej kieszeni. Lukas skreślił kilka słów na wyklejce. Zajrzała mu przez ramię i zobaczyła, że napisał: „Dziękuję, że ją przeczytałaś. Lukas”. Wzięła książkę, Lukas nachylił się, krótko ją uściskał i szepnął:

– Przepraszam za te słowa o twoich oczach, czasem za bardzo się rozpędzam.

– Nie szkodzi.

Olivia wyszła, Lukas zamknął za nią drzwi.

Kiedy wyszła na ulicę, było około jedenastej, nawet nie tak późno. Zrobiło się zimno. Od domu na Högalidskatan dzielił ją spory kawałek. W tę stronę przyjechała autobusem, ale teraz nie chciało jej się czekać na przystanku. Zaczęła iść.

W głowie kłębiły jej się myśli, głównie wokół dwóch kwestii.

Pierwsza dotyczyła Lukasa Bengtssona.

Dlaczego zrobił na niej tak silne wrażenie? W dodatku takie, które ją aż krępowało. Czy dlatego, że była na to nieprzygotowana, bo od czasu poronienia nie starała się przyciągać uwagi mężczyzn? Czy dlatego, że jako bardzo niezwykły człowiek poruszył ją szczególnie mocno właśnie ze względu na jej delikatną sytuację? To, że ich drogi przecięły się w Meksyku, wydawało się wręcz nieprawdopodobne. Czyżby to zmyślił? A tatuaż?

Nie próbował jej podrywać, do czego była nieprzyzwyczajona, cieszyła się, że sama nie posunęła się za daleko. Czasem łatwo jest stracić rozeznanie.

Intensywnie szukała w pamięci, w którym momencie odpuściła sobie sprawę, z którą do niego poszła: wysondowanie, czy Lukas Bengtsson mógł mieć coś wspólnego z zamachem na Brovallów i czy ma alibi na tamtą noc. Uzmysłowała sobie z pewnym zawstydzeniem, że stało się to w chwili, gdy weszła do pracowni i zobaczyła jego obrazy.

Druga kwestia dotyczyła jej niedomówienia czy też niewinnego kłamstwa. Nie powiedziała mu, że jest policjantką.

I poczuła się z tym paskudnie.

Dochodząc do Högalidskyrkan, była już całkiem rozgrzana. W pewnej odległości

zobaczyła pijanego starszego człowieka, który siedział na kawałku jakiegoś kartonu i śpiewał. Ramiona otulił kocem, ale widziała, że cały drży. Co się robi w takiej sytuacji? – zastanawiała się. Zaprasza do domu? Czy dzwoni po policję, żeby go zabrała z ulicy? Zdecydowała się na to drugie i kiedy już załatwiła sprawę, zdążyła prawie dojść do swojej klatki.

Przez całą drogę wałkowała w głowie zaistniałą sytuację, starając się ją przeanalizować. Gdyby się okazało, że Lukas Bengtsson ma jakieś powiązania z zamachem na Brovallów, to już została w to wplątana. Ona go znalazła w sprawach prowadzonych przez Malin Brovall i ona poszła do niego do domu. Z tego się nie wymiga.

Jeśli jednak Lukas nie ma nic wspólnego z bombą, a jest to prawdopodobne, to chyba nie ma znaczenia, że Olivia jest policjantką. Przecież nie musiała zdradzać mu powodu, z jakiego do niego przyszła. Zwłaszcza że był on nie tylko służbowy. Jego teksty wywarły na niej duże wrażenie i zaciekała ją osoba autora.

Kiedy weszła do mieszkania i zapaliła światło w kuchni, podjęła już jedyną racjonalną decyzję. Musi powiedzieć Lukasowi, nad czym pracuje. Kłamstwo w tej sprawie mogłoby przynieść skutki, których nie była gotowa ponieść. Wyjęła komórkę i zaczęła się zastanawiać, jak to sformułować. „Cześć! Zapomniałam ci powiedzieć, że jestem policjantką. Chcę tylko, żebyś wiedział”. Zabrzmiało to wyjątkowo idiotycznie. Podjęła jeszcze kilka prób, podobnie beznadziejnych.

W końcu postanowiła, że niech się dzieje, co chce, zacznie od przeproszenia go, a potem to już będzie zależało.

Jeśli Lukas jest w domu, bo może też poszedł w miasto.

Wybrała jego numer stacjonarny, odebrał po kilku sygnałach.

– Słucham. Kto mówi?

– Cześć, tu Olivia Rønning, nie przeszkadzam?

– Nie. Do kogo dzwonisz?

– Do Lukasa? To nie ty?

– Tu nie ma żadnego Lukasa.

Rozmowa została przerwana. Olivia stała z telefonem w ręce. Nie miała wątpliwości, że odebrał Lukas. Co on wyprawia? Jest ktoś u niego i musiał przed nim ściemniać? Może pojawiła się jakaś laska?

Olivia nalała sobie herbaty i spojrzała na swoje zaproszenie na wernisaż.

Galeria sztuki na Tegnégatan.

Otworzyła zaproszenie. Po jednej stronie zdjęcie obrazu, który widziała w jego pracowni, po drugiej zdjęcie jego samego w średnim planie na tle szarej ceglanej ściany. Na głowie miał miękki biały filcowy kapelusz, oczy wpatrywały się w obiektyw, jakby miały go rozsadzić. W tym spojrzeniu jest taniec śmierci, pomyślała Olivia. Pod zdjęciem cytat: „Mnie tu nie ma”.

Trudny człowiek, ale ciekawy.

W tym momencie zadzwoniła Lisa. Była w pobliżu i spytała, czy może wpaść.

– No jasne!

Olivia podała jej kod do klatki schodowej i nastawiła wodę na herbatę. Spacer sprawił, że działanie wina osłabło, mocna herbata zrobi resztę. Wystawiając dwa duże kubki, zastanawiała się, o co może chodzić. Lisa jeszcze nigdy u niej nie była, nie łączyły ich takie stosunki, a teraz przychodzi w środku nocy?

– Cześć! – przywitała ją Olivia. – Wchodź, rozbierz się.

Oprowadziła ją po mieszkaniu, ale zorientowała się, że Lisę niezbyt to interesuje w tym momencie.

– Zaparzyłam herbatę, napijesz się? – spytała.

– Bardzo chętnie.

Lisa usiadła przy kuchennym stole, a Olivia nalała herbatę do kubków. Nie musiała długo czekać na wyjaśnienia.

– Przepraszam cię za swoje zachowanie podczas przesłuchania Sebastiana – powiedziała. – Było to z mojej strony wyjątkowo kiepskie.

Olivia była tego samego zdania, ale tego nie powiedziała.

– Jednak miałam powód – ciągnęła Lisa.

– Że tak na niego napadłaś?

– Tak.

Umilkła, jakby musiała nabrać tchu, żeby to wyrzucić z siebie.

– Postawiłam się w sytuacji, w jakiej on stawiał Idę – powiedziała. – I w tym momencie pozwoliłam, żeby moje doświadczenia wpłynęły na przebieg przesłuchania, to było nieprofesjonalne.

– To się może każdemu zdarzyć. Co ci się przypomniało?

– Poczucie bezbronności. I groźby.

Milczała, grzejąc dłonie na kubku, a Olivia poczuła, że musi spytać, nawet jeśli będzie to niestosowne.

– Mówisz o Magnusie Larssonie?

– Tak.

Lisa cofnęła ręce, dotknęła policzków, znów je opuściła i zrobiła głęboki wdech.

– Pewnie zauważyłaś, że dziwnie reagowałam, kiedy przychodził – powiedziała.

– Tak, trochę mnie to zastanowiło.

– Kiedy za pierwszym razem wszedł do pokoju odpraw, o mało nie doznałam szoku. Niby wiedziałam, że musi to kiedyś nastąpić, ale... Kiedy nagle znów znaleźliśmy się w jednym pomieszczeniu i zrobiło się to takie namacalne, wszystko wróciło.

Znów umilkła, Olivia ją obserwowała. Wiedziała, że Lisa powie zaraz więcej, i starała się na to przygotować. Znała ją jako osobę na wskroś uczciwą i odważną, a teraz miała przed sobą kobietę, która musi się pozbierać, żeby móc opowiedzieć o czymś głęboko osobistym i trudnym.

– To się zaczęło, kiedy byłam w szkole policyjnej – powiedziała Lisa. – Wykładał gościnnie przez jeden semestr i pewnie się zorientował, że mi się podoba. Nawiązaliśmy w tajemnicy romans. Wiedziałam, że jest żonaty, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Po pewnym czasie zorientowałam się, że nie tylko ja zapewniałam mu rozrywkę tego rodzaju, bo jedna z moich koleżanek też miała z nim romans. I wtedy z nim zerwałam. Inaczej: powiedziałam mu, że nie chcę się z nim więcej spotykać. Takie odrzucenie pewnie było niezgodne z tym, jak sam siebie postrzegał, bo jeśli już ktoś miał zrywać, to prędzej on.

– Urażony biały mężczyzna.

– Coś w tym rodzaju. A więc zaczął mnie terroryzować.

– W jaki sposób?

– Najpierw były bardzo nieprzyjemne esemesy, że jestem pizdą. Potem głuche telefony w nocy. Przecież wiedziałam, że to on. Następnie zaczął mnie śledzić, na przykład wieczorem wracam do domu, a on siedzi w samochodzie niedaleko mojej klatki, było to okropnie nieprzyjemne. Był w świetnej formie fizycznej i nie wiedziałam, jak daleko jest gotów się posunąć. Któregoś razu zastałam go w moim spożywczaku, wciągnął mnie między regały i powiedział, że to koniec mojej kariery w policji. Nie mam szans. Bo on wszystkich zna i powie im, jaka ze mnie dziwka.

– Nikomu o tym nie powiedziałaś?

– Nie znałam tu zbyt wielu osób, przeprowadziłam się do Sztokholmu dopiero po szkole

i nie miałam kręgu znajomych. Poza tym wiedziałam, że jest ogólnie bardzo lubiany.

Upiła łyk herbaty i wytarła usta.

– Pewnego wieczoru zadzwonił do drzwi. Właśnie się kładłam spać, zarzuciłam szlafrok i otworzyłam, stał tam z bukietem żółtych róż. Powiedział, że zachowywał się po świńsku i chce przeprosić, że nie będzie mnie już nigdy więcej prześladował. Wszedł do przedpokoju, a ja przyjęłam kwiaty. Pamiętam, że pomyślałam, że może to naprawdę koniec, że już po wszystkim, bo zrozumiał, co mi robi. I wtedy nagle spytał, czy nie moglibyśmy po raz ostatni pójść do łóżka, tak na zakończenie. W pierwszej chwili nie rozumiałam, powtórzył to i zamknął za sobą drzwi. Kazałam mu wyjść, ale się nie ruszył, więc się odwróciłam i chciałam pobiec w głąb mieszkania, a on złapał mnie za ramię i cisnął na podłogę. Był silny, śmiertelnie się przeraziłam, zaczął mówić, że tak nam było dobrze, że było mu ze mną fantastycznie w łóżku i...

Przerwała, znów chwyciła kubek w dłonie.

– Bałaś się coś zrobić? – spytała ostrożnie Olivia.

Lisa pokręciła głową.

– Zorientowałam się, że ściągnął spodnie, i pomyślałam, że niech będzie, byleby potem poszedł, żeby tylko zniknął... No i zrobił to.

Znów umilkła, Olivia czekała, w końcu zdobyła się na zadanie pytania:

– Odbił z tobą stosunek?

– Tak. Na podłodze w przedpokoju.

Powiedziała to prawie obojętnie. Olivia spojrzała na nią.

– Zostałaś zgwałcona przez Magnusa Larssona na podłodze w twoim przedpokoju?

– Może nie był to regularny gwałt, pozwoliłam mu, to był seks na podłodze.

– Lisa, nie seks, tylko gwałt, i ty wiesz o tym.

Lisa odwróciła głowę, widać było, jak porusza szczękami, zmagając się ze sobą, chcąc się chronić i nie przyznać, że to był gwałt. Po chwili spojrzała na Olivię i powiedziała:

– Tak, wiem.

Olivia już nie mogła usiedzieć, stanęła przy blacie kuchennym i patrzyła na Lisę – pozbieraną, ale bardzo smutną. Podeszła do niej i ją objęła. Lisa poddała się temu przez chwilę, poprawiła się na krześle, chwyciła kubek i powiedziała:

– Teraz rozumiesz, dlaczego tak zareagowałam, kiedy się zjawił. Dla mnie to był koszmar, to, że muszę słuchać jego głosu, a potem okłasków, które dostał... Mette też dołożyła swoje... Ale najgorsze było, kiedy nagle przysłał mi esemesa.

– Akurat kiedy miałyśmy jechać do Sebastiana?

– Tak. Wiesz, co mi napisał?

– Nie, co?

– „Nadal lubisz żółte róże?”

Olivia musiała to przetrawić.

– Co za kanalia.

– Dlatego u Landbacków byłam taka wytrącona z równowagi. Wyobraziłam sobie, że Magnus znów będzie mnie terroryzować, aż mi się w głowie zakręciło i wyładowałam się na Sebastianie.

Olivia pokiwała głową, starając się ogarnąć to wszystko.

– I nikomu o tym nie mówiłaś? – spytała.

– Nie w ten sposób. Opisałam to na naszej zamkniętej grupie facebookowej, anonimowo, a potem pod hashtakiem „obronakonieczna”, ale nikt nie wie, że chodzi o mnie i Magnusa.

Olivia przypomniała sobie tę relację, bardzo ją wzburzyła, zastanawiała się, kim jest kobieta, którą to spotkało.

A to Lisa Hedqvist.

Olivia wróciła na swoje krzesło. W głowie kłębiło jej się mnóstwo pytań, ale najważniejsze brzmiało: „Dlaczego tego nie zgłosiła?”

– Nie byłam w stanie tego zgłosić – powiedziała Lisa, domyślając się, co chodzi po głowie Olivii.

– Dlaczego?

– Z wielu powodów. Po pierwsze potwornie się wstydziłam, że tak mnie kiedyś pociągał, czułam się jak idiotka i byłam zdruzgotana, że byłam taka głupia. Z drugiej strony bałam się go i tego, że mógłby mi nabruździć, że pogrzebałby moją przyszłość w policji... Zresztą sporo osób orientowało się, że mieliśmy romans, mógłby mówić cokolwiek i byłoby jego słowo przeciw mojemu, nie miałabym szans. Przecież nie było świadków, tylko my wiemy, co się wtedy stało w tym przedpokoju.

– A teraz? Po tej całej historii z metoo, obronakonieczna itepe? Przecież dziś sytuacja jest zupełnie inna. Dziś mogłabyś powiedzieć.

– Gwałt i molestowanie się przedawniły, to było przeszło dziesięć lat temu.

– Ale się wydarzyły, a on zachowuje się jakby nigdy nic i cieszy się szacunkiem w policji. Może tak samo traktować inne dziewczyny.

– Wiem. Ale jest jeszcze Mette.

– Mette?

– Przyjaźni się z żoną Magnusa, zresztą jego też bardzo lubi, przecież widziałaś.

– Tak.

– Nie potrafiłabym jej tego opowiedzieć.

Olivia rozumiała argumenty Lisy. Rozumiała również, że łatwo jej się oburzać, kiedy to nie ona została zgwałcona. Nie była pewna, jak by się zachowała na miejscu Lisy. Chciała wierzyć, że krzyczałaby o tym na cały świat, ale łatwo mówić, kiedy się siedzi obok.

Kiedy to samej nie leżało się na tej podłodze w przedpokoju.

W ich komórkach równocześnie rozbrzmiał sygnał. Nadawcą była Mette.

Poranna odprawa przesunięta na 7.30 w związku z nowym nagraniem z monitoringu.

Było już po drugiej w nocy, gdy Lisa w końcu wyszła, ale najpierw porządnie się uściskały. Olivia padła na łóżko i myślała, że zaśnie w dziesięć sekund.

Mogła o tym tylko pomarzyć.

Ciała miała ciężkie jak ołów, ale w jej głowie kotłowały się myśli o Magnusie Larssonie i Lukasiu Bengtssonie, o bombach w samochodach i gwałtach. Zrzuciła kołdrę, a potem znów się przykryła, przewracała się z boku na bok, zmieniła przeпоconą poduszkę, a w końcu się poddała i usiadła w kuchni, nalała sobie szklankę wody, wzięła pióro i bloczek kartek samoprzylepnych. Długo patrzyła zmęczonymi oczami na ten bloczek. W końcu napisała: „Tom”. Co mogło się odnosić do Stiltona, ale również do czegoś innego¹⁰, nie wiadomo.

Nie umiałyby powiedzieć, kiedy wreszcie zasnęła, ale na pewno za późno jak na wczesną pobudkę i odprawę zarządzoną przez Mette.

Na porannej odprawie zjawily się dość zmarnowane. Pokój był już pełen. Część ludzi stała pod ścianami, Bosse przysiadł na brzegu biurka. Lisa i Olivia znalazły sobie dwa krzesła pod ścianą. Z ulgą odnotowały, że nie ma Magnusa Larssona.

Mette stała w miejscu, z którego zwykle przewodniczyła zebraniom. Zdążyła już podłączyć laptop do dużego ekranu i odwróciła się do zebranych.

– Wczoraj późnym wieczorem dostaliśmy nagranie z monitoringu, o którym do tej pory nie wiedzieliśmy. Pochodzi od Pomocy Sąsiedzkiej w Gribbylund. Ich kamera znajduje się nad parkingiem w pobliżu domu Brovallów.

– A dlaczego dostaliśmy to nagranie dopiero teraz? – spytał Bosse.

– Bo Pomoc Sąsiedzka nie otrzymała zgody na zainstalowanie monitoringu. Wydarzyło się tam kilka przypadków kradzieży paliwa, a właściciele domów jednorodzinnych naciskali, więc jednak zainstalowali tę kamerę. Z prawnego punktu widzenia jest nielegalna i właśnie z tego powodu bali się przesłać nam to nagranie. Ostatecznie jednak zrobili to. Zobaczmy, czy nam to coś da.

Mette włączyła odtwarzanie. Na ekranie ukazał się parking z samochodami i latarniami. Po chwili zobaczyli człowieka idącego między samochodami. Był w czapce, w ręce niósł torbę. Przez krótką, trwającą sekundę chwilę widać było twarz mężczyzny.

Mette cofnęła nagranie, zatrzymując je, gdy na ekranie pokazała się twarz mężczyzny.

– To jest niezidentyfikowany osobnik, nie figuruje w naszych rejestrach. Zaraz po odprawie roześlemy jego zdjęcie i ogłosimy, że go poszukujemy. Jakies pytania?

– Co on trzyma w ręku? – odezwał się jeden z policjantów.

– Wygląda na jakąś torbę, może worek – odparła Mette. – Ciekawe, co jest w środku.

Padło jeszcze kilka pytań, następnie Mette zamknęła zebranie i wszyscy ruszyli do wyjścia.

Olivia czekała, aż wyjdą.

Wszyscy.

Miała swoje powody.

Gdy w końcu również Lisa wyszła, rzuciwszy jej pytające spojrzenie, Olivia podeszła do Mette, która właśnie zamykała laptop.

– Wiem, kim jest ten człowiek na nagraniu – powiedziała.

Mette drgnęła i spojrzała na Olivie, bladą i jakby zmieszaną. O co chodzi?, pomyślała.

– Skąd to wiesz?

– Nazywa się Lukas Bengtsson. Poznałam go. Kilka razy groził Malin Brovall w związku ze sprawą jego brata sprzed kilku lat. W ten sposób trafiłam na niego.

– Lukas Bengtsson?

– Tak, malarz i pisarz.

– I ty go znasz? – dopytywała Mette.

– Przelotnie.

– Jesteś pewna, że to on jest na tym nagraniu?

– Tak.

Mette uniosła telefon, jednocześnie zwracając się do Olivii:

– Już się tym zajmuję. Idź i zjedz coś, wyglądasz jak z krzyża zdjęta.

Olivia siedziała na końcu wagonu, jechała metrem do stacji Rådmanngatan. Postanowiła wykorzystać przerwę na lunch, żeby zobaczyć wystawę Lukasa. Szok, którego doznała,

ujrząwszy go na nagraniu z monitoringu, już ustąpił. Więc istnieje dowód, że znajdował się w pobliżu osiedla willowego Brovallów w wieczór przed wybuchem. Oczywiście powód mógł być inny niż zamiar umieszczenia bomby w ich samochodzie. Może ma znajomych w tej okolicy? Albo znalazł się tam przypadkiem? Wspomniał, że często wsiada do jakiegoś autobusu i jedzie przed siebie, żeby się odprężyć albo pomyśleć. Może właśnie o to chodziło? I znalazł się w złym miejscu o złej porze.

Kiedy wysiadała, była już lepszej myśli.

Pokonując krótki odcinek ze stacji do galerii, zastanawiała się, skąd u niej ten odruch, żeby bronić Lukasa. A może to rzeczywiście on umieścił bombę w samochodzie? Co z tego, że tworzył wspaniałe teksty i obrazy. Jednak miała to, co Mette kiedyś określiła jako jedną z jej największych zalet, czyli przeczucie.

I przeczucie mówiło jej, że Lukas jest niewinny.

Weszła do galerii na rogu Tegnérgatan i Döbelnsgatan. Był to dość spory lokal z szerokimi witrynami od ulicy, białymi ścianami, typowymi dla takich miejsc, i wysokimi sufitami. W pierwszym pomieszczeniu było mnóstwo gości, większość podziwiała obrazy, trzymając w rękach kieliszki.

Olivia rozpoznała kilku, widziała ich w pracowni Lukasa. Wielkie ciemne malowidła o mocnych abstrakcyjnych motywach. Na innych dało się rozpoznać kształty, przedmioty, rozmazane twarze znikające wśród cieni. Stała przed jednym z obrazów i przysłuchiwała się rozmowie prowadzonej tuż obok. Domyśliła się, że to pracownik galerii przekonuje jednego z oglądających o wartości tych dzieł.

– To malarstwo o wręcz niebywalej głębi – argumentował z nabożeństwem. – Nieczęsto spotyka się taką ekspresję u tak młodego malarza.

– Ceny są dość wysokie – zauważył gość.

– To nic w porównaniu z tym, ile te obrazy będą kosztować za parę lat. Teraz ceny są okazyjne, później będą kolekcjonerskie. Myślę, że powinien pan skorzystać z okazji.

Olivia nie zdążyła się zorientować, czy gość postanowił tak zrobić, bo nagle pojawił się artysta we własnej osobie.

Lukas.

Uśmiechnięty i wyraźnie rozradowany.

Wcześniej podpisywał katalogi i popijał wino w gabinecie właściciela galerii. Prawie od razu dostrzegł Olivię.

– Cześć? – odezwał się lekko pytającym tonem.

Olivia się uśmiechnęła. Już miała go uściskać, jednak się powstrzymała.

– Cześć! Fajnie zobaczyć tu te obrazy.

– No, część z nich już widziałas.

– Tak.

Przesunęła spojrzeniem po ścianach.

– Nie ma bladożółtego konia.

– Nie, boję się go wystawić.

– Dlaczego?

– Bo ktoś mógłby go zrozumieć.

Uśmiechał się, mówiąc to tak, jakby prawie zdradził tajemnicę.

– Chcesz wina? – spytał. – Sprzedałem już pięć obrazów. Coś niesamowitego!

Szampana?

– Dziękuję, zaraz wracam do pracy. Fajnie, że udało ci się tyle sprzedać.

– Tak, mega.

Promieniał. Wystawa zapowiadała się na sukces. Może nawet przełom.

To by wiele zmieniło.

– Może będziemy mogli razem pojechać do Meksyku – powiedział i w tym samym momencie sam jakby wyśmiał tę propozycję.

Ciemne kręcone włosy opadały mu na czoło, był w świetnym nastroju i chciał się dzielić swoją radością. Wręcz szczęściem. Skierował wzrok na gości, a Olivii przypomniało się, co mówił o oczach Fridy Kahlo i widocznym w nich bezdennym smutku. Patrząc na Lukasa, nie widziała w jego oczach szczęścia wyrażanego przez ciało, tylko coś zupełnie przeciwnego, przypominało to zaszczucie.

Znów poczuła przyływ zupełnie niestosownych emocji, najchętniej przytuliłaby go jak dziecko i spytała, co go dręczy.

Zamiast tego pociągnęła go na bok i zadała pytanie, które od dłuższej chwili miała na końcu języka.

– Dzwoniłam do ciebie wczoraj – powiedziała. – Już po powrocie do domu od ciebie.

– Tak? I nie odebrałem?

– Odebrałeś, ale powiedziałaś, że to nie ty.

Patrzył na Olivie, jakby się upewniał, czy mówi to poważnie.

– Żartujesz?

– Nie.

– W takim razie musiałem być pijany albo co, bo nie pamiętam żadnego telefonu. A co chciałaś?

– Podziękować za spotkanie.

Prawdziwy zamiar, czyli ujawnienie, że jest policjantką, nabrał nowego znaczenia po obejrzeniu nagrania z monitoringu. Nie wiedziała, co z tym zrobić.

W tym momencie zadzwoniła Mette.

Olivia spojrzała na wyświetlacz i przeprosiła Lukasa.

– Muszę odebrać.

Odeszła na bok, właściciel galerii natychmiast pociągnął za sobą Lukasa, żeby poznać go z kilkorgiem gości.

– Cześć, Mette, co jest? – spytała.

– Rozmawialiśmy właśnie z ochroniarzem, który przebywał w rejonie centrum handlowego i widział przechodzącego człowieka. Potrafił opisać jego czapkę i ten opis zgadza się z tym, co widzieliśmy na nagraniu. Chciałabym jak najszybciej skonfrontować świadka z Bengtssonem, żeby się przekonać, czy to był on. Masz jego adres?

– Tak.

Obejrzała się. Lukas, wyraźnie podekscytowany, żywo rozmawiał z potencjalnym kupcem. Zniżając głos, podała Mette jego adres. Nie chciała mówić, że w tym momencie znajduje się w tym samym pomieszczeniu co on, bo Mette kazałaby jej natychmiast go zatrzymać i zabrać do komendy.

Nie zniosłaby tego.

Lukas wszedł do mieszkania, rzucił kurtkę na krzesło i wydał z siebie wrzask. Wrzask szczęścia. Przed zamknięciem galerii sprzedał jeszcze jeden obraz, z tych większych, drogi. Przez dłuższy czas będzie miał sporo pieniędzy. Teraz tylko szybki prysznic, przebierze się i pojedzie taksówką do Wasahof. Właściciel galerii zaprosił go na kolację i Lukas przewidywał, że będzie to szalona impreza do późnej nocy.

Może by się odezwać do Olivii? – pomyślał. Może dołączy?

Sięgnął po komórkę i już miał wybrać jej numer, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Odłożył

telefon i poszedł otworzyć.

*

Przed betonową ścianą ustawiono osiem osób, każda z nich trzymała przed sobą kartkę z numerem. Lukas Bengtsson miał numer sześć. Za szybą znajdowali się ochroniarz Anders Grytman i funkcjonariusz policji, a za nimi Mette i Olivia. Mette była skupiona na tym, na czym powinna, Olivia – na Lukasiu. Patrzyła, jak stoi z tą kartką i wyraźnie nie rozumie, o co chodzi. Ubrany był tak samo jak w galerii. Olivia przełknęła ślinę i poczuła, że poci się pod pachami, ale nie z powodu tego, że w pomieszczeniu jest ciasno.

– Numer sześć – odezwał się Grytman.

Powiedział to dość cicho, więc Mette poprosiła, by powtórzył.

– Ten z szóstką.

– To jego pan widział na terenie centrum handlowego?

– Tak, na pewno.

– Dziękuję.

Mette dała znak funkcjonariuszowi, a ten wyprowadził Grytmana. Kiedy drzwi się zamknęły, Mette spojrzała na Olivię.

– To wyraźne wskazanie – zauważyła.

– Tak, ale może miał w tym jakiś interes.

– Wskazując Bengtssona?

– Na przykład, żeby ukryć własne poczynania? Może nie sprawdziliśmy go dokładnie?

– Grytmana?

– No. Wiem, że Lisa się nim zainteresowała.

Mette patrzyła na Olivię, z trudem ukrywając irytację, co było widać po ruchu jej szczęk.

– Najpierw sama identyfikujesz Bengtsson na nagraniu z monitoringu – powiedziała – a potem wskazuje go ochroniarz. Do czego właściwie zmierzasz?

Tego właśnie Olivia nie wiedziała.

*

Ze względu na rodzaj przestępstwa prowadzenie postępowania przygotowawczego przejęła prokuratorka Tova Hemmingson. Znały się z Mette od dawna, w dodatku Hemmingson była przedtem koleżanką Malin Brovall.

Spotkały się na chwilę w gabinecie Mette.

– Co na niego mamy? – spytała Hemmingson.

Mette przekazała jej, co zebrano. Nagranie z monitoringu, wskazanie przez ochroniarza i udokumentowane groźby karalne pod adresem Malin Brovall.

– Został przesłuchany?

– Wstępnie. Zaprzecza, że tam był.

– Mimo że został rozpoznany?

– Tak.

Prokurator Hemmingson notowała, a Mette, patrząc na nią, zastanawiała się, dlaczego prawie wszystkie prokuratorki ubierają się tak samo. Surowo, bezbarwnie. Może celowo, żeby w sądzie nie odwracać uwagi od ich funkcji.

Malin Brovall stanowiła wyjątek.

– Jak chcesz to dalej poprowadzić? – spytała Hemmingson.

– Chciałabym potraktować go jako podejrzanego w sprawie.

– W celu?

- Przeprowadzenia przeszukania w jego mieszkaniu.
- W takim razie nadajemy mu status podejrzanego.
- Dziękuję. Chciałabym również sprawdzić jego połączenia komórkowe.
- Zgoda.

Decyzja nie była w pełni uzasadniona, ale całkowicie zrozumiała, zważywszy na charakter zbrodni: zamach bombowy na prokuratorkę i jej rodzinę.

*

Przeszukanie mieszkania jest zadaniem delikatnym. Cel to znalezienie materiału, który w ten czy inny sposób jest istotny dla śledztwa. Na miejscu może być niełatwo to ocenić. Jeszcze trudniejsze okazało się to w tak zabałaganionym i nieposprzątanym mieszkaniu jak u Lukasa.

Należało też poszukać konkretnych rzeczy, choćby tej dość nietypowej czapki, którą kierowca autobusu zauważył u pasażera wysiadającego na końcowym przystanku w Gribbylund.

Czapkę znaleziono.

W każdym razie taką, która odpowiadała opisowi.

Ekipa przeprowadzająca przeszukanie znalazła też kilka innych rzeczy, bez wątplenia interesujących, chociaż niepowiązanych wprost z zamachem. Znaczna część przedmiotów pakowanych teraz w kartony miała być na komendzie zbadana dokładnie przez najróżniejszych ekspertów.

Przede wszystkim przez ekspertów sądowych.

Najwięcej wątpliwości budziły liczne obrazy w pracowni. Między nimi a tematem przesłuchania Lukasa nie zachodził żaden oczywisty związek, poza tym większość z nich była bardzo duża. Zapadła decyzja, żeby je sfotografować i opisać.

Na końcu odkryto dziennik – był w łóżku, wsunięty pod poduszkę.

Również go zabrano.

*

Podczas odprawy pokój był pełen ludzi, teraz powoli pustoszał. Wszyscy otrzymali szczegółowe informacje na temat wyników przeszukania mieszkania Lukasa Bengtssona. Dotyczyło to również jego połączeń głosowych i esemesów w sieci komórkowej w porze interesującej policję i niektórych innych rzeczy. Sprawdzenie całości materiału zajęło kilka dni, ale wyniki już uzyskano i przedstawiono.

Mette podeszła do okna, aby je otworzyć, chociaż wiedziała, że nie da się tego zrobić. Potrzebowała świeżego powietrza. Odwróciła się i spojrzała na jedyną osobę, która została w pokoju.

Oliwię.

– Po południu przesłucham Lukasa Bengtssona i przedstawię mu, co na niego mamy – powiedziała Mette. – Chcę, żebyś przy tym była.

Olivia drgnęła. Myślamy błędziła zupełnie gdzie indziej, zdezorientowały ją te przedmioty znalezione podczas przeszukania i skłoniły do ponownego zadania sobie pytania: kim jest Lukas Bengtsson? Podniosła wzrok na Mette.

– Wolalabym nie.

– Dlaczego?

– Bo nie.

Taka odpowiedź to wyjątkowo kiepski argument, zwłaszcza dla Mette. Olivia natychmiast to zrozumiała, ale inna odpowiedź oznaczała komplikacje. Głównie dla niej samej. Mogła powiedzieć: „Lukas nie wie, że jestem policjantką, oszukałam go”. Na co Mette mogłaby

zareagować dwojako. Albo okazałaby zrozumienie, ale dodałaby, że trochę za późno się zreflektowała, skoro chodzi o osobę podejrzaną o dokonanie zamachu bombowego na rodzinę Brovallów. Albo ją zignorowała.

– Ty go znalazłaś – powiedziała Mette. – I ty będziesz ze mną podczas przesłuchania.

Czyli i tak ją zignorowała.

Do pokoju przesłuchań przyszły jednocześnie. Wszystko było już przygotowane. Stół, krzesła, zebrane materiały. Mette usiadła przy stole, Olivia wzięła krzesło i zaniósła je pod przeciwległą ścianę.

– Co robisz? – spytała Mette.

– Chcę siedzieć tutaj.

– Dlaczego?

– Tak będzie mi wygodniej. Ty prowadzisz przesłuchanie, a ja słucham i się uczę. Jak zwykle. Niedługo idziesz na emeryturę. Chcę wyssać z ciebie wszystko, aż do ostatniej kropli.

Mette wzruszyła lekko ramionami, wiedziała, kto powinien ją zastąpić w roli prowadzącej przesłuchanie. Olivia.

Ale niech jej będzie, skoro chce siedzieć pod ścianą, żeby wyssać ile się da z mojej techniki przesłuchiwania.

Mette nie była całkowicie odporna na pochlebstwa.

Upewniła się, że system wideo działa, i odchyliła się na krześle. Przy odrobinie szczęścia jeszcze dziś zepnie w całość tę sprawę.

Mårtenowi by się to spodobało.

Chwilę później drzwi się otworzyły i został wprowadzony Lukas Bengtsson. Nie chciał adwokata, co się spodobało Mette. Podeszedł do stołu ze spuszczoną głową i wzrokiem skierowanym w podłogę. Usiadł na wskazanym krześle.

I podniósł głowę.

Najpierw zobaczył starszą kobietę o siwych kędzierzawych włosach i przyjaznych oczach. A potem – co mu zupełnie nie pasowało – pod ścianą młodą kobietę, tę samą, która była kiedyś w Cuatro Cienegas i siedząc u niego w domu na kanapie, powiedziała mu o swoim poronieniu. Olivia? Kobieta patrzyła uparcie w podłogę.

Wreszcie ten obraz połączył w mózgu ze zdolnością mówienia.

– Co ty tutaj robisz? – odezwał się do Olivii.

Mette przesunęła się nieco, aby się znaleźć na linii jego wzroku.

– Nazywam się Mette Olsäter, jestem komisarzem policji i będę pana przesłuchiwać. Za mną siedzi aspirant Olivia Rønning, poznaliście się. Nazywa się pan Lukas Bengtsson i zostanie pan przesłuchany w związku z zamachem bombowym, w którym w sobotę dwudziestego czwartego lutego zginęła rodzina Brovallów.

Lukas usiłował przyciągnąć uwagę Olivii wzrokiem, w którym była czysta pogarda. Mette znów weszła w jego pole widzenia.

– Zrozumiał pan, czego będzie dotyczyć przesłuchanie? – spytała. – O bombie w samochodzie?

Lukas dał sobie spokój z Olivią i opuścił ramiona.

– Dlaczego mam być przesłuchiwany w związku z tą bombą? – spytał.

– Gdzie pan był w wieczór poprzedzający zamach? W piątek?

– Nie mam pojęcia. Pewnie w domu.

– Nie był pan w Täby?

– Nie. Po co miałbym być?

– Jest pan pewien?

Lukas przytaknął i znów zaczął się wpatrywać w Olivię.

Nie reagowała.

– Proszę, żeby pan odpowiadał, zamiast kiwać głową – powiedziała Mette. – Czyli nie był pan w Täby?

– Nie.

Mette przysunęła sobie torbę, z której wyjęła czapkę wykonaną z dwóch kawałków materiału w różnych kolorach.

– Autobus numer sześćset pięć ma przystanek końcowy w centrum Gribbylund w Täby. Ostatni autobus w piątkowy wieczór, czyli poprzedzający zamach bombowy, przyjechał na ten przystanek około północy. W autobusie było dwóch pasażerów. Kierowca nie pamięta ich wyglądu, ale pamięta, że jeden z nich miał bardzo szczególną czapkę. Wyglądała dokładnie tak.

Mette podniosła czapkę.

– Zidentyfikował ją bez cienia wątpliwości – powiedziała. – Rozpoznaje pan tę czapkę?

– Nie.

– Podczas przeszukania w pana mieszkaniu znaleziono ją na półce w przedpokoju. Należy do pana?

– Skoro tam leżała, to pewnie tak.

– Dlaczego pan powiedział, że jej nie rozpoznaje?

Lukas wzruszył lekko ramionami, wpatrując się w stół.

Olivia czuła się paskudnie, nie miała odwagi spojrzeć na niego, wyczuwając, jak Lukas się męczy. Nie rozumiała, dlaczego skłamał. Zarówno co do autobusu, jak i czapki. Co miałyby na tym zyskać?

– Czyli to pan jechał tym autobusem i wysiadł na przystanku końcowym, tak? – dopytywała Mette.

– Najwyraźniej.

– Co pan tam robił?

– Nic. Często wsiadam do jakiegoś autobusu i jadę do końca trasy.

– Tak na chybił trafił?

– Tak.

– W jakim celu?

– Jednoczesnej podróży w dwóch kierunkach. Przed siebie i w głąb siebie.

Mette obserwowała Lukasa, który unikał jej spojrzenia, bo próbował patrzeć na Olivię.

– A ona będzie tylko tak siedziała? – spytał.

Mette z pewnym wysiłkiem znów się przesunęła, żeby patrzył na nią.

– Jak pan stamtąd wrócił? Z Täby?

– Pewnie piechotą.

– Nie pamięta pan?

– Nie.

– Szedł pan całą drogę z Täby do Söder?

– Chyba tak.

Mette musiała zapanować nad sobą, nie znosiła takich odpowiedzi i sytuacji, gdy nie potrafi nawiązać kontaktu z osobą przesłuchiwaną.

Lukas prawie całkiem się wyłączył.

– I od razu po tym, jak pan wysiadł z autobusu, wyruszył pan do domu?

– Pewnie tak.

– Nie przeszedł pan przez znajdujące się nieopodal centrum handlowe?

– O ile sobie przypominam, to nie.

– Przeprowadziliśmy dziś okazanie z pana udziałem, pamięta pan?
– Tak.
– Został pan wskazany przez ochroniarza, który tam pracował w piątkową noc i jest pewien, że widział, jak pan tam przechodził.
Lukas milczał.
– Jak pan to wytłumaczy? – spytała Mette.
– Może się przeszedłem kawałek, sam nie wiem.
– Ale ja wiem. Przeszedł pan tamtędy w stronę willi rodziny Brovallów. Stoi przy Furuvägen. Doszedł pan tam?
– Nie.
– W takim razie proszę, żeby pan to obejrzał.
Na iPadzie odtworzyła fragment nagrania z monitoringu.
– To nagranie pochodzi z kamery na parkingu oddalonym o trzydzieści metrów od domu Brovallów. Przez parking idzie człowiek.
Mette zatrzymała nagranie w momencie, gdy na ekranie ukazała się twarz przechodnia.
– Widzi pan, kto to jest?
Lukas długo patrzył na obraz na stop-klatce. Olivia wiedziała, co zobaczył, przecież to ona go wskazała po obejrzeniu nagrania. Nagle schował twarz w dłoniach. Rozpłacze się? – pomyślała Mette. I dobrze. Może się złamie.
– Pytam jeszcze raz – powiedziała. – Widzi pan, kto to jest?
Lukas opuścił ręce. Nie rozpłakał się, ale na jego twarzy i w oczach widać było ból. Przygryzł górną wargę.
– To ja – przyznał cicho. – Chociaż nie było mnie tam.
– Nie było pana?
– Nie.
Mette mu się przyglądała.
Siedząca pod ścianą Olivia przypomniała sobie ich rozmowę u niego w domu.
Jak to: stan?
Nie wiem. Nie ma mnie przy tym.
Nie ma cię przy tym?
Nie.
Mette odłożyła iPada i spojrzała na Lukasa.
– Jak przed chwilą widzieliśmy, był pan w pobliżu domu Brovallów. Czy to pan umieścił bombę w ich samochodzie?
– Nie – szepnął Lukas.
– Trochę głośniej, proszę.
– Nie, to nie ja.
Mette patrzyła na Lukasa, próbując zrozumieć, kim jest w istocie i dlaczego odpowiada w ten sposób.
– Jest pan artystą, czy tak? – spytała.
– Tak.
– Napisał pan również książkę zatytułowaną *Gangrena*.
– Tak.
– O czym jest ta książka?
– O gniciu od środka.
– Odnosi się to do pana?
– Tak, do pani też. To jest książka o byciu człowiekiem. O tym, na co jesteśmy

wystawieni.

Mette poczuła, że chwilowo ma dość.

– Zrobimy sobie krótką przerwę – powiedziała. – Może pan tutaj zostać.

Mette wstała i wzięła swoje papiery. Olivia również się podniosła i szybko poszła za Mette, nie spojrzawszy na Lukasa.

Do pokoju socjalnego weszły prawie jednocześnie. Olivia od razu zabrała się do wyciskania kawy z termosu na pompkę. Mette ją obserwowała.

– Co tam zaszło? – spytała.

– Niby co?

– Między tobą a nim?

– Co masz na myśli?

– Przez cały czas szuka cię wzrokiem, o mało się nie przewróciłam z krzesłem, starając się nawiązać z nim kontakt, co i bez tego jest trudne. Co jest między wami?

– Nic.

Mette popatrzyła w taki sposób, że Olivia zdała sobie sprawę, że musi się wytłumaczyć. Przynajmniej z kilku rzeczy, bo inaczej wszystko się jeszcze bardziej pokomplikuje.

Opowiedziała więc, że kiedy natknęła się na nazwisko Lukasa, poszła do niego. Była ciekawa, kim jest.

– Poszłaś do niego do domu?

– Tak.

– Powiedziałaś mu, po co przyszłaś?

– Nie do końca.

– Nie powiedziałaś mu, że jesteś policjantką?

– Nie.

– Dlaczego?

Nad tym, jak wiadomo, Olivia sama się zastanawiała.

– Bo chciałam go wysondować.

– Wysondować?

W niektórych sytuacjach jest to fajne słowo, na tyle niejasne, że może wiele skrywać.

– Tak. To był strzał w ciemno, w każdym razie wtedy znalazłam jego nazwisko wśród spraw prowadzonych przez Malin, po prostu mnie zaciekawił.

– On cię zaciekawił?

– Tak. Przeczytałam *Gangrenę* i uważałam, że pisze interesująco.

– O gniciu od środka?

Olivia miała dość. Wyjawiała wszystko, co wiedziała, nie zamierzała tego analizować. Dodała tylko:

– Uważam, że Lukas jest niewinny.

Odstawiła kubek i wyszła.

– Wracamy za kwadrans! – zawołała za nią Mette.

Nie pozwoli jej się z tego wykręcić.

Gdy Olivia weszła, Lisa siedziała przy biurku. Od tamtej rozmowy w kuchni u Olivii, kiedy Lisa opowiedziała jej o Magnusie Larssonie, nie zamieniły ze sobą wielu słów, ale obie czuły, że w ich wzajemnych relacjach zaszła zmiana.

Lisa popatrzyła teraz na przyjaciółkę, która wyglądała na przytłoczoną i znękaną. Domyślała się, że ma to coś wspólnego z Lukaszem Bengtssonem.

– Jak idzie przesłuchanie? – spytała.

– Chyba dobrze.

Olivia usiadła przy swoim biurku i wpatrzyła się w jakiś skoroszyt, którego zawartość nic jej w tej chwili nie mówiła.

– Ciężko jest? – spytała Lisa.

– Tak.

– W jakim sensie?

W tym momencie Olivia mogłaby sobie trochę ulżyć i przynajmniej w jakiejś części zdradzić, co ją dręczy – wstyd, zakłamanie – ale wolała zatrzymać to dla siebie.

– Wrócimy do tego kiedy indziej.

– Okej. Przyjrzałam się temu ochroniarzowi, Grytmanowi, mętny typ, jak cholera, ale na razie nie dostrzegam żadnego motywu.

Olivia, trochę nieobecna, kiwnęła głową.

– Ale teraz pewnie wszystko skupia się na Bengtssonie? – ciągnęła Lisa.

– Tak.

Lisa zastanowiła się i spytała:

– A może byśmy wieczorem wyskoczyły napić się wina albo coś w tym rodzaju?

– Koniecznie!

Więcej nie było trzeba, wystarczyła lina ratownicza łącząca ze światem zewnętrznym, jakby przypomnienie, że wszystko toczy się dalej. Przesłuchanie to element pracy, trudne sytuacje są częścią życia, ale ono płynie dalej.

Olivia wstała, podeszła do Lisy i ku jej zaskoczeniu uściskała ją.

– Upijemy się – szepnęła z uśmiechem.

Kwadrans później przesłuchanie zostało wznowione. Wszyscy siedzieli tak samo jak wcześniej. Lukas zdjął kurtkę i został w szarym swetrze. Mette naląła mu wody do szklanki i odchyłona na krześle, obserwowała go.

Oczywiście rozumiała, że Olivia mogła poczuć pociąg do tego młodego człowieka, parę dekad temu sama mogłaby temu ulec.

O ile oczywiście zdołałaby wyrzucić ze świadomości, że jest podejrzany o dokonanie zamachu bombowego.

Nawet przestępcy mogą mieć urok, pomyślała, zdecydowana udowodnić, że ten młody człowiek jest jednym z nich.

– Na nagraniu z monitoringu, które obejrzelśmy przed przerwą, niósł pan torbę czy też rodzaj worka – odezwała się. – Co w nim było?

– Nie wiem. Zwykle noszę w nim przybory do malowania. Pędzle, farby.

– Po co zabrał pan to do Täby w tak późny wieczór?

– Może chciałem malować – odparł Lukas.

– Nie znaleźliśmy tego worka u pana w domu, gdzie jest?

– Wyrzuciłem go.

– Dlaczego?

– Bo był dziurawy.

– Gdzie go pan wyrzucił?

– Do jakiegoś kontenera.

Mette musiała się opanować. Ciągłe te uniki. Przesłuchiwała twardego, którzy mówili jedynie: „bez komentarza”. To było jednak coś innego.

Ten człowiek odpowiadał, nie odpowiadając.

– Przejrzeliśmy pana billing z tamtego wieczoru – ciągnęła. – Ktoś do pana dzwonił, kiedy pan był na tym osiedlu. Kto to był?

– Nie mam komórki.

Mette miała dość. Wyszarpnęła telefon komórkowy z plastikowej koszulki.

– To jest pana komórka! Miał ją pan przy sobie podczas zatrzymania. Nic pan nie zyskuje, kłamiąc, wprost przeciwnie. Kto do pana dzwonił?

Lukas patrzył przed siebie, jakby się zastanawiał. W końcu odpowiedział:

– To chyba jest na billingu?

– Połączenie było z zakodowanej aplikacji. Kto do pana dzwonił?

Lukas zaczął obgryzać paznokcie środkowego palca, po chwili uniósł szklankę i wypił kilka łyków wody. Odstawił ją ostrożnie, jakby bał się zachlapać papiery Mette.

– Nie wiem, kto to był. Niestety – odparł.

Mette sięgnęła po kartkę i włożyła okulary.

– Przeczytam panu mail, który Malin Brovall dostała w noc przed tym, jak zginęła. „Takich jak ty powinno się zetrzeć z powierzchni ziemi, nie zasługujesz, żeby żyć, jesteś gorsza od najgorszej żmii, to zimne zło zginie razem z tobą!”

Mette opuściła kartkę i zdjęła okulary.

– Zna pan ten mail? – spytała.

– Nie, skąd miałbym znać?

– Tych sformułowań też nie?

– Nie.

Mette wzięła inną kartkę, włożyła okulary i przeczytała:

– „Jesteś gorsza od najgorszej żmii, to zimne zło zostanie zniszczone, nie zasługujesz, żeby żyć na tym świecie!”

Znów spojrzała na Lukasa.

– A te sformułowania pan zna?

– Nie.

– Pochodzą z maila, który pan wysłał do Malin Brovall w związku z procesem pańskiego brata. Kiedyś się pan do tego przyznał. Prawie identyczne zdania znajdują się teraz w mailu, który Brovall dostała w noc przed śmiercią. Ten też został wysłany przez pana?

– Nie.

– Czyli ktoś inny wysłał maila z prawie identycznymi sformułowaniami?

– Najwyraźniej.

Lukas wzruszył lekko ramionami. Mette pomyślała, że nawet nie trzeba będzie używać programu do analizy tekstu, żeby stwierdzić zgodność między obydwoma mailami. Ale o tym zdecyduje prokuratura.

– Dlaczego groził pan wtedy Malin Brovall? – spytała.

– Byłem wstrząśnięty i wściekły. Doprowadziła do skazania mojego brata za gwałt, którego nie popełnił.

– Sąd uznał inaczej.

– Bo przez tę prokuratorkę uwierzył w mnóstwo nieprawdziwych rzeczy!

Po raz pierwszy od początku przesłuchania zareagował emocjonalnie, teraz nachylił się i patrzył intensywnie na Mette.

– Skazała mojego brata i zabiła naszą mamę – powiedział.

– Pana matka popełniła samobójstwo.

– To była tylko konsekwencja wyroku. Umarła, kiedy brat został skazany.

Odchylił się na krześle.

– I wtedy pan napisał do prokuratorki, że zginie? – dopytywała Mette.

– Tak.

– I zagroził, że ją zabije?

– Tak. Ale grożenie nie jest równoznaczne z zabiciem.

Mette porzuciła chwilowo motyw gróźb, przysunęła sobie cienką książeczkę i ją otworzyła.

– Podczas przeszukania znaleźliśmy pana dziennik, znajdował się w łóżku pod poduszką. W dniu, gdy zginęła rodzina Brovallów, napisał pan: „Malin Brovall wysadzona w powietrze. Jeździec na bladożółtym koniu?”... Co pan miał na myśli?

– Nic.

– Kim jest jeździec na bladożółtym koniu?

– To śmierć. Jeden z czterech jeźdźców Apokalipsy.

– Co to ma wspólnego z Malin Brovall?

– Może ją zabił.

Olivii przypomniał się obraz z pracowni Lukasa, ten zatytułowany *Jeździec na bladożółtym koniu*. Dlaczego nie powie po prostu, że to obraz?

Mette wzięła kolejną książeczkę w miękkiej oprawie, trochę sfatygowanej. Była w nią wetknięta żółta karteczka do zaznaczania.

– Przeczytam panu fragment z tej książeczki – powiedziała. – Tytuł: *Spółczesność przemysłowa i jego przyszłość. O więźniach technologii*. Słyszał pan o niej?

– Nie.

Mette upiła łyk wody i zaczęła czytać:

– „Rewolucja przemysłowa i technologiczna oraz jej skutki stały się katastrofą dla ludzkości. Zdestabilizowała społeczeństwa, wystawiła ludzi na niegodne traktowanie, doprowadziła do wielkich cierpień psychicznych i spowodowała istotne szkody w przyrodzie. Mamy wszelkie prawo, by to zastopować”.

Mette zamknęła książeczkę i spojrzała na Lukasa.

– To zostało napisane w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku. Zgadza się pan z tym?

– Tak. Zgadzam się.

– Dlaczego?

– Bo istotnie staliśmy się więźniami technologii – odparł Lukas.

– Może pan to rozwinąć?

Lukas wyprostował się i ściągnął sweter, pod którym miał czarny T-shirt. Upuścił sweter na podłogę i spojrzał na Mette.

– Staliśmy się więźniami i sami sobie zbudowaliśmy to więzienie – powiedział zupełnie innym głosem niż przedtem, pewnym i stanowczym. – Porzuciliśmy życie wolnych jednostek.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Przecież pani wie. Bez sprzeciwu pozwalamy się nadzorować. Wszystko, co robimy, jest dokumentowane, a to, co konsumujemy, jest rejestrowane, wszystkie nasze przemyślenia i poglądy wykładamy w mediach społecznościowych. Ktokolwiek i gdziekolwiek zechce, może się o nas wszystkiego dowiedzieć, nasze życie prywatne jest sprzedawane temu, kto da więcej, naszymi poglądami manipuluje się w celach politycznych. Chyba zgodzi się pani z tym?

Niestety częściowo się zgadzała, ale w tym momencie nie zamierzała o tym mówić. Pozwoliła mu kontynuować.

– Rozwinęliśmy niesamowitą technikę – ciągnął Lukas. – Nieprawdopodobnie zaawansowaną, która ma tylko jeden jedyny cel.

– I co jest tym celem?

– Panowanie nad nami.

Opadł na oparcie krzesła i teraz mówił ciszej.

– Najbardziej przygnębiające jest to, że się z tym godzimy – mówił. – Pędzimy ku własnemu upadkowi, trzymając w ręce najnowszy gadżet techniczny. Jesteśmy totalnie upodleni, nie zostało nam nic z ludzkiej godności. Naprawdę gnijemy od środka.

Olivia patrzyła w dół na swoje dłonie. Dlatego nie ma go w mediach społecznościowych, pomyślała, to świadomy wybór. Chce zachować życie prywatne dla siebie. Całkowicie to rozumiała.

Lukas wskazał na książkę, którą miała przed sobą Mette.

– Kto to napisał? – spytał.

– Ted Kaczynski – odparła. – To jego manifest. W przygotowanych przez niego zamachach bombowych w Stanach zginęło trzech ludzi, a wielu zostało rannych. Unabomber. Fragmenty jego manifestu zostały skopiowane przez Andersa Breivika. Czytał pan książkę Unabombera?

– Nie.

– Stała u pana na półce, jest dość sfatygowana.

Lukas spojrział najpierw na Mette, potem na książeczkę, jakby widział ją po raz pierwszy.

– Dziwne – powiedział, podnosząc szklankę do ust.

Mette zgarnęła materiały i oznajmiła:

– Proszę jeszcze zostać chwilę, pobierzemy od pana materiał genetyczny.

*

Pomysł był Lisy, a Olivia natychmiast go podchwyciła. Wybiorą się do knajpy, żeby się napić. Obie tego potrzebowały. Olivia po tym, jak się przemęczyła podczas przesłuchania Lukasa Bengtssona, a Lisa, bo nie zdążyły pogadać od czasu nocnej rozmowy w kuchni u Olivii. Lisa wyszła wtedy pełna sprzecznych emocji, od obaw do poczucia wyzwolenia. Obaw, bo całą swoją bolesną historię z Magnusem Larssonem zrzuciła na Olivię, z którą właściwie nie była blisko. A wyzwolenia, bo jednak to zrobiła. Opowiedziała komuś w realu o tym, co wcześniej anonimowo opisała w mediach społecznościowych.

Siedziały teraz w kąciu jednej z licznych knajpek w Vasastan, a na ich stoliku w kubelku z lodem chłodziła się karafka białego wina.

– Jak to fajnie trafić na kogoś, kto lubi pić w knajpie białe wino – odezwała się Olivia. – Za każdym razem, jak się z kimś umawiam, to wszyscy chcą pić czerwone albo piwo.

– Ja piję wszystko. – Lisa się uśmiechnęła. – Byle nie mieszać.

Uniosły kieliszki w geście toastu i spróbowały wytrawnego wina. Potem Lisa zaczęła.

– Dziękuję ci za ostatnie spotkanie – powiedziała. – Strasznie mi ulżyło po tej rozmowie, mam nadzieję, że nie zrzuciłam na ciebie kupy gówna.

– Ależ skąd. To znaczy w pewnym sensie rzeczywiście zrzuciłaś, ale poradzę sobie. Odzywał się do ciebie jeszcze?

– Nie, po tamtym esemesie już nie.

Po chwili Lisa spuściła wzrok.

– Wiem, że powinnam to ujawnić – powiedziała. – Po naszej rozmowie ciągle o tym myślę.

– Ale?

– Chodzi o Mette.

– Nie masz siły jej o tym powiedzieć?

– Nie.

– Ale gdybyś jej powiedziała, na sto procent stanęłaby po twojej stronie.

Olivia była tego pewna, jak i tego, że Lisa również o tym wie. Czyli nie wyznała całej

prawdy. Musiało być coś jeszcze. Należało opowiedzieć wszystkim, kim w rzeczywistości jest Magnus Larsson, ceniony ekspert od materiałów wybuchowych.

I chyba właśnie to było trudne.

– A ty wyglądałaś na totalnie wykończoną, kiedy przyszałaś w przerwie przesłuchania Lukasa Bengtssona – powiedziała Lisa, zmieniając temat.

– Naprawdę?

– Sama wiesz, że tak. Co tam się stało?

Olivia dołała wina sobie i Lisie. Muzyka w pubie rozbrzmiała jeszcze głośniej niż wcześniej, nie znosiła tego. Nachyliła się do Lisy, żeby nie musieć krzyżeć.

– Szkoda mi go – odparła.

– Bengtssona?

– Lukasa. Tak.

– Dlaczego?

Chyba musiała określić słowami te wszystkie niejasne rzeczy, które tkwiły w jej głowie, a może tylko się przelewały w emocjach. Siedziała naprzeciw Lisy, która powierzyła jej dręczącą ją tajemnicę, popijały razem dobre wino, nie miała powodu zasłaniać się przed nią ani robić uników.

Lisa zasługiwała na więcej.

– Poznałam go prywatnie, w jego mieszkaniu – powiedziała. – To było tego samego wieczora, kiedy do mnie przyszałaś. On jest malarzem, siedzieliśmy i gadaliśmy ze sobą, no i wywarł na mnie ogromne wrażenie.

– Dlaczego do niego poszałaś?

– Przeczytałam jego książkę i zafascynowała mnie.

– I coś się stało?

– Jak to: się stało?

– Czy ja wiem? U niego w domu? – dopytywała Lisa.

– Stało się w tym sensie, jak już mówiłam, że zrobił na mnie wielkie wrażenie, czego nie chciałam.

Musiała się napić. Pytania Lisy sprawiły, że poczuła się zapędzona do narożnika. Nie umiała ani nie chciała na nie odpowiadać.

– A potem zobaczyłam go – ciągnęła – na tym nagraniu z monitoringu i Mette zażyczyła sobie, bym uczestniczyła w przesłuchaniu.

– Nie powiedziałaś mu, że jesteś policjantką?

– Nie – przyznała Olivia.

– To dlatego wyglądałaś jak z krzyża zdjęta. No to sobie wszystko wyjaśniłyśmy.

Lisa uśmiechnęła się, ale nie na znak, że wszystko jest w porządku i można podążać naprzód, lecz raczej dając do zrozumienia, że sprawa okropnie się pogmatwała.

Jak sprawa z Magnusem Larssonem.

Posiedziały jeszcze, popijając wino, by oderwać się od policyjnej rzeczywistości i przejść do innych tematów, do swojej przeszłości, domów rodzinnych i ogólnej sytuacji na świecie. Kiedy już ustaliły, jak należy powstrzymać zmiany klimatyczne, przyszała pora, by opuścić lokal.

Wyszły na ulicę, gdy Olivia spytała:

– Zauważyłaś tego faceta w szatni?

– Nie, a kto to był?

– Anders Grytman.

– Ten ochroniarz?

– Tak, widziałam go podczas okazania.

Zgodziły się, że należy przyjrzeć mu się bliżej.

*

Tego samego wieczora prokurator Tova Hemmingson siedziała w gabinecie Mette, ubrana w ten sam surowy strój co ostatnio. Mette zamówiła jedzenie na wynos z pobliskiej niezłej tajskiej knajpki. Jadły z pudełek, z których unosiły się piękne zapachy, a w zasięgu ręki miały niskoprocentowe piwo. Tova Hemmingson w jednej ręce trzymała iPada z nagraniem z przesłuchania Lukasa Bengtssona, a w drugiej plastikowy widelczyk. Kilka razy zatrzymywała nagranie, cofała je i oglądała jeszcze raz.

Po przesłuchaniu i kilkakrotnym obejrzeniu nagrania Mette prawie odpływała. To jej ostatnia sprawa, kiedy ją zamknie, przejdzie na emeryturę. Długo odsuwała tę decyzję, na tyle długo, że prawie kosztowało ją to życie. Jednak decyzja w końcu zapadła. Po tej sprawie będzie koniec.

Słowo „koniec” uwierało ją.

Koniec z nią.

A przynajmniej z jej karierą w tym budynku – tak się próbowała pocieszać. Ze mną jeszcze nie koniec. Jestem seniorką, dobrze się trzymam i jestem dosyć sprawna. Mam przed sobą całe życie!

No...

Będzie co będzie. Ma kochającego męża, dzieci i wnuki, w których liczbie się niemal pogubiła, czego można chcieć więcej?

Mnóstwa rzeczy, według Mette.

Przede wszystkim adrenaliny. Tego kopa, gdy na biurko trafia sprawa o zabójstwo, zwłaszcza trudna do rozwikłania. Raczej nie poczuje tego kopa, gdy Mårten wbiegnie ze spoconą twarzą i na stole w kuchni położy tegoroczne osobiście wyhodowane nowalijki.

Musi się po prostu przestawić.

– Wydaje się, że facet ma nie po kolei w głowie – odezwała się prokurator Hemmingson.

Mette była tak zajęta myślami o Mårtenie, że aż się zdziwiła:

– Mój mąż?

– Lukas Bengtsson.

– Przepraszam, myślami byłam... A więc ty też tak uważasz?

– Tak. Jego odpowiedzi w wielu miejscach są bardzo dziwaczne.

– Tak. Czyli uruchamiamy paragraf siódmy? – spytała Mette.

– Zdecydowanie.

Co oznaczało, że Lukas Bengtsson będzie skierowany na co najmniej godzinną rozmowę z psychiatrą, który zdecyduje o ewentualnych dokładniejszych badaniach.

– Jak szybko możesz to załatwić?

– W ciągu jednego tygodnia – odpowiedziała prokurator Hemmingson.

*

Siedząc na klapie sedesu, Olivia próbowała wytrzeźwieć. Kwadrans wcześniej myślała, że treść żołądkowa opuści jej ciało inną drogą, ale przemogła się. Nienawidziła wymiotowania jako czegoś obrzydliwego pod względem czysto fizycznym, ale również z powodu żalosego widoku półnagiej postaci użalającej się nad sobą, wstrząsanej spazmami nad porcelanowym otworem.

Nalała sobie szklankę wody i wlała w siebie jej połowę.

Drugą połowę wypijała, idąc do kuchni. Nie zapaliła światła, wystarczało to padające z okna – nieistotne, czy był to blask księżycy, czy też ulicznych latarni. Usiadła przy stole

i wpatrzyła się w ciemność. „Staliśmy się więźniami i sami sobie zbudowaliśmy to więzienie”. Słyszała w głowie głos Lukasa, czuła ten żar, który się w nim nagle obudził, jakby po raz pierwszy przesłuchanie dotyczyło czegoś, co go naprawdę obchodziło. Niewolnicy techniki? Przypomniała sobie, jak podczas akcji poszukiwania terrorystów, przed wejściem do Mette, odkładała swoją komórkę do pudełka. Odkładamy komórki, żeby nikt nas nie podsłuchał, przecież to chore. A my to tak po prostu akceptujemy? „Zostaliśmy upodleni”. Rzeczywiście jesteśmy upodleni?

Osiągnąwszy ten etap w swojej dystopii, pomyślała, że chyba odważy się położyć do łóżka. Żołądek od pewnego czasu nie dawał już znać o sobie, czuła się potwornie zmęczona. Wślizgnęła się pod kołdrę. W tym momencie wróciły jak bumerang zawroty głowy. Olivia usiadła, zapaliła nocną lampkę i spróbowała głębokiego oddychania. Na szafce pod lampą leżała książka Lukasa. Wzięła ją do ręki i opadła na poduszkę. Zaczęła na chybił trafił przewracać strony, zobaczyła swoje podkreślenia, niektóre zdania zaczęła czytać półgłosem i wbrew sobie zagłębiła się ponownie w tekst.

Po pewnym czasie zawroty głowy zostały zastąpione przez coś znacznie trudniejszego.

Rozmyślania o Lukasiu w roli zamachowca.

Jakoś nie chciało jej się to poskładać.

Owszem, czytała groźby skierowane do Malin Brovall, jednak wtedy miał motyw, młody człowiek był wściekły i zrozpaczony z powodu wyroku na brata i utraty matki. Choćby się mylił. Jednak przejście od tego do wysadzenia w powietrze trzech osób, w dodatku ileś lat po tamtym wydarzeniu, wydawało się dziwne. I – jak sam powiedział – zagrożenie nie jest równoznaczne z zabiciem.

W końcu zamknęła książkę i postanowiła zrobić to, co musi. Powiedzieć Lukasowi o swoim kłamstwie.

Musi pójść do niego i wyrzucić to z siebie.

*

Tej samej nocy światło z lampy biurowej padło na starą drukarkę laserową. Kobieta uniosła urządzenie, zauważywszy wystający spod spodu zielony rożek. Szybkim ruchem wyciągnęła plastikową teczkę. Nie wiedziała, skąd się tam wzięła. Kobieta otworzyła ją, wypadł kawałek papieru. Siedząc na wózku, nachyliła się i podniosła go. Było to zdjęcie mężczyzny, nie znała go. Popatrzyła na nie, potem je odwróciła. Z tyłu był napis „Contamana”. Nazwa również nic jej nie mówiła. Wsunęła zdjęcie pod pled i zajrzała do teczki. Znajdowała się w niej tylko jedna kartka zapisana ręcznie ołówkiem, natychmiast rozpoznała charakter pisma. Czytała krótkie urywane zdania, mówiące o strachu i mężczyźnie z mroczną tajemnicą. Nie rozumiała ich. Ostrożnie wyjęła zdjęcie spod pledu i ponownie przyjrzała się nieznanemu mężczyźnie.

Czy to ten mężczyzna z tajemnicą?

*

Za oknem woda z topiącego się śniegu kapała z dachu całymi kaskadami, uderzając nierytmicznie o parapet. Mette tego nie zauważała. Zbliżała się pora lunchu, a ona siedziała za biurkiem, szlifując tekst przemówienia. Wiedziała, że jej odejście na emeryturę będzie miało uroczystą oprawę, że przyjdzie mnóstwo osób z policji, prawdopodobnie odbędzie się to w wielkiej stółowce komendy i że spodziewano się przemówienia. W jej wykonaniu. Nie było to pilne, najpierw miała rozwikłać sprawę Brovallów, a do ewentualnego procesu zostało jeszcze sporo czasu, ale wołała się przygotować. Nie przepadała za przemówieniami.

„Drodzy koledzy. Dziękuję za wspólne lata. *Skål!*” Czuła, że to trochę za krótko. Mårten

jej zasugerował, że mogłaby dodać coś zabawnego, jedno czy drugie śmieszne wspomnienie z lat spędzonych w policji, więc próbowała sobie jakieś przypomnieć. Zabawne wspomnienie albo anegdotę.

I tu się zacięła.

Czy rzeczywiście nie zdarzyło się nic śmiesznego? – zastanowiła się. To doprawdy godne pożałowania. A może to ja zapominam, kiedy jest już po wszystkim? Owszem, bardzo ją rozbawiło, gdy pewien mocno nie lubiany szef został wywalony z pracy za zadawanie się z prostytutkami, ale była to raczej złośliwa satysfakcja. Może nie powinna wyciągać tego w przemówieniu. Pewnego razu uczestniczyła w międzynarodowym spotkaniu wyższych oficerów policji i zaczęła swój referat od tego, że niechcący beknęła. Było to raczej niezręczne niż zabawne, chociaż u wielu wywołało chichot. O tym też wolałaby nie wspominać w przemówieniu.

Westchnęła i już miała odłożyć pióro, gdy rozległo się pukanie do drzwi, wszedł młody funkcjonariusz i podał jej dokumenty w plastikowej koszulce.

– Co to jest? – spytała.

– Raport dotyczący paragrafu siódmego w sprawie Lukasa Bengtssona.

Mette wyjęła papiery z koszulki. Niewiele było do czytania. Psychiatra, który rozmawiał z Lukaszem, zalecił pogłębione badanie psychiatryczne.

Kropka.

Mette odsunęła papiery i pomyślała o Olivii.

*

Olivia obudziła się ze sztywnymi plecami i bólem stawów. Wiedziała od czego. Denerwowała się przed tymi odwiedzinami. Teraz, idąc za strażnikiem więziennym, czuła lekkie mdłości, ale musiała zrzucić z siebie ten ciężar.

– Tutaj.

Strażnik wskazał drzwi i otworzył celę.

– Będę na zewnątrz – powiedział.

Olivia kiwnęła głową i weszła do środka. Strażnik zamknął za nią drzwi. Lukas siedział na prycy ubrany w jasnozieloną koszulkę i szare spodnie dresowe, był boso. Spojrzał w stronę drzwi.

– Kto ty jesteś? – spytał.

– Olivia...

– Pracujesz tutaj?

– Lukas.

Pochylił się, ciemne kędziory opadły mu na czoło. Na kolanach miał blok i trzymał w ręce ołówek. Czekala, aż znów na nią spojrzy.

Nie zrobił tego.

– Przyszłam, żeby cię przeprosić – zaczęła. – Powinnam była ci powiedzieć, że jestem policjantką. Chciałam to zrobić, kiedy byłam u ciebie, ale nie trafiła się odpowiednia chwila. Wtedy czułam, że nie ma to znaczenia, nie przyszłam do ciebie jako policjantka. Przeczytałam twoje teksty i byłam ciekawa, kim jesteś.

Białe kłamstwo albo racjonalizacja, pomyślała. Ale częściowo prawda.

Lukas wciąż patrzył w swój blok, jego ręka prowadziła ołówek po papierze.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że nasza rozmowa wiele dla mnie znaczyła, bez względu na to, co się stało potem. Często wracam do twojej książki.

Lukas nie reagował. Nachyliła się nieco, próbując złapać jego spojrzenie, ale jej się nie

udało.

– Jak się czujesz? – spytała.

Lukas, nie podnosząc wzroku, wciąż rysował na papierze.

Czy on słyszy, co do niego mówię? Ma to w nosie? Nie wiedziała, co zrobić. Powiedziała to, co chciała powiedzieć, przeprosiła. Może mnie też nienawidzi? W pewnym sensie ma prawo.

– Pójdę już – powiedziała, ale ciągle stała w miejscu.

Nie doczekała się reakcji, więc ruszyła do drzwi i wyciągnęła rękę w kierunku klamki. Wtedy dobiegł ją odgłos darcia papieru. Odwróciła się. Lukas wydarł kartkę z bloku i wyciągnął w jej kierunku.

– Prezent – powiedział. – Podpisany.

Olivia wzięła kartkę i spojrzała. Był to wysmakowany rysunek przedstawiający jej twarz, jej włosy, szczegółowy i bardzo wierny portret z delikatnymi cieniami wokół oczu i nosa. Tylko usta się nie zgadzały.

Nie było ich.

W rogu widniał podpis: „Bóg obdarty ze skóry”.

– Dziękuję – powiedziała. – Piękny.

Uśmiechnęła się do Lukasa, który patrzył jej prosto w oczy.

– Możesz mi dać alibi – powiedział cicho. – Byłem u ciebie tamtej nocy.

– Nie byłeś.

– A skąd wiesz?

Olivia zamknęła za sobą drzwi celi. Musiała się oprzeć o ścianę. Cała ta scena była dla niej bardzo nieprzyjemna. Nie dlatego, że nie patrzył na nią albo udawał, że nie wie, kim ona jest, nawet nie dlatego, że na rysunku nie miała ust. Odniosła wrażenie, jakby tam w środku była tylko ona, bez Lukasa. Aż do momentu, kiedy chciała stamtąd wyjść.

„Byłem u ciebie tamtej nocy”.

Dlaczego tak powiedział?

Mózg ludzki jest zadziwiającą konstrukcją o nieprzewidywalnych połączeniach. Właśnie teraz, w ciągu jednej mikrosekundy przez jej mózg przeleciała myśl: a może był?

Tę nedorzeczną myśl szybko zastąpiła znacznie rozsądniejsza: Lukas ma problem.

Luna szła od strony zarośli na skraju ośrodka. Trzymała w ręce komórkę, ale podchodząc do Toma, schowała ją do kieszeni. Rozmawiała z Mette i zdała jej raport z sytuacji.

A ta się nie zmieniła.

Tom był milczący, zamknięty w sobie, chociaż nie zgryźliwy. Smutny, zagubiony. Mette rzuciła pomysł, żeby wrócili, może jego stan się poprawi, gdy będzie miał wokół siebie więcej osób, które potrafią go rozruszać? Luna nie wierzyła w to. Tom unikał wszelkich kontaktów z kimkolwiek poza nią i Aditi. Nie zareagował nawet wtedy, gdy Luna opowiedziała mu o Minken i jego wspaniałych planach co do barki.

– Minken nigdy nie potrafi niczego doprowadzić do końca – zauważył tylko. – Kiedyś sobie ubzdurał, że zostanie kieszonkowcem wśród nudystów i będzie się z tego utrzymywać.

A potem wrócił do wpatrywania się w sufit.

Luna usiadła obok niego w drzwiach do bungalowu i spojrzała na jego twarz pozbawioną wyrazu. Kochała tego mężczyznę, a on ją kochał. Tu była jasność. Chodziło o to, żeby coś z tego wynikało. Tymczasem nie jest łatwo, gdy jedna z kochających stron, jak Luna, w pełni odnajduje się w życiu i swojej teraźniejszości, a druga, jak Tom, szuka jedynie cienia i ciszy.

Musiała jednak spróbować.

– Mette idzie na emeryturę – zaczęła. – Wkrótce.

– Wiem.

– Musi tylko rozwikłać tę sprawę zamachu bombowego.

Stilton skinął głową, zaczął masować sobie stopę, zapewne w geście ustępstwa wobec ambicji Aditi.

– Nie brak ci tego? – spytała.

– Czego?

Luna wiedziała, w co się pakuje, ale nie miała wyboru.

– Bycia w środku wydarzeń, przyczyniania się do sprzątnięcia tego bagna?

Stilton długo się w nią wpatrywał. Trudno było go rozgryźć. W końcu spojrzał na żółty piasek przed swoimi stopami, westchnął i powiedział:

– Masz bardzo piękne ramiona.

Luna była o krok od tego, żeby uderzyć go w twarz. Opanowała się, zdając sobie sprawę, że Tom wciąż ucieka, a jego uwaga to przejaw tej ucieczki. Mogłaby uznać, że chciał umniejszyć znaczenie jej próby nawiązania szczerzej rozmowy, potraktować ją jak powietrze. Tak jednak nie było, z czego zdała sobie sprawę, gdy powstrzymała się przed impulsywną reakcją.

– A ty masz paskudne palce u stóp – powiedziała.

– Co z nimi nie tak?

– Są takie jak ty.

Uśmiechnęła się i odeszła w stronę rozciągającego się nieco dalej ogrodu kwiatowego. Stilton patrzył za nią.

Jak długo ona to wytrzyma? – zastanawiał się.

Nie miał pojęcia, że wybuch w Sztokholmie, o którym dopiero co wspomniała, zmieni całkiem ich życie.

Lukas Bengtsson miał problemy psychiczne, i to poważne. Wynikało to z ekspertyzy sądowo-psychiatrycznej, która została przedstawiona kilka tygodni później i miała być wzięta pod uwagę podczas ewentualnego procesu. W tym czasie dwukrotnie przedłużono mu areszt, przeciw czemu nie protestował ani on, ani jego obrońca. Dla adwokata proces był medialnym

darem niebios i oznaczał spory zastrzyk finansowy. I to bez łamania zasad etyki zawodowej. Niektórzy adwokaci i tak tego nie robią, bo od początku ich nie uznają.

Gdy „najgorsza zima za pamięci ludzkiej” przeszła w „najcieplejszą wiosnę, odkąd wprowadzono regularne pomiary”, materiał dowodowy w śledztwie przeciwko Lukasowi Bengtssonowi jeszcze się powiększył. Najważniejszym dowodem była rękawiczka znaleziona obok wraku samochodu. Należała do Lukasa. Potwierdzono zgodność jego DNA z tym pobranym z rękawiczki. A więc jednak był obok samochodu tamtej nocy.

Mette i prokuratorka Hemmingson siedziały w gabinecie tej pierwszej, przeglądając zebrany materiał.

– Zaczynamy więc od tego, że Lukas Bengtsson nie przyznaje się do jakiegokolwiek udziału w zamachu – odezwała się prokurator Hemmingson, wertując papiery.

– Mamy dowody świadczące o jego obecności na miejscu zbrodni: zeznanie kierowcy autobusu, czapkę, wskazanie ochroniarza, nagranie z monitoringu, billingi z komórki i rękawiczkę – oświadczyła Mette.

– A z ekspertyzy sądowo-psychiatrycznej wynika, że jest niestabilny psychicznie – zauważyła prokuratorka.

– Groził Malin Brovall w mailu wysłanym do niej w noc przed zamachem.

– W mieszkaniu miał manifest Unabombera – dodała prokuratorka. – Jak mógł skonstruować bombę?

– Prawdopodobnie korzystał z instrukcji znalezionej w sieci, według Magnusa Larssona są na wielu stronach internetowych.

– Wchodził na takie strony?

– Nie – odparła Mette. – Mógł to jednak zrobić w pierwszej lepszej bibliotece.

– Ale nie znaleźliście żadnych śladów po konstruowaniu bomby?

– Nie.

Prokuratorka pokiwała głową.

– To nie są niezbite dowody – stwierdziła.

– Nie są – przyznała Mette.

– Niewiele dowodów rzeczowych – ciągnęła prokuratorka.

– Mail i rękawiczka.

– Mocne poszlaki, silny motyw oraz możliwość.

Mette przytaknęła.

– Może się przyzna podczas procesu – powiedziała. – Jeśli znajdzie się pod presją.

– Tak. To się już zdarzało.

Popatrzyły po sobie, zasadniczo były jednomyślne, chociaż jedną z nich dręczyło poczucie, że nie wszystko w stu procentach się zgadza.

Była to Mette.

– Wnoszę akt oskarżenia – podsumowała prokurator Hemmingson, wstając.

*

Informacja, że Lukas został postawiony w stan oskarżenia, dotarła do Olivii rano. Mette zawiadomiła ją przez telefon. Olivia właściwie nic na to nie powiedziała, zresztą i tak nie miała na to wpływu. Jeśli jest winny, musi być skazany, a jeśli nie, to tym lepiej dla niego. Jako utalentowany malarz i pisarz będzie wówczas mógł kontynuować swoją karierę. Uznała, że na tym się kończy jej znajomość z Lukasem. Znajomość krótka i intensywna, która zostawiła ślad.

Wsiadła do windy w komendzie, wcisnęła guzik i czekała, aż zamkną się drzwi – one jednak otworzyły się ponownie, bo ktoś je przytrzymał stopą.

– Cześć, Olivia, mogę jechać z tobą?

Uśmiech Magnusa Larssona był miły i przyjazny. Wsiadł i spytał, na które piętro jedzie. Okazało się, że on wysiada o jedno wcześniej przed nią. Odwrócił się do niej, nie zdając sobie sprawy, że Olivia stara się zapanować nad wzbierającymi emocjami.

– Podobno kierują oskarżenie do sądu? – spytał.

– Tak.

Winda mogła pomieścić osiem osób, ale Olivia miała wrażenie, że znalazła się w ciasnej jamie. Cofnęła się dwa kroki, ale Magnus przesunął się bliżej niej. Akurat tyle, ile się dało w windzie.

– Muszę cię przeprosić – powiedział. – Ostatnio nieodpowiednio się zachowałem, mówiłem tylko o sobie i całym tym nieszczęściu z Johannesem, nie dopuściłem cię do słowa. Jak wygląda twoje życie? Jesteś mężatką? Masz chłopaka?

– Nie.

– Taka piękna kobieta powinna kogoś mieć – zauważył z uśmiechem.

Olivię ścisnęło w żołądku, ten facet obok zgwałcił Lisę, a teraz insynuuje jej różne rzeczy. Musiała się zmobilizować, żeby nad sobą zapanować, zostały jeszcze dwa piętra.

– Może któregoś wieczoru wybrałabyś się na wino?

Na pewno się nie spodziewał spojrzenia, jakie mu rzuciła Olivia. Wyraziła nim wszystko to, co czuła wobec niego. Magnus aż się cofnął o krok.

– Ojej – powiedział. – Chyba znowu dałem plamę rodem ze starej szkoły.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo.

Powiedziała mu to prosto w twarz, tak dobitnie, że aż się sama zdziwiła. Mogła użyć innego tonu. Magnus zrobił zdezorientowaną minę, w tym momencie winda zatrzymała się na jego piętrze.

– Wsiadasz – powiedziała, kiwając głową w stronę otwierających się drzwi.

Magnus wysiadł, odwrócił się i spojrzał na Olivię. Miał teraz całkiem inny wyraz twarzy niż zaledwie parę sekund temu. Stał nieruchomo i patrzył, aż drzwi się ponownie zasunęły. Winda ruszyła, Olivia musiała się oprzeć o ścianę. Lisa zapewne nieraz widziała u Magnusa to spojrzenie ociekające pogardą.

W końcu nadeszła pora uroczystego pożegnania Mette. I to bynajmniej nie w stołówce komendy policji, bo do tego nie dopuścił Mårten. Postanowił, że impreza odbędzie się w ich wielkim domu w Kummelnäs. Protesty Mette okazały się nieskuteczne, w willi kłębili się teraz goście, którzy przyjechali specjalnie dla niej.

Mårten przez wiele dni latał jak oparzony, zależało mu, żeby wszystko się udało i było naprawdę uroczyście. Goście przybyli pożegnać odchodzącą Mette, dla niego rzecz przedstawiała się odwrotnie. Mette wracała do domu.

I Mårten postanowił to uczcić.

Wprawdzie dyskretnie i bez ostentacji, bo wiedział, jaki stosunek do swego odejścia ma sama Mette. Wcale jej się to nie podobało. Jednak była na tyle mądra, by zrozumieć, że przyszła już pora.

– Zdrowie wszystkim!

Mårten uniósł kieliszek, dołączyli do niego koledzy Mette, zarówno dobrze, jak i mniej mu znani. W tym momencie dobiegł do niego dźwięk dzwonka u drzwi. Był na niego wyczulony, niewielu gości go usłyszało. Sądziłem, że są już wszyscy poza Olivią, pomyślał. Może to ona?

I rzeczywiście.

Olivia weszła do przedpokoju, Mårten serdecznie ją uściskał.

– Niestety nie zdążyłam załatwić żadnego prezentu – powiedziała.

– W takim razie ty będziesz prezentem!

Cały Mårten.

Poszedł przodem, prowadząc ją do Mette.

– Jest Olivia! – powiedział, jakby dostarczył żonie cenne znalezisko z kopalni diamentów.

Mette ją uściskała, szepcząc jej do ucha:

– Trochę się nakreślił, bo myśli, że teraz będę już siedziała w domu.

– A nie będziesz?

– Czego się napijesz? – spytała Mette. – Jest prawie wszystko, czego możesz sobie zażyczyć.

– To poproszę bąbelki, ze względu na niego.

Obie się uśmiechnęły, świadome łączącej je więzi, sięgającej daleko w przeszłość.

Olivia poszła się pokreślić wśród gości. Tylko jednej osobie wychodziło to jeszcze gorzej niż jej.

Tomowi Stiltonowi.

Tym razem był z tego zwolniony.

Pewnie siedzi na jakiejś plaży i rozbija orzechy kokosowe, pomyślała nie bez zazdrości. Z przyjemnością usiadłaby obok. Tu musiała się uśmiechać, studząc zapały niektórych ledwo sobie znanych kolegów z komendy.

– Olivia, chodź tu!

Mårten kiwnął na nią. Stał w rogu pokoju razem z Mette i paroma innymi osobami. Olivia podeszła do nich.

– Rozmawiamy o Lukasz Bengtssonie, bo właśnie odbyła się ostatnia rozprawa – wyjaśnił. – Co sądzisz?

– O czym?

– Jak to się skończy?

Olivia nie była gotowa na to odpowiadać i przerzuciła pytanie do stojącej obok Mette.

– A ty jak myślisz?

– Z prawnego punktu widzenia jest to skomplikowane – odparła. – Proces jest poszlakowy, więc może być różnie. Łańcuch dowodowy ma pewne słabe ogniwa, z drugiej strony obciążają go okoliczności wskazujące na jego winę.

– A osobiście co myślisz? – spytała Olivia.

– Dochodzenie prowadziłam, zakładając, że jest winny. To, co myślę, nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma.

– Dlaczego? Jesteśmy policjantkami, wykonujemy, co do nas należy, nie wydajemy wyroków.

– To żadna odpowiedź. Wierzysz, że on jest winny?

Mette poczuła irytację, nie chciała być zmuszana do odpowiedzi i nie chciała, żeby Olivia dowiedziała się o jej wątpliwościach. Czowała, że Olivia wypatruje jakiejś iskiej nadziei, ale nie zamierzała jej w tym pomagać.

– Wierzę, że jest winny – odparła. – Jeszcze szampana?

Olivia spojrzała za Mette, która ruszyła do gości, aby dolać im alkoholu do kieliszków. Kłamczucha, pomyślała, ty też masz wątpliwości.

Znała ją.

Rozweseleni i zadowoleni goście wyszli kilka godzin później. Na stanowcze nalegania Mette została grupka osób jej najbliższych. Abbas, Olivia i Lisa. Bosse był usprawiedliwiony, musiał się wyspać, bo jutro miał od szóstej rano grać w hokeja na trawie.

– Usiądźmy w kuchni – zarządziła Mette.

Rozsiedli się wokół wysłużonego drewnianego stołu, zapalili świece w dwóch pięknych kandelabrach, nalali sobie wina i oddelegowali Mårtena do przyszykowania jakiejś przegryzki.

– Bardzo ładnie przemawiałś – stwierdziła Olivia.

Po paru miesiącach dłubania Mette ułożyła w końcu przemówienie równie emocjonalne, co błyskotliwe i dowcipne. Zawarła nawet epizod z beknięciem na konferencji dla dowódców, wywołując śmiech u gości, którzy mieli nieograniczony dostęp do trunków.

– Dzięki – powiedziała Mette, patrząc na grupkę siedzącą przy stole. – Ale będzie mi was brakowało.

Zaraz uderzył w sentymentalne tony, pomyślał Mårten, ale w taki wieczór to normalne.

– Tylko szkoda, że Magnus nie mógł dzisiaj przyjść – ciągnęła Mette. – Chciałam mu podziękować, był wielkim oparciem w dochodzeniu w sprawie zamachu, prawda?

Uśmiechnęła się i potoczyła wzrokiem po siedzących przy stole. Zatrzymała spojrzenie na Lisie.

– Mnie nie szkoda – odpowiedziała Lisa.

– Dlaczego?

– Zgwałcił mnie.

Lisa powiedziała to spokojnie, patrząc Mette prosto w oczy. Zapadło milczenie, wszystkich obecnych jej wypowiedź zmroziła. Mårten odwrócił się od blatu, przy którym przygotowywał przekąski, i spytał:

– Coś ty powiedziała?

– Magnus Larsson mnie zgwałcił. To było jeszcze w szkole policyjnej. Do tej pory wiedziała o tym tylko Olivia.

Zaciśnięte szczęki Abbasa zdradzały, co się z nim dzieje. To samo mówiły trzęsące się ręce Mette. Olivia nie odrywała oczu od Lisy, nie mogła uwierzyć, że Lisa powiedziała to tu i teraz. Pomyślała, że jest niezwykle dzielna, musiało jej być bardzo trudno.

– Idę do łazienki – powiedziała Lisa, wstając.

Wyszła, zapewne rozmyślnie, żeby Olivia dokończyła za nią. Nie miała siły relacjonować szczegółów swego związku z Magnusem i liczyła, że zrobi to Olivia.

I tak też się stało.

Olivia powtórzyła słowa, które Lisa wyrzuciła z siebie u niej w kuchni, między innymi o esemesach Magnusa, dodała, że ją też próbował podrywać w windzie. A wszystko sprowadzało się do tego, co przed chwilą dwukrotnie powiedziała Lisa.

Że Magnus Larsson ją zgwałcił.

– U niej w mieszkaniu? – dopytał Abbas.

– Tak.

Mette milczała, gdy Olivia mówiła. Opanowała szok i włączyła wewnętrznego autopilota ostrzegającego ją przed niewłaściwą reakcją. Tu i teraz potrzebna jest rozważa i od tego zależy następny krok.

Czekała na Lisę, a po jej powrocie podeszła do niej i ją objęła.

– Masz dwa wyjścia – oznajmiła cicho. – Ale cokolwiek postanowisz, masz moje pełne poparcie. Jedno to upublicznienie wszystkiego, musiałabyś dokładnie opowiedzieć, co się stało. Drugie to pozostawienie mnie załatwienia sprawy w ramach struktur policji. Twoja decyzja. Pierwsze wyjście będzie dla ciebie bardziej wyczerpujące psychicznie, uszanuję to i oczywiście będę cię wspierać. Jeśli zdecydujesz się na drugie i zostawisz to mnie, Magnusowi będzie być może łatwiej, ale konsekwencje w pracy okażą się dla niego druzgocące.

Lisa kiwnęła głową i pozostała jeszcze chwilę w objęciach Mette.

Olivia i Lisa wyszły razem, Abbas został jeszcze, żeby pomóc Mårtenowi posprzątać, a Mette zeszła na dół do swego warsztatu garncarskiego.

– Bardzo mi zaimponowałaś – powiedziała Olivia, obejmując Lisę ramieniem.

Szły na dość odległy przystanek nocnego autobusu, było bezwietrznie i wiosennie ciepło.

– Poczułam, że muszę to powiedzieć – odparła Lisa. – Wcale tego nie planowałam.

– Okazja była idealna.

– Tak uważasz?

– Tak. Mette była całkowicie nieprzygotowana i nie miała czasu się zastanawiać, a wtedy do głosu dochodzą jej najlepsze cechy.

Lisa przytaknęła, ona również odbierała Mette w ten sposób. W podbramkowych sytuacjach Mette okazywała się prawdziwą opoką.

*

Na kole garncarskim obracał się kawał gliny, Mette wbiła palce w błotnistą masę bez konkretnego zamiaru. Nie zamierzała niczego formować, chodziło o to, żeby dać upust wściekłym emocjom.

Powiedziała Lisie prawdę. Nie były to słowa pocieszenia, w każdym razie nie tylko. Sprawa była jednak delikatna i złożona, chodziło o to, by nie narazić Lisy na różne przykre sytuacje. Magnus miał w policji niezwykle silną pozycję, konsekwencje oskarżenia go o gwałt będą druzgocące. Z jej punktu widzenia nie było to istotne, chodziło jej o Lisę. Łatwiej byłoby, gdyby Lisa nie poszła z tym do mediów, bo nie musiałyby odpierać ataków z własnych szeregów. Mette już miewała do czynienia z fałszywie pojmowaną solidarnością kolegów w policji. Jeśli będzie pilotować tę sprawę, na nią spadnie część odpowiedzialności za upokorzenie Magnusa, ale nie miała nic przeciwko temu i chybaby tak wolała.

Decyzja należała jednak do Lisy.

Pochyliła się, w leżącej przed nią bryłce gliny zobaczyła jakby uśmiechniętą twarz Magnusa i poczuła ogromny zawód. Magnus? Człowiek, którego zawsze tak ceniła i szanowała,

z którym spotykała się również prywatnie. Gwałciciel i drapieżca seksualny?

Jak mogłam być taka ślepa? – pomyślała.

Pogoda była przepiękna. Był to jeden z tych dni, gdy słońce w swej szczytowej formie tworzy enklawy ciepła przy budynkach i drzewach w parkach. Taki dzień to sama radość, kiedy wychodzi się na zewnątrz.

Ale co z tego?

Olivia szła powoli przez Skinnarviksparken, ale nie czuła tego wszystkiego, czym się cieszyli inni. Mocno naciągnęła na głowę szarą czapkę, ręce wsunęła do kieszeni. W każdej chwili – w tym momencie albo za pół godziny – mógł zapasć wyrok w sprawie Lukasa. Wolą nie być na sali sądowej, nie chciała widzieć jego reakcji. Mette uszanowała to, chociaż trochę się zdziwiła.

Znów.

Rozumiała, że Olivia doświadczyła czegoś, czego nie powinna, wykonując ten zawód: zaangażowania emocjonalnego na niewłaściwym poziomie. Nie podobało jej się to. Olivia była jej wychowanką. Z drugiej strony nie zdarzało się to aż tak rzadko, jak twierdzą policjanci, bo głębokie zaangażowanie bywa wstępem koniecznym do rozwikłania trudnej sprawy i nierzadko zostawia w dochodzeniowcach głębokie ślady.

Ale to część tego zawodu. Trzeba się nauczyć sobie z tym radzić. A Olivia radziła sobie w ten sposób, że chodziła bez celu, nie zwracając uwagi na otoczenie, zanurzona w pustce, i to na tyle głęboko, że dopiero po dłuższej chwili usłyszała dzwonek telefonu.

– Cześć.

Była to Mette.

– Lukas został skazany, choć do końca się nie przyznał. Jeden ławnik zgłosił zdanie odrębne.

Olivia tego wysłuchała. Już wcześniej przygotowywała się na to, że Lukas prawdopodobnie zostanie skazany.

– Co go czeka? – spytała.

– Leczenie w zakładzie zamkniętym.

– Dlaczego?

– Wzięli pod uwagę orzeczenie sądowo-psychiatryczne.

– A co w nim było? – dopytywała.

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

Mette oczywiście rozumiała dlaczego, ale wolałaby, żeby Olivia przestała w końcu zajmować się Lukaszem Bengtssonem. Zgłębianie jego psychiki raczej niczego nie zmieni.

– Chcę wiedzieć, co mu jest – odparła.

– Jest chory psychicznie.

– Ale czym się to przejawia?

– Olivia, zostaw to wreszcie. Został skazany.

Olivia się rozłączyła, schowała telefon do kieszeni. Leczenie w zakładzie zamkniętym? Po raz pierwszy spojrzała na Riddarfjärden, zobaczyła promienie słońca tańczące na wodach zatoki. Jak pięknie, pomyślała i się rozplakała.

Kobieta na wózku pojechała z Mae Phim do Bangkoku, zatrzymała się w eleganckim hotelu Oriental i spędziła dwa dni obok basenu, obsługiwana przez uprzejmych kelnerów, przynoszących wilgotne lniane ręczniczki i pyszne kanapeczki. Pozwoliła sobie na ten luksus.

Siedząc w pewnej odległości od basenu, obserwowała chudego mężczyznę w średnim wieku, który przed chwilą zanurkował. Zainteresowała się nie tyle białym ciałem mężczyzny, ile jego twarzą, którą zobaczyła kilka minut temu; szok jeszcze nie ustąpił. Ręce jej drżały, wbiła sobie paznokcie w dłoń, pomiędzy palców pociekła krew. Usiłując się uspokoić, parę razy zaczerpnęła głęboko powietrza.

Było kilka minut po drugiej.

Wjechała w cień, czekając, aż mężczyzna wynurzy się z wody. Trwało to chwilę. Dotarł prawie do drugiego końca basenu, zanim wyłoniła się jego głowa, a ciało zwolniło. Dźwignął się lekko, wyskakując na brzeg basenu, i się rozejrzał. Przyglądał się głównie dwóm młodym kobietom na ogrodowej otomanie. Żadna z nich nie patrzyła na niego. Przeciągnął dłonią po mokrych włosach, odwrócił głowę i rzucił spojrzenie na siedzącą w cieniu kobietę na wózku. Uśmiechnęła się lekko. Zdawała sobie sprawę, że zobaczył mniej więcej to, co wszyscy, czyli nieszczęsną kalekę ze zdeformowaną twarzą. Przyzwyczaiła się.

Wiedziała też, czego ten mężczyzna nie zobaczył.

Kwadrans później, wyjeżdżając z wielkiego hotelowego westybulu, już miała pomysł, od czego zacząć. Zatrzymała się za szklanymi drzwiami, wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła pod pewien sztokholmski numer.

Lukas Bengtsson próbował zrozumieć, co się stało. Został skazany na leczenie w zakładzie zamkniętym, ale nie wiedział tak naprawdę, co to oznacza. Siedział na łóżku, przed sobą miał jedną ścianę, za sobą drugą. Rozdzielała je granitowa podłoga, po lewej stronie znajdowała się umywalka. Tkwił tu od kilku tygodni, zastanawiając się, na czym ma polegać jego choroba. Co jest z nim nie tak? Zakładał, że chodzi o obraz z bladeżółtym koniem, o to, kim był on sam, gdy namalował to monstrum.

Jednak nie miał co do tego pewności.

Parę razy zaprowadzono go do mężczyzny w białym fartuchu, człowieka o miłym spojrzeniu i niskim głosie, który rozmawiał z nim i zadawał pytania. Podczas ostatniego spotkania położył przed Lukasem blok i kilka ołówków i kazał mu rysować.

– Co mam rysować?

– To, o czym myślisz.

Następnie mężczyzna wyszedł, a Lukas myślał o tym, co ma rysować.

Jak miałbym to narysować?

Innym razem ten człowiek pytał go o jego obrazy i co stara się w nich wyrazić.

– Nic. Malując, próbuję pozbyć się cierpienia.

– Co to za cierpienie? Jak byś je opisał?

– Nie wiem, jak okrąglą linijkę.

Lukas oparł się o ścianę. Usiłował uporządkować kolejność wydarzeń. Pewnego razu podczas procesu spróbował wyjaśnić symbolikę żeber, przekazać, że namalował samobójstwo mamy. Nikt na to nie zareagował. Może użył niewłaściwego języka? Olivia go zrozumiała, kiedy była u niego w domu. Aż otworzyła usta, gdy opisał oskórowanego boga, potem je zamknęła.

Policjantka.

Dlaczego mu tego nie powiedziała?

Starał się to poukładać. Dlaczego nie powiedziała, że jest policjantką? A może nie miało to żadnego znaczenia? Może nie zaprzętała sobie tym głowy?

Oparł się o umywalkę, dotknął jej krawędzi czołem, jego ciemne kędziory zwisły przy odpływie.

Dlaczego tu jestem?

Podniósł głowę i wtedy do pomieszczenia weszły dwie kobiety, jedna z nich miała w ręce nożyczki.

– Co to jest? – spytał.

– Chciałeś, żeby ci ściąć włosy.

– Ja tak powiedziałem?

Kobiety spojrzały po sobie.

Słońce przypiekało mocno wszędzie tam, gdzie nie było cienia, dlatego Stilton i Luna siedzieli pod dwiema wielkimi palmami. Każde z nich ćwiczyło na swój sposób. Luna wykonywała jakąś bardziej skomplikowaną pozycję jogi z zestawu Aditi, a Stilton skupiał się na podstawach, czyli tym, z czym jego ciało radziło sobie po latach bardzo odległych od dobrostanu. Uniósł ręce i poruszał nimi nad ciasno skrzyżowanymi nogami, jednocześnie wyobrażając sobie, że jego łąkotki chrzęszczą, szepcząc do siebie.

Pojawiła się Aditi, jak zwykle z zaróżowionymi policzkami. Każda zmarszczka na jej twarzy nasuwała na myśl słowa Majów: „Twoja twarz promienieje miłością do światła!”. Zgarnęła ręką fałdy cienkiej zielonej sukni i usiadła miękko naprzeciw Stiltona.

– Dobrze – odezwała się.

– Co takiego?

– Jesteś coraz elastyczniejszy.

– Co ty powiesz.

Aditi zignorowała ten sarkazm, była przyzwyczajona, że jej przyrodni brat zawsze musi zaznaczyć swój męski rewir.

– Dzwoniła Veronica Wadner – powiedziała. – Chciałaby się z tobą spotkać.

– Ze mną? Dlaczego?

– Nie powiedziała, chce ci opowiedzieć o czymś, co jak sądzi, cię zainteresuje. Wydaje się, że bardzo jej zależy.

– Tak?

Stilton opuścił ręce i spojrzał na Lunę.

– A ty wiesz, o co chodzi?

– Nie, nie mam pojęcia.

Stilton wyprostował nogi, wychodząc z niewygodnej pozycji; czuł, że go obserwują. Krety spędzają całe życie pod ziemią, pomyślał, są półślepe, i nikt im nie mówi, żeby się spotykały z nieznanymi kobietami. Dlaczego ja miałbym to zrobić?

– Nie mam na to większej ochoty.

– Myślę, że dla niej byłaby to dobra rzecz – powiedziała Aditi.

– Dlaczego?

– Po pierwsze dlatego, że jest okropnie samotna, nie wydaje się, żeby miała tutaj wielu znajomych, a po drugie, nie prosiłaby, gdyby to nie było dla niej ważne.

Stilton widywał przelotnie tę kobietę w ośrodku, ale nigdy ze sobą nie rozmawiali. Nie wiedział o niej nic poza tym, że jest Szwedką. I nie miał pojęcia, co jej się przytrafiło.

– Co o niej wiesz? – spytał.

– Niewiele, kilka razy medytowaliśmy razem, ona nie opowiada o sobie, ale wyczuwam w niej przeraźliwy smutek.

Aditi umilkła, usiłując złapać spojrzenie Stiltona.

– Nie mógłbyś zrobić tego dla mnie? – poprosiła.

Stilton popatrzył na Lunę, która najwyraźniej była skłonna przyłączyć się do Aditi.

– Gdzie ona mieszka? – spytał wreszcie.

– Nad zatoką, na samym końcu.

*

Siedziała przy oknie, patrząc na morze, i rozmyślała o tym, że w jej stanie następuje

zmiana. Już raz tak było, gdy to niepojęte przeszło w apatię, a później w coś, co świat nazywa żalobą, co ścisnęło jej płuca i wydobywało się wraz z oddechem w postaci drobnego czarnego pyłu.

Teraz to się znów zmieni.

Żaloba została, a właściwie jej pogłos, ale teraz towarzyszyło jej coś jeszcze, pojawiało się w równych odstępach. Zamknęła oczy, usiłując zrozumieć, co czuje, o co chodzi. Otworzywszy je, zobaczyła przy basenie jego twarz.

Tę samą co na małym zdjęciu, które pewnej nocy wiele miesięcy temu wypadło z zielonego plastikowego skoroszytu wraz z zapisaną ręcznie kartką o zadziwiającej treści.

Skręciła lekko wózek, by spojrzeć na ostatni rąbek słońca odcinany przez horyzont. Wkrótce zacznie się zmierzchać i szybko zrobi się ciemno, tak już tutaj jest. Lubiła ciemność z wielu powodów, między innymi dlatego, że skrywała i spłaszczala jej niepokój. W ciemności szeptanie do siebie wydawało się naturalniejsze.

Zdawała sobie sprawę, że jej życie znów się zmieni. Nie oczekiwała tego, otuliła się żalem złożonym w trumnie, w której zamierzała zatonać w morzu. Tak to sobie umyśliła.

Teraz miało się stać inaczej.

Zauważyła, że jej dłonie znów zaczęły drżeć, chwyciła mocno podłokietniki, musiała się napić dzinu.

Plaża pod Mae Phim była długa i bardzo popularna, w dni świąteczne przychodziły na nią tłumy miejscowych i przyjezdnych, całe rodziny. Na poboczu wzdłuż drogi pojawiły się uliczne bary, mocne zapachy przypraw rozchodziły się między piniami. W tygodniu spacerowali nad wodą głównie zamieszkałi na stałe cudzoziemcy ze swoimi dobrze odżywionymi pieskami.

W środę o zmierzchu było prawie pusto. Dom Veroniki Wadner miał stać na samym końcu plaży, na skraju dżungli. Stilton nie spieszył się, zgodził się pójść tylko ze względu na Aditi. Po wejściu na plażę zdjął buty i wędrował boso. Wkrótce znów je włożył, bo nieustannie musiał omijać dziurawe plastikowe butelki, meduzy wyrzucone przez fale i pojedyncze strzykawki. Powoli szedł w stronę krańca plaży od strony drogi oznaczonej podartymi zielono-białymi chorągiewkami na niskich żerdziach; bliżej wody leżały czarne piękne kłoc drewna wyrzucone przez morze.

Nie było to coś, na co by zwracał uwagę, pogrążony w rozmyślaniach zatrzymał się tylko raz, gdy tuż przed nim uniósł się z piachu długi żółto-czarny wąż. Podejrzał, że to niemrawiec indyjski, którego ukąszenie jest bardzo niebezpieczne, chyba że w ciągu pięciu minut wstrzyknie się surowicę. Więc przystanął i się rozejrzał. Może przejść nieco wyżej i go obejść? Chyba lepiej nie, żeby nie sprowokować go do niewłaściwej reakcji. Stał nieruchomo, patrząc na piasek. Obok leżały orzech kokosowy i uszkodzony pilot do telewizora, przedmioty raczej niekompatybilne ze sobą. Stilton uśmiechnął się lekko, a kiedy podniósł wzrok, węża już nie było. W każdym razie zniknął z jego pola widzenia.

Ruszył, ale teraz był uważniejszy niż wcześniej i szedł trochę szybciej. Mimo wieczornej pory temperatura wynosiła aż trzydzieści stopni i koszulka lepiła mu się do piersi. Rozejrzał się parę razy za dziewczynką z zieloną gumką we włosach, ale nigdzie jej nie dostrzegł.

W końcu zbliżył się do czegoś, co mogło być domem. Bardzo dziwnym, w połowie zrujnowanym, stojącym częściowo na palach i niemal całkowicie zarosniętym zielenią. Na piętrze znajdowała się sześciokątna oszklona weranda wychodząca na morze, przed oknami unosiły się wielkie roje ważek. Stilton szukał drzwi od frontu, ale bezskutecznie. Przedarł się przez gęstwinę i wdrapał na poziom piętra, gdzie znalazł podniszczone drzwi, szarozielone, z przyczepionym do nich długim warkoczem. Nie było dzwonka, a więc pociągnął za ten warkocz. Żadnej reakcji. Gdyby dom znajdował się parę kilometrów bliżej ośrodka, zawróciłby.

Teraz jednak nacisnął klamkę i pchnął drzwi. W środku było ciemno. Zrobił krok, wchodząc do przedpokoju, i powiedział „halo”. Cisza, dopiero po chwili usłyszał słaby ochryply głos.

– Dziękuję, że przyszedłeś.

Głos dobiegał z ciemności w głębi pokoju po przeciwnej stronie. Stilton zrobił kilka kroków w tym kierunku i znalazł się w pomieszczeniu, które przechodziło w sześciokątną oszkloną werandę. Uderzył go zapach mięty. Nisko zawieszona lampa ścienna rzucała światło na lśniące stare deski podłogowe i niewiele więcej. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do mroku, dojrzał zarys kobiecej głowy zwróconej do okien.

– Veronica? – zapytał.

Kobieta odwróciła się z wózkiem i spojrzała w jego stronę.

– A któż by inny?

Nadal nie widział jej twarzy.

– Usiądź – powiedziała.

Wskazała smukły skórzany fotel odsunięty nieco od ściany. Stilton podszedł i usiadł ostrożnie, niepewny jego wytrzymałości. Veronica miała na sobie ładną prześwitującą bluzkę, lewą nogę owinęła jasnozielonym sari.

– Domyślam się, że wiesz, kim jestem – powiedziała.

– Widziałem cię u Aditi.

– Trudno mnie nie zauważyć.

Uśmiechnęła się lekko, co mu umknęło w ciemności.

Stilton rozejrzał się po pokoju, gasnące światło na zewnątrz i nisko umocowana lampa pozwoliły mu zorientować się częściowo we wnętrzu, które było bardzo niejednorodne. Na jednej ścianie drewniany regał pełen książek, z ustawionym na najwyższej półce statkiem w butelce. Na drugiej ścianie kilka brokatowych tkanin. Na suficie kręcił się, zgrzytając, stary drewniany wentylator, na podłodze stały tu i ówdzie przedmioty, które trudno było zidentyfikować. Wyjątek stanowił okrągły stolik barowy umieszczony w zasięgu ręki kobiety na wózku. Zobaczył też, że trzyma ona wysoką szklankę.

– Chciałaś ze mną porozmawiać – stwierdził.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo byłeś policjantem.

Przez kilka sekund trawił tę informację, pochodzącą oczywiście od Aditi, co go bynajmniej nie zachwyciło.

– Byłem. Dawno temu. O czym chcesz ze mną rozmawiać?

– Jeszcze do tego wrócę.

Veronica upiła ze szklanki i patrzyła na Stiltona, gładząc podłokietnik drugą ręką. Nie rozumiał, do czego to prowadzi, ale zważywszy na węża i ciemność, gotów był jeszcze trochę zostać. Ich spojrzenia spotkały się w mroku, a Stilton zadał pytanie, które się wręcz narzucało.

– Co ci się przydarzyło?

– Zło.

Odpowiedź padła szybko, niemal przed pytaniem, i nie miała dalszego ciągu. Stilton zrozumiał, że te drzwi są zamknięte. Na razie. Obserwował Veronicę, prawą nogę obciętą na wysokości uda, zniekształconą twarz, oczy jak dwie małe dziurki w napiętej lśniącej skórze, nos, który był jedynie kawałkiem chrząstki nad ustami bez warg, falę ciemnych włosów opadających częściowo na twarz. Przypuszczał, że to peruka. Veronica widziała, jak Stilton odczytuje to wszystko, i się uśmiechnęła.

– Nie zwracaj uwagi na twarz – powiedziała. – Traktuj ją jak groteskową maskę, którą

zdejmuję w nocy. Pijesz dżin?

– Czasami.

Veronica sięgnęła do barku i wprawnymi ruchami przygotowała mu dżin z tonikiem. Stilton obserwował jej piękne dłonie. W jego oczach takie ręce zawsze były zmysłowe; dostrzegł również kształtne ciemnoczerwone paznokcie.

– Masz piękne dłonie – powiedział.

Wyciągnęła do niego rękę ze szklanką.

– Bardzo marna pociecha.

Stilton wstał i wziął drinka.

– *Skål* – powiedziała.

Stilton upił łyk i znów usiadł. Drink był dobrze zmieszany. Veronica podjechała wózkiem do okna, zatrzymała się odwrócona do Stiltona tyłem i przez chwilę milczała.

– Boisz się, kiedy jest ciemno? – spytała w końcu.

– Zdarza się. Ale nie boję się ciemności, jeśli o to ci chodzi.

– Nie o to.

Spojrzała przez okno. Zmierzch przeszedł w czarną noc, nieboskłon był upstrzony gwiazdami.

– Kanopus – powiedziała.

– Kanopus?

– Tam na górze, w gwiazdozbiorze Kila, to najjaśniejsza gwiazda po Syriuszu. Wiedziałeś o tym?

Stilton nie znał się na astronomii, potrafił rozpoznać Wielki Wóz i Pas Oriona, cała reszta to były po prostu gwiazdy. Jego dziadek, poławiacz fok, czasem gdy niebo nad Rödlögą było czyste, zabierał go na skałki i pokazywał mu różne formacje. Dla dziadka była to wiedza gwarantująca przeżycie na morzu. Liczył, że Stilton tak jak on wybierze życie na morzu, ale tak się nie stało. Jednak tamtej nocy, gdy dziadek umierał w swojej chacie, chwycił rękę Stiltona w swoją znacznie większą dłoń i wyszeptał: „Będzie dobrze tak czy tak”.

Stilton znajdował się teraz w takim momencie swego życia, że nie miał tej pewności. Tak czy tak dobrze. Jednak winą za to nie mógłby obarczyć starego poławiacza fok.

– Nie, nie wiedziałem – odparł. – Nie za bardzo znam się na gwiazdach.

– Spod jakiego znaku jesteś?

– Wagi. A ty?

– Mam mój znak na plecach.

– Tatuaż?

– Nie, zespół plam wątrobowych, które ułożyły się w znak Skorpiona.

Zaskoczyła go ta niespodziewana poufałość, przecież był dla niej kimś obcym, przelotnym znajomym z ośrodka Aditi. A jednak wydało mu się to naturalne. Wypił kolejny łyk i spojrzał w stronę okien.

– Długo tu mieszkasz? – spytał.

– Nie wiem dokładnie, zmieniło mi się poczucie czasu, pamiętam, że padało, kiedy tu przyjechałam, potem zrobiło się gorąco i nazjeżdżali się turyści. Czas nie jest ważny, płynie raz tak, raz tak.

Znów się odwróciła z wózkiem, światło wschodzącego księżyca zaśniło na jej napiętej skórze, poruszała ustami, ale Stilton nie wychwycił słów.

– Nie słyszę, co mówisz – powiedział.

– Przepraszam. Przyzwyczaiłam się szeptać, przeważnie sama do siebie. Jak to się stało, że się tu znalazłeś?

– Gdzie? W Tajlandii?

– Tak. Domyślam się, że masz jakąś przeszłość.

– Jak każdy.

– Nie. Większość ludzi nie ma przeszłości. Każdy dzień wygląda u nich tak samo jak poprzedni, powtarza się przeszłość, to co się dzieje, już się wydarzyło i wydarzy się ponownie. Ty nie jesteś taki. Jak wygląda twoja przeszłość?

Stilton się zaciął.

Nie wiedział, na czym to polega, po prostu poczuł, że znalazł się w miejscu zupełnie mu nieznanym. Z wielu powodów, nie tylko ze względu na szczególną atmosferę, sugestywne otoczenie czy tę ekscentryczną kobietę. Chodziło o miejsce w nim samym, o którego istnieniu nawet nie wiedział. A kluczem do niego było morderstwo.

Przemknęło mu to przez myśl, zanim w końcu odpowiedział.

– Moja przeszłość to długa nieustanna walka o przetrwanie. Uciekając od przemocy, trafiłem na platformę wydobywczą, potem poszedłem do policji i znów zostałem wepchnięty w przemoc, nie dałem jej rady, wpadłem do rynsztoka, wydostałem się stamtąd... A teraz nie do końca wiem, w jakim miejscu się znajduję.

– Tutaj.

– To znaczy?

– W teraźniejszości.

Podjechała do barku i ponownie z wprawą przygotowała dwa następne drinki, jeden podała Stiltonowi. Wziął szklankę i wtedy ogarnął go dziwny spokój. Sam nie wiedział, czy chodzi o alkohol, nastrój, czy o tę kobietę, ale poczuł, że chętnie tu jeszcze posiedzi.

Poza tym, jak powiedziała, mają jeszcze powrócić do powodu spotkania.

Zaciekawiło go to.

– Pogodzenie się z własną niedoskonałością.

Powiedziała to cicho, patrząc w dół na szklankę.

– Doszłam do tego w pewnym momencie wiele lat temu – ciągnęła. – W życiu chodzi o pogodzenie się z własną niedoskonałością. To taka egzystencjalna myśl, która przyszła mi do głowy w zupełnie innym życiu. Dziś patrzę na siebie w lustrze i zdaję sobie sprawę, że ta myśl ma teraz zupełnie inne znaczenie. Muszę godzić się z całkiem inną niedoskonałością.

– Z niepełnosprawnością?

– Z przekształceniem z człowieka w stworzenie.

Uśmiechnęła się, ale nie patrzyła na Stiltona, tylko na szklankę. Nie wiedział, co odpowiedzieć, nie miał na podorędziu żadnych refleksji egzystencjalnych. Domyślał się jednak, o czym mówi. Veronica spojrzała na Stiltona.

– Umiesz gotować?

– Tak sobie. Głodna jesteś?

– W lodówce jest zupa, mógłbyś ją odgrzać, jestem głodna. Tom kha gai, w smaku dość pikantna. Jest tam również butelka wina.

Stilton poszedł do kuchni, wyjął z lodówki zupę i wino i postawił na blacie. Wziął z półmiska duży żółty owoc, gdy zjawiała się Veronica.

– Durian – powiedział.

– Tak. Szczególny owoc, można umrzeć, jeśli się go popije alkoholem. Nie zjemy go na deser. Mógłbyś zapalić tamte świece?

Wskazała mu dwa drewniane słupki, na których stało kilka grubych świec. Stilton wziął z blatu pudełko zapalek i je zapalił.

– Masz coś przeciwko temu, żeby zgasić górne światło? – spytała.

– Nie.

Stilton wyłączył lampę sufitową i usiadł przy stole kuchennym naprzeciw Veroniki. Migotliwy blask świec ledwo sięgał jej twarzy. Zrozumiał, o co jej chodziło, a ona zobaczyła, że się domyślił.

– Ludzie czują się nieswojo w moim towarzystwie – powiedziała. – Trudno im się ze mną rozmawia, przeszkadzają im moje deformacje. Zastanawiałam się nad operacją plastyczną – dzisiaj wszystko da się zoperować – ale jednak zrezygnuję.

– Dlaczego?

– Żeby pozostać w przeszłości. Żeby jej nie zawieść.

– A jak wygląda twoja przeszłość?

Stilton poczuł, że może się do tego zbliżyć, w końcu sam się częściowo otworzył przed nią. Veronica zjadła łyżkę zupy i wytarła usta. Widział, że się zastanawia, a może sobie tylko wmawiał.

– Przeszłość to długi czas – odparła. – Zależy, od czego zacząć.

– Zaczynaj, gdzie chcesz.

– Jest przed i po.

– Przed złem i po nim?

– Życie przed złem było na przemian ciekawe i pospolite, bo zwykle tak wygląda. To, co po, jest tutaj.

– A jeśli chodzi o przed, kim byłeś wtedy?

– Kimś innym.

Nawet Stilton to rozumiał. Ale kim? I czym było to, co nazwała złem? To, co ją spotkało?

– Moja przeszłość jest podobna do twojej – powiedziała. – Pod wieloma względami. Do odczytania w wydarzeniach i emocjach, w tym, co rejestrujemy jako życie. Nie różni się od życia innych. To, co różni, dzieje się, kiedy zmieniają się fundamenty twojej egzystencji. Niektórym się to przydarza. Kiedy kończy się normalność.

Przerwała na sekundę, a potem dodała:

– Kiedy stajesz się taki jak ja.

Stilton zrozumiał, że Veronica nie opowie o sobie w taki sposób, żeby zrozumiał, kim ona jest i co jej się przydarzyło.

A więc jadł zupę, pił wino i prawie zapomniał, po co tu przyszedł. Przecież nie w tym celu, żeby porozmawiać przy paru drinkach i butelce wina. „Bo byłeś policjantem”. Zabrzmiało to jak odpowiedź z zupełnie innych czasów, ale na razie miał tylko ją.

Więc ją pochwycił.

– Dowiedziałaś się, że byłem policjantem?

– Tak.

– I co?

– Chcę, żebyś mi pomógł odszukać pewnego człowieka.

Wyjechała z kuchni do salonu, Stilton poszedł za nią. Zatrzymała się przed regałem, wzięła plastikowy zielony skoroszyt i wyjęła z niego nieduże zdjęcie mężczyzny.

– Tego. Chcę się dowiedzieć, kim jest i czym się zajmuje.

Stilton spojrzał.

– Czy to ma coś wspólnego z twoją przeszłością?

– W najlepszym razie... albo raczej najgorszym.

– Gdzie miałbym go szukać?

– Jakiś czas temu widziałam go przy basenie w Orientale, mieszkał w hotelu. Wydaje mi się, że jest Szwedem.

– Widział cię?
– Widział kalekę na wózku. Nie ma pojęcia, kim jestem. Co daje nam pewną przewagę.
Stilton ponownie spojrzał na zdjęcie.

– Skąd je masz?

– Ze spuścizny po zmarłym.

Stilton odwrócił je i spojrzał na napis z tyłu: „Contamana”.

– Co to znaczy?

– Nie wiem.

– Po co ci ten człowiek? – pytał dalej.

– Żeby zrozumieć zło.

– A jaka była w nim jego rola?

– Powiem ci, jeśli ustalisz, kto to jest.

Stilton schował zdjęcie do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Chciałbym to przemyśleć do jutra – powiedział.

– Proszę bardzo. Zapłacę ci, ile będziesz chciał, pieniądze nie stanowią problemu.

Rozmawiali jeszcze przez dłuższą chwilę. Otworzyli kolejną butelkę wina, a Veronica powiedziała:

– Może tu przenocujesz?

Propozycja wydawała się pociągająca, nie nęciła go perspektywa spaceru w ciemnościach.

– Bardzo chętnie – odparł.

– Za kuchnią jest łóżko, świeżo posłane. Nie przeszkadzają ci karaluchy?

– Nie.

– Gdybyś usłyszał, że krzyczę, to nie wstawaj, nikt mnie nie będzie gwałcił. Chodzi o co innego, nad czym nie panuję.

Podjechała do jakichś drzwi, zatrzymała się i odwróciła.

– Mógłbyś uprawiać seks ze zdeformowaną kobietą? – spytała.

Stilton wytrzymał jej spojrzenie.

– Aktualnie nie – odpowiedział.

Uśmiechnęła się krzywo, prawdopodobnie dostrzegła u niego cień zakłopotania.

Albo i nie.

– Nie pytam z myślą o sobie. Raczej z ciekawości, jak funkcjonują mężczyźni. Czym się kierują. Co na nich działa. Piękne dłonie czy piękna twarz? Wnętrze czy wygląd zewnętrzny? Zastanawiam się nad tym od pewnego czasu. Kalectwo nie oznacza zniknięcia popędu seksualnego. Dobranoc.

Pchnęła drzwi nogą i wjechała do sypialni, Stilton czekał, aż drzwi się zamkną. Wstał i poszedł do pokoiku za kuchnią, ciasnego, z dość wąskim łóżkiem wzdłuż ściany. Ściągnął spodnie, wsunął się pod cienką kołdrę, zabił karalucha na ścianie, opadł na poduszkę, zamknął oczy i wrócił myślami do wieczornej rozmowy. „Pogodzenie się z własną niedoskonałością”.

Po trzech sekundach już spał.

Obudził się trzy godziny później, w godzinie wątroby, gdy organizm uporał się z ostatnią butelką wina. Potrzebował kilku sekund, żeby sobie uświadomić, gdzie jest.

I dlaczego.

U Veroniki Wadner, która chce, żeby pomógł jej odnaleźć nieznanego mężczyznę. Za zapłatę. Bez podania motywu. Ma to kupić? Właśnie się zastanawiał, kiedy usłyszał przeciągły krzyk z innej części domu. Uznał, że to ona krzyczy. Uprzedzała go przecież. Instynkt podpowiadał, żeby biec i sprawdzić, ale został. Sama mówiła, że nad tym nie panuje. Bóle

fantomowe? Poczul, że zaczyna się pocić, zarówno z powodu gorąca, jak i kaca. Czas spadać, niezależnie od pory. Nie chciał tu być, kiedy Veronica się obudzi. Ostrożnie wstał i wciągnął spodnie. Idąc na palcach, opuścił dom, zamknął za sobą drzwi wejściowe i zszedł po schodach.

Na dworze panowała gęsta ciemność, ale księżyc pomógł mu trafić nad brzeg. Zobaczył, że daleko nad horyzontem zaczyna się rozjaśniać, dotrze do domu przed wschodem słońca. Podniósł długą prostą gałąź i ruszył brzegiem. Od czasu do czasu zamiatał przed sobą gałęzią, żeby odstraszyć wszelkie niepożądane niespodzianki. Myśl o porannej kąpeli pojawiła się nagle i równie szybko zniknęła. Stilton nie lubił ciemnych wód, chociaż od małości był kołyszany przez fale. Uwielbiał pływać łodzią, najlepiej z dużą prędkością, ale na tym koniec. Zatrzymał się i dotknął kieszeni kurtki. Zabrał to zdjęcie? Zabrał. Wyjął je, żeby znów spojrzeć na tego człowieka, ale widział tylko niewyraźny zarys.

Będzie jeszcze czas.

Gdy pół godziny później wsunął się na swoją część łóżka w bungalowie, stało się to, czego wolał uniknąć. Luna się obudziła.

– Rozmawialiście aż do teraz? – spytała.

– Nie, przenocowałem tam... To znaczy spałem jakiś czas, a obudziłem się pół godziny temu.

– Jedziesz wodą.

– Dżinem. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Uśmiechnęła się i pocałowała go w ramię.

Mette wolała nie ponaglać Lisy w kwestii Magnusa Larssona. Da jej tyle czasu, ile trzeba. Jednak cokolwiek Lisa postanowi, niezależnie od sposobu ujawnienia sprawy, Magnus tak czy inaczej będzie musiał się skonfrontować z tym, co zrobił.

Postanowiła przejąć inicjatywę.

Po części dlatego, że czuła do niego straszną pogardę, nad czym nie potrafiła do końca zapanować.

Zaprosiła do gabinetu hołubionego dotąd eksperta od ładunków wybuchowych i wskazała mu krzesło przy biurku. Usiadł, uśmiechając się lekko.

– Dorwaliśmy go – powiedział.

– Lukasa Bengtssona?

– Tak. Chociaż z początku poszliśmy złym tropem. Ale tak to już bywa. Co się stało, że tu jesteś, chyba przeszedł na emeryturę?

– Muszę trochę posprzątać.

– Aha, chcesz, żeby ci pomóc?

Magnus uśmiechnął się z własnego żartu, ale nie odpowiedziała tym samym, więc zorientował się, że sprawa jest poważna.

– Stało się coś? – spytał.

– Tak. Rozmawiałam z Lisą Hedqvist, opowiedziała mi o waszej relacji.

– Naszej relacji?

Magnus miał dokładnie taką minę, jakiej się spodziewała, był zmieszany i jednocześnie przyjął defensywną postawę.

– Jakiej relacji?

– Takiej, która obejmuje zarówno molestowanie seksualne, jak i gwałt. Opowiedziała mi o wszystkim i nie wątpię w ani jedno jej słowo. W związku z tym, że i molestowanie, i gwałt uległy przedawnieniu, Lisa rozważa obecnie dwie możliwości. Jedna to upublicznienie sprawy. Jeśli się na to zdecyduje, stanę u jej boku, okazując jej całkowite zaufanie. A jeśli się nie zdecyduje, sprawa będzie miała ograniczony zasięg, ale w takim przypadku podejmę kroki, które wpłyną na twoje zatrudnienie w policji. Decyzja należy teraz do Lisy. Ponadto chcę ci powiedzieć, że jestem potwornie rozczarowana i zbrzydzone twoim zachowaniem. To po prostu ohydne.

Umilkła, przytrzymując wzrokiem jego spojrzenie. Był przerażony.

– Mogę w końcu coś powiedzieć? – spytał.

– Nie. Ani do mnie, ani do Lisy. Jeśli się dowiem, że się z nią kontaktowałeś po dzisiejszej rozmowie, osobiście upublicznisz to, co zrobiłeś, i będę bardziej nieubłagana niż Lisa. A teraz możesz iść.

Kobieta na wózku przyciągała spojrzenia głównie cudzoziemców, bo miejscowi zdążyli się już do niej przyzwyczaić. Veronica podjechała do jednego ze straganów rybnych na głównej ulicy Mae Phim, tuż nad plażą, i pokazała palcem, co chce kupić. Tego dnia były to okno i torebka dużych krewetek. Wołała lekkostrawne jedzenie. Siatkę z zakupami powiesiła na podłokietniku i odjechała kawałek dalej. Na innych straganach sprzedawano pamiątki dla turystów, przeważnie związane z sezonem kąpielowym. Nie było tam nic dla niej. Ale zatrzymała się przy stoliku z piękną biżuterią i naszyjnikami. Lubiła popatrzeć na kolorowe kamienie, ozdobnie poskręcane bransoletki czy mieniące się kolczyki. Kolczyki nadal mogła nosić. Pamiętała jednak, kiedy pierwszy raz wróciła do domu po kupieniu ślicznych kolczyków z perłami w niebieskiej oprawie. Włożyła je już w przedpokoju i podjechała do lustra koło drzwi.

Spojrzała i przeżyła szok z powodu kontrastu między ślicznymi kolczykami w kształtnych uszach a swoją twarzą. Te ozdoby jakby podkreśliły zniekształcenia twarzy, subtelne perły w zestawieniu z nią wyglądały wręcz makabrycznie. Zerwała je z krzykiem.

Tego dnia nie kupiła kolczyków ani innej biżuterii. Już odjeżdżała, gdy nagle zmieniła zdanie i zawróciła. Nie do straganu z biżuterią, tylko obok. Wisiały tam plastikowe torebki ze złożonymi papierowymi latawcami. Poprosiła sprzedawczynię o czerwono-niebieski ze szkieletem z delikatnych bambusowych patyczków. Sięgnęła do torebki i zapłaciła. Następnie położyła go na kolanach i odjechała. Straganiarka patrzyła za nią. Papierowy latawiec? Może na prezent?

A jednak nie.

Było to bardzo szczególne wspomnienie.

*

Stilton siedział rozebrany do pasa w cieniu szerokiej palmy. Przedtem spał do późna i kiedy się obudził, był w łóżku sam. Luna poszła się kąpać w morzu, co było jej ulubionym zajęciem.

Nie wszystkie upodobania ze sobą dzielili.

Teraz googlował w komórce nazwisko „Veronica Wadner”. Nic nie znalazł. Kim ona jest, do cholery? Podniósł wzrok i zobaczył idącą w jego stronę Aditi. Miała na sobie lekki żółty sarong, w ręce trzymała kubek, pewnie niosła jedną z wielu herbatek, których Stilton nie chciał pić.

– Cześć. Jak ci poszło wczoraj? – spytała.

– Siedziałem do późna.

– Widzę.

Komentarz wywołały zmęczone oczy i ogólny stan Stiltona.

– To bardzo dziwna kobieta – powiedział.

– Owszem.

Aditi usiadła na ziemi obok niego, krzyżując nogi w pozycji, której Stilton nie byłby w stanie przyjąć, nawet gdyby zemdłał.

– Pierwszy raz mam do czynienia z osobą, która całkowicie odpuściła – odezwała się Aditi.

– Jak to: odpuściła?

– Jak sam wiesz, przyjeżdżają tu przeróżni ludzie, ich potrzeby też są różne. Często chodzi im o odnalezienie wewnętrznej równowagi albo uchwycenie czegoś, co im się wymyka.

Wielu ma za sobą trudne doświadczenia z odległej przeszłości albo całkiem niedawnej, ale została im jakaś nić łącząca ich z życiem i trzymają ją mocno, szukając pomocy, żeby wyjść z tego stanu. Veronica nie ma takiego bezpiecznika. Totalnie odpuściła.

Stilton kiwnął głową, nie do końca pewien, co Aditi ma na myśli, chociaż pojmując ogólne przesłanie. Veronica różniła się od innych przyjeżdżających tutaj. Odwrócił wzrok i zobaczył podbiegającą Lunę z ręcznikiem na głowie. Często podbiega, pomyślał, a wydawało się, że w takim ośrodku chodzi o to, żeby nie było stresu.

Luna ściągnęła ręcznik i usiadła obok Aditi.

– Chcesz herbaty? – spytała Aditi.

– Poproszę.

– A ty?

Spojrzała na Stiltona. Ciekaw był, po co, skoro od pierwszego dnia po przyjeździe zawsze odpowiadał tak samo.

– Nie. Nie lubię herbaty.

– Nie lubisz tego, do czego jesteś nieprzyzwyczajony – odparła Aditi. – To twój problem.

Mówiąc to, uśmiechała się. Zerknął na Lunę i zobaczył podobny uśmiech.

– To mój problem? – dopytał.

– Jeden z wielu. Czego chciała Veronica?

Stilton przysunął leżącą nieco dalej kurtkę i wyjął zdjęcie.

– Chce się dowiedzieć, kim jest ten człowiek.

Luna i Aditi przyjrzały się mężczyźnie na zdjęciu.

– Dlaczego? – spytała Aditi.

– Nie mówiła. Powiedziała, że chodzi o zło. Wydaje mi się, że ma to związek z nią i tym, co jej się stało, jej tragedią, że facet jest w to jakoś zamieszany.

– A jak miałbyś go znaleźć? – spytała Luna.

– Widziała go niedawno w Orientale w Bangkoku, mieszkał tam, więcej nic nie wie.

– I co zrobisz? – spytała Aditi.

– Sam nie wiem.

– Ale zaciekawiłeś się?

– Owszem. Nie tyle tym facetem, co nią. Co ona chce wiedzieć? Jeśli chodzi o to, co ją spotkało, to ją rozumiem.

– I zapłaciłaby ci? – zainteresowała się Luna.

– Dwieście tysięcy.

– Ojej, Boże, ale dużo.

– Tak. Pod warunkiem, że rozgryzę, kto to.

Stilton znów spojrzał na zdjęcie. Luna obserwowała go, wiedziała, że się zdecydował, potrzebował tylko potwierdzenia.

– Uważam, że powinieneś jej pomóc – powiedziała. – Z jednej strony zarobisz mnóstwo kasy, z drugiej skupisz się na czymś innym.

– Innym niż...?

– Ty sam.

Znała go, widziała i wiedziała, na jakim jest etapie. Zazwyczaj małomówny, teraz prawie ciągle milczał i rozmyślał. Zadanie jak dla prywatnego detektywa prawdopodobnie dobrze by mu zrobiło.

Tak myślała.

On również, chociaż pewnie mniej analitycznie.

Głównie chodziło o to, że się zaciekawił.

– Pójdę i pogadam z nią – powiedział, podnosząc się.

*

Właściwie to chciał tylko porozmawiać z Veronicą i dowiedzieć się czegoś więcej, ale kiedy szedł plażą, podjął już decyzję. Dlaczego nie? Odszukanie nieznanego człowieka było pod wieloma względami zgodne z tym, co robił w przeszłości. Kilka razy w swojej karierze pracował jako wywiadowca, i to z dobrym skutkiem. W dodatku lubił ujawniać tajemnice.

Poza własnymi.

Zbliżając się do domu Veroniki, dostrzegł coś, czego za pierwszym razem nie zaobserwował. Właścicielka domu siedziała na wózku w pewnej odległości od wody, a wysoko nad werandą unosił się czerwono-niebieski latawiec. Pomachał jej, ale nie doczekał się reakcji. Zbliżył się i wtedy zobaczył, że wytarła twarz i oczy, zanim się odwróciła.

– Namyśliłeś się?

– Tak. Zgadza się.

– Dziękuję.

Patrzyła na morze, a Stilton śledził wzrokiem latawiec unoszący się nad domem.

– Złożyłaś sobie latawiec?

– Nie, wspomnienie.

Wciąż patrzyła na morze. Stilton usiadł obok na piasku, wiedział, że będzie dalszy ciąg.

– Kiedy byłem mała, mieszkałem z mamą na południowym wybrzeżu Anglii – powiedziała – niedaleko plaży o nazwie Willow Beach. Często bawiłem się sama nad wodą. Pewnego dnia mama kupiła mi latawiec na jarmarku w Eastbourne, był czerwono-niebieski. Skleiliśmy go wspólnie, ale mama musiała wrócić do domu. Pobiegłem z latawcem, który wzbił się w niebo. Byłem zupełnie sama na długiej plaży i przeszczeniła z powodu latawca. Nagle zobaczyłem coś, co było na wpół zanurzone w wodzie, coś długiego i czarnego. Zatrzymałem się, latawiec unosił się w powietrzu. Zrobiłem kilka kroków w tamtą stronę, akurat przysła duża fala i wyrzuciła to czarne coś na plażę. Był to martwy pies, duży czarny labrador. Pobiegłem do mamy, a ona zadzwoniła na policję. Nie chciała, żeby w miejscu, gdzie się kąpią ludzie, leżał martwy pies. Przyjechali zabrać psa i odkryli, że miał na uchu wytatuowany identyfikator. Zaczęli szukać właściciela, okazało się, że zaginął. Mieszkał w wielkim dworze, a w jednym z pokoi na stole bilardowym leżały zmurszałe zwłoki kobiety.

Veronica umilkła i spojrzała na Stiltona.

– Kim była ta kobieta? – spytał.

– Z czasem ustalili, że była Szwedką. Nie wyjaśnili jednak, co robiła w tym domu ani kto ją zabił. Została uduszona.

– A co z zaginionym właścicielem psa?

– O ile mi wiadomo, do dziś jest uznawany za zaginionego.

Odwróciła się z wózkiem i ruszyła w stronę rampy przy domu. Na piasku było to trudne, więc Stilton jej pomógł, popychając wózek.

– Dlaczego chciałaś wrócić do tego wspomnienia? Domyślałem się, że kupiłaś latawiec, żeby...

– Przypomniał mi o mamie.

– Żyje?

– Nie. Kiedy zaczynasz?

– Szukać?

– Tak.

– Cóż, w zasadzie to już. Pewnie zacznę od Orientalu, gdzie go widziałas.

– Wydaje się to rozsądne.

Stilton pomógł jej wjechać do domu i dalej do pokoju z werandą. Od razu nałała sobie dzinu do niskiej szklanki. Stilton podziękował.

– A jak jest w ośrodku? – spytała.

– Spokojnie.

– Aditi opowiadała ci o mnie?

– Niewiele. Twierdzi, że odpuściłaś. Co ma na myśli?

Veronica wzięła łyk dzinu, przyglądając się Stiltonowi.

– Świat Aditi jest poukładany, ograniczony wiarą i nadzieją, ona nie zna tego, co znajduje się na zewnątrz tego świata... Wierzy, że dobro jest kluczem do spokoju ducha albo odwrotnie. Nie wie nic o ludziach, którzy są poza człowieczeństwem.

I tu się mylisz, pomyślał Stilton, Aditi doświadczyła więcej okrucieństwa, niżbyś sobie potrafiła wyobrazić.

– Ona robi, co może – odparł.

– Na pewno. Ty też to zrobisz.

Stilton nie był pewien, co Veronica ma na myśli. Odszukanie nieznanego mężczyzny czy coś jeszcze? Czuł, że pora się ruszyć. Nie interesował go kolejny nocleg tutaj, niezależnie od tego, że był bardzo ciekaw Veroniki. Przecież w gruncie rzeczy nic o niej nie wiedział. Teraz może trochę więcej dzięki temu wspomnieniu z dzieciństwa, chociaż równie dobrze mogła to zmyślić. Wszystko, co mówiła, mogło być kompletną fantazją. Może człowiek ze zdjęcia to ten zaginiony właściciel psa i chodziło jej tylko o to, żeby doświadczyć odrobiny ekscytacji? Przy jego pomocy?

Tak czy inaczej zdecydował się, Luna będzie zadowolona, kiedy zajmie się czymś poza samym sobą i jeszcze zarobi na tym sporo kasy.

– No to wybywam – powiedział.

– Powodzenia.

Stilton szedł już do przedpokoju, gdy usłyszał jej głos.

– Na wszystko jest jakieś wyjaśnienie.

Lukas Bengtsson został umieszczony w Karsudden pod Katrineholmem, w największym szwedzkim zakładzie psychiatrii sądowej ze stu czterechdziesięciu miejscami. Znanym z tego, że nie da się z niego uciec. Można było postrzegać go dwojako: jako wznoszące się na polu cztery trzypiętrowe nijakie budynki obłożone żółtym klinkierem, stanowiące przykład architektury z lat sześćdziesiątych i wyglądające jak resztówka przedmieścia z programu budowy miliona mieszkań albo jako grupę funkcjonalnych obiektów usytuowanych w pięknej przyrodniczo okolicy niedaleko jeziora.

Dla Olivii było to po prostu miejsce, gdzie siedział Lukas.

Ubrała się wygodnie, włożyła dżinsy, szarą kurtkę i białe conversy. Pogoda była przyjemna, wielkie trawniki wokół szpitala obudziły się do życia po nocnych przymrozkach i podobnych utrapieniach, w pełnym zieleni parku ludzie przechadzali się miarowym krokiem, zarówno osadzeni, jak i sanitariusze.

Olivia poszła prosto do głównego wejścia.

Sama poprosiła o spotkanie. Chciała się zobaczyć z Lukaszem, sprawdzić, jak mu jest. Jak się czuje. Gdy go w końcu doprowadzono na krzesło naprzeciw niej, ujrzała wrak człowieka. Stworzenie, które utraciło wszystko to, co nas definiuje jako ludzi. Zamiast dawnego spojrzenia, w którym był taniec śmierci, mogący spalić obiektyw kamery, zobaczyła zupełnie inne: nieobecne, mętne i puste. Twarz jakby zwisała luźno na czaszce, w kącikach ust miał jakieś białe resztki. Siedzące naprzeciw niej opuchnięte ciało kiwało się powoli z boku na bok.

Piękne kręcone włosy zostały krótko przycięte.

Podawała mu rękę, żeby się przywitać, i zobaczyła, że z obgryzionych paznokci zostały jakieś niewielkie resztki.

– Cześć – powiedziała.

Nie zareagował, kołysał się tylko z głową zwieszoną nad stolikiem.

– Chciałam się dowiedzieć, jak się masz.

Po kilku sekundach milczenia podniósł powoli głowę i poszukał wzrokiem jej twarzy.

– W moim pokoju jest niebieski odłamek – powiedział i znów opuścił głowę.

Olivia szła powoli do Katrineholmu. Spotkanie z Lukaszem wstrząsnęło nią. Widok człowieka, który prawie wcale nie przypominał siebie, otumanionego lekami, był tak stresujący, że wręcz przerażający. Czy tak to wygląda? Chorzy psychicznie są poddawani farmakoterapii odbierającej im wszystko, co składa się na ludzką godność? Olivia nie była naiwna, wiedziała, że historia zna długi ciąg takich przypadków. Tylko że teraz chodziło o człowieka, z którym się spotykała i rozmawiała, czuła jego zapach, fascynował ją.

Człowieka pełnego wewnętrznego żaru.

Z którego został szczątek z obgryzionymi paznokciami.

Na dworzec dotarła bardzo przygnębiona. Albo się z tym godzimy, pomyślała, i pozwalamy, by człowiek zginął w mroku, albo próbujemy coś z tym zrobić.

Nie miała pojęcia, na jaką chorobę cierpi Lukas, jednak nie mogła się pogodzić z tym, że uzasadnia ona taki rodzaj terapii.

Po powrocie do Sztokholmu pojechała prosto do komendy. Był późny wieczór, ale spotkanie z Lukaszem wciąż w niej tkwiło, miała przed oczami jego mętny wzrok.

Zaczęła szukać.

Wyników badania sądowo-psychiatrycznego nie znalazła, zapewne umieszczono je na stronach, do których nie miała dostępu, możliwe też, że zostało częściowo utajnione. Założyła

jednak, że uda jej się ustalić, kto formalnie wchodził w skład orzekającego zespołu lekarskiego. Zwykle byli to ekspert sądowy, psycholog, pielęgniarka i odpowiedzialny za całość psychiatra sądowy. Skupiła się na psychologu i psychiatrze sądowym i w tym momencie poczuła, że jest potwornie głodna.

Może zamówi pizzę?

Później.

W końcu udało jej się dotrzeć do protokołu sądowego. Przejrzała go i dopiero w załączniku znalazła listę rzeczoznawców uczestniczących w sprawie. Było ich wielu, wśród nich Magnus Larsson, ale przede wszystkim ci, których szukała. Nazwiska psychiatry sądowego i psychologa. Sprawdziła ich adresy i zdecydowała. Psychiatra sądowy mieszkał w Linköpingu, a psycholog w Sztokholmie.

Jutro skontaktuje się z tym drugim.

A teraz postawi na pizzę.

Nagle poczuła, jakie to żałosne, siedzieć samotnie w pustym biurze i wciskać w siebie kawałek twardego ciasta.

Co robi teraz Lisa?

Śpi, rzecz jasna.

Stilton wszedł do imponującego westybulu hotelu Oriental w Bangkoku. Luksusowe wnętrze było bardzo odległe od jego świata, natychmiast poczuł spojrzenia skierowane na jego złachaną postać.

Wcale mu to nie przeszkadzało.

Podszedł do platerowanego złotem kontuaru recepcji i kiwnął na śniadego człowieczka w czerwonej eleganckiej liberii.

– Czym mogę służyć szanownemu panu?

Dla recepcjonisty uprzejmość to coś oczywistego, gość może wyglądać, jak chce, nie przeszkadza to w posiadaniu na koncie iluś tam miliardów. Stilton podsunął mu zdjęcie od Veroniki.

– Poznaje pan tego człowieka? – spytał.

Człowiek w liberii rzucił szybkie spojrzenie, pokręcił głową i się uśmiechnął.

– Nie, niestety.

Dyskrecja to sprawa honoru.

– On tu często koczuje – powiedział Stilton.

Wyrażenie „koczować” raczej nie pasowało do słownictwa używanego w kontekście Orientalu, ale recepcjonista uśmiechnął się uprzejmie.

– Jak już mówiłem, nie wiem, kto to.

– Szkoda. Jestem mu winien Bentleya, w weekend trochę graliśmy, na pewno by chciał to auto.

Stilton również się uśmiechnął, w oczach recepcjonisty przemknęło wahanie. Bentley?

– A jak mogę się z panem skontaktować, gdyby się tu pojawił? – spytał.

Stilton przysunął sobie leżący na kontuarze oprawny w skórę notes i zapisał swój numer komórkowy.

Miał dwie możliwości.

Albo tkwić przed wejściem do Orientalu i liczyć, że wcześniej czy później facet się pojawi, albo szukać gdzie indziej.

Stańto na barze U Suzy w wąskiej uliczce parę metrów od Silom Road. Była to klasyczna wnęka w ścianie obsługiwana przez właścicielkę w wieku Stiltona. Suzy. Kiedyś trafił tam przypadkiem, gdy przyjechał do Bangkoku po Lunę, a do jej przylotu zostało jeszcze kilka godzin. No i był głodny. Zresztą pociągały go takie miejscówki, różniące się od innych lokali, trochę na uboczu, z paroma plastikowymi stolikami na trotuarze na zewnątrz i właścicielką, która się nie uśmiecha.

Suzy prawie nigdy się nie uśmiechała.

Za pierwszym razem, gdy już zjadł zupę, a była to fenomenalna tom yam goong, poprosił ją, żeby się przysiadła. Zrobiła to, nie tyle z chęci, ile z uprzejmości. Stilton pochwalił zupę i powiedział, że pogubił się w życiu. Niezłe wejście do kilkuminutowej wymiany poglądów o przemijaniu i innych sprawach, o których może rozmawiać dwoje obcych ludzi w rojnej uliczce do czasu, aż pojawi się nowy klient.

Od tamtej pory zachodził do baru Suzy za każdym razem, gdy miał coś do załatwienia w Bangkoku.

Chodziło nie tylko o jedzenie.

– Poznajesz tego człowieka?

Podsunał jej zdjęcie od Veroniki. Suzy popatrzyła trochę dłużej niż recepcjonista, ale

odpowiedź była taka sama.

– Nie.

Stilton schował zdjęcie do kieszeni. Zdawał sobie sprawę, że był to strzał w ciemno, bo jeśli ten człowiek chodzi na basen w Orientalu, raczej nie wylądaje na rozchwianym krzeselku u Suzy.

– Ale spytaj Douglasa – dodała.

– Kto to jest Douglas?

– Farang. Mieszka tu od wielu lat, taki gość, co wszędzie był i wszystkich zna.

– Nazywa się Douglas i jak dalej?

– Nie wiem.

– Gdzie go znajdę?

– W barze któregoś z burdeli koło targu. Zawsze jest w krótkich spodniach. Rudy.

– Jada tutaj?

– Tylko na kacu.

Opis Suzy był dokładny, wymarzony dla wywiadowcy. Rudy Europejczyk w krótkich spodniach przesiadujący w barach burdelów. *Can't miss him*. A jednak Stilton musiał się pokreślić po knajpach rozświetlonych mrugającymi neonami i rozbrzmiewających tętniącą muzyką, z Tajkami wijącymi się przed wykorzystującymi je sapiącymi spasionymi cudzoziemcami. W końcu dojrzał Douglasa.

Rudzielca w krótkich spodniach.

Siedział u jednego końca długiego marmurowego baru, przed nim stała wysoka szklanka z drinkiem. Za nim odbywał się akt seksualnego poniżenia, który go najwyraźniej nie interesował. Bardzo młoda dziewczyna podskakiwała przy bambusowej rurze, przechodzącej przez jej majtki.

Stilton był tym równie niezainteresowany jak facet przy barze.

Podszedł do niego.

Są różne sposoby zdobywania informacji od nieznanego w barze. Jeden to nawiązanie kontaktu poprzez alkohol i rozmowę. Drugi polega na opuszczeniu wstępu i liczeniu na wrażenie, jakie to robi.

– Douglas?

Mężczyzna się odwrócił i spojrzał na Stiltona.

– *And you are?* – spytał po angielsku.

– Tom Stilton. Szwed. Znasz tego człowieka?

Stilton podsunął mu zdjęcie oświetlone na czerwono przez neon nad półkami z alkoholem.

– Jesteś gliną?

– Nie. Ktoś mnie prosił, żebym spróbował się dowiedzieć, kim jest ten facet.

– A dlaczego mnie o to pytasz?

– Bo ktoś mi powiedział, że jesteś człowiekiem, który dużo wie i wielu zna.

Douglas wysączył nieco drinka przez przezroczystą rurkę, widać było, że praktykuje to od bardzo dawna.

– Kto to był?

– Najwidoczniej ktoś, kto ma do ciebie zaufanie. Znasz faceta ze zdjęcia?

– Nie.

Znów ta sama odpowiedź. Douglas mógł oczywiście kłamać, przecież nie znał motywów Stiltona. Jednak jego wodniste oczy i żyłkowata cera świadczyły, że chciałby poczuć się ważny. To mężczyzna cierpiący na niedobór sukcesów.

Douglas spojrział na zdjęcie ponownie, odwrócił je i odczytał napis.

– Contamana? – spytał.

– Tak. Coś ci to mówi?

– A da się na tym zarobić?

– Nie. Drinka, może dwa, niewiele więcej.

Douglas kiwnął na barmana i zamówił trzy drinki o nazwie nieznanej Stiltonowi.

Następnie zwrócił się do Toma:

– Chciałbyś czegoś?

– Odpowiedzi. Coś ci mówi napis na zdjęciu?

Douglas podrapał się po nagim udzie, jakby mogło mu to pomóc w myśleniu.

– Myślę, że to nazwa starej barki – powiedział. – Jeśli dobrze pamiętam, pływała po Kok, dopływie Mekongu, moi znajomi się kiedyś załapali na nią. Ale to było dawno temu.

I było to wszystko, co Stilton wyciągnął z Douglasa.

Z uprzejmości posiedział z nim podczas pierwszego drinka, ale wyszedł, gdy Douglas zaproponował mu krótki numer w boksie za barem.

Poczuł podniecenie, nie z powodu Douglasa, lecz jego informacji. Jest jakiś trop.

„Contamana”.

Barka? Czyżby tamten nieznany człowiek przebywał na barce? Na rzece Kok? Entuzjazm, jaki poczuł po złapaniu tego tropu, nieco ostygł, kiedy sobie uświadomił, gdzie się znajduje. W Bangkoku. Od tamtego miejsca dzieli go setki kilometrów. Próbował wygooglować nazwę barki. Bez skutku i nawet się tego spodziewał, bo również Google ma swoje ograniczenia.

A jednak.

Miał nazwę.

Nie zamierzał porzucić tego tropu.

Stilton orientował się w rozmaitych rejestrach, głównie szwedzkich, i doszedł do wniosku, że również w tym kraju musi istnieć jakiś rejestr barek rzecznych. Pod warunkiem że Douglas się nie mylił.

W pierwszej kolejności zadzwonił do szwedzkiej ambasady, prosząc o pomoc w odnalezieniu barki w rejonie rzeki Kok. Powiedział, że ma krewnego, który pracuje na niej przez lato, i musi się z nim skontaktować. Pracownicy ambasady okazali się bardzo uprzejmi, ale rzecz jasna nie mieli pojęcia o barce. Przypuszczalnie poczuli ulgę, że nie chodzi o kolejnego Szweda, który stracił paszport po pijaku i prosi o odesłanie do kraju za pieniądze podatkików.

– Czy to barka pasażerska?

– Tego nie wiem – odparł Stilton.

– W przeciwnym razie będzie trudno.

– No to przyjmijmy, że pasażerska.

Podpowiedzieli mu wtedy, gdzie szukać barki, czyli w urzędzie komunikacji wodnej.

– Chyba że barka została wyrejestrowana.

Liczył, że nie została.

Okazało się, że i tak, i nie.

Z rejestru w urzędzie wynikało, że barka już nie pływa, była zarejestrowana na firmę we wsi Wanssingi. Na pytanie Stiltona, gdzie leży ta wieś, padła krótka odpowiedź.

– Kawalek od Chiang Rai, w górach na północy kraju.

Chiang Rai? Ma jechać tak daleko na północ? Licząc na łut szczęścia? „Żeby zrozumieć zło”. Co Veronica miała na myśli? Czy odnosiło się to do mężczyzny ze zdjęcia? Skoro była gotowa zapłacić dwieście tysięcy, żeby się dowiedzieć, kim jest, musiał istnieć jakiś związek między nim a tragedią, która ją spotkała. Tyle Stilton się domyślał. Ale jaki to związek?

I dlaczego ten człowiek miałby znajdować się na rzecznej barce w górach opiumowych?

Poczuł, że musi się napić piwa.

Wypił je u Suzy.

A potem jeszcze jedno.

Wyprawa do Wanssingi oznaczała długą podróż autokarem do Chiang Rai, następnie lokalnym autobusem i ostatni kawałek – w najlepszym razie – tuk-tukiem. Pociągało go to? Po trzecim piwie już tak. Jako ucieczka. W głowie jawiło się jako przygoda. Długa samotna podróż do ziemi niczyjej za dwieście tysięcy koron. Problemem była Luna i może Aditi. Powiedzieć im? Czy tylko oznajmić, że wyjeżdża na pewien czas? Luna już się przyzwyczaiła, że od czasu do czasu znika. Wprawdzie jechał wtedy tylko na Rödlögę, ale jednak. Postanowił, że nie powie, dokąd jedzie. Na razie. A kiedy już tam będzie, nie będą mogły nic z tym zrobić.

Było to trochę pijackie rozumowanie, zdawał sobie z tego sprawę, ale w życiu czasem tak jest, że nie dokonuje się wyborów na trzeźwo.

– Jeszcze jedno.

Podniósł szklanekę, patrząc na Suzy, która stała w drzwiach do kuchni. Nie ruszyła się, tylko patrzyła. Odstawił szklanekę.

Okej, zgodził się z nią.

Trzy i dość.

Teraz kupi bilet na autobus i wytrzeźwieje, przesypiając całą drogę aż do Chiang Rai, skąd pojedzie do Wanssingi.

Wóz albo przewóz.

Olivia ubrała się w miarę elegancko i upięła włosy, głównie chyba po to, żeby się odpowiednio nastawić psychicznie. Umówiła się na krótką wizytę u Gustava Frörika, psychologa, który uczestniczył w badaniu sądowo-psychiatrycznym Lukasa Bengtssona. Przez telefon wyjaśniła, że jest policjantką i brała udział w dochodzeniu w sprawie zamachu bombowego na rodzinę Brovallów. Chce się spotkać, żeby uzyskać trochę uzupełniających informacji.

Nie była to do końca prawda.

W prywatnej klinice Frörika wyszła jej na spotkanie starsza pani i uśmiechając się, otworzyła przed nią jakieś drzwi. Zza szerokiego biurka wstał wysoki mężczyzna w jasnoszarym garniturze.

– Pani Olivia Rønning?

– Tak.

– Witam panią.

Frörik wskazał jej krzesło naprzeciw biurka.

– Proszę, niech pani siada.

Olivia poczuła się niepewnie, przez chwilę żałowała, że tu przyszła. Przecież sprawa została zamknięta. Ale skoro już tu była, została. Usiadła naprzeciw spokojnego starszego pana o przyjaznym spojrzeniu.

– Jak już powiedziałem przez telefon, nie mogę mówić o szczegółach – zastrzegł Frörik.

– Rozumiem. Chciałabym tylko spytać, na jaką chorobę cierpi Lukas? Spotkałam się z nim parę razy przed procesem i wydawał mi się wtedy zupełnie normalny. Jak brzmi jego diagnoza?

– Dysocjacyjne zaburzenie tożsamości.

– Co oznacza...?

– Kiedyś nazywano to wielorakim zaburzeniem osobowości albo rozdwojeniem jaźni.

Polega na występowaniu u tego samego człowieka dwóch niezależnych osobowości.

– Rodzaj schizofrenii?

– Nie, chociaż czasem bywa z nią mylone. Chory czuje się tak, jakby ktoś inny przejął kontrolę nad jego ciałem albo jakby został odłączony od swego ciała lub otoczenia.

– Nie jest świadom tego, co robi?

– Można to tak określić.

– Czyli Lukas może mówić prawdę, kiedy się nie przyznaje? Nie jest świadom, co zrobił? Zrobił to ktoś inny, tkwiący w nim? Może tak być?

– Tak. Może to być tak tragiczne. Chyba że po prostu kłamie.

– A pan sądzi, że on kłamie?

– Nie.

– Co powoduje tę chorobę?

– Około dziewięćdziesięciu procent cierpiących na nią ma za sobą jakieś traumatyczne przeżycia, typu przemoc albo molestowanie seksualne w okresie dorastania. Dysocjacja to sposób organizmu, by chronić się przed tego rodzaju zdarzeniami, aby zmniejszyć lęk.

– Można się z tego wyleczyć?

– Istnieją różne terapie, które w tym pomagają, najczęściej jest to psychoterapia nakierowana na leczenie traum.

– Czy Lukas zostanie poddany takiej terapii?

– Nie wiem. Decyzja należy do zakładu, w którym przebywa.
Olivia kiwnęła głową, patrząc w blat biurka. Frövik ją obserwował.

– Wydaje się pani osobiście bardzo zaangażowana w tę sprawę.

– Obchodzi mnie Lukas, kimkolwiek jest. Jest zagadkowy. Czytałam teksty, które napisał, są bardzo poetyckie, i nie potrafię poskładać tego w jeden obraz.

– Jaki obraz?

– Człowieka, który potrafi przeprowadzić brutalny zamach bombowy, i człowieka, którego poznałam. Nie pasuje mi to.

– To wynika z jego choroby. Dysocjacyjne zaburzenie tożsamości często jest wielką tragedią, następują nawroty, ale są długie okresy, kiedy się w ogóle nie objawia.

– Maluje kapitalne obrazy – powiedziała.

– Mogę to sobie wyobrazić. Wielu wybitnych malarzy miało podobne problemy psychiczne, choćby Hill czy Josephson albo Erland Cullberg¹¹. Podczas nawrotów choroby nawiązuje się kontakt z podświadomym światem wyobraźni, który w innym przypadku jest niemożliwy. Ale mogę o coś spytać? Sprawa została zamknięta, czy wyrok nie zostanie zaskarżony?

– Prawdopodobnie nie.

– Czyli chodzi właściwie o panią? O pani rozterki dotyczące Lukasa?

Olivia poczuła się zdemaskowana, z drugiej strony nie wstydziła się tego, że odczuwa potrzebę dowiedzenia się czegoś więcej.

– Właściwie tak – przyznała. – Policjanci też muszą przepracowywać swoje doświadczenia.

– Rozumiem to, może pani wrócić, kiedy zechce, gdyby potrzebowała pani pomocy. Niestety nie mogę wiele zrobić, żeby pomóc Lukasowi Bengtssonowi.

Ja też nie, pomyślała Olivia, wychodząc na ulicę. Lukas cierpi na ciężką chorobę psychiczną, której nie kontroluje, i trzeba się z tym pogodzić. Ma podwójną osobowość. „Przez sam środek bezsensu przechodzi włócznia czasu”. Przypomniało jej się zdanie z *Gangreny* i zobaczyła przed sobą oczy Lukasa, oczy z portretu w książce. Jak stał się tym, kim jest? Co go spotkało?

Wciąż nie miała na to odpowiedzi.

Również na to, czego najbardziej chciała się dowiedzieć.

Czy naprawdę był winny?

*

Lisa ostatecznie podjęła decyzję co do Magnusa Larssona. Mogła postawić go pod pręgierzem opinii publicznej, wtedy byłoby słowo przeciw słowu. Gdyby to zrobiła, Mette zgodnie z obietnicą stanęłaby po jej stronie. Jednak Magnus miał żonę i dziecko, więc uderzyłoby to również w nich. Tego chciała uniknąć. Najważniejsze dla niej było to, żeby Magnus poniósł karę. Umówiła się z Mette przy St. Eriksplan w ogródku kawiarnianym, żeby nie rozmawiać w gmachu komendy.

Było po drugiej, kiedy usiadły przy stoliku i złożyły zamówienie – Lisa poprosiła o szklankę soku, a Mette o filiżankę kawy i kawałek tortu księżniczki. Ostatnio zaczęła sobie pozwalać na to i owo, być może w proteście przeciwko swej nowej egzystencji.

Lisa odstawiła szklankę i zaczęła.

– Nie chcę upubliczniać tej sprawy – powiedziała.

– Okej. W takim razie ja ją przejmuję.

I już.

Lisa przygotowała sobie ileś argumentów przemawiających za tą decyzją, ale niepotrzebnie. Mette uśmiechnęła się i wzięła do ust kawałek tortu.

– Zrobię to z przyjemnością – dodała.

– Ale wewnątrz się rozejdzie?

– Może tak, może nie. Jeszcze nie wiem, jak się do tego zabiorę, ale ciebie to nie dotknie. Dla mnie to najważniejsze. Już rozmawiałam z Magnusem, żeby go przygotować, on się najbardziej boi, że pójdziesz z tym do mediów.

– Co mu powiedziałaś? – zaniepokoiła się Lisa.

– To, co ty mnie.

– Zaprzeczył?

– Nic nie mówił, był przerażony.

Położyła dłoń na rękę Lisy, dając do zrozumienia, że jest okej, a wkrótce będzie po wszystkim, i że słusznie zrobiła.

A potem przeszła do tematu swego rychłego wyjazdu do Anglii na zwiedzanie ogrodów.

– Interesuje cię ogrodnictwo? – spytała Lisa.

– Ani trochę.

Godzinę później Mette odbyła spotkanie z komendantem głównym policji w jego gabinecie w NOA. Znali się od lat, współpracowali ze sobą na różnych stanowiskach i darzyli się nawzajem wielkim szacunkiem. Mette potrzebowała kilku chwil na przedstawienie sprawy, a szefowi równie niewiele czasu zajęło podjęcie decyzji. Zareagował obrzydzeniem na to, co usłyszał, i docenił, że Lisa zdecydowała, że sprawa nie wyjdzie poza policję, której skandale na tle seksualnym zdecydowanie by nie posłużyły, zwłaszcza w obecnych czasach.

– Osobiście to załatwię z Magnusem Larssonem – powiedział.

– Doskonale.

Mette nie interesowało, jak to będzie wyglądało, wiedziała tylko, że Magnus prawdopodobnie zostanie usunięty z policji, ewentualnie odkomenderowany w odległe miejsce.

Wychodząc z budynku komendy, Mette po raz pierwszy poczuła ulgę. Pozostało jeszcze postawić na nogi Toma, a potem być może dać się powalić ciężkiej grypie tuż przed wyjazdem na zwiedzanie angielskich ogrodów.

W Wanssingi było kilka szerokich, błotnistych ulic i pewna liczba mniejszych z jeszcze większym błotem. Domy z bambusa albo sklecone z desek, prawie żadnych murowanych. Główna ulica, na której z tuk-tuka wysiadł Stilton, roiła się od ludzi. Wielu z nich przemieszczało się zdezelowanymi motorowerami, inni ciągnęli wózki z owocami albo siedzieli po prostu na poboczu, gapiąc się. Nie widział nikogo o europejskim wyglądzie. Zapłacił za przejazd, a kierowca tuk-tuka spytał, czy ma poczekać, w razie gdyby Stilton chciał później wrócić na dworzec autobusowy. Stilton odpowiedział, że nie, więc zawiedziony kierowca ruszył z kopyta, omal nie rozjeżdżając jakiegoś śmiertelnie przerażonego kuraka przebiegającego przez ulicę.

Stilton rozejrzał się, chciało mu się pić. Wody. Od kilku godzin męczyły go pragnienie i upał, upał i pragnienie. Zdjął lekką kurtkę i przeciskał się przez tłum wypełniający wąski chodnik. Nieopodal zobaczył coś, co wyglądało na uliczny bar. Dotarłszy tam, usiadł na plastikowym krześle przy okrągłym stoliku. Przy sąsiednim starsza kobieta robiła na szydełku. Przed nią stał talerz z niedojedzonym daniem. Stilton odczekał kilka minut, w końcu zwrócił się do niej:

– Przepraszam, czy podają tu do stolików, czy trzeba wejść i złożyć zamówienie?

Tylko pokręciła głową. Enigmatyczna odpowiedź. Albo nie znała angielskiego, co było prawdopodobne, albo nie chciała odpowiadać. Stilton wstał, ale w tym samym momencie z drzwi wyszedł mężczyzna w średnim wieku i łamaną angielszczyzną spytał:

– Czego chcesz?

– Poproszę zimnej wody i kartę dań, jeśli jest.

Mężczyzna odwrócił się i sięgnął do pudełka na ścianie. Stilton wziął od niego menu, a mężczyzna wszedł do środka. Oby po wodę. Stilton spojrzał na menu. Napisane było oczywiście po tajsku, ale miał już doświadczenie z baru Suzy i dał radę je rozszyfrować. Zdecydował się na tajski omlet z różnymi, częściowo nieznanymi mu dodatkami.

Mężczyzna wrócił z butelką wody i szklanką, a Stilton zamówił omlet.

– Dobry wybór – skomentował mężczyzna i poszedł do środka.

Tom nalał sobie wody do szklanki i wypił ją jednym haustem. Była zimna i smaczna. Odchylił się do tyłu na tyle, żeby się nie wywrócić z krzesłem, i przyglądał się szydełkującej kobiecie. Wyglądała tak spokojnie. Ciekawe, jaka jest jej historia, zastanawiał się, często tak robił, siedząc i obserwując ludzi. Czy w fałdach sukienki też ma zdjęcie nieznanego mężczyzny? Czy robi sweterek dla wnuka? Prawdopodobnie urodziła się tu, na miejscu, i może nigdy stąd nie wyjeżdżała. Tak rozmyślał, pełen domysłów, gdy nagle kobieta odwróciła się do niego ze słowami:

– Bangkok to nie dla mnie.

Powiedziała to całkiem przyzwoitą angielszczyzną, ale nie to go najbardziej zdumiało. Jasnowidzka czy co? Czy tylko rzuciła tę uwagę, bo według niej wyglądał, jakby właśnie przyjechał z Bangkoku?

– Mieszkałaś tam? – spytał.

– Tak, wiele lat. Sprzedawałam biżuterię turystom. Byłam młoda i ciekawa świata, ale teraz już wiem. Bangkok to nie dla mnie.

– Wróciłaś tutaj.

– Tak.

– I dobrze ci tu?

– Dobrze, jak człowiek jest u siebie.

Była to odpowiedź, która pobudziła go do rozmyślań. A gdzie on jest u siebie? Gdzie jest mu dobrze? W tym momencie było w porządku, siedział w słońcu przy szklance zimnej wody i rozmawiał z mądrą kobietą. Ale u siebie?

Nie był u siebie.

Kelner przyniósł zamówiony omlet. Potrawa wyglądała niezwykle apetycznie.

– Dziękuję!

– Czy ona ci przeszkadza? – Mężczyzna skinął głową, wskazując kobietę.

– Nie. Dlaczego miałyby przeszkadzać?

– Dobrze.

Odszedł. Stilton spojrzał na kobietę.

– Dlaczego tak powiedział?

– Myśli, że prowadzi pięciogwiazdkową restaurację, a tak nie jest. Jest marzycielem i hipochondrykiem.

– Skąd wiesz?

– To mój syn.

Stilton przyjął do wiadomości tę informację i zabrał się do jedzenia. Omlet był rzeczywiście tak smaczny, na jaki wyglądał. Popił go obficie wodą i popatrzył na szydełkującą kobietę.

– Z czego się tutejsi ludzie utrzymują? – spytał.

– Z opium i zwierząt.

Powiedziała to, nie podnosząc wzroku znad robótki, tym samym tonem, jakim skomentowała zachowanie syna.

– Jakich zwierząt?

– Zagrożonych wyginięciem. Łuskowców. Polują tu na nie, w Chiang Rai można na nich sporo zarobić, potem trafiają do restauracji w Szanghaju. Niestety. Ale zarobek z opium jest większy.

Stilton wiedział o tym, ale pociągnął temat.

– Dużo go tu uprawiają?

– W górach kawałek stąd – wszędzie.

– Nie za dobrze – wysnęło mu się.

– Łatwo ci mówić.

Nagle przerwała robótkę i spojrzała czarnymi źrenicami prosto w jego oczy. W jej wzroku widać było ciężar doświadczenia.

– Co wiesz o warunkach tam w górach? – spytała.

– Niewiele.

– No właśnie.

– Jednak uprawa maku chyba nie może być korzystna z uwagi na możliwe skutki? – pytał dalej, chociaż czuł, że jest w defensywie.

Nie odrywając od niego ciężkiego spojrzenia, powiedziała:

– Ludzie mają tu do wyboru: albo uprawiać coś, za co im nie zapłacą, co oznacza, że ich wraz z dziećmi czeka głód, synów będą musieli sprzedać przemytnikom, a córki wysłać jako prostytutki do Bangkoku, albo uprawiać mak. Dostaną za to pieniądze, przeżyją, ich dzieci będą miały co jeść. A skutki? Mają niewielkie znaczenie. Jak omlet?

Zanim zdążył odpowiedzieć, już wróciła do swojej robótki. Zrozumiał, że jego odpowiedź jest jej obojętna.

Mimo to powiedział:

– Bardzo dobry.

– Doskonale. Przekażę synowi, niewiele trzeba, żeby go zadowolić. Co tutaj robisz?
Pytanie padło, kiedy Stilton odsuwał od siebie talerz. Zastanowił się nad odpowiedzią.

– Szukam pewnej barki. „Contamana”. Słyszałaś o niej?

– Nie.

– A znasz kogoś, kto by mógł wiedzieć?

Kobieta opuściła robótkę i znów spojrzała na Stiltona, tym razem wyczekująco.

– Tutaj jest tak, że kto zadaje pytania, zwłaszcza jeśli przyjeżdża z Bankgoku, rzadko dostaje odpowiedź. Przynajmniej taką, o jaką mu chodzi. Tutaj, jak chcesz się czegoś dowiedzieć, musisz mieć coś co zaoferowania.

– Co takiego? Pieniądze?

– Nie.

Nagle wstała, wcisnęła robótkę do koszyczka z łyka i odeszła.

Nie obejrząwszy się.

Stilton zapłacił jej synowi hipochondrykowi i dodał sowity napiwek, po czym wyszedł na ruchliwą ulicę. Szydełkująca kobieta uświadomiła mu dwie rzeczy. Tu się nie dostaje odpowiedzi ot tak, jeśli chce się ją otrzymać, trzeba dać coś w zamian. Logiczne, tak to działało również w środowiskach dobrze znanych Stiltonowi. Choćby w relacji z Minkenem, porywczym kapusiem, który zawsze trzymał w ręku wszystkie karty i uważał, że każda najmniejsza informacja, choćby błaha, jest warta jak najwyższej ceny. Pytanie, co będzie tutaj obowiązującym środkiem wymiany. Po chwili uzmysłowił sobie, co nim jest.

Opium.

Jak w Sztokholmie. Tylko że tam języki rozwiązywały najczęściej inne dragi.

Zaczął więc od tego, co w tej sytuacji uznał za najodpowiedniejsze.

Od snucia się po ulicach.

Najpierw po głównej, potem po mniejszych. Po niedługim czasie został zauważony. Biały, obcy, bez walizki i snuje się, czyli potencjalna zdobycz. Młodzian, który dokonał tej oceny, stał na pobliskim rogu. Miał na sobie sfatygowaną zieloną koszulkę i białe poplamione dzinsy. Albo podejdzie, albo Stilton będzie musiał przejąć inicjatywę.

Nie musiał.

Stilton zauważył młodego człowieka i jego spojrzenie. Sygnalizowało, że ma to, czego potrzebuje Stilton. Odwrócił się i wszedł w zaułek. Stilton ruszył za nim. Kilka chudych brązowych psów przemknęło się pod ścianą domu, w poprzek zaułka rozpięty był sznur z suszącymi się dziecięcymi ubrankami, z jakiegoś okna dobiegała jękliwa muzyka. Młodzian zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami i się odwrócił. Stilton był tuż za nim. Tamten podsunął mu przed twarz starą puszkę po tytoniu i ją otworzył. Była pełna czarnej kleistej mazi.

– Z pierwszego tegorocznego zbioru – odezwał się przyciszonym głosem. – Towar pierwsza klasa, zobacz, jaki kleisty.

– Ile?

– Dla ciebie, przyjacielu, tylko pięćset bahtów.

– Jednak dużo – powiedział Stilton.

Spojrzeli sobie w oczy.

– Trzysta pięćdziesiąt.

– Dwieście – odparł Stilton.

Tamten się skrzywił i wzruszył ramionami, jakby taka cena oznaczała, że na tym straci. W rzeczywistości mógł tę puszkę bez bólu sprzedać za sto pięćdziesiąt. Ale za dwieście lepiej.

– Okej – powiedział.

Stilton się rozejrzał, zanim sięgnął po pieniądze i kupił puszkę. Młodzian błyskawicznie

wślizgnął się za drzwi, a Stilton schował puszkę do kieszeni kurtki i wrócił na główną ulicę. A więc kupił narkotyk.

Coraz lepiej.

Teraz należało znaleźć jakąś palarnię opium.

Mógłby sprawdzić w sieci, może jakieś ćpuny odwiedziły palarnie w Wanssingi, ale szanse, że coś znajdzie, ocenił jako małe. Ze zrozumiałych względów nie palił się również do wypytywania przechodniów, ale założył, że w najbliższej okolicy powinno coś być. Bo na to wyglądała. Znow zaczął krążyć, zapuszczając się w jeszcze bardziej zakazane rejony i coraz węższe uliczki z przeważnie niskimi bambusowymi domami bez okien. Po chwili dojrzał budynek w nieco lepszym stanie od pozostałych. Wzniesiony był z desek i miał pięterko. Przystanął w pewnej odległości i oparł się o latarnię. Na dworze było jeszcze widno, zachmurzyło się, więc upał stał się znośny.

Obserwując drewniany budynek, zobaczył paru mężczyzn wchodzących i wychodzących. Palacze opium? Postanowił zdać się na los. Jeśli się myli, poszuka dalej.

Nie mylił się.

Poczuł to, gdy tylko otworzył wąskie drzwi. Od razu uderzył go ciężki zapach nie do pomylenia z żadnym innym. Wprawdzie nigdy nie palił opium, ale rozpoznawał jego woń. Dobrze trafił. Wspiął się po wąskich ciemnych schodach i stanął przed szerszymi drzwiami niż te przy wejściu. Prowadziły do dużego mrocznego pomieszczenia. Wzdłuż ścian paliły się lampki, na brudnej podłodze stało kilka zapalonych świec. Kiedy wzrok mu się przyzwyczaił do półmroku, dostrzegł mężczyzn siedzących i leżących pod ścianami i na środku podłogi. Jedni na cienkich materacach, inni wprost na ziemi. Zrobił parę kroków, nikt nie zareagował. Do kogo podejść? Wybrał człowieka w ciemnej kurtce, który siedział pod ścianą na lewo od wejścia i miał obok siebie szklankę wody. Usiadł obok niego. Mężczyzna spojrzał na Stiltona, a ten skinął mu lekko głową.

– Cześć, jestem Tom.

Powiedział to cicho, tak jakby nakazywała to atmosfera pomieszczenia. Przypuszczalnie nie miało to najmniejszego znaczenia, żadna głowa nie odwróciła się w jego stronę, nikt nie wydawał się świadomy jego obecności, zapewne wszyscy znajdowali się zupełnie gdzie indziej, w głębokim odurzeniu.

– Nie widziałem cię tutaj wcześniej – odezwał się mężczyzna łamaną angielszczyzną.

– Jestem tu pierwszy raz.

– Żeby zapalić?

Stilton zarejestrował, że do pomieszczenia wszedł młody chudy mężczyzna i usiadł pod przeciwległą ścianą, zaraz koło drzwi.

– Nie, potrzebuję informacji – odrzekł.

– To po co tu przyszedłeś?

– Żeby zaoferować świeże opium.

Stilton otworzył puszkę. Mężczyzna spojrzał na zawartość, wyciągnął dwa palce i dotknął czarnej mazi. Test wypadł zadowolająco.

– Możesz ją zatrzymać – rzekł Stilton, podając mu ją.

Mężczyzna przyjął puszkę, zza pazuchy wyjął dość tłuste cygaro i wysmarował je lepką mazią, następnie zapalił i się zaciągnął. Opary opium i tytoniu zmieszały się, Stilton poczuł duszący słodki zapach, mniej więcej ten sam co w drzwiach. Starał się go nie wdychać, nie chciał znaleźć się pod jego działaniem.

– Powiedziałeś informacje?

– Tak. Szukam pewnej barki, „Contamana”, słyszałeś o niej?

- Tak.
- Gdzie ją znajdę?
- To kawałek stąd, na Lat, dopływie Kok – powiedział mężczyzna.
- Daleko to?
- Łodzią nie. Masz łódź?
- Nie, chciałem wynająć.

Mężczyzna zaciągnął się ponownie, Stilton widział, jak wzrok mu zmętniał. Musi się pospieszyć, zanim tamten całkiem odpłynie.

- Kto jest właścicielem „Contamany”? – spytał.
- Decha.
- Taj?
- Nie, Europejczyk, ale taką ma ksywę.

Stilton wyjął zdjęcie od Veroniki.

- To on?

Mężczyzna zerknął na chudzielca przy drzwiach, zanim udzielił odpowiedzi.

- Nie mam pojęcia, nie wiem, jak on wygląda. Chcesz się dostać na „Contamanę”?
- Tak.

Mężczyzna pokręcił lekko głową i znów się zaciągnął.

- O co chodzi?
- To dla obcych niezdrowa okolica.
- Z powodu handlu opium?
- Też.

Mężczyzna już odpływał, więc Stilton wstał.

– Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem o tej okolicy – powiedział tamten i zamknął oczy, uśmiechając się lekko. – *No country for old men.*

Stilton się odwrócił i zobaczył, że młody człowiek przy drzwiach zniknął.

Stilton opuścił drewniany dom. Widocznie jednak nawdychał się trochę oparów, bo szedł dość niepewnie. Przystanął na środku zaułka i odetchnął głęboko. Lunał typowy dla tropików intensywny deszcz.

Facet z cygarem raczej nie zachęcał go do odwiedzenia barki. Może jest używana do przemytu opium? A może chodzi o tego człowieka ze zdjęcia? Czy to on ma ksywę Decha?

Kolejne pytania.

Niemniej dostał coś za puszkę kleistego opium. A więc miał zarówno pseudowłaściciela barki, jak i wyjaśnienie nazwy zapisanej na odwrocie fotografii od Veroniki. „Contamana”. Czy powinien zadzwonić i powiedzieć jej o tym? Ruszył w stronę szerszej ulicy wiodącej do portu i wyciągnął komórkę. Zobaczył, że ma kilka nieodebranych połączeń od Luny, i zrozumiał, że pora się z nią skontaktować.

Zadzwonił.

Odebrała natychmiast.

- Cześć! Gdzie ty jesteś?! Próbowałam...
- Jestem w górach, trochę powyżej Chiang Rai.

Zacisnęła zęby, czekając na jej reakcję.

- Chiang Rai?

– Tak. Możliwe, że złapałem trop człowieka ze zdjęcia, może przebywać na barce znajdującej się niedaleko stąd.

- Okej?

Zapadła cisza, Stilton zobaczył dwa czarne samochody, które zablokowały wyjazd na

szerszą ulicę.

– Ale jak długo tam zostaniesz? – spytała Luna.

– Nie wiem.

Była to chyba trafna odpowiedź, zważywszy na to, że z samochodów wysiadło czterech mężczyzn, z których dwaj trzymali pistolety maszynowe. Zobaczył też sunącego za nimi chudzielca z palarni opium.

– Odezwę się – powiedział.

– A nie mógłbyś...

Stilton się rozłączył. Patrzył na zbliżających się mężczyzn. Byli Tajami, ale zupełnie innego rodzaju niż marzyciel i hipochondryk. Raczej nie z tych, co serwują omlety. Odwrócił się, oceniając sytuację. Mógł ruszyć w przeciwnym kierunku, co w najgorszym razie skończyłoby się tak, że już po kilku metrach biegu dostałby kulkę w plecy. Zamiast tego podszedł do nich.

– Wsiadaj – powiedział spokojnie jeden z mężczyzn trzymających pistolety, robiąc gest w stronę auta.

Stilton wsiadł, klnąc w duchu, że nie wziął ze sobą spluwy. W najlepszym razie doprowadziłby do strzelaniny i zginął z bronią w rękę. A potem się ucieszył, że jednak jej nie ma, bo pod działaniem oparów opium rzeczywiście mógłby zacząć strzelać.

– O co chodzi? – spytał, zwracając się do człowieka, który usiadł za kierownicą.

Nie oczekiwał odpowiedzi, zresztą nie dostał jej.

Samochody ruszyły na obrzeża Wanssingi. Podczas krótkiej jazdy przez zalane deszczem slumsy Stilton wyobrażał sobie różne scenariusze. Policja narkotykowa? To najbardziej prawdopodobne. Chudzielec z palarni opium doniósł na niego, bo ludzie Zachodu handlujący opium plasują się wysoko na skali zainteresowania tajskiej policji. Dopadnięcie faranga to zawsze jakiś sukces.

Jak się z tego wypłatać?

Według drugiego scenariusza, znacznie nieprzyjemniejszego, ci mężczyźni w samochodach to nie policjanci, tylko wręcz przeciwnie.

Kryminaliści.

Przemytnicy opium.

Którzy zainteresowali się nim w związku z jego pytaniami o barkę i jej właściciela.

Samochody nagle skręciły i przez wysoką otwartą bramę wjechały w alejkę prowadzącą do dużego murowanego domu. Stilton odnotował, że przy bramie nie ma kamer.

Dom był imponujący, wejście flankowały kolumny i połączone figury tygrysów. Policja? Wątpliwe, pomyślał, chodzi raczej o scenariusz numer dwa.

Samochody zatrzymały się przed schodami. Jeden z mężczyzn otworzył drzwi pojazdu, Stilton wysiadł. Mężczyzna wszedł na schody, a pozostali pokazali Stiltonowi gestem, że ma iść za nim. Wielkie podwójne drzwi domu się otworzyły, zanim Tom do nich dotarł. Człowiek, który szedł przodem, zatrzymał się.

– Wchodź – powiedział.

Stilton wzruszył ramionami na znak, że jest spokojny, co było dość odległe od stanu faktycznego. Za drzwiami przejął go następny Taj, którego wygląd nie był tak złowrogi jak tamtych mężczyzn. Miał doskonale obojętny wyraz twarzy.

– Tędy – odezwał się.

Stilton poszedł za nim, rozglądając się po olbrzymim hallu, na którego chaotyczny wystrój składały się duże drewniane rzeźby, broń myśliwska i wypchane łby zwierząt na ścianach. Jak w angielskim dworze, pomyślał.

– Tutaj.

Człowiek z obojętnym wyrazem twarzy prowadził go przez kilka ogromnych pomieszczeń o podobnym charakterze, w końcu się zatrzymał i wskazał ręką otwarte drzwi. Stilton się zawahał, choć sam nie wiedział dlaczego, bo raczej nie miał wyboru.

W końcu wszedł i spojrzał zaskoczony na pomieszczenie, zupełnie różne od poprzednich, przeładowanych i umeblowanych w stylu pasującym do kolumn i połączonych tygrysów na zewnątrz. To było pozbawione okien i zupełnie puste, jeśli nie liczyć gigantycznego akwarium, ustawionego na środku na podium. Spojrzał na akwarium. Na dnie leżał szkielet dużego zwierzęcia, nie potrafił stwierdzić jakiego, może tygrysa. W wodzie nie było żadnych ryb. Rozejrzał się po pomieszczeniu. U sufitu wisiał silny reflektor skierowany na akwarium, pozostałe oświetlenie stanowiły małe lampy zamontowane w drewnianej podłodze, świecące prosto do góry. Stilton zrobił kilka kroków w stronę akwarium, gdy jego uwagę przyciągnął jakiś odgłos z ciemnego rogu sali. Spojrzał tam.

Nigdy nie zapomni tego widoku.

Zobaczył ogromnego czarnego czworonoga na przytwierdzonym do ściany łańcuchu grubości przedramienia. Stilton gapił się, nie wiedząc, co to za stworzenie. Wyglądało, jakby jego przerośnięte ciało powstało z genów wszystkich agresywnych ras psów z całego świata i wścieklej hieny. Zwierzę śliniło się nieustannie, wydając z siebie głuchy warkot.

– Wabi się Khun Sa.

Stilton odwrócił się gwałtownie.

– Po moim ojcu.

Powiedział to mężczyzna, który wszedł za Stiltonem. Miał na sobie garnitur szyty na miarę, co było widać, bo leżał na nim równie elegancko jak garnitury na Abbasie. Ciemna marynarka z rzadka przetykana złotą nitką, czarne spodnie, koszula w kolorze zgaszonej zieleni rozpięta pod szyją. Na samym dole jego podbródka wyrastała kępka czarnego zarostu wielkości plamki.

– A kim był Khun Sa? – spytał Stilton.

Nie oczekiwał prezentacji kroniki rodzinnej, ale chciał zyskać na czasie. I możliwie najszybciej opuścić to pomieszczenie.

– Opiumowym baronem.

Łagodny, niemal kobiecy głos mężczyzny kontrastował dość mocno z otoczeniem, w jakim się znajdowali. Odpowiedź potwierdziła obawy Stiltona.

Znalazł się w niewłaściwym miejscu.

– Lubisz wódkę ryżową? – spytał tamten.

– Wódka nigdy nie jest zła.

Mężczyzna uśmiechnął się i podszedł do akwarium. Wziął stojący tam kieliszek i przyczepił do długiej metalowej żerdzi, następnie zanurzył go w akwarium ze szkieletem. Nappełnił płynem i wyciągnął.

– Staramy się nie zamaczać palców. – Uśmiechnął się, podając kieliszek Stiltonowi. – Proszę bardzo.

Mam wybór, pomyślał Stilton, albo wypiję, mając w dupie ten szkielet, albo podziękuję.

– Bardzo dziękuję, ale chyba zrezygnuję – powiedział.

– Szkoda.

Stilton nie zarejestrował ruchu, gdy wódka chlusnęła mu w twarz i w oczy. Mocno zapiekło. Bestia w kącie szarpnęła łańcuchem. Stilton już miał walnąć mężczyznę z byka, ale się powstrzymał, bo raczej nie zwiększyłoby to jego szans na przeżycie.

– Niegrzecznie.

Stilton wytarł twarz ramieniem i już zaczynał rozumieć, jak wygląda sytuacja. To był

tylko początek. A więc przeszedł do rzeczy.

– O co wam chodzi? Nazywam się Tom Stilton. Jestem turystą, szukam barki, na której pracuje mój kuzyn.

– Opiumowy kuzyn?

– Nie. Co masz na myśli?

– Nazywam się Jhang Sa.

Jhang znów podszedł do akwarium i napełnił nowy kieliszek. Odczepił od żerdzi i wrócił do Stiltona.

– Mój ojciec zbudował tu imperium – powiedział. – Handel opium, który zdominował Złoty Trójkąt. Wiesz, co to jest?

– Tak.

– Zarządzam jego spuścizną.

Jhang wypił łyżeczek wódki.

– Jednym z kluczy do sukcesów ojca było wyprzedzanie. Zawsze być o krok przed innymi. Eliminować wszystko, co mogłoby zakłócić działalność. Obejmowało to usuwanie ewentualnych zagrożeń. Rolników, którym przyszło do głowy, żeby sprzedawać informacje policji, albo pośredników chcących zarobić na boku; pilnował tego z żelazną konsekwencją. Było to bardzo wymagające zadanie.

Jhang opróżnił kieliszek.

– Ale najważniejsze było wystrzeżenie się donosicieli. Osobników, którzy się wkradli do organizacji, żeby zdobyć informacje o łańcuchach dostaw i przeładunkach, a potem przekazać je międzynarodowej policji antynarkotykowej. Mogłoby nam to bardzo zaszkodzić. Ojciec o tym wiedział i ja o tym wiem.

Jhang pociągnął lekko za kępkę na podbródku.

Po co on mi to wszystko opowiada? – pomyślał Stilton i w tej samej chwili sam sobie odpowiedział. Bo nie wyjdę stąd. W każdym razie nie żywy.

Jhang wrócił do akwarium ze swoim kieliszkiem. Stilton miał już jasny obraz sytuacji. Był potencjalnym donosicielem. Jego pytania o barkę i Dechę dotarły do niewłaściwych uszu.

Jhanga.

Czyżby jego interesy miały związek z „Contamaną”?

– Nie jestem donosicielem – spróbował Stilton.

– A kim?

– Już mówiłem.

– A skąd mam wiedzieć, że to prawda? Turysta? Który kupuje opium, żeby wypytywać narkomanów o informacje, których nie może zdobyć w inny sposób? Przyjacielu...

Jhang rozłożył ręce i się uśmiechnął.

– Czyli nie pijesz wódki ryżowej?

– Piję, ale nie twoją.

Stilton zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie odpowiedział. Uśmiech Jhanga zniknął.

– Skąd jesteś? – spytał.

– Ze Szwecji.

Trwało chwilę, zanim ta informacja dotarła do Jhanga, widać to było po jego reakcji. Spojrzał na Stiltona z pewnym zaciekawieniem.

– Dzielny kraj – powiedział łagodnie.

Stilton nie wiedział, jak to rozumieć. W jakim sensie dzielny?

– Moja siostra była w Sztokholmie – ciągnął Jhang. – Według niej to piękne miasto.

– Rzeczywiście tak jest.

– W wieczór przed wyjazdem została zgwałcona w budynku parkingowym. Zostałeś kiedyś zgwałcony?

– Nie – odparł Stilton.

– Paskudna rzecz, u nas stosuje się często jako karę. Albo sposób na usunięcie niewłaściwej osoby.

Znów się uśmiechnął i ruszył do drzwi, które cały czas były otwarte. Stał w progu i odwrócił się do Stiltona.

– Khun Sa jest na bardzo mocnej uwięzi – powiedział. – Na wykonanie tego łańcucha kowal poświęcił wiele dni. Jest przymocowany do gniazdka w ścianie. Jak nacisnę guzik w pilocie, to łańcuch puści.

Jhang wyszedł, a drzwi natychmiast się zamknęły. Stilton spojrział na akwarium i na zwierzę w kacie. Stało spokojnie, kołyszając się lekko, wzrok wbiło w jeden punkt.

W niego.

Dioda na gniazdku z mocowaniem łańcucha świeciła na czerwono. Co się stanie, jeśli nagle zmieni kolor na zielony? Stilton podbiegł do drzwi. Oczywiście były zamknięte na klucz. Mimo wszystko starał się zachować spokój. Przebywał w jednym pomieszczeniu ze śliniącą się bestią i akwarium pełnym wódki przyprawionej szkieletem. Jeśli wyjdzie z tego żywy, do słonego rachunku Veroniki dopisze wiele zer. Widział, że dioda wciąż świeci na czerwono, i pomacał kieszeń, w której miał komórkę. Co miałby z nią zrobić? Zadzwoić do Luny? Znów spojrział na czerwoną diodę. Gwałt? Co ten padalec dawał mu do zrozumienia? Poczul pot spływający po szyi i zdjął kurtkę. Żadnych okien i żadnych innych drzwi.

Nagle w pomieszczeniu zgasły wszystkie światła.

Jedynie, co widział w ciemności, to dwoje żółtych ślepiów pod przeciwległą ścianą, a za nimi czerwoną diodę. Doszedł po omacku do drzwi, jak najdalej od żółtych oczu. Przyłożył ucho i nasłuchiwał. Cisza. Co się dzieje? Czyżby Jhang właśnie najmował jakichś gwałcicieli? Znów pomacał kieszenie i znalazł scyzoryk. Bezwartościowy jako oręż przeciwko Khun Sa, nie zdążyłby nawet drasnąć bestii, zanim zostałyby kością do ogryzania. Zamek? Może dałby się otworzyć? Warto spróbować, zważywszy, że nie ma innego wyjścia. Przesuwając palcami, wymacał dużą kłamkę, pod nią dziurkę od klucza. Włożył do niej jeden z mniejszych nożyków scyzoryka i zaczął nim obracać. Nie odbywało się to w całkowitej ciszy, ale niech tam. Pot zalewał mu oczy i szczypał prawie jak tamta wódka, Stilton mrugał powiekami i zaciskał zęby, obracając ostrze w zamku z coraz większą desperacją.

Aż kliknęło. Cicho, ale jednak.

Wyprostował się i wypuścił wstrzymywane dotąd powietrze, jednocześnie obejrzał się za siebie.

W tym momencie światelko diody zmieniło się w zielone.

Łańcuch puścił i upadł z hurgotem na podłogę, a do Stiltona dotarło, co na niego pędzi. Szarpnął drzwi i rzucił się do ucieczki. Silne światło na zewnątrz oślepiło go, ale pobiegł przed siebie i wpadł prosto na drewnianą ścianę. Odwrócił się, zwierzę właśnie wypadło przez drzwi, ciągnąc za sobą łańcuch. Sekunda i już zlokalizowało Stiltona, po czym skoczyło na niego. Stilton rzucił się w bok i padł na ziemię. Potwór już miał go zaatakować, gdy głośny gwizd przeciął powietrze. Zwierzę stanęło jak wryte, jakby poraziło je tysiąc woltów, ślina kapłała mu z pyska, ciało kołysało się, a żółte ślepia płonęły, wpatrzone w leżącego na podłodze Stiltona.

– Nie chcę, żeby mi się dywany pobrudziły – padło z drugiego końca pokoju.

Jhang wszedł w towarzystwie mężczyzn, którzy nie mieli ani garniturów od krawca, ani zbyt wielu komórek mózgowych.

– Te dywany były ręcznie tkane w Isfahanie w Persji, na wiele lat przed pojawieniem się

na świecie twoich przodków – dodał Jhang, zonglując w ręce gwizdkiem.

Stilton próbował wstać, jednocześnie obserwował zwierzę, które mogło nie podzielać podziwu Jhanga dla dywanów z Isfahanu. Właśnie udało mu się podnieść, gdy podszedł jeden ze sługusów Jhanga i zakończył imprezę jednym mocnym ciosem pałki w skroń.

Na tym się zakończyło wspomnienie byłego bezdomnego ze spotkania z Jhangiem Sa.

W następnym, dużo krótszym wspomnieniu ciągnęli go ze związanymi rękami po drewnianym pomoście, na dworze było widno, w głowie miał mętlik, nie widział, kto go wlecze. Ostatnim odgłosem, który dotarł do jego świadomości, zanim go wrzucili do rzeki, był rechot żab, wielkiej masy żab.

A potem odpłynął.

*

Veronica okryła nogi ciepłym kocem i siedząc przed jednym z okien werandy, spoglądała na szaroniebieskie morze. Czasami ten widok działał na nią kojąco, a czasem nie. Czasem widziała przed oczami krwawiące ośmiornice, wyłazące z wody i pełzające po piachu aż pod dom. Kiedy podpełzły zbyt blisko, odwracała się na wózek i gasiła światło. W ciemności czuła się bliżej dawnej siebie i wtedy się uspokajała.

Znów spoglądała na morze.

Nastawiła się, że tu, w tym domu, zakończy życie. Mogła czekać na śmierć albo jej pomóc. Była to tylko kwestia kondycji. Wołała umierać tutaj, zamiast w obskurnej szpitalnej sali na obrzeżach Bangkoku. Spojrzała na swoje dłonie, przesuwały się po nich promienie zachodzącego słońca, i wtedy przypomniały jej się słowa Stiltona. „Masz piękne dłonie”.

Moja córka też takie miała, pomyślała.

Sięgnęła po komórkę, zastanawiała się chwilę, czy dzwonić do Stiltona i się dowiedzieć, jak mu idzie. Nie chciała go naciskać, ale ciekawość przeważała. Wybrała jego numer, ale nie odebrał. Chyba padł mu telefon, nawet nie mogła zostawić mu wiadomości. Czy powinna się martwić? Zadzwoń do Aditi? Może coś wie. A może tylko wzbudzi niepotrzebną ciekawość? Zakładała, że Stilton powiedział coś Aditi, ale ponieważ sam niewiele wiedział, Veronice to nie przeszkadzało.

Wołała jednak nie myśleć o niebezpieczeństwach grożących Stiltonowi. Bo jeśli nieznaną mężczyzną był tym, kim się obawiała, że jest, wszystko mogło się przydarzyć.

Zarówno jemu, jak i Stiltonowi.

O istnieniu Jhanga Sa nie miała pojęcia.

*

Aom spędziła całe życie nad brzegami Lat, wolno płynącej rzeki, która była częścią jej samej; kiedyś zanurzała w niej dziecięce stópki, teraz moczyła przykurczone palce u stóp. Wiele lat temu rozciągała się tu ludna wioska, ale na skutek wyjąłowania gleb i przełowienia rzeki kolejne rodziny przenosiły się do Wanssingi i jeszcze dalej. Dziś zostały tu tylko ona i jej córka Sudarat. Mieszkały w bambusowym domku zbudowanym na wyrębie dżungli jeszcze przez jej rodziców; łatwo było go utrzymać i opierał się nawet największym deszczom monsunowym. Jeśli coś się zepsuło, bez problemu udawało się to naprawić.

Sudarat dorosła, Aom wiedziała, że odejście córki z domu to tylko kwestia czasu. Jej tata przepadł wiele lat temu, zagustował w makach i stał się marzycielem, aż wreszcie leżał tylko jak worek ze skóry, domagając się, by Aom nabijała mu fajkę. Wyrzuciła go, choć był jej mężem, którego kiedyś kochała i szanowała. Gdy zataczając się, wszedł na pokład barki i odpłynął, zrobiło jej się przykro, ale gdy barka zniknęła z oczu, było już po sprawie.

Przecież została jej Sudarat.

A gdy ona zechce odejść, zostanie sama Aom.

Nie chciała o tym myśleć. Wolała, żeby wspólny czas, który im pozostał, był dobry. Aby jej córka zawsze miała ryż na talerzu, czyste łóżko i matkę, która przed zaśnięciem opowie o przeszłości.

– Mamo, spójrz!

Sudarat stała nad rzeką, wskazując na coś. Aom wytarła ręce i zmrużyła oczy przed rażącym je słońcem.

– Chodź!

Aom podniosła się z zielnika i zeszła na brzeg.

– Co się stało? – spytała.

– Tam!

– To jakaś kłoda. Chodź już, zagrzałam ryż.

– To nie kłoda! Zobacz!

Aom zeszła nad samą wodę, wzrok miała już nie najlepszy, ale zobaczyła wyraźnie to co Sudarat.

Na wodzie unosił się człowiek.

– Co robimy? – odezwała się Sudarat.

– Jak to co?! Ściągamy go!

– A jeśli to trup? Na pewno trup. Martwy człowiek.

Aom sporo przeżyła i trup jej nie przerażał, widziała ich wiele w tej okolicy. Przyniosła długie drewniane grabie i weszła kawałek do rzeki. Ciało płynęło powoli, bo nurt nie był tu wartki, Aom ostrożnie ściągnęła je grabiami do brzegu. Sudarat patrzyła na ciało, ciemne spodnie, szarą kurtkę i bose stopy.

– Mężczyzna – skonstatowała.

– Owszem.

– Farang. Ma ręce związane z tyłu.

Aom wyciągnęła nóż zza przepaski na biodrach, rozcięła więzy krępujące ręce mężczyzny i podjęła próbę, która ocaliła mu życie. Kilka razy nacisnęła kolanami jego klatkę piersiową. Mężczyzna nagle kaszlnął i z kącików ust popłynął mu cienki strumyczek wody.

– Żyje – niemal krzyknęła Sudarat. – Udało ci się!

Jej podziw dla starej matki wzrósł jeszcze bardziej. Sudarat wiedziała, ile zawdzięcza Aom, choć zwykle tego nie mówiła.

– Co teraz? – spytała.

Dla Aom sprawa była prosta. Mężczyznę należało zaciągnąć do domu i pomóc mu dojść do siebie, dać mu trochę ryżu. Może jest ranny, dostrzegła już jedną paskudną ranę na skroni. Trzeba go opatrzyć. Może to gangster, ale teraz to nieważne. Teraz trzeba mu pomóc oprzytomnieć.

A poza tym będzie, co ma być.

*

I było nieźle.

Stilton doszedł do siebie i zjadł trochę ryżu. Zorientował się, że leży na dość twardym łóżku, ale potrzebował dłuższego czasu, żeby zrozumieć sytuację. Widział siedzącą obok starą kobietę o dobrych oczach, za nią młodą kobietę o szczerym spojrzeniu i z długimi czarnymi włosami. Rozejrzał się i zobaczył ściany z bambusa, zawieszane na gwoździach gliniane spodki, a na półce glinianą figurkę Buddy – po obu jej stronach paliły się świece.

Przede wszystkim nie był już u Jhanga Sa.

Powoli wracały obrazy ostatnich wydarzeń. Najpierw przypomniały mu się huczący w głowie rechot żab, obraz śliniącej się bestii i próba uniknięcia uderzenia pałką, potem to, jak leżał w rzece i usiłował płynąć, poruszając nogami, ale osłabł, pamiętał też, że próbował się złapać przepływającego obok kloca drewna.

Opadł z powrotem na twardą poduszkę i zamknął oczy.

Żył.

Słyszał, jak kobiety szepczą po tajsku.

– Co z nim zrobimy? – spytała Sudarat. Znalazły na rzece obcego pobitego człowieka ze związanymi z tyłu rękami. Teraz leżał w ich chacie i był już przytomny.

– To on zdecyduje.

Aom wstała i spojrzała na córkę.

– Będziesz musiała spać dziś na podłodze.

Gdy zapadła noc i obie kobiety zasnęły, jedna na drewnianym łóżku, druga na podłodze, do życia obudziła się trzecia osoba.

Wspomnienia Stiltona były teraz znacznie klarowniejsze.

Przypomnił sobie wszystko oprócz jednego trudnego momentu. Zupełnie nie pamiętał, co się stało po tym, jak został powalony u Jhanga, aż do chwili, gdy ze związanymi rękoma wleczono go po drewnianym pomoście. Musiało to być wiele godzin później.

Co się wtedy wydarzyło? Wciąż słyszał łagodny głos Jhanga i jego pytanie „Zostałeś kiedyś zgwałcony?”. Czy został? Nie powinien mieć po tym jakichś dolegliwości? Nic nie czuł tam, gdzie powinien czuć, a więc odsunął od siebie te myśli.

Całe ciało miał obolałe, najprawdopodobniej od silnego pobicia, bo przy każdej zmianie pozycji czuł okropny ból. Uzmysłował sobie, że teraz nie może opuścić tej chaty.

Został zatem.

A trzeciego dnia wyzdrowiał.

Sam wstał z łóżka, choć jeszcze poprzedniego dnia Sudarat musiała mu pomóc dojść do wychodka, co było krępujące. Teraz podszedł do niskich drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Słońce mocno grzało, nieco niżej płynęła leniwie rzeka, para białych smukłych ptaków płynęła na gapę na grubym konarze w stronę zakrętu rzeki, poza tym panowały cisza i spokój. Wyszedł przed chatę i się rozejrzał. Nieopodal zobaczył przykucniętą w zielniku Aom, która peła grządki. Miała tam piękną, choć malutką uprawę tajskiej bazylii, kolendry i galangalu, używanych przeważnie do przyprawiania ryżu. Przysiadł na ławeczce pod niewysoką palmą w pewnej odległości od chaty. Wyciągnawszy przed siebie ręce, zobaczył ślady po sznurach, którymi był związany.

Żyję, pomyślał ponownie. Gdyby nie te dwie kobiety, które mnie wyciągnęły, byłbym dziś martwy.

Spojrzał w stronę zielnika i poczuł gulę w gardle. Przyglądał się pochylonej kobiecie. Aom raczej wyczuła go, niż usłyszała, odwróciła głowę i spojrzała w jego kierunku.

– Gdzie Sudarat? – spytał.

Aom nie rozumiała po angielsku, ale usłyszała imię córki i domyśliła się, o co chodzi. Kiwnęła dłonią w stronę dżungli. Stilton zobaczył jedynie parę małpek huśtających się między gałęziami. Pomacał bandaż na głowie, zabolalo. Inne bóle były już słabsze. Na szczęście nie miał złamań. Poprzedniej nocy zastanawiał się, dlaczego wrzucili go do rzeki żywego. Przecież mogli mu poderżnąć gardło albo nakarmić nim bestię. Prawdopodobnie zakładali, że się utopi. Nieprzytomny i ze związanymi rękami. Pomyślał, że to ze strony Jhanga niedbalstwo. Chyba że opiumowemu baronowi było to kompletnie obojętne, bo Stilton i tak nie dysponował żadnymi dowodami.

Wsunął dłoń do kieszeni spodni i zorientował się, że wciąż ma swój mały scyzoryk. Nie rzucił go, kiedy bestia pędziła na niego? To też było dziwne.

Stracił jednak zarówno telefon, jak i zegarek. Telefon przedstawiał jedynie wartość materialną, kupi sobie nowy przy pierwszej okazji. Co innego zegarek. Dostał go od dziadka i była to jedna z niewielu pamiątek po starym łowcy fok. Dziadek nosił go, odkąd Stilton pamiętał; nigdy nie zapomni dnia, gdy dziadek zdjął zegarek z ręki i powiedział: „To dla ciebie”. Był już dorosły, ale czuł się jak dziecko, które dostało niezwykle cenny prezent. Wykrztusił tylko „dziękuję”. Wieczorem obejrzał go dokładnie i wtedy dostrzegł malutką inskrypcję na kopercie: „Będzie dobrze tak czy tak”, te same słowa, które dziadek wypowiedział potem na łożu śmierci.

Wszystko się ze sobą łączy, pomyślał Stilton, patrząc na Aom. Przypominała mu jego babcię, zmagającą się z losem, jaki jej przypadł, życiem bardzo dalekim od współczesnych udogodnień i bezsensownej pogoni za wszystkim. Dlaczego dziś tak już nie jest? – pomyślał. Jak w tym zakątku świata odciętym od reszty, gdzie nie ma znaczenia nic poza tym, co niezbędne. Jak na Rödldöze. Pamiętał też piekielnie trudne zimy, gdy sztormy z otwartego morza zwały się na nich, rozrywając wszystko, co nie zostało podwójnie zabezpieczone, jedzoną tygodniami cienką zupkę, ciężkie milczenie dorosłych, którzy zużyli już wszystkie dostępne im słowa.

W gruncie rzeczy nie było to zbyt pociągające.

– Dzień dobry! – Sudarat szła od strony dżungli, niosąc wielkie naręcze suchych gałęzi. Była ubrana w długą niebieską suknię. – Dobrze spałeś?

Sudarat całkiem znośnie mówiła po angielsku, dorastała w rozwiniętym i zglobalizowanym świecie, który nie był i nigdy już nie stanie się światem jej matki. Dziewczyna potrząsnęła długimi czarnymi włosami, wypuściła z rąk chrust i usiadła naprzeciw Stiltona, krzyżując nogi.

– Dobrze spałem – odparł. – Prawie mnie już nie boli.

– To papka mamy, jest magiczna.

Aom kilka razy wmusiła w niego magiczną papkę, a właściwie napar, mętny szarozielony płyn z pływającymi grudkami, który smakował mniej więcej tak, jak wyglądał.

Ale wykonał robotę, zwłaszcza ból pleców zelżał. Prawdopodobnie papka zawierała substancje, które wydaje się jedynie na receptę. Może opium, pomyślał, kiedy ostatni raz zmusił się do przełknięcia łyżki tej paćki. Zło nie jest złem samo z siebie, wszystko zależy od podejścia.

– Rzeczywiście – przyznał – jest magiczna. Wiesz, co zawiera?

– Nie, ale mama obiecała, że da mi przepis, kiedy się będę wyprowadzać.

– A kiedy to nastąpi?

Sudarat rzuciła spojrzenie na Aom, która wciąż kuciała wśród grządek, jej cienka bluzka była cała przepocona.

– Kiedy to już nie zaboli – odpowiedziała cicho.

Rozumiał ją.

– A ty? – spytała Sudarat. – Nic o sobie nie powiedziałeś poza tym, że na imię masz Tom i jesteś Szwedem. Co tu robisz? Skąd się wzięłeś w rzece?

Tego Stilton nie chciał opowiadać. Poprosił, żeby przyniosła z chaty jego kurtkę. Kiedy wróciła, wyjął z kieszeni zdjęcie od Veroniki, dziękując sobie w myślach, że jeszcze w Bangkoku je zalaminował.

– Szukam tego mężczyzny – powiedział.

– Jesteś policjantem?

– Nie. Byłem.

Widział, że jej zainteresowanie rozmową bardzo wzrosło. Zaczęła pracować jej wyobraźnia. Spojrzała na zdjęcie z wyraźnym zaciekawieniem, jakby uczestniczyła w jakimś

dramacie.

I poniekąd tak było, chociaż o tym nie wiedziała.

– Nie znam go – powiedziała po długiej chwili.

– Nigdy go nie widziałaś w Wanssingi?

– Nie. Mieszka tu?

– Nie wiem, chociaż przypuszczam, że mieszka na barce o nazwie „Contamana”.

Drgnęła, ledwo wymówił tę nazwę. Spojrzała znów w stronę Aom, a potem na Stiltona.

– Dlaczego tak myślisz? – spytała.

– Tak mi mówili w Wanssingi. Mówią na niego Decha.

Sudarat zaczęła coś kreślić palcem po piachu, jakby się nad czymś zastanawiała albo się zmieszała. Nie zauważyła, jak podeszła Aom i usiadła obok.

– O czym rozmawiacie? – spytała po tajsku.

Sudarat przerwała rysowanie po piasku.

– Tom opowiada, dlaczego się tu znalazł.

– Szuka kogoś – stwierdziła Aom.

Powiedziała to tak, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, tym samym tonem co wtedy, gdy tłumaczyła Stiltonowi, dlaczego ma połykać wstrętną paćkę, choć wiedziała, że nie rozumie ani słowa.

Teraz też nie rozumiał.

– Co ona mówi? – spytał Sudarat.

– Mówi, że kogoś szukasz.

– Skąd o tym wie?

– Skąd o tym wiesz? – zwróciła się Sudarat do matki.

– Magiczna paćka.

Sudarat nie chciała tego przetłumaczyć Stiltonowi, nie bardzo wiedziała, co Aom ma na myśli. Bredził przy niej?

– Mama czyta w myślach – powiedziała w końcu.

Stilton uznał, że nie ma sensu się zajmować jasnowidzeniem Aom, i jej również podsunął zdjęcie Dechy. Sudarat wyjaśniła, o co chodzi. Aom pokręciła głową na znak, że nie zna człowieka.

– On mówi, że być może mieszka na barce „Contamana” – dodała Sudarat.

Aom milczała, spojrzała w dół i też zaczęła rysować coś palcem po piasku. Czyżby był to rodzaj jakiegoś ceremoniału? – pomyślał Stilton. Nazwa „Contamana” sprawia, że człowiek palcami rysuje po piasku? Aom podniosła oczy na Stiltona, patrzył w nie od kilku dni, widząc w nich najpierw obawę, a potem spokój. Teraz ich spojrzenie było całkiem inne.

– „Contamana” jest niedobra – powiedziała.

Stilton popatrzył pytająco na Sudarat.

– Ona mówi, że „Contamana” jest niedobra.

– Co chce przez to powiedzieć?

– Nie wiem, wiem tylko, że zawsze mi mówiła, żebym nigdy nie wędrowała w górę rzeki, bo mogłabym trafić na „Contamanę”.

Stilton kiwnął głową, zrozumiał, że więcej się nie dowie.

– Gdzie znajdę „Contamanę”? – spytał.

Sudarat powtórzyła pytanie Aom i przetłumaczyła odpowiedź.

– W górze rzeki, za siedmioma zakrętami i dwiema opuszczonymi wsiami – powiedziała. – Trzeba tam płynąć łódką.

Stilton nie miał łódki. Widział jednak nad wodą trzy prymitywne drewniane kajaki.

– Mógłbym pożyczyć od was kajak? Oddam.

Matka i córka zaczęły się cicho naradzać, gestykulując i co pewien czas zerkając na Stiltona.

– Zapłacę – powiedział, żeby przyspieszyć ich decyzję. – Chciałbym już wyruszyć.

Aom wstała i gestem nakazała Sudarat, żeby poszła do chaty. Wzięła Stiltona pod rękę – w drugiej trzymał kurtkę – i powoli zaprowadziła go nad rzekę do kajaka. Pochyliła się i wylała z łódki trochę wody, wyprostowała się i spojrzała na Stiltona wzrokiem, w którym były tysiące lat historii ludzkości.

– Oby twój wzrok był zawsze przy tobie – powiedziała.

Oczywiście po tajsku, wobec czego Stilton nie rozumiał ani słowa. Ale skojarzył, że dostanie kajak. Sięgnął do specjalnej kieszonki wszytej pod pachą w kurtce, miał tam banknoty w plastikowej koszulce. Wyjął kilka, nie sprawdzając nominałów. Może Aom poczuje się zażenowana, a może nie. Wzięła banknoty bez słowa, pogrzebała w fałdach spódnicy, wyjęła toporną puszkę i podała ją Stiltonowi.

– Bzz – powiedziała i tytułem wyjaśnienia uderzyła go lekko w przedramię.

Stilton wziął puszkę. Nie był specjalnie wrażliwy na ukąszenia komarów, gzów, meszek i innych krwiopijców, ale to było w Szwecji. Wiedział, że tutaj są gatunki, których w miarę możliwości trzeba unikać, żeby się nie dać rozłożyć wysokiej gorączce albo czemuś jeszcze gorszemu. Wsunął puszkę do kieszeni, pochylił się lekko, złożył dłonie i się uklonił. Kiedy się wyprostował, Aom go uściskała. Zaskoczyło go to, w Tajlandii nie ma zwyczaju takiego obejmowania się. Spojrzał ponad jej ramieniem i zobaczył stojącą w drzwiach chaty Sudarat, pomachała mu. Odmachał, Aom go puściła. Odwróciła się i ruszyła do chaty. Stilton popatrzył za nią, następnie wsiadł do kajaka i chwycił za wiosło.

*

Lat płynęła powoli, jak zawsze, odkąd z górskich szczelin w dżungli trafiała do Kok. Z biegiem lat stała się węższa, choć rozszerzała się, zasilana corocznie przez deszcze monsunowe, jednak już nie tak jak w latach swojej świetności. Wtedy się rozlewała po okolicznych terenach. Dziś ograniczała się do burego koryta, wystarczającego dla ruchu barek i rybołówstwa.

Nawigowanie po rzece nie stanowiło problemu, chociaż płynął pod prąd. Każdy mocny ruch wiosłem przesunął go wiele metrów naprzód, mimo że kajak był dość rozchybotany. Minęło wiele godzin od pożegnania z Aom i Sudarat, zdążył już minąć cztery zakręty, a według Aom miało ich być siedem. Słońce stało jeszcze dość wysoko i Stilton był mocno spocony, chociaż próbował płynąć blisko brzegu, żeby złapać trochę cienia pod zwisającymi gałęziami. Domyślał się, że wilgotność powietrza jest ogromna. W każdym razie tak to odczuwał. Sunął po wodzie i zastanawiał się, co robi, gdy już dotrze na miejsce. Bo zakładał, że wkrótce znajdzie barkę, potwierdziła to również Aom.

„Contamana” jest niedobra, tak powiedziała.

Pozostaje przekonać się, co miała na myśli.

Według Stiltona niewiele rzeczy podczas tej wyprawy było dobre. Może magiczna papka, ale poza tym? Pchnął wiosłem i płynąc pod gałęziami, zatopił się we wspomnieniu przeżyć u Jhanga, co zapewne było powodem, że nie zauważył ich, aż znalazł się zdecydowanie za blisko.

Krokodyli.

Dwóch, kawałek od niego, w rzece.

Syjamskich.

Wiedział o ich istnieniu dzięki Aditi. Orientowała się w wielu sprawach, na przykład

w gatunkach zwierząt zagrożonych wyginięciem. Jak syjamskie krokodyle. Według niej nie zostało ich w Tajlandii zbyt wiele. We właściwy sobie afirmujący sposób opisywała piękno tych gadów, ich wspaniałe szarozielone pancerze, u młodych osobników żółte, ich niesłychaną zwinność i mocne szczęki. Z wyraźną słabością do zjawisk przyrodniczych opisywała ich inteligencję i rozmaite sposoby porozumiewania się. Mimochodem wspomniała o sześćdziesięciu ośmiu ostrych zębach jako fascynującym atrybucie prehistorii.

Stilton podzielał jej zachwyty, zwłaszcza teraz, pamiętał też co do słowa, co mówiła.

Zwłaszcza o ich szczękach.

Zdawało mu się, że krokodyle nie powinny się znajdować tak daleko na północ. Może się wymknęły z jakiegoś miejscowego ogrodu zoologicznego? Albo zostały wypuszczone przez Jhanga Sa, żeby odstraszyć ciekawskich od jego okolicy?

Widział, że były to dwa młode osobniki, bardziej żółte niż szarozielone. Leżały w rzece nieruchomo, miał wrażenie, że go obserwują małymi złymi oczkami. Znajdowały się kilka metrów od niego, więc zanurzył wiosło w wodzie, robiąc zwrot do środka koryta rzeki. Stilton widział, że odwróciły łby, śledząc jego manewry. Może nie są głodne, pomyślał, a może tak. Wykonał mocny ruch wiosłem, nie odrywając przy tym oczu od krokodyli, co było błędem, bo kajak uderzył dziobem o unoszący się na wodzie gruby konar i się wywrócił. Stilton wpadł do całkiem ciepłej wody. Wynurzył się, prychając, i rozejrzał. Nie zobaczył krokodyli, czyli musiały być w wodzie. Zaczął płynąć jak szalony w stronę dość odległego brzegu, licząc się z tym, że może w każdej chwili poczuć na nogach sześćdziesiąt osiem ostrych zębów albo i dwa razy tyle. Kurtka go spowalniała, kilka razy napił się wody. Ciało nie było w najlepszej formie, poczuł, że zaraz złapie go skurcz. Nagle wyczuł jakiś ruch przy podudziu.

Do diabła!

Jednym szarpnięciem podciągnął nogę, starając się drugą wymacać dno. Wyprostował się, żeby uciekać na brzeg. Czy to rzeczywiście krokodyl próbował złapać go za nogę, czy tylko zahaczył nią o dno? Wszystko jedno. Wskoczył z wody i padł na ziemię. W następnej chwili się zerwał, bo przypomniał sobie, że krokodyle mogą się poruszać również po lądzie. Słaniając się, dotarł do zielonej gęstwiny, opadł na jakiś krzak i wpatrzył się w brzeg. Oby zagrożone wyginięciem stwory, nad którymi tak cholernie się rozczulala Aditi, nie dotarły aż tu!

Stilton leżał dość długo, dochodząc do siebie i rozpoznając sytuację. Kajak zniknął, a zostały mu do pokonania jeszcze trzy zakręty, jak wynikało z opisu Aom. Nie miał pojęcia, jaka to odległość w linii prostej ani przez dżunglę. Rozluźnił się i zamknął oczy. Pięć sekund i już wiedział, dlaczego Aom dała mu swoją puszkę. Owady obsiadły mu całą twarz. Moskity. Zanim zdążył je zetrzeć, poczuł kilka ukąszeń i przypomniało mu się wypowiedziane przez Aom słowo „dengue”. Zerwał się i wyszarpnął puszkę z kieszeni. Nabrał sporą grudkę tłustej mazi i zaczął ją wcierać najpierw w twarz, potem w ramiona. Dziwnie pachniała. Pewnie była z tej samej rodziny co magiczna paćka.

I okazała się równie skuteczna, przynajmniej chwilowo. Owady bzyczały, ale nie siadały na nim, by pić krew albo wstrzykiwać wirusy.

No i dobrze.

Zaczął iść w świetle schodzącego coraz niżej słońca. W tej sytuacji przynajmniej jedno było dobre: mógł podążać tylko w jednym kierunku, czyli wzdłuż rzeki. Prędzej czy później dotrze do barki.

Przemieszczanie się brzegiem rzeki wydaje się łatwe, w teorii idzie się tylko przez piach i wodę. W rzeczywistości to jeden wielki i męczący tor przeszkód. Co pięć metrów powalone drzewo, nad którym trzeba przejść, wystające skały, które trzeba ominąć, ostre muszelki kaleczące stopy, nisko zwisające liany zaczepiające o ciało. Nie udawało mu się pokonać zbyt

wielu metrów na minutę. Na ślimacze tempo wpłynęła częściowo przygoda z krokodylami – popatrywał w tył, na boki i przed siebie. Wolał nie myśleć o tym, że w gęstwinie może się znajdować całe mnóstwo innych wijących się stworzeń. Nie miał wielkiego wyboru. Do Aom było już dalej niż do barki, po prostu musiał iść naprzód.

Kiedy, jak sądził, minął piąty zakręt, zaczęło się ściemniać. Wyliczył sobie, że następny zakręt to zapewne ten wbijający się w rzekę cypel, który miał przed sobą. Postanowił, że pójdzie tam na przełaj zamiast brzegiem.

Nagle dobiegł go odgłos pracy silnika. Ukrył się za powalonym drzewem. Parę minut później zobaczył plastikową łódź płynącą środkiem rzeki w stronę Wanssingi. Sterował nią siedzący przy silniku czarnoskóry mężczyzna z obnażonym torsem i w trykotowej czapce na głowie. Stilton szybko rozważył opcje. Ujawnić się i poprosić, żeby go zabrał, zapłacić mu, żeby zawrócił i podwiózł go do „Contamany”? Czy lepiej nie prosić tego człowieka o podwózkę?

Musiał zaryzykować.

Wstał, wszedł kawałek do wody i zaczął wymachiwać rękami.

– Halo!

Mężczyzna na łódce spojrzał w jego stronę, uśmiechnął się lekko i popłynął dalej. Stilton zawołał jeszcze za znikającą łódką, potem opadł na piasek koło powalonego drzewa. Uśmiechał się? Czemu? Idiota? Może po prostu był w stanie przyjemnego opiumowego odlotu i złudzenia, że steruje jachtem?

Stilton zaczął się przedzierać przez gęstą dżunglę na cyplu. Księżyc był już nieco wyżej na niebie, dzięki czemu widział na przynajmniej kilka metrów przed sobą. Głód? Czuł skręcanie w żołądku, nic nie jadł od porannego ryżu u Aom. Mała chata z bambusa z dwiema buddystkami i magiczną paćką wydawała mu się teraz rajem. Dlaczego nie został u nich? Przeciskając się między lianami i krzewami, zorientował się, że ma mokre nogi. Niewiele widział, ale domyślił się, że to mokradła. Albo fragment dżungli zalany przez rzekę. Próbował stąpać po gałęziach, dopóki jeszcze je dostrzegał, ale co pewien czas zsuwał się do wody. Jeszcze trochę, mówił sobie, bo długo tego nie wytrzymasz, Tom. I co wtedy? Będziesz spał w tej wodzie? Jako mięsny posiłek dla żyjących tu stworzeń? Na tę myśl przyspieszył, już nie zwracał uwagi na wodę wokół nóg, musiał iść dalej.

Nagle zobaczył polanę rozświetloną przez księżyc. Sapiąc, dotarł do jej skraju i ujrzał kilka bambusowych chat. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Jego uszy wypełniły się dźwiękami dżungli, zdążył się już do nich przyzwyczaić. Nasłuchiwał innych odgłosów, ale bezskutecznie. Ruszył ostrożnie w stronę ciemnych chat. Czy mieszkają w nich ludzie? Późna noc, może już śpią? Podkraść się jak najciszej do jednej, mocno zniszczonej. Od dawna nikt w niej nie mieszkał. Przypomniawszy sobie, że w drodze do „Contamany” miał mijać parę opustoszałych wsi. Może to jedna z nich? Ostrożnie otworzył ledwo trzymające się drzwi i zajrzał do środka. Blask księżyca wpadał przez szpary w ścianach, pokój był pusty, trochę śmieci na ziemi, poza tym nic. Stilton wszedł, zamknął drzwi, na ile się dało. Opadł na ziemię i odetchnął. Spojrzał na swoje stopy i zobaczył coś, czego na nich być nie powinno. Pijawki. Małe czarne. To z tych mokradeł, pomyślał, odrywając je po kolei. Trwało to dłuższą chwilę. Musiał sięgnąć po scyzoryk i częściowo je odcinać. Bolało, ale dał radę. Kiedy już wyrzucił pijawki i znów zamknął drzwi, pozostało mu tylko jedno.

Spać.

Odsunął śmieci i zwinął się w kłębek na ziemi.

Nic a nic go nie obchodziło to, co działo się poza nim, ani gwizdy w szparach ścian, ani odgłosy zwierząt, które nie figurowały nawet w ewidencji Aditi. Nawet piekielnie śwędzące ukąszenia na twarzy.

Zasnął czy też stracił przytomność, wszystko jedno.

Był zupełnie wykończony.

*

Veronica o poranku siedziała na plaży i patrzyła na morze, co było jednym z niewielu jej stałych punktów dnia. Na początku, zaraz po przyjeździe, zabawiła się liczeniem fal. Mówią, że najwyższa jest zawsze siódma. Szybko stwierdziła, że to nieprawda. Pewnie jakiś pradawny mit. Siódma była taka sama jak szósta czy ósma. Spojrzała na komórkę w swojej ponoć pięknej dłoni. Pomalowała starannie paznokcie, jak co drugi dzień. To też był stały punkt, ale z czasów znacznie dawniejszych. Zwyczaj wiążący ją z przeszłością. Zawsze dbała o wygląd. Częściowo dlatego, że cieszyła ją własna uroda, nie miała się czego wstydić.

Wtedy.

Zresztą w jej otoczeniu powierzchowność miała pewne znaczenie. Niedbała prezencja nie służyłaby sprawie.

Teraz w zasadzie było jej wszystko jedno.

Nigdy jednak nie zapomniała słów starszej kobiety żyjącej z żebractwa: „Jeśli nie będę dbała o higienę, to już nic mi nie pozostanie”.

A więc dbała o to, co jej zostało.

Codziennie.

Wzięła telefon i wybrała numer. Próbowowała kilkakrotnie dodzwonić się do Stiltona, ale bez powodzenia. Od ostatniego razu minęło sporo czasu, dlatego zdecydowała się skontaktować z Aditi.

– Cześć, mówi Veronica Wadner. Nie przeszkadzam?

– Ależ skąd. Jak się masz?

Już miała powiedzieć, że kiepsko jak zwykle, ale się powstrzymała. Uznała, że będzie to nie na miejscu.

– W porządku. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy Stilton się odzywał?

– Dzwonił raz do Luny, z Chiang Rai, ale przerwało połączenie. Miałś z nim jakiś kontakt?

Chiang Rai, powtórzyła w myślach Veronica. Co on tam robi?

– Próbowalam się do niego dodzwonić, ale jego komórka chyba nie działa.

– Nie wiesz, co on robi w Chiang Rai? – spytała Aditi.

– Nie. Pewnie ma to jakiś związek ze zdjęciem. Opowiadał ci o nim?

– Tak.

– Gdyby się odezwał, to daj znać, dobrze?

– Tak jest.

Aditi opuściła rękę trzymającą telefon. Siedząca obok niej Luna słyszała rozmowę.

– Też nie ma od niego żadnych wieści?

– Nie.

Luna wyjęła swój telefon. Nie należała do tych, którzy martwią się na zapas, i sporo wiedziała o przeszłości Toma, również to, że potrafi sobie radzić z kłopotami.

A jednak.

Wybrała numer Toma i czekała. Po paru sekundach spojrzała na Aditi.

– Chyba jest połączenie.

Rzeczywiście. Po kilku sygnałach ktoś odebrał i odezwał się łamaną angielszczyzną.

– Zapomnij ten numer – powiedział.

Rozłączył się. Widząc reakcję Luny, Aditi się domyśliła, że nie był to Tom.

– Kto to był?

– Nie wiem, jakiś facet. Powiedział „Zapomnij ten numer”.

Co według Luny mogło oznaczać tylko jedno: Tom nie ma dostępu do swojej komórki. Albo znajduje się obok człowieka, który kazał jej zapomnieć ten numer, albo jest zupełnie gdzie indziej.

I żadna z tych możliwości jej nie uspokoiła.

– Zgłaszamy zaginięcie? – spytała ją Aditi.

Luna odłożyła telefon. Zgłaszać zaginięcie? Co to będzie oznaczało? Przecież nie mają pojęcia, czym się Tom teraz zajmuje. Włączyć do poszukiwań policję w Chiang Rai? A czy on w ogóle tam jest?

– Poczekajmy z tym – powiedziała. – Może się jutro odezwie.

Aditi skinęła głową, w końcu to Luna decyduje, gdy chodzi o Toma.

Nieco później, będąc w bungalowie, Luna poczuła jednak dużo silniejszy niepokój, niż była skłonna wcześniej przyznać. Musiała z kimś porozmawiać. Zadzwoiła do Olivii.

Krótką rozmowa zakończyła się mniej więcej tą samą konkluzją, co poprzednia, ale teraz wypowiedziała ją Olivia.

– Miejmy nadzieję, że jutro się odezwie.

*

Nie było możliwości, żeby się odezwał ani tego, ani następnego dnia.

Kiedy rano wyczołgał się z bambusowej chaty, z pragnienia miał spuchnięty język. Dobrą tego stroną stanowiło to, że zapomniał o głodzie. Nie potrafił ocenić, ile godzin spał – nie miał zegarka. Sądząc po wysokości położenia słońca, na pewno długo, bo kiedy zasypiał, świecił księżyc.

Ten odpoczynek dobrze mu zrobił, chociaż od twardej podłogi czuł ból w biodrach. Wychodząc na zewnątrz, nawet się przeciągnął, jakby się witał ze światem, stojąc na marmurowym tarasie w Prowansji.

To fascynujące, jak dobroczynny wpływ ma sen.

Kiedy zasypiał, wypełniały go czarna rozpacz i beznadzieja, a rano był gotowy ruszyć do ataku. Człowiek nie jest zbyt skomplikowany.

Stilton sprawdził, czy na stopach nie pozostał mu żaden paskudny krwio pijca – usuwał te pijawki po ciemku. Teraz musiał ogarnąć trzy sprawy: pragnienie, głód ściskający żołądek i barkę.

Swędzenie na twarzy pominął.

Najpilniejsze było pragnienie. Obszedł chatę i w pewnej odległości zobaczył szeroki gliniasty rów wypełniony mętną wodą. Oby deszczówką, wydawało mu się, że w nocy padało, bo na twarz spadły mu jakieś krople. Nabrał rękami trochę wody i ją powąchał. Nie poczuł stęchlizny. Ostrożnie umoczył wargi, obawiał się, że po długim staniu płyn może zawierać mnóstwo bakterii o najdziwniejszych nazwach. Spuchnięty z pragnienia język przesądził, Stilton uznał, że musi zaryzykować. Wypił jeden łyk, potem następny. Smakowała. Nabrał w dłonie więcej i przełknął, a potem ochlapał twarz.

Bardzo to było przyjemne.

Teraz następny krok.

Wszedł znów do dżungli, szukając czegoś, czym dałoby się napęścić brzuch. Czegokolwiek, byle nie trującego, co powstrzymałoby wydzielanie kwasu żołądkowego i uspokoiło skurcze. Spróbował jakichś zielonych listków, sprawdzając gorycz. Nie było tak źle, dały się przełknąć. Ruszył głębiej w dżunglę i wtedy zobaczył drzewo z kolczastymi owocami

zwisającymi z gałęzi. Od razu poznał duriany. Zerwał kilka sztuk, ostrożnie obrał z kolczastej skórki i ugryzł wilgotny miąższ. Miał wyrazisty smak przypominający migdały – w tej chwili był równie apetyczny co odświeżający. Stilton pochłoniął kilka owoców, nie wiedział, kiedy znów będzie jadł.

Wzmocniony snem i durianem, z nową energią przedarł się przez dżunglę na cyplu i ponownie dotarł do rzeki. Przyszła mu wielka ochota na kąpiel, popatrzył na spokojnie płynącą wodę.

Ale...

W tej wodzie mogły być opancerzone stworzenia, dla których jego potrzeba higieny osobistej oznaczałaby wyborne śniadanie, więc dał sobie spokój. Nachylił się, żeby opłukać twarz i tors, dolne partie muszą poczekać.

Woda go pokrzepiła.

Podczas kilku następnych godzin wędrował brzegiem w całkiem znośnym tempie. Minął ostatnie zakręty, gdy słońce już zaczęło schodzić niżej, zaczął się rozglądać za tym, co stanowiło cel jego podróży.

Za „Contamaną”.

Barki wciąż nie było.

Odplynęła? Może znajduje się gdzie indziej? W końcu to jednostka pływająca. Może jest już w połowie drogi do Birmy?

Tego rodzaju myśli rzadko bywają mobilizujące, zwłaszcza w przypadku Stiltona, który sporo już przeszedł. Wtedy trzeba wziąć się w garść i wierzyć w to, co sobie człowiek zamierzył.

Ta barka musi być gdzieś tutaj.

Był już późny wieczór, zrobiło się ciemno i na niebie pojawił się ten sam obojętny księżyc, gdy nagle między drzewami Stilton dojrzał jakieś światełko. Czyżby latarka? Stał nad rzeką i nie widział żadnej łodzi ani statku. Co to było? Wszedł trochę wyżej i wtedy ją zobaczył.

Nie tego oczekiwał.

Spodziewał się pomostu, kotwiczowiska, statku na redzie.

Tymczasem barka znajdowała się na wysokim brzegu, była przechylona na bok, przez co wyglądała jak gigantyczny wieloryb, który utknął na mieliźnie. Światło księżyca odbijało się w bulajach.

Podszedł kilka metrów w jej stronę.

Nadbudówka wyglądała stąd na białą, na grubych deskach pokładu łuszczyła się farba, niektóre deski przegniły. Wszedł jeszcze wyżej i spojrzał na rufę. Tuż pod relingiem widniała nazwa.

„Contamana”.

Oto i ona.

Stilton był co najmniej zdumiony. To ma być barka? Ruszył w stronę długiego trapu, który prowadził od relingu. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył na statku ruch, jakieś postacie przesuujące się w świetle księżyca. Podchodząc jeszcze bliżej, usłyszał głośny krzyk. Na ile mógł ocenić, był to odgłos wydany przez zwierzę, nie przez człowieka. Zatrzymał się na sekundę i pomacał kieszeń spodni. Scyzoryk wciąż tam był. Trzymając dłoń na kieszeni, ruszył w górę po trapie. Doszedłszy do relingu, zobaczył siedzącego na pokładzie ciemnowłosego chłopca z kotem w objęciach.

– Cześć. Mówisz po angielsku? – spytał.

Chłopczyk przytaknął.

– Jest tu Decha?

– Nie.

- A gdzie jest?
- Daleko.
- Nie wiesz, kiedy wróci? – spytał Stilton.
- Może jutro, a może kiedy indziej.
- Mogę tu na niego poczekać? Macie jakąś wolną kabinę?
- A masz czym zapłacić?
- Tak.

Chłopiec się podniósł, nie wypuszczając z objęć kota, i poszedł wzdłuż relingu, gdzie nieco dalej stała grupka chłopców. Rozmawiali cicho po tajsku. Kilku z nich obserwowało Stiltona. Po chwili chłopiec z kotem wrócił i wyciągnął palec, wskazując pokład rufowy.

- Tam na końcu jest wolna kabina – powiedział. – Tam możesz poczekać.
- Fajnie. Dziękuję.

Stilton spojrział na chłopca, z ust pociekł mu czerwony płyn.

- Usta ci krwawią – powiedział.
- Nie. To orzechy betelowe. Chcesz spróbować?
- Nie, dziękuję.

Stilton ruszył w stronę kabiny.

- Jak się nazywasz? – spytał chłopczyk.

Stilton się odwrócił.

- Tom. A ty?
- Little Pluto.
- A kot?
- Bagha.
- Bagha?
- To znaczy tygrys – powiedział Little Pluto.

Stilton wszedł do kabiny na końcu pokładu rufowego. Na podłodze leżał ciemny cienki materac, poza nim nie było nic. Przez brudny bulaj na spękane deski wpadało trochę światła. Pachniało czymś, czego nie umiał zidentyfikować. Miał wielką nadzieję, że Decha pojawi się w miarę szybko, najlepiej jutro, bo myślał, że miałby dłużej mieszkać w tej celi, nie wydała mu się zbyt pociągająca.

Jednak zważywszy na to, co przeszedł, żeby tu dotrzeć, gotów był pozostać tu jakiś czas. Kabina i tak była o klasę lepsza od bambusowej podłogi, na której spał poprzedniej nocy.

W dodatku nie było pijawek.

Dręczyły go koszmary, przed oczami przesuwały mu się obrazy: kobiety siedzącej na wózku w wielkim akwarium i śmiejącej się figury Buddy, która ściekła z półki, zamieniając się w krokodyla, który z kolei szeptał po niemiecku, małych ciemnowłosych chłopców biegnących po wodzie i żonglujących dziwnymi kolczastymi owocami.

Ciężka noc.

Budził się kilka razy zlany zimnym potem, swędziały go ukąszenia na twarzy, nie wiedział, gdzie jest. Kiedy już się zorientował, próbował zasnąć ponownie. Raz słyszał głosy szepczące w języku, którego nie potrafił rozpoznać. Brzmiały, jakby dochodziły tuż zza drzwi. Już miał wstać, żeby otworzyć, kiedy umilkły.

Potem poczuł zapach, który już był mu znany.

Słodko-kwaśny i świeży.

Znów spróbował zasnąć.

Mårten pomógł Mette wygramolić się z autokaru. Słońce świeciło, była fantastyczna wiosenna pogoda, prawie letnia, w każdym razie według szwedzkiej miary. Mit, że w Anglii zawsze pada, na razie się nie sprawdził. Mårten promieniał jak słońce i upajał się tym, co oglądali. Sissinghurst, Pashley Manor, Monks House. W tym ostatnim, należącym kiedyś do Virginii i Leonarda Woolfów, Mårten nakręcił się widokiem szklarni połączonej z domem. On też chciał taką! Już sobie wyobrażał, jak ruszy ze wstępnymi uprawami, wielki pęd winorośli z kiśćmi winogron będzie zwisał im nad głową, gdy wieczorem usiądą z kieliszkiem wina w rękę. Z kolei Mette wyobrażała sobie, ile będzie pracy przy takiej szklarni, ile czasu zajmie podlewanie tego wszystkiego i ile lat trzeba, żeby wino urosło na tyle, aby ugiąć się od kiści. Do tej pory już ich nie będzie. Jednak nic nie mówiła, bo zdawała sobie sprawę, że jej nastawienie wynika zapewne z chandry po przejściu na emeryturę.

Właśnie przyjechali do Charleston, domu należącego do siostry Virginii Woolf, Vanessy Bell. Jednego z najważniejszych miejsc działalności Grupy Bloomsbury. Oczywiście, że było tu pięknie, musiała to przyznać nawet emerytowana i lekko zniechęcona komisarz kryminalna. Sadzawki, małe i duże, rzeźby i mozaiki wśród morza wiosennych kwiatów. Za chwilę oprowadzi ich po domu przewodnik, Mårten strasznie się napalił. Jeszcze przed wyjazdem przeczytał wszystko, co się dało, o Grupie Bloomsbury i był świetnie zorientowany, kto z kim pozostawał w relacji, co stanowiło prawdziwe osiągnięcie, bo aby przebić się przez płataninę związków, jakie w różnych okresach łączyły członków grupy, trzeba było i mapy, i kompasu.

Mårten wziął żonę pod rękę, chciał pospacerować z nią po ogrodzie przed wejściem do środka. Wtedy podeszła do nich siwowłosa starsza pani z ich grupy i uśmiechnęła się miło, jak to potrafią tylko starsze panie.

– Dowiedziałam się od Violi, że jest pani komisarzem policji. No słowo daję! Ależ to ciekawe!

Mårten aż się lekko przygarbił. Nie po to tu przyjechał, żeby rozmawiać o dawnej pracy swojej żony, przeciwnie, chciał choć raz się uwolnić od tego tematu. Mette rozumiała go, ale nie chciała być nieuprzejma i uśmiechnęła się równie miło.

– Już nie jestem. Teraz jestem emerytką, niezwykle zainteresowaną ogrodami – odpowiedziała, chcąc taktownie dać do zrozumienia starszej pani, że chcieliby pójść dalej i podziwiać rabatki.

Sami.

– Spójrz, jakie piękne czarne tulipany! – powiedziała. – Powinniśmy mieć takie u nas, kochanie.

Starsza pani jednak nie zrozumiała aluzji, przypuszczalnie w ogóle nie dosłyszała odpowiedzi Mette. Złapała ją za ramię, rozejrzała się i przysunęła się jeszcze bliżej, jakby zamierzała powierzyć jej jakąś tajemnicę.

– Muszę pani opowiedzieć coś, co mi mówiła moja angielska znajoma, mieszkająca w tej okolicy. To niesamowita historia o okropnym morderstwie, całkiem jak z tego serialu *Morderstwa w Midsomer*. Na początku było coś o psie, to był chyba labrador, morze wyrzuciło go na plażę. Martwego, mówiłam? W każdym razie miał taki tatuaż, którym się znakuje zwierzęta, więc można było ustalić właściciela, i kiedy przyszli do jego domu, to znaczy właściciela tego labradora, więc kiedy tam przyszli, żeby go powiadomić o śmierci psa, to go nie zastali, i zamiast niego znaleźli martwą kobietę na stole bilardowym, i musiała nie żyć od dawna, bo była zupełnie, jak to się nazywa, tak jak ci w Egipcie...

– Zmumifikowana – usłużnie podpowiedział Mårten.

– Zmumifikowana, no właśnie, dziękuję. Podobno leżała na stole bilardowym, mówiłam już? A mężczyzna, właściciel psa, jakby się rozplątał w powietrzu i nie ma go po dziś dzień. Prawda, jakie to ciekawe? To było dokładnie w tej okolicy. Co pani sądzi? Jako zawodowiec. Myśli pani, że zamordował i ją, i psa, czy może pani myśli, że on też nie żyje?

Mette nie wiedziała, co powiedzieć. Może coś o sztuce odwracania uwagi w tej ciekawej opowieści? W samej rzeczy знаła dobrze tę zagadkową sprawę, czytała o niej wiele lat temu, ale nie miała ochoty tego ujawnić. A więc co powiedzieć?

Uratował ją dzwonek telefonu.

Czasem te komórki są błogosławieństwem, pomyślała, przepraszając panią i zmuszając Mårtena, żeby odpowiedział za nią.

– Trudno powiedzieć – stwierdził. – Może pies należał do kobiety i mężczyzna był o niego zazdrosny?

Odwrócił się i spoglądał za Mette, która zniknęła w głębi pięknego ogrodu za posągiem Wenus i bujnym żywopłotem z bukszpanu. Uśmiechnął się do miłej fanatyczki zbrodni i przeprosił, ponieważ musi przynieść coś do picia. Wróciwszy, zobaczył, jak Mette z przyciśniętą do ucha komórką chodzi po alejkach między rabatkami. Znowu chodzi, pomyślał z troską. Znał na pamięć mowę jej ciała, chodzi w ten sposób, czyli sprawa jest poważna. Westchnął i postanowił, że podejdzie i może przyspieszy nieuchronną rozmowę. Nie bardzo interesowały go martwe labradory wyrzucone na brzeg przez morze.

Doszedł do Mette w momencie, gdy opuściła komórkę i ją wyłączyła.

– Kto dzwonił? – spytał.

– Olivia.

– Tak? Jakieś zmartwienia?

– Tak.

Mette spojrzała na zieleniejący ogród, na rabatki, na których tłoczyły się tulipany i niezapominajki.

– Tom zniknął – powiedziała.

– Gdzie? W Tajlandii?

– Na północy kraju.

– A co on tam robi? – spytał Mårten.

– Szuka kogoś.

– I zniknął?

– Tak. Nie mogą się z nim skontaktować – powiedziała.

– Myśmy też nie mogli przez ładnych kilka lat.

– Bo żył na ulicy i nie chciał kontaktu. To cholernie duża różnica.

Mette używa przekleństw?

To niezwykle. Nie słyszał tego często, a jeśli już, na ogół chodziło o to, że spaprała uformowaną własnoręcznie doniczkę.

Teraz chodziło o Toma.

– Co możemy zrobić? – spytał.

– Nic.

Mette już zdążyła przefiltrować w głowie różne możliwości.

Posłać do niego Abbasa? Skontaktować się ze znajomymi policjantami w Bangkoku?

Jedno i drugie wydawało jej się przesadą. Wiedziała, jaki jest Tom. Jeśli się nie odzywa albo nie ma z nim kontaktu, nie zawsze znaczy to, że potrzebuje pilnie pomocy. Ani Abbasa, ani policji. Równie dobrze może nie chcieć, żeby się z nim kontaktować.

Z takiego czy innego powodu.

Mette żywiła niezachwianą wiarę w jego zdolność przetrwania, wiedziała, jaką Tom ma konstrukcję. Parę razy zdarzyło mu się pojechać po bandzie, ale zostało mu to wybaczone. A to, że kiedyś wylądował w rynsztoku, było głęboko ludzkie.

I chyba dobrze, że nie wiedziała, co robił na Filipinach.

– Czekamy – powiedziała do Mårtena. – A ty co sądzisz o tym martwym psie?

Stilton usłyszał odgłos silnika motorówki, na długo zanim ją ujrzął. Stojąc na pokładzie dziobowym, patrzył w dół na wąską rzekę. Było tuż po szóstej po południu i zaczynało się ściemniać. Tkwił tu od trzech dni i zaczynał mieć dość, ale teraz się ożywił. Domyślał się, kto tu płynie, i cały się spał. Jeśli to nie ten człowiek, to całkiem na darmo pokonał kawał drogi, w dodatku wpadając w kupę gówna.

Ale to był ten człowiek.

Człowiek, który wysiadł z otwartej zielonej motorówki, był tym ze zdjęcia, które dostał od Veroniki. Widział to nawet z daleka.

Opląciło się przyjechać.

Mężczyzna miał na sobie biały garnitur szyty na miarę, na głowie klasyczne kremowe borsalino, w jednej ręce trzymał sfatygowaną walizkę, stary model Louis Vuitton, a druga wspierała się na cienkiej czarnej lasce. Zdjął kapelusz, wytarł szybko twarz elegancką chusteczką i pomachał kobiecie, która odpływała motorówką. Jeden z chłopców podbiegł szybko, włożył sobie walizkę na głowę i poniósł ją w stronę barki. Mężczyzna popatrzył na rzekę i odetchnął głęboko, jakby zapachy dżungli mu coś sygnalizowały.

Co? Tego Stilton nie potrafił stwierdzić.

Po chwili, wspierając się na lasce, mężczyzna ruszył za chłopcem z walizką. Przeszedł kilka metrów, spojrzął w górę na barkę i stanął. Prawdopodobnie zatrzymał go widok Stiltona na pokładzie dziobowym. Mężczyzna patrzył na niego przez kilka sekund, po czym opuściwszy głowę, ruszył w stronę trapu. Nie szedł szybko. Albo ma jakiś problem z nogami, pomyślał Stilton, albo musi się zastanowić.

Dotarli na pokład, mężczyzna stanął i oparł się o reling. Stilton był dwa, trzy metry od niego. Tamten mu się przyjrzał: biały mężczyzna, zmarniały, nieogolony i zarosnięty, bosy, z brudnym bandażem wokół głowy i pokąsaną twarzą. Zarejestrował to wszystko, po czym podniósł nieco łaskę i powiedział po angielsku.

– A ty to kto?

Stilton zrobił krok w jego kierunku i wyciągnął rękę.

– Tom.

– Znalazłeś się daleko od domu.

Ruszył do szerokich drzwi kabiny, otworzył je i wszedł do środka. Stilton odnotował, że drzwi zostawił otwarte. Wyjdzie jeszcze? Nie wyszedł, a więc Stilton podszedł i zajrzał do środka. Była to spora kabina, przypuszczalnie kapitańska, prawie salonik. Po jednej stronie zobaczył wypełniony książkami regał z jakarandy, po przeciwnej szerokie łoże z ciemnozieloną narzutą, a na środku kabiny dwa mocno wysiedziane skórzane fotele obok zgrabnego stolika umieszczonego dokładnie pod prostokątnym iluminatorem. Na podłodze leżał ciemnoczerwony okrągły dywan, wytarty, choć jak stwierdził Stilton, piękny. W jego kabinie brakowało tego wszystkiego.

Bo też był zaledwie gościem.

Mężczyzna oparł łaskę o fotel, ze stolika wziął glinianą butelkę i zaczął ostrożnie nalewać ciemny płyn do niedużej szklanki. Stilton zwrócił uwagę na jego szczupłe dłonie. Skończywszy napełniać szklankę, mężczyzna, nie odwracając się, powiedział:

– Isla del Tesoro... prywatny rum Castro, obecnie dostępny jedynie jako limitowana partia. Chcesz?

– Dziękuję, nie w tej chwili.

Mężczyzna odwrócił się ze szklaneczką w ręce i patrząc na Stiltona, usiadł w fotelu. Drugą dłoń położył na srebrnej gałce laski. Stilton wciąż stał w drzwiach.

– Chłopcy mówili, że nazywasz się Decha – powiedział. – To twoje prawdziwe nazwisko?

– Nie, ale tutaj wystarczy. Jesteś Anglikiem?

– Nie, Szwedem.

Decha zareagował w kilka sekund: przeszedł na szwedzki.

– Rodak?

– Ty też jesteś Szwedem? – Stilton postarał się udąć zdumienie.

– Tak.

Decha pociągnął łyk rumu ze szklanki, potrzymał w ustach, przełknął i spytał:

– A co cię sprowadza w tę okolicę zapomnianą przez Boga, Tom?

– Łuskowce.

– Aha... Taki jesteś.

– Owszem.

– Wiesz, że są zagrożone wyginięciem? – spytał Decha.

– Na tym polega opłacalność tego interesu. W dobrej szanghajskiej restauracji ludzie gotowi są sporo zapłacić za danie z łuskowca.

– Myślałem, że chodzi głównie o łuski.

– Tak myślałeś?

– Tak. W celach leczniczych.

Obserwowali się wzajemnie. Stilton zrobił krok w głąb kabiny i skinął głową w stronę butelki z rumem.

– Isla del Tesoro?

Decha zaprosił go gestem, a Stilton podszedł i nalał sobie trunku. Dżin czy rum, zawsze go to gdzieś zaprowadzi. Usiadł w drugim fotelu i podniósł szklankę w stronę Dechy.

– Jak się tu dostałeś? – spytał Decha.

– Przyplłynąłem łódką.

– Z Wanssingi?

– Tak.

– Boso?

Stilton wzruszył lekko ramionami. Decha spojrział na jego pokąsaną twarz i pokaleczone stopy, wstał, z małej szafki wyjął parę skórzanych sandałów i podał Stiltonowi.

– Dziękuję – powiedział Stilton.

Włożył sandały, rozmiar prawie się zgadzał.

– To mówisz, że z Wanssingi?

– Tak.

– Niebezpieczna dziura. Dużo opium.

– Tak. Jhang Sa.

Stilton odnotował niewielkie drgnienie powieki u tamtego.

– Zetknąłeś się z nim? – spytał Decha.

– Przelotnie. Znaie się?

Decha obserwował Stiltona, namyślając się.

– Co ci się stało? Pod tym bandażem.

– Potknąłem się i uderzyłem o kamień.

– Wiesz, że nie wolno lekceważyć ryzyka infekcji, w tutejszym upale szybko rozwijają się różne paskudne pasożyty. Dać ci antybiotyk?

– Dam sobie radę.

Decha kiwnął głową i wypił kolejny łyk. Pewnie trzymał szklanekę.

– Jhang Sa? – odezwał się.

– Tak.

– Opiumowy baron.

– Tak zrozumiałem – odrzekł Stilton.

– Ale nie jesteś w to zamieszany?

– Nie jestem.

Stilton czuł, że Decha krąży, chce wiedzieć, co było całkiem zrozumiałe. Zupełnie obcy człowiek nagle staje przed nim na pokładzie, a potem siedzi z nim w kabinie przy szklaneczce rumu. W dodatku Szwed. Mógłby przecież być kimkolwiek. No i był. Czuł, że to Decha powinien kierować rozmową do momentu, kiedy poczuje się bezpiecznie.

– Jak trafiłeś do Tajlandii? – spytał Decha.

Stilton przypuszczał, że padnie to pytanie, więc przemyślał sobie odpowiedź.

– Zamordowałem człowieka i ukryłem się tutaj, a kiedy zabójstwo się przedawniło, zdążyłem już zapuścić korzenie, więc zostałem.

Morderstwo było prawdą, przedawnienie kłamstwem, ale Decha nie mógł tego wiedzieć.

– Dlaczego zostałeś? – spytał Decha.

– Podobała mi się nieobecność.

– Nieobecność czego?

– Wszystkiego.

Decha uśmiechnął się, obserwując tego zniszczonego mężczyznę. Kłamię? Chyba nie. Po co miałby kłamać? Kto by się przedstawiał jako morderca, gdyby była to nieprawda?

– Masz sporo ukąszeń na twarzy – powiedział.

– Tak. Od moskitów.

– Ile dni minęło, odkąd cię pokąsały?

– Kilka, bo co?

– Okres inkubacji dengi to cztery do pięciu dni. Nie ma z nią żartów.

– Nie ma.

Stilton wolał się w to nie zagłębiać, jemu też ta myśl zdążyła przyjść do głowy, a że nie była fajna, zmienił temat.

– To twoja barka, jak rozumiem?

– Tak, stara barka rzeczna, dwadzieścia osiem kabin, kambuz i mesa. Została tu, kiedy koryto rzeki się zwężyło, kupiłem ją dość tanio.

– „Contamana” raczej nie brzmi po tajsku.

– Nie, przemianowałem ją, kiedy ją kupiłem. Słyszałeś nazwisko Werner Herzog? – spytał Decha.

– To jakiś reżyser?

– Nakręcił fantastyczny film o facecie, który miał wielkie marzenie, „Fitzcarraldo”. Gość chciał zbudować operę w Amazonii i żeby zrealizować to marzenie, musiał przeciągnąć barkę przez górę.

– Barkę „Contamana”? – spytał Stilton.

– W filmie nosiła nazwę „Molly Aida”, ale w rzeczywistości nazywała się „Contamana”.

– A więc to jest twoje wielkie marzenie?

Decha uśmiechnął się lekko.

– W pewnym sensie. Nie jest to luksusowy statek, ale spełnia swoje zadanie.

– A jakie jest to zadanie?

Stilton uznał, że teraz jego kolej.

– A jak sądzisz? – Decha wciąż się lekko uśmiechał.

– Nie mam pojęcia, znajduje się trochę na uboczu.

– Owszem.

Decha przymknął oczy, Stilton odczekał kilka sekund i spytał:

– Długo tu mieszkasz?

– Tak.

Otworzył oczy i sięgnął po cienką książeczkę leżącą na stole, najwyraźniej nie miał ochoty zagłębiać się w ten temat.

– Lubisz czytać? – spytał.

– Nie bardzo, jestem dość prostym człowiekiem – odparł Stilton.

– Ale odważnym. Niewielu ludzi Zachodu ma odwagę wyprawiać się w te okolice.

– Ty się odważyłeś.

– Jestem odważny na swój sposób. Czy też nie mam wiele do stracenia, to inna definicja odwagi.

Decha znów się uśmiechnął, odłożył książkę i spojrzał na Stiltona. Zapadło milczenie. Stilton uznał w końcu, że staje się niezręczne.

– Pozwolisz, że wynajmę kabinę na kilka dni? – spytał.

– Na czas polowania na łuskowce?

– Tak.

Decha wciąż się uśmiechał, Stilton poczuł się nieswojo. Facet mógłby na niego donieść do władz. Za polowanie na łuskowce na pewno grozi niemała kara. I po co palnął coś takiego?

– Możesz wynająć kabinę – odparł Decha. – Nieczęsto zdarza się spotkać w tej okolicy rodaka. A co do twoich łuskowców, nie mam zdania na ten temat. Chłopcy też na nie polują, może ci nawet pomogą w dżungli? Jeszcze rumu?

– Bardzo chętnie.

Decha dolał mu do szklanki. Łowca łuskowców zastanawiał się, dlaczego Veronice Wadner zależało na tym, żeby dopaść właśnie tego człowieka.

I jaki miał związek z jej tragedią.

*

Veronica siedziała na kanapie, obserwując poruszającego się na podłodze dużego ciemnego skarabeusza. Wiedziała, co zwiastuje. W niektórych religiach ten żuk był symbolem życia i zmartwychwstania, nieśmiertelnej duszy, w innych uważano, że odmierza czas, jaki został do śmierci. Mierzyła ją idea nieśmiertelności duszy, według niej była samooszukiwaniem się. W odgłosach wydawanych przez żuka wolała słyszeć tykanie przybliżające śmierć. Wszystko zostało odmierzone, pomyślała i spojrzała na swoją szklankę do dżinu.

Była pusta.

Od przyjazdu tutaj zmienił się jej stosunek do alkoholu. Dawniej piła umiarkowanie, najczęściej wino do obiadu, teraz znacznie częściej i z całkiem innych powodów. Po osiągnięciu pewnego stopnia upojenia potrafiła zebrać się na odwagę i zmierzyć z przeszłością, tak przecież niedawną, jeśli liczyć upływem czasu. Tą przed wydarzeniem się zła. Było to inne życie w innym świecie, pełnym ludzi i różnych twarzy. Jedne tylko mignęły, nie zatrzymując się w jej pamięci, inne wypełniała nienawiść. Te drugie stanowiły większość. Od tego między innymi była teraz wolna.

I jeszcze twarze osób, które ją kochały.

Szeptały jej imię.

Już nie istniały.

Spojrzała na pustą szklanę. Po jej zniszczonej twarzy spływały prawdziwe łzy i akurat tego nie mogło zmienić żadne kalectwo.

*

Stilton nie miał pojęcia, która jest godzina, kiedy w środku nocy pędził w dół po trapie, miał pilniejszą sprawę. Dostrzegł jedynie wielki żółty księżyc. Rzucił się w krzaki i ledwo zdążył spuścić spodnie, zanim z niego trysnęło. Biegunka. Kiedy już przestało lecieć, złapał garść liści i podtarł się, na ile się dało. Wracając po trapie, czuł, jak go zalewa pot, a kiedy na trzęsących się nogach dotarł do materaca, musiał w końcu przyjąć do wiadomości: mam cholernie wysoką gorączkę.

Długo nie zapomni tej nocy. Oprócz zawrotów głowy, biegunki i dreszczy najbardziej męczyło go pragnienie. Potwornie chciało mu się pić. Był zbyt słaby, żeby wstać, jednocześnie czuł opór przed wołaniem o pomoc w środku nocy. Kogo wołać? Dechę. Little Pluto. Czy po prostu krzyknąć? Przekręcił złane potem nagie ciało i zagłębił się w tunelu wirujących zapisów w mózgu.

W pewnym momencie chciał nawet walnąć pięścią w ścianę, ale ręka opadła mu bezwładnie jak złamana gałązka.

Drzwi kabiny Stiltona otworzył Little Pluto – natychmiast pobiegł po Dechę, a ten wszedł do środka i widząc na podłodze wrak człowieka, od razu zrozumiał, o co chodzi. Denga. Zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji istnieje tylko jedno lekarstwo. Płyny. Mnóstwo płynów. Dlatego przykazał chłopcom na barce, żeby zmuszali Stiltona do picia jak największej ilości płynów. W najlepszym razie gorączka ustąpi w miarę szybko, w najgorszym zaś przerodzi się w krwotoczną, która zakończy życie łowcy łuskowców.

A więc chłopcy zmieniali się, podtrzymując mu głowę i pojąc go, by nawodnić wstrząsany gorączką organizm.

Godzina za godziną.

*

Po upływie nieco ponad doby gorączka ustąpiła, a Stilton powrócił do rzeczywistości. Leżąc na materacu, uzmysłowił sobie, czego doświadczył. Nie wyszedłby z tego, gdyby nie Decha, chłopcy i woda, którą w niego wlewali. Kiedy na niepewnych nogach stanął na pokładzie, spojrzał na słońce i rzekę, usłyszał wrzask ptaków w dżungli, poczuł tę samą pokorę wobec losu jak wtedy, gdy był u Aom i Sudarat. Okazuje się, że w każdej chwili wszystko może trafić szlag, pomyślał, albo też się ułożyć.

Oparł się o reling i wrócił myślami do poprzedniego wieczoru, u Dechy, zanim sobie uzmysłowił, że zgubił co najmniej jedną dobę. Siedział wtedy u Dechy aż do opróżnienia glinianej butelki. Prowadzili rozmowy o wszystkim i o niczym. Decha był człowiekiem obytym, co pewien czas wtrącał jakieś uwagi odnoszące się do sfery kultury, dla Stiltona zupełnie nieczytelne. Z tej rozmowy Stilton wyniósł jedynie wrażenie fasadowości, tego, że Decha pokazuje to, co chce pokazać, a ukrywa to, czym nie zamierza się dzielić.

Stiltonowi to nie przeszkadzało.

Odwrócił się w stronę kabiny Dechy. Kto to, do cholery, jest? I kim jest Veronica Wadner? Łączy ich coś? Ale przecież mówiła, że nie wie, kim jest mężczyzna na zdjęciu. A może tylko chciała, żeby Stilton go znalazł i powiedział jej, czym się zajmuje? Dlaczego?

Spojrzał na zwartą zieleń dżungli, na opary mgły snujące się nad ziemią między drzewami – po pniu jednego z nich przemknęła długa brązowa jaszczurka. Tereny łuskowców,

pomyślał, odwijając bandaż na głowie. Tamtego wieczoru Decha dał mu duży plaster. Teraz Stilton go przykleił. Plaster prawie zakrył ranę po uderzeniu pałką u Jhanga. Stilton odgonił parę dzikich kotów pałętających się po pokładzie. Nagle z kabiny Dechy popłynęła głośna mocna muzyka. Puścił reling i ruszył w tamtym kierunku na lekko drżących nogach, był jeszcze osłabiony po gorączce. Zatrzymał się przed drzwiami i przez chwilę nasłuchiwał, zastanawiając się, czy zapukać, czy zejść nad rzekę i się wykąpać.

Zapukał.

Nikt nie otworzył.

Ostrożnie pchnął drzwi i zajrzał do środka. Decha siedział na fotelu, tors miał mokry od potu, dolną część ciała owinał ręcznikiem. W ręce trzymał szklaneczkę, oczy miał zamknięte. Widać było, że rozkoszuje się głośną muzyką. Stilton zapukał mocno we framugę. Decha otworzył oczy, potrzebował paru sekund, żeby się zorientować w sytuacji, potem kiwnął głową, wskazując stary magnetofon kasetowy na podłodze.

– Judas Priest – powiedział. – Bogowie heavy metalu, uwielbiam ich. Wejdz!

Nachylił się i wyłączył magnetofon.

– Już się lepiej czujesz? – spytał, kiedy zapadła cisza.

– Tak.

– Dobrze. To dzięki płynom. Nauczyłem się, że od początku trzeba podawać dużo płynów, jeśli atak jest łagodny. Miałeś szczęście.

– Tak. Dzięki.

Decha machnął ręką, że niby nic takiego, to oczywiście, że trzeba podawać płyny człowiekowi, który ma dengę.

Oczywiście tak jest.

– Wybacz, że się jeszcze nie ubrałem – powiedział Decha. – Siedziałem wczoraj do późna.

– Tak?

Nad czym?, zdziwił się w myślach Stilton, ale nie dopytywał.

– Musiałem popłynąć do lekarza w Wanssingi z jednym z chłopców, został paskudnie pogryziony przez kota. Zwierzak mógł mieć w ślinie najróżniejsze zarazki, więc trzeba było podać chłopcu zastrzyk przeciw wściekliznie. Wkrótce będzie pora na to.

Nachylił się i spod fotela wyciągnął spory pistolet.

– Co pewien czas muszę je odstrzeliwać, chociaż nie lubię zabijać zwierząt. Znów mamy na barce za dużo kotów. Nie masz oporów przed zabijaniem zwierząt?

– Jak mus, to mus.

– Właśnie. Jak mus, to mus, dotyczy to wielu rzeczy. Prawda?

Mówiąc to, Decha patrzył mu badawczo w oczy. Stilton nie wiedział, do czego tamten pije. Mus to mus? Jaki mus – zabijanie kotów?

Zmienił wątek.

– Mieszkasz tu przez cały rok?

– Nie, przyjeżdżam, kiedy w domu robi mi się za ciasno.

– Jak to za ciasno?

– Szwecja to, ogólnie rzecz biorąc, fajny kraj, ale pod wieloma względami niedorozwinięty, spłaszczony. Wszystko, co odstaje, jest zakazane. Tu masz swoje pudełko i przegródkę i trzymaj się ich. Nie ma miejsca dla niczego, co odbiega od średniej albo wymaga elastyczniejszego podejścia. Myślenie globalne to dobra rzecz, myślenie tak jak wszyscy to szwedzka cecha. Łatwo o bezdusność. Mali ludzie z zaścianka rzadko interesują się tym, co za płotem. Nie uważasz?

Stilton nie wiedział, do czego Decha zmierza.

– Nie mam nic przeciwko Szwecji – odparł.

– Powiedział facet, który popełnił morderstwo. Domyślam się, że stało się to w Szwecji?

– Nie, za granicą.

– Trudno było ci zabić?

Stiltonowi nie spodobał się obrót, jaki przybrała rozmowa, i zadał pytanie, z którym właściwie chciał poczekać.

– Czy wiesz, kto to jest Veronica Wadner?

Decha wstał, upuścił ręcznik i jednocześnie przyciągnął do siebie ciemny szlafrok leżący na łóżku.

– Nie – odparł. – A kto to jest? Powinienem ją znać?

– To Szwedka. Mieszka w tym kraju. Siedzi na wózku.

– Tu mieszka sporo Szwedów, wśród nich wielu takich, którzy chcą pozostawać poza zasięgiem radarów. Jak ty. Jest zamieszana w to, czym się zajmujesz?

– Nie.

Nagle Decha się uśmiechnął, przeczesując włosy palcami.

– Kąpałeś się już? – spytał.

– Nie.

– Dasz radę?

– Absolutnie.

Decha wskazał ręką drzwi i Stilton wyszedł pierwszy. Pytając o Veronicę, sprawdził go, teraz był niemal pewny, że Decha jej nie zna.

Chyba że doskonale udaje.

Przez co wszystko stawało się jeszcze bardziej zagadkowe.

– Zaraz przyjdę – powiedział.

Decha kiwnął głową i zszedł po trapie. Stilton zrobił kilka kroków w stronę swojej kabiny, jednocześnie obserwując Dechę. Gdy tamten prawie był nad rzeką, zawrócił do jego kabiny. Pchnął ostrożnie drzwi i wsunął się do środka.

Chciał się dowiedzieć, jak brzmi prawdziwe nazwisko Dechy.

Zaczął od paru szuflad komody stojącej pod ścianą. Szybko je przejrzał, ale niczego nie znalazł. U jednego końca łóżka stała wąska drewniana szafa. Otworzył ją i zaczął macać wewnętrzne kieszenie wiszących tam białych marynarek.

– Co robisz? – padło pytanie od drzwi, stał w nich Little Pluto.

Stilton zamknął drzwi szafy i odwrócił się do chłopca.

– Chcę się dowiedzieć, jak naprawdę się nazywa Decha.

– Po co?

– Żeby zrozumieć, kim jest.

– Dlaczego go nie spytasz?

Dobre pytanie.

W pewnym momencie nawet chciał to zrobić, ale czuł, że zbliża się do jakiejś granicy. Cały czas przy niej balansował. Decha nie podał mu swego nazwiska, czyli nie chciał go ujawniać. Okazując zbyt dużą ciekawość, Stilton mógłby zdradzić, że nie jest tym, za kogo się podaje – a tego nie chciał.

– Tak zrobię – odparł, idąc do drzwi. – Pójdiesz dziś ze mną zapolować na łuskowca?

– Bardzo chętnie.

Little Pluto wyszedł pierwszy, Stilton wiedział, że wysoko licytuje. Nie miał pojęcia, jaka relacja łączy chłopca z Dechą. Może powie mu, że Stilton wszedł do jego kabiny, a może nie.

Jeśli powie, wszystko bardzo się skomplikuje.

Minęło sporo czasu od jej ostatnich odwiedzin u Abbasa, ale wszystko wyglądało po staremu. Abbas nie był człowiekiem, który by coś zmieniał dla samego zmieniania, wybrane przez niego umeblowanie wciąż się sprawdzało. Luksusowe i wysmakowane, biel i szarość, szklany stół, ani jednego zbędnego przedmiotu, na podłodze dywan art déco.

Minimalistyczny styl, wielu uznałoby go za nieokreślony. Inni za wyszukany.

Olivia nie uważała ani tak, ani tak. Swojego mieszkania nie urządziłaby w ten sposób, ale tutaj zawsze dobrze się czuła.

Do czego zapewne przyczyniał się głównie sam Abbas.

Na samym początku ich znajomości był taki okres, kiedy ją pociągał. Przystojny, świetnie ubrany w porównaniu z mężczyznami, z którymi wtedy miała do czynienia, małomówny, a w jego oczach dało się wiele wyczytać. Tajemniczy dzięki swej kryminalnej przeszłości i wielokulturowemu pochodzeniu.

Kiedy była u niego po raz pierwszy, zademonstrował jej w dodatku swój znak rozpoznawczy. Siedziała w jednym z jego foteli i wyraziła niewiarę w to, co powiedział jej Tom, mianowicie, że Abbas zawsze nosi broń. W następnej sekundzie krótki czarny nóż wbił się w oparcie fotela, w odległości zaledwie paru centymetrów od jej głowy. Nawet nie zauważyła, kiedy nim rzucił.

A potem poczęstował ją mrożoną herbatą.

Dzisiaj również.

– Dziękuję – powiedziała, biorąc od niego filiżankę.

Abbas usiadł obok na sofie, na szklanym stoliku położył małą okrągłą podkładkę i na niej postawił swoją filiżankę.

– Ciężko ci? – spytał.

– Z czym?

– Z Lukaszem Bengtssonem?

Na to nie była przygotowana. Zamierzała rozmawiać z nim o czymś zupełnie innym, o tym, jak mu się wiedzie, co się u niego dzieje albo czy tkwi w jakiejś próżni.

Najwyraźniej miało być całkiem inaczej.

– Dlaczego pytasz? – spytała.

– Bo się tym przejmujesz.

Owszem, przejmowała się, ale nadal nie rozumiała, dlaczego poruszył akurat ten temat.

– A skąd wiesz? – spytała.

– Rozmawiałem z Mette.

No tak, Mette. Olivia zdawała sobie sprawę z bliskości łączącej Abbasa i Mette, ale nie podobało jej się, że rozmawiali o niej i jej stosunku do Lukasa. To była tylko jej sprawa.

Jednak stało się.

– On cierpi na zaburzenie dysocjacyjne osobowości – powiedziała. – Wiesz, co to?

– Tak. Moja mama to miała.

– Twoja mama?

– To moja interpretacja. Miała dwie osobowości, chociaż o tym nie wiedziała. Jedna kochała dzieci i szyla śliniaki z resztek materiałów, a druga podrywała facetów na nabrzeżach.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo chcę. Tak jest mi łatwiej ją wspominać.

Abbas podniósł filiżankę i wypił łyk. Olivia nie wiedziała zbyt wiele o jego przeszłości

poza tym, że była zagmatwana i pełna zdarzeń, których każdy człowiek wolałby uniknąć. Może nie ma nic dziwnego w tym, że Abbas próbuje stworzyć sobie przekonujące wyjaśnienie zachowania matki, pomyślała.

Że były w niej dwie osoby.

Może to i prawda.

Olivia nie miała pojęcia, czy rzeczywiście tak było, więc powróciła do jego pierwszego pytania.

– Owszem, jest mi ciężko. Widziałam go w obu stanach i było to cholernie męczące. Odwiedziłam go niedawno w Karsudden. Jakbym patrzyła na opakowanie.

– A jaki był przedtem?

Jaki był przedtem?

Olivia usiłowała pominąć opakowanie z Karsudden i wrócić do malarza z Ringvågen, ale nie było to łatwe.

– Spotkałam się z nim tylko dwa razy przed jego zatrzymaniem, pierwszy raz u niego w domu, potem w galerii, był wtedy radosny, tryskał energią, ciągle coś mówił, opowiadał dziwne rzeczy. Wydał mi się ciekawy i inny od wszystkich.

– I wpadłaś?

– Chyba tak, w pewnym sensie, a potem on wpadł na nagraniu monitoringu i ogólnie zrobiło się dziwnie.

– Bo nie okazał się taki, za jakiego go uważałaś?

– Tak.

– Albo za jakiego chciałaś uważać?

– To może nawet bardziej, przecież wiedziałam, że mógł być zamieszany w ten zamach, sama go znalazłam w sprawach Malin Brovall, której groził. A jednak. Nie chciało mi się to poskładać w spójny obraz.

– Bo na początku zrobił na tobie zupełnie inne wrażenie.

– Pewnie tak.

Najprawdopodobniej było tak, jak powiedział Abbas. Lukas znalazł się w jej życiu w słabszej dla niej chwili i w odpowiedzi na jej rozmaite potrzeby, o których istnieniu nawet nie wiedziała; jego teksty, obrazy i obecność sprawiły, że uzmysłowiła sobie pewne rzeczy z przeszłości, które wypierała albo zagubiła.

A tkwiły w niej.

Abbas ją objął, a ona oparła głowę na jego ramieniu. Przez dłuższą chwilę milczeli, pili herbatę i rozmyślali, każde o czymś innym.

W końcu mogli zacząć od nowa.

– Miałaś jakąś wiadomość od Toma? – spytała Olivia.

– Nie, właśnie o nim myślałem. Zwykle do mnie esemesuje, ale dawno nic od niego nie dostałem.

– Tom zniknął.

Abbas cofnął ramię i się wyprostował.

– Jak to? Zniknął z ośrodka?

– W ogóle zniknął. Podobno zgodził się pomóc jakiejś kobiecie w odszukaniu pewnego nieznanego mężczyzny. Któregoś ranka wyszedł z ośrodka, następnie zadzwonił z Chiang Rai w północnej Tajlandii, rozmowa została nagle przerwana i od tamtej pory nie mają z nim kontaktu.

– Luna i Aditi?

– Żadnego kontaktu. Mette też próbowała dzwonić, ja również.

– Mówisz Chiang Rai?
– Tak. Wiesz, gdzie to jest? – spytała.
– Znam ten region, niestety. Opiumowe zagłębie. Marsyjska mafia posyłała tam swoich ludzi. Co on tam robi, kurwa?

Abbas nie był człowiekiem, który nadużywa przekleństw, więc wiele to powiedziało Olivii.

– Prawdopodobnie szuka tego człowieka – odparła.

Abbas wstał i wyjął komórkę, przy okazji potrącił stół i trochę herbaty wylało się poza podkładkę.

– Jak się nazywa kobieta, której miał pomóc? – spytał.

– Nie wiem.

– Mette wie?

– Nie sądzę.

Abbas wybrał jakiś numer, jednocześnie starł rękawem rozlaną herbatę. Luna odebrała po kilku sygnałach.

– Cześć, mówi Abbas. Olivia opowiedziała mi o Tomie. Odezwał się może?

– Nie – odparła Luna.

– Jak się nazywa kobieta, której miał pomóc?

– Veronica Wadner.

– Masz jej numer?

– Nie, ale Aditi ma. Prześlę ci esemesem.

– Dziękuję.

Abbas się rozłączył i usiadł. Olivia zauważyła, że nieco przyspieszył mu oddech. Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Tom zwykle daje radę – powiedziała, chociaż miała świadomość, że takie uspokajanie nie ma sensu, bo Abbas zna Toma lepiej niż ona.

Spróbowała inaczej.

– To co będzie z tym tryktrakiem? Zdaje się, że chciałeś ze mną przegrać?

Stilton siedział na ławce na pomoście i wycierał się dużym ręcznikiem kąpielowym od Dechy, który opalał się, pólężąc w płaskiej łódce.

– Nie masz przypadkiem komórki, z której mógłbym skorzystać? – spytał, patrząc na niego.

– Tu niestety nie ma zasięgu.

Stilton nie umiałby powiedzieć, czy tamten kłamie, bo nie chce, żeby Stilton się kontaktował ze światem. A może rzeczywiście mówi prawdę. Kątem oka widział, że Decha go obserwuje. Zakładał, że rozpatruje różne związane z nim możliwości, bo nie był to człowiek, który od razu kupuje czyjąś historię. Stilton zdawał sobie z tego sprawę. Powinien się pilnować. Nadal nie wiedział, jak naprawdę nazywa się ten człowiek ani jaki ma związek z Veronicą Wadner. Być może Decha sam tego nie wiedział.

Stilton wiedział za to, że Decha prawdopodobnie uratował mu życie podczas dengi.

– Często rozmyślasz o życiu? – spytał nagle Decha.

– O życiu?

– Egzystencji. O tym, czym jest.

– Nie. A ty?

– Codziennie. Próbuję zrozumieć, co to znaczy być człowiekiem, co nas motywuje.

Decha usiadł w łódce i spojrzał na rzekę.

– Ktoś napisał, że życie jest nieuleczalną chorobą prowadzącą do śmierci – powiedział. – Sporo w tym prawdy.

– Jesteś nieuleczalnie chory?

– To zależy, jak określisz chorobę. Bycie chorym nie musi oznaczać, że cierpisz na jakąś dolegliwość fizyczną czy psychiczną. Chodzi o to, jak definiuje to świat. Jesteś mordercą, uważasz się za człowieka zdrowego?

– Raczej tak.

Decha się zaśmiał i oparł o burtę łódki – omal się nie wywróciła.

– Ale skoro już wiemy, że zmierzamy ku jednemu, czyli śmierci, to z tej podróży należy chyba starać się wynieść, ile się da, prawda?

– Zdecydowanie.

– Jak to mówią, chwytaj dzień. Był taki angielski kat nazwiskiem Pierrepoint, w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku powiedział, że obciążenie pracą staje się chwilami zbyt wielkie i wtedy „traci satysfakcję z roboty”. Wydaje się to absurdalne, ale ja go rozumiem. Życie jest za krótkie, żeby je marnować na rutynę i nudę. Co sprawia ci przyjemność?

Stiltona lekko zatkało. Co mu sprawia przyjemność? Zdał sobie sprawę, że od bardzo dawna nic go nie cieszy. Owszem, chwile z Luną. A poza tym? Co w jego życiu mogłoby być źródłem przyjemności? Nie miał dzieci. Nie miał pracy. Nie miał domu. Przyszli mu do głowy nieliczni przyjaciele, kolacje u Mette i Mårtena. Czyżby to było wszystko? Gra w tryktraka z Abbasem? Nie była to aż taka przyjemność. Ewentualnie pobyt na Rödlödze, samotne chwile na tamtejszych skałkach, związki z przeszłością, dziadek i babcia.

W tym momencie był bardzo daleko od Rödlögi.

– Musisz się długo namyślać – zauważył z uśmiechem Decha.

– Tak, niestety.

Stilton spojrzał na barkę i przypomniał sobie swoje pytanie z pierwszego spotkania.

– Nie powiedziałeś mi, po co ci ta barka. Czy to tajemnica?

– Ani trochę. To azyl dla dzieci Rohingjów. Rohingjowie w Birnie są mordowani, a tamtejsze wojsko nazywa to „czystką”, może słyszałeś?

– Owszem.

– Porywają im dzieci, żeby dla nich kradły opium w górach; dzieciaki są drobne i szczupłe, potrafią się przeczołgiwać pod drutem kolczastym wokół pól maków.

Może i ty je do tego wykorzystujesz, pomyślał Stilton, ale powiedział:

– A jak trafiają tu? Na tę barkę?

– Chłopcy, którym uda się uciec przemytnikom, trafiają do okolicznych miast i żebrzą. Często są wygłodzeni i przestraszeni, wielu z nich choruje. Zresztą w Tajlandii również są pariasami. Opluwa się ich, traktuje gorzej niż psy.

Decha pokręcił głową, patrząc na rzekę.

– To naprawdę straszne – powiedział.

– Tak.

Stilton nie przeczył, pamiętał, jak Aditi wzburzyło traktowanie Rohingjów. Opis Dechy prawdopodobnie był zgodny z rzeczywistością.

Decha spojrział na pomost.

– A więc robie, co mogę, w czasie, który mi pozostał – powiedział. – Pieniądzy mam więcej, niż mi potrzeba, staram się użyć ich z sensem, czyli stworzyć dzieciakom znośne warunki życia i dać im poczucie bezpieczeństwa. Raz w tygodniu przyjeżdża tu nauczycielka z Wanssingi, uczy je angielskiego, a ja próbuję przekazać im trochę wiedzy o literaturze i muzyce.

– To godne podziwu.

Decha lekko się uśmiechnął.

– Nie jestem święty – odparł. – Staram się tylko być w miarę dobrym człowiekiem.

W odróżnieniu od mordercy polującego na zwierzęta zagrożone wyginięciem, dopowiedział w myślach Stilton, chociaż nie miał pewności, czy taki był podtekst. Słowa Dechy brzmiały szczerze.

Rozległ się głośny gwizd, Stilton się obejrzał. Little Pluto stał przy relingu i machał do niego.

Pora wyprawić się na łuskowca.

Little Pluto wziął ze sobą klatkę, która miała posłużyć jako pułapka. Szedł przodem, wycinając maczetą drogę przez dżunglę, a za nim posuwał się Stilton, niosąc klatkę. Dżunglę wypełniały odgłosy: wrzaski małp i ptaków, o których Stilton nigdy nie słyszał, skrzypienia gałęzi i szum wody z różnych stron. Teraz mógł tylko podążać za idącym przed nim chłopcem. Little Pluto wiedział dokładnie, gdzie umieścić klatkę, znał szlaki łuskowców prowadzące do strumyczków płynących w lesie. Złapał tam wiele okazów, większość z nich zabrali ludzie przyplływający do barki Dechy. Czasem jednak chłopcy przemycali jakiegoś łuskowca dalej, gdzie mogli go sami sprzedać. Było to prawdziwe święto, wydawali wtedy trochę pieniędzy na straganach w porcie w Wanssingi.

Stilton z trudem nadążał za zwinnym chłopcem przemykającym między drzewami i krzewami, nie był już młody. Musiał przystanąć, żeby nabrać tchu. Little Pluto obejrzał się za siebie.

– Za szybko idę?

– Nie, to ten upał, jest wyczerpujący.

W tropikalnym klimacie wysokiej temperaturze towarzyszyła skrajnie wysoka wilgotność powietrza. Jak powiedział człowiek w palarni opium w Wanssingi: „No country for old men”. Little Pluto podszedł bliżej niego i mu się przyjrzał.

– Masz ze sobą wodę? – spytał.

– Nie.

Little Pluto pokręcił głową i znów ruszył przed siebie. Idąc tuż za nim, Stilton patrzył na jego bose stopy.

– Nie boisz się węży? – spytał.

– Nie.

– Ale są tutaj?

– Tak. Jadowite. Ale mnie nie pokąsają.

– Dlaczego?

– Dostałem tarczę ochronną od mamy. Kiedy się rozstawaliśmy, potarła mi czoło dwoma palcami i wypowiedziała słowa, których nie rozumiałem, a potem wyjaśniła, że węże w dżungli będą teraz wiedziały, kim jestem, i mnie nie pokąsają.

Stilton, który nie lubił przesądów, patrzył teraz na bosego chłopca wyrabującego sobie przejście przez gęstwinię. Przypomniawszy mu innego bezbronny chłopczyka, którego poznał nie tak dawno temu w Nigerii, zmuszanego do koszmarnych rzeczy. Dwaj mali chłopcy skazani przez świat dorosłych na okrucieństwa, sami stali się już dorośli, chociaż nie zdążyli wyrosnąć.

Poczuł wstyd.

– Tutaj!

Little Pluto wskazał na niewielki wyrąb przy wąskim strumyku.

– Postaw ją skośnie do strumyka, wejściem do góry. Włożę przynętę.

Stilton postawił klatkę tam, gdzie mu wskazał chłopiec, a Little Pluto umieścił w niej przynętę.

– Odejdźmy kawałek, i tak usłyszymy, kiedy spadnie klapka.

Poszli kawałek w głąb dżungli. Stilton usiadł ciężko na jakimś kamieniu i wytarł zlaną potem twarz. Little Pluto oparł się o palmę.

– Teraz musimy poczekać – powiedział.

– Gdzie się nauczyłeś mówić tak dobrze po angielsku?

- Decha mnie uczył i czasem przyjeżdża nauczycielka.
- Słyszałem, że Decha nie mieszka tu na stałe.
- Nie, czasem wyjeżdża i wtedy musimy sami o siebie dbać, a potem wraca.
- Jak długo go nie ma?
- Czasem długo.

Stilton czuł, że wywiera presję, starając się wycisnąć z chłopca wszystko, co wie, ale nie było innych źródeł informacji. Do Dechy nie miał zaufania. Gość ukrywał coś, z czego nie zamierzał się zwierzać. Stilton był tego pewien.

A więc postanowił jeszcze dopytać.

- W tych górach jest dużo upraw maku.
- Tak.
- Decha zajmuje się takimi rzeczami?
- Czy pali?
- Nie.

Stilton liczył, że Little Pluto domyśli się, o co mu chodzi, i chyba tak się stało. W każdym razie odwrócił się i zaczął oskrobywać gałąź maczetą.

– Nie wiem, czym Decha się zajmuje – powiedział. – Musisz go sam spytać.

Stilton zrozumiał, że Little Pluto nie powie, co wie na temat Dechy. Może przez lojalność, a może z innych powodów.

W końcu zawdzięczał mu swoje bezpieczeństwo.

Decha raz za razem patrzył przez lornetkę na dżunglę. Była to mocna i nowoczesna lornetka, jednak nie zobaczył tego, czego wypatrywał. Chłopca i mężczyzn, którzy rzekomo udali się na polowanie na łuskowca. Prawie dał za wygraną, kiedy daleko między drzewami dojrzał chłopca opartego o palmę. Little Pluto. Tom zapewne jest gdzieś obok. Dobrze. Już wie, gdzie są. Opuścił lornetkę, usiadł na drewnianej ławce obok relingu i przesunął dłonią po nagiej piersi. Było gorąco i duszno, jak zawsze, ale nie to go martwiło. Chodziło o tego gościa ze Szwecji. Kim naprawdę jest ten cały Tom? A Veronica Wadner? Dlaczego spytał o nią, o kompletnie nieznaną mu osobę? Co to ma wspólnego z polowaniem na łuskowce? Sięgnął po komórkę i do wyszukiwarki wpisał „Veronica Wadner”. Nic nie znalazł. Wózek inwalidzki? Nagle stanęła mu przed oczami kobieta, która siedziała na wózku w cieniu obok basenu w Orientalu i się do niego uśmiechnęła. Czy była to Veronica Wadner? Czy przysłała Toma? Znow podniósł lornetkę i skierował ją na dżunglę.

Little Pluto zniknął.

Nagle między drzewami rozległ się głośny trzask.

– Teraz!

Little Pluto popędził do miejsca, w którym umieścili klatkę. Stilton pobiegł za nim. Na miejscu zobaczył zwierzę w klatce. Łuskowca, który rzucał się opancerzonym ciałem na bambusową kratę. Little Pluto spojrział triumfująco na Stiltona.

– Złapaliśmy go!

– Tak jest.

Stilton patrzył na klatkę, na Little Pluto. Wiedział, że musi podjąć decyzję.

Nie było to takie trudne.

Podszedł i podniósł klapę klatki. Łuskowiec wymknął się i zaraz zniknął w gęstwinie.

– Co ty robisz?!

Little Pluto miał kompletnie zdezorientowaną minę. Stilton pociągnął go za ramię, usiedli obok siebie, niedaleko źródła. Chłopiec patrzył na niego.

– Dlaczego go wypuściłeś? – spytał.

– Bo jest zagrożony wyginięciem.

– Co to znaczy?

– Że wszędzie na niego polują, zabijają i sprzedają na mięso albo dla pancerza. Niedługo na Ziemi może już nie być ani jednego łuskowca. Dlatego.

Little Pluto spuścił wzrok, po chwili powiedział:

– I żadnych Rohingjów. Nas też wybiją.

Takiej odpowiedzi Stilton się nie spodziewał.

– Wiem – odrzekł, spoglądając na chłopca.

– Nic nie wiesz.

I właściwie była to prawda. Stilton nie wiedział zbyt wiele o Rohingjach, tyle co wyczytał w wiadomościach i co mówiła późną nocą wzburzona Aditi.

– Opowiesz mi?

Trudno powiedzieć, co sprawiło, że Little Pluto zaczął mówić, może miał taką potrzebę, a może poczuł więź ze Stiltonem. Chyba że dlatego, iż Stilton wypuścił łuskowca.

Jego opowieść miała na długo pozostać w pamięci Stiltona.

– Żołnierze przyszedli do wsi wczesnym rankiem – zaczął Little Pluto – kiedy dorośli byli na polach ryżowych. Szukali w domach dzieci i wszystkie zabili, a moją siostrzyczkę, Somayę, która dopiero co się urodziła, chwycili za nóżki i rzucili na wielki stos palących się ubrań. Nocami ciągle słyszę jej krzyk.

Stilton zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Pośród kakofonii odgłosów dżungli powstała cisza i jakaś więź między nim a chłopcem. Little Pluto opowiadał dalej, były w tym strach, strumień różnych niezwiązanych ze sobą potwornych wydarzeń, gwałtów na polach ryżowych i rozstrzeliwań we wsi.

Nagle umilkł i podniósł wzrok.

Na rosnącej nieopodal wysokiej palmie huśtała się małpa i im się przyglądała, jakby uważała, że toczą interesującą rozmowę.

Dla Stiltona to, co usłyszał, było koszmarne.

– Wracamy? – spytał Little Pluto.

Wstał, ściągnął koszulkę i ruszył przed siebie. Stilton zobaczył, że chłopiec ma na plecach długie blizny.

Skąd się wzięły?

Nabawił się dawno temu czy przeciwnie?

Veronica nieprzypadkowo skontaktowała się właśnie z Tomem Stiltonem, chociaż on o tym nie wiedział. I nie chodziło tylko o to, że jak jej powiedziała Aditi, Tom był kiedyś policjantem.

Wiedziała o tym już wcześniej.

Stilton pasował idealnie do jej zamysłów. Pytanie, kiedy powinna je ujawnić.

Jeśli w ogóle.

Ostrożnie zjechała rampą na plażę. Dzień był pochmurny, co jej odpowiadało. Przejechała kawałek po piasku i zatrzymała się koło kilku drżących meduz wyrzuconych przez morze. Ślusarz mówił jej, że można je przyrządzić tak, że są jadalne. Gotuje się z nich rodzaj zupy pozbawionej smaku, a potem dodaje się przyprawy. Któregoś razu gdy był u niej, przygotował tę zupę, przełknęła jedną łyżkę i miała dość. Ślusarz uważał, że grymasi, ale Veronica uznała, że z uwagi na swój stan ma do tego prawo, a on nie powinien go podważać.

Spojrzała na niebieskozielone morze, symbol podróży do znanych i nieznanych krain. Kiedyś, gdy wszystko wyglądało inaczej, zwłaszcza ona, podróżowała po morzach jeszcze większych od tego. Odwiedzała miasta, a jej rodzice zabierali ją do muzeów i na rojne bazy.

Ojciec był dyplomatą, a matka dbała o dom. Veronica dowiedziała się wtedy wielu rzeczy, o których nie uczono jej w szkole. Ojciec pokazał jej na przykład rzeźbę i opowiedział, że jej twórca kochał kobietę, która jednak wolała innego, więc w rozpaczy włożył prawą rękę do wiadra z kwasem. Następnie lewą ręką wykonał rzeźbę, którą zatytułował *Miłość*. Nieważne, czy ta historia była prawdziwa, czy nie. To przeżycie poszerzyło jej doznania.

Patrzyła teraz na sylwetki statków na horyzoncie.

Będę musiała się nauczyć innego sposobu podróżowania, pomyślała.

W tym momencie zadzwoniła jej komórka. Po raz czwarty w krótkim czasie. Nieznany numer. Postanowiła odebrać i wreszcie mieć to z głowy. Może to Stilton z dobrą wiadomością.

– Dzień dobry, przepraszam, że przeszkadzam – odezwał się męski głos. – Nazywam się Abbas el Fassi, jestem bliskim przyjacielem Toma Stiltona. Tom zaginął, próbuję go odnaleźć. Czy pani wie albo się domyśla, gdzie on może być?

Prosto z mostu.

Była pod wrażeniem, ale nie dała tego po sobie poznać. Domyśliła się, skąd ten człowiek ma jej numer i dlaczego pyta o Toma. Sama się zastanawiała, gdzie jest Stilton. A więc zgodnie z prawdą odpowiedziała:

– Nie, nie wiem.

– Podobno był ostatnio w Chiang Rai. Co tam robił?

– Lubi pan śliwki?

Zapadło dłuższe milczenie. W końcu Abbas odparł:

– Czemu pani pyta?

– Żeby zyskać na czasie. Nie wiem, kim pan jest, a pan nie wie, kim jestem ja.

– Veronicą Wadner.

– Czyli kim?

Abbas zaczął tracić cierpliwość.

– Proszę posłuchać, wiem, że Tom miał pani pomóc odnaleźć jakiegoś nieznanego człowieka, o co chodzi?

– O nieznanego człowieka.

– Który przebywa w krainie opium?

– Najwidoczniej – odparła Veronica. – Pozwoli pan, że spytam: czy jest pan w tej chwili w Tajlandii?

– Nie, ale właśnie się zastanawiam nad przyjazdem, żeby go szukać.

W tej sprawie Veronica nie miała zdania. Jeśli chce szukać Stiltona, to jego sprawa.

– Gdyby Tom się odezwał, proszę mu powiedzieć, żeby od razu zadzwonił pod ten numer – powiedział Abbas. – Dziękuję.

Rozmowa została zakończona, Veronica znów spojrzała na morze.

Najwyraźniej zniknięcie Stiltona zaniepokoiło więcej osób.

Olivia niosła pod pachą grzejnik. Sprawdził się, gdy było najzimniej, teraz mogła go już oddać. W nadziei, że zostanie na barce Minkena albo jego nową miłość, przeszła przez ulicę na ukos w stronę mostu na Långholmen. Jeśli ich nie będzie, zostawi grzejnik na pokładzie dziobowym.

Dobrze jej zrobiło spotkanie z Abbasem, chociaż go zdenerwowała informacją o Tomie. Jednak im więcej osób się włączy, tym większa szansa, że komuś uda się nawiązać z nim kontakt w Tajlandii.

Tak myślała.

Rano zastanawiała się nad wypadem do Kopenhagi w weekend, dobrze byłoby dać się zdominować Lennie i jej postawie absolutnej afirmacji wszystkiego, co sprawia, że warto żyć. Złotnictwo? Czemu nie? Może też powinna postawić na coś takiego? Mama uprawiała tkactwo artystyczne, złotnictwo to inna forma filigranu. Najbardziej jednak ciągnęło ją do samej Lennie. Lennie nie była taka jak Lisa. Po pierwsze przyjaźniły się od wieków. Po drugie Lennie nie uznawała żadnych ograniczeń. Lisa przeciwnie, co miało i dobre, i złe strony. Osoby nieuznające ograniczeń raczej nie zostają policjantami, pomyślała Olivia i uzmysłowiła sobie, że to właściwie przykre. A ona jaka jest? Niezupełnie bez ograniczeń, zdawała sobie z tego sprawę, ale w krytycznej sytuacji gotowa była posunąć się dość daleko. Jednak to co innego, chodziło bardziej o rozróżnienie: odwaga czy brawura. Ciekawe, jak Lisa i Lennie by się ze sobą dogadały? Prawdopodobnie świetnie: białe wino, zabawne opowieści o mansplaining i wynurzenia o pożytkach z bycia singielką. Może zaprosić Lisę, żeby też pojechała do Kopenhagi?

Rozmyślając, dotarła do miejsca, z którego widziała już barcę. Bulaje tak jak poprzednio były rozświetlone na fioletowo. Wkroczyła na trap, Minken wyszedł na pokład, żeby ją powitać.

– Cześć, Olivia! – powiedział.

A to dopiero.

Minken zwrócił się do niej po imieniu, dotąd chyba nigdy się to nie zdarzyło. Jeszcze trochę, a wstąpi do Zielonych i będzie chodzić w lapońskich butach, pomyślała Olivia.

– Właż, kurde, ale uważaj jak cholera, bo wiesz, te wijące się pędy są cenne jak ropa naftowa!

Olivia przeszła ostrożnie przez zieleń wypełniającą salon. Podała grzejnik Minkenowi.

– Dzięki za pożyczkę.

– *Nada*. Było ci ciepło?

– Pomogło.

– Widzisz! Pomocna dłoń jest jak gołąb na dachu!¹²

– A gdzie Bettan?

– Drzemie, żeby się doładować.

Nagle chwycił ją za ramię i popchnął lekko na jedyną ławę, na której jeszcze nie było upraw. Sam usiadł tuż obok i szepnął:

– Nie chce ryzykować.

– Co ryzykować?

– Małego Minkena.

Mówiąc to, Minken wyprostował się z miną, jakby właśnie ujawnił, kto za cztery lata zostanie laureatem Literackiej Nagrody Nobla. Co w dzisiejszych czasach nie było znów takie nieprawdopodobne, ale przecież o tym Minken nie miał pojęcia. Patrzył na Oliwię, jakby

oczekiwał eksplozji emocji z jej strony.

– Jest w ciąży?

– Czy jest w ciąży? Kurde, co to za pytanie? Tak zaciążyła, że jakby dziś zaczęła rodzić, to byłoby słycać aż w Korei! A ta pyta, czy jest w ciąży...

Minken musiał przełknąć chłodną w jego mniemaniu reakcję Olivii i odsunął stopą kilka sadzonek w kartonikach po mleku. Ponieważ nic nie wiedział o jej niedawnym poronieniu, uznał, że jest w szoku i dlatego nie znalazła odpowiednich słów na skomentowanie tej sensacyjnej wiadomości.

– Cześć!

Właśnie weszła przysłała mama małego Minkena; miała na sobie obszerny zielony szlafrok, a jej policzki były zaróżowione.

– Cześć – odpowiedziała Olivia. – Słyszałam, że spodziewasz się dziecka?

– Masz na myśli Leifa?

Bettan zaśmiała się i ostrożnie, żeby nie uszkodzić upraw, przysunęła sobie stołek.

– No nie, powiedział, że jesteś w ciąży.

– On mówi różne rzeczy, dopiero co powiedział, że w towarzystwie arabskiego mnicha opłynął ziemię w pułapce na szczury, to znaczy w takim pontonie jak...

– Bettan! – przerwał Minken. – Nie płacz się. Panna Kwaśna należy do najbliższych przyjaciół Toma, nie mamy przed sobą tajemnic. Mów, jak jest!

Bettan zaciągnęła trochę mocniej szlafrok i spojrzała na Olivię porozumiewawczo, jak to między kobietami.

– Okres mi się spóźnia, co się już zdarzało, ale wiesz, jaki jest Leif. Już odleciał, chociaż stoi jeszcze nogami na chodniku.

Owszem, Olivia wiedziała doskonale, jaki jest Leif. Z przyjemnością ujrzałyby na świecie biologiczną sumę tych dwojga, ale rozumiała, jaka jest sytuacja.

Minken chyba też się zorientował, że stąpa po niepewnym gruncie, i zmienił temat.

– Co sądzisz na temat Urban Turban? – spytał Olivię.

– Nie słuchałam ich, są sprzed mojej ery, trochę nagrzeni, nie?

Minkena wyraźnie zatkało.

– To jest taki zespół? – spytał.

– A co, nie wiedziałeś?

Rzeczywiście nie wiedział, w związku z czym od razu zwrócił się do Bettan:

– Musimy zmienić nazwę.

– Nazwę czego? – spytała Olivia.

– Chcieliśmy wystartować z takim podcastem – odparła Bettan. – Urban Turban.

Ponownie włączył się Minken:

– Bettan gada o uprawach, a ja opowiadam historie z całego świata, w końcu trochę się bywało. Ale wtopa! Zresztą i tak bierzemy tę nazwę, w dupie mamy tamtych naćpanych szarpidrutów. Myśleliśmy też, żeby na nabrzeżu urządzić ogródek, Bistro la Kali, z hamakami i tak dalej, i boiskiem do buli. Czaisz?

Olivia spojrzała na Bettan, która uśmiechnęła się pobłaźliwie. Minken wyciągnął parę plastikowych butelek z izotonikiem i jedną podał Olivii.

– Słyszałaś coś od naszych uchodźców? – spytał.

– Tom zaginął.

– Weź, przestań. Gdzie zaginął?

– Gdzieś w Żółtym Trójkącie, nie można się do niego dodzwonić. Nie wiedzieliście?

– Nie. Kurde, co on tam robi? – dopytywał Minken.

- Szuka kogoś.
- Solo?
- Przypuszczam, że tak.
- W takiej zasranej okolicy!

Zerwał się, przewracając pudełka po mleku i butelki, był naprawdę roztrzęsiony. Bettan i Olivia spojrzały po sobie, nieprzyzwyczajone do takiej reakcji z jego strony.

– Co się dzieje? – spytała Bettan.

– Co się dzieje? Kurde, mój kumpel zaginał! Czy ty w ogóle wiesz, co myśmy razem przeszli?

– Nie?

Olivia też nie miała o tym większego pojęcia, nie znała szczegółów z przeszłości Toma i Minkena, poza tym, że sięgała bardzo odległych czasów, kiedy Tom był komisarzem policji kryminalnej, a Minken jednym z jego najlepszych kapusiów. Teraz ten kapuś łązi między grządkami na barce należącej do partnerki Toma i jest wyraźnie wstrząśnięty.

– A jak go złapią! – powiedział.

– Kto?

– Te męty od dragów, co tam rządzą! Kurde, Tom może już być martwy albo torturowany! Okaleczony!

Zrobił wielki krok nad sadzonkami sałaty i wyszedł na pokład. Olivia i Bettan spojrzały na siebie.

– Biedak – powiedziała Bettan. – Domyślam się, dlaczego tak to przeżywa. Opowiadał mi trochę o Tomie, o tym, że był w policji jego prawą ręką, tyle razem dokonali. Nic dziwnego, że jest taki wzburzony.

Olivia przytaknęła i wstała.

Minken przy relingu na pokładzie dziobowym patrzył na wodę. Olivia stanęła obok niego. Kątem oka zobaczyła łyzy płynące po jego policzkach. Nie wiedząc, co powiedzieć, też wpatrzyła się w wodę.

– On dostrzegł, co we mnie siedzi.

Mówił cienkim, łamiącym się głosem, ledwo słyszalnie.

– Byłem na takim dnie, że bardziej się nie da, całymi dniami leżałem tylko i karmiłem okruszkami chleba karaluchy, żeby mi nie łąziły po twarzy, włóczyłem się po takich miejscach, do których nawet policja nie chciała chodzić... Łgałem, zdradzałem, oszukiwałem kumpi, w końcu żaden nie chciał mieć ze mną do czynienia, nie dotknąłby mnie nawet szczypcami... No i jednej nocy postanowiłem, że dość tego, naćpałem się po kokardę i rzuciłem się ze schodów przy Kungsgatan... Obudziłem się w szpitalu, a obok siedział Tom, po cywilnemu, myślałem, że to ksiądz...

Minken umilkł i przesunął dłonią po twarzy. W ciszy, która nastąpiła, Olivia odważyła się spytać:

– Co on tam robił?

– Walnął prosto z mostu, wiesz, jaki on jest. Powiedział: „Potrzebuję kapusia”. Wiedział, w jakich kręgach się obracałem, i chciał informacji. Jednak nie o to chodziło, tylko o to, jak na mnie patrzył, w oczy, jakbym był człowiekiem takim jak on, a nie menelem z przedmieścia. Czaisz?

Odwrócił się lekko do Olivii. Przytaknęła.

– Jakby mówił: ty to ty, a ja to ja, możemy sobie wzajemnie pomóc – ciągnął Minken. – Miał w dupie resztę.

Sprytny policjant, pomyślała Olivia, ale zatrzymała to dla siebie.

– Od samego początku miałem dla niego szacun, autentyk. Skończyłem z tym całym szajsem i starałem się trzymać w miarę prosto.

– Mistrz równowagi – odezwała się Olivia. – Pamiętasz, że tak mi się przedstawiłeś, kiedy się poznaliśmy?

– Nie. Ja tak mówię do wszystkich.

– Do Bettan też?

Minken spojrzał błagalnie na Olivię.

– Proszę, pozwól, żebym dla niej był Leifem, tym, kim jestem dzisiaj.

– Obiecuję.

Stilton przewracał się na materacu z boku na bok, nie mógł spać, i to z kilku powodów. Jednym był Little Pluto i jego opowieść, drugim duchota, poczuł, że potrzebuje powietrza. Wyszedł boso z kabiny i oparł się o reling. Było tam równie gorąco, ale przynajmniej wyczuł lekki ruch powietrza. Spojrzał w dół na ciemną rzekę, tu i ówdzie dostrzegł żuki ogniste, w dżungli wrzeszczały małpy. Wtedy nagle to wszystko go przygniotło. Kurde, co on tu robi? W tej czarnej dziurze w Azji Południowo-Wschodniej. Co on wyprawia? Mógł się wylegiwać na cudownie miękkim materacu razem z Luną u boku, słuchając delikatnych dźwięków buddyjskich dzwonek. Tymczasem sterczy na wycofanej z użytku barce razem z masą chorych dzikich kotów i dziwnym Szwedem trzymającym pistolet pod fotelem. O to mu chodzi? Wiadomo, spalił za sobą wiele mostów, zmarnował ileś szans, spadł niżej od wielu innych, ale przecież się podniósł. I co, żeby się znaleźć tutaj? Co nim kierowało? Co zaprowadziło aż tu? Zdjęcie nieznanego mężczyzny i współczucie dla okaleczonej kobiety. Zgłupiał? A może rządzą nim tkwiące gdzieś głęboko emocje?

Znów spojrzał w ciemność.

Jhang Sa.

Nie przestawał o nim myśleć. O człowieku, który próbował go zabić, a przywrócił do życia. Przypomniawszy sobie prawie niezauważalną reakcję Dechy, kiedy wspomniawszy Jhanga Sa. Czy Decha jest zamieszany w działalność Jhanga? Czy barka jest jedną z jego baz przeładunkowych? Pod pokładem znajdowały się wielkie ładownie, ale nie zajrzał tam. Co w nich jest?

Warto by sprawdzić, pomyślał.

Noc była pochmurna, bezksiężycowa, na barce panowała gęsta ciemność. Stilton nie miał latarki, musiał odwołać się do pamięci. Wiedział, że na pokładzie dziobowym jest duża kłapa, która chyba prowadzi do ładowni. Miał nadzieję, że żaden z dzikich kotów nie rzuci się na niego.

Obudziłoby to wszystkich.

Przesuwał się, trzymając się relingu. Kiedy wzrok mu się przyzwyczaił do ciemności, zorientował się, że jest już na dziobie. Przykucnął i zaczął macać pokład, deski były grube i szorstkie, parę metrów dalej wyczuł stalową krawędź. Pewnie kłapa. Chwycił ją obiema rękami, żeby podnieść. Prawie wszystko na barce było rozeschnięte i obawiał się, że kłapa zazgrzyta, co nie byłoby dobre.

Podnosił ją powoli, centymetr po centymetrze, a kiedy już stała pionowo, obszedł ją i opuścił ostrożnie z drugiej strony. Nie widział za wiele, ale dość, by odróżnić wielki czarny prostokąt prowadzący do ładowni. Zakładał, że jest tam drabina, i sprawdził jedną nogą. Bosą stopą trafił na metalowy występ, pewnie szczebel. Drugą postawił na kolejnym szczeblu. Schodził powoli w czarną czeluść, aż znalazł się w ładowni.

O ile na pokładzie był mrok, o tyle w ładowni panowały wręcz egipskie ciemności. Jeśli są tu bulaje, to zostały zakryte, pomyślał. Żeby nikt nie mógł zajrzeć? Stojąc na drewnianej podłodze, prawie mógł się wyprostować. Wiedział, że oczy się przyzwyczajają, nawet tu na dole, przynajmniej do pewnego stopnia. Szpary w rozeschniętych burtach wpuszczały z zewnątrz odrobinę jaśniejszej ciemności. Macając dłońmi po burcie, posunął się kawałek naprzód. Nie potrafił określić wielkości pomieszczenia, gdyby mógł, krzyknąłby, żeby ocenić ją po pogłosie, ale nie miał odwagi. Wyteżył wzrok, by dostrzec ewentualne skrzynie, bale, przedmioty zwykle wypełniające ładownię. Nie zobaczył nic.

Czyżby była pusta?

Wtedy do jego uszu dobiegły jakieś odgłosy. Jeden zidentyfikował, lekki tupot

przebiegającego szczura. Drugi był inny, brzmiał jak jęki. Dochodziły z góry. Wyprostował się i uderzył się w głowę. Pochylił się ponownie, jęki się nasiliły. Koty?

Zdał sobie sprawę, że nie zobaczy nic więcej, i wrócił do drabiny. Szybko wszedł po niej na pokład, opuścił kłapę i ponownie nasłuchiwał. Dźwięki były teraz głośniejsze.

Czyżby dochodziły z kabiny Dechy?

Jest chory?

Trzymając się relingu, dotarł do jego drzwi. Bez wątpienia jęki pochodziły właśnie stamtąd. Nasłuchiwał, próbował zajrzeć do środka, ale nie znalazł żadnych szpar. Były po drugiej stronie, widział je, kiedy był u Dechy. Obszedł kabinę i zbliżył się do ściany. Nisko, między deskami dostrzegł szparę. Stilton pochylił się i przez nią zajrzał.

Najpierw zobaczył twarz Little Pluto. Wykrzywioną z bólu, z zamkniętymi oczami.

Jęczał.

Stilton spróbował spojrzeć pod innym kątem, wydłubał trochę mchu ze szpary i wtedy zobaczył duże białe ciało leżące na drobnym chłopcu.

Był to Decha.

Sytuacja nie budziła wątpliwości.

Decha był pedofilem.

Stilton właśnie miał się wyprostować, kiedy jego wzrok napotkał oczy Little Pluto.

Zagotował się w środku, obiegił kabinę, aby dotrzeć do prowadzących do niej drzwi, gdy na środku pokładu dziobowego natknął się na nagiego chłopca. Little Pluto wiedział, co zobaczył Stilton, i stanął mu na drodze.

– Nie biegnij do Dechy! – szepnął.

– Dlaczego? Przecież widziałem, co ci robił.

– Chodź!

Little Pluto pociągnął go za koszulkę. Był naprawdę silny. Stilton lekko się zachwiał i cofnął o krok.

– Chodź ze mną – powtórzył Little Pluto. – Proszę.

Stilton oddychał ciężko, patrząc na nagie dziecko. Widział strach w jego oczach. Spojrzał w stronę kabiny Dechy. Drzwi były zamknięte. Little Pluto znów pociągnął go za koszulkę.

– Zejdźmy nad rzekę – powiedział.

Stilton nie wiedział, co robić. W pierwszym odruchu chciał skatować to ścierwo w kabinie, ale oczy chłopca patrzyły na niego błagalnie. Zszedł więc po trapie za Little Pluto.

Znaleźli się nad ciemną rzeką.

Little Pluto usiadł w pewnej odległości od pomostu. Stilton musiał pójść opłukać twarz, ręce mu się jeszcze trzęsły, kiedy nabierał wodę. Zdarzyło mu się spotkać pedofilów, było to jeszcze na służbie, i zawsze czuł potem okropny niesmak. Jednak nigdy nie przyłapał ich in flagranti, w dodatku z chłopcem, którego znał. To było już za wiele, odczuwał to całym ciałem. Otrząsnął się z wody i podszedł do chłopca. Little Pluto siedział nieruchomo, biodra owinął ręcznikiem znalezionym na pomoście. Stilton nie widział wyraźnie jego twarzy, ale nie musiał, słyszał cichy szloch. Opadł na ziemię obok niego i położył dłoń na jego podciągniętym kolanie.

– Od dawna to robi? – spytał.

Little Pluto przytaknął.

– Dlaczego nie chciałeś, żebym mu przywalił?

Minęła chwila, zanim Little Pluto odpowiedział słabym głosem.

– On mówi, że mnie kocha... A ja już nie mam nikogo, kto by mnie kochał.

Stilton zacisnął zęby, musiał się opanować, przecież rozmawiał z dzieckiem.

– Little Pluto, ty jesteś dzieckiem, a on jest dorosły, to, co ci robi, jest obrzydliwe

i karalne.

– On mówi, że miłość między chłopcami i mężczyznami zawsze była i nie ma w tym nic złego.

– Wierzysz w to?

Little Pluto otarł łzy, przestał już szlochać.

– On mówi, że to jest nasza tajemnica.

– Bo to jest zakazane. Wykorzystuje cię, bo jest chorym człowiekiem. Boisz się Dechy?

– Boję się jego pistoletu.

Little Pluto wstał i spojrzał na Stiltona.

– Ty stąd wyjedziesz, a ja tu zostanę. Tutaj nikt na mnie nie poluje. Mieszkam tu. Nie mów mu, że nas widziałeś w kabinie.

Little Pluto zostawił ręcznik i pobiegł w ciemność w stronę barki.

Stilton został na miejscu.

Dochodziła dziewiąta wieczorem, nad Kummelnäs nadciągał zmierzch. Mette szła od przystanku autobusowego, niosąc ciężkie zakupy. Wzięła je na siebie, bo po lunchu Mårten źle się poczuł. Skręcając w cichą willową uliczkę, rozmyślała o ich sytuacji. Mårten był od niej sporo starszy i raczej nie będzie już zdrowszy ani silniejszy. Będzie musiała przejąć coraz więcej z tego, co dotąd załatwiał jej mąż.

Nie była to zbyt pociągająca perspektywa.

Zbliżając się do swojej posesji, niedaleko furtki zobaczyła ciemny samochód ze zgaszonymi światłami. Nie było to żadne znajome auto należące do kogoś z sąsiadów. Odruchowo zwolniła, uruchomiło się jej policyjne myślenie. Dlaczego tu stoi? Przed naszym domem? Podchodząc bliżej, widziała, że ktoś jest za kierownicą. Kto? Przez głowę przemykały logiczne i mniej logiczne odpowiedzi. Terrorysty? Przecież siedzą. Podeszła szybko do furtki, jednocześnie otworzyły się drzwi samochodu i wysiadł z niego kierowca. Przeklinając swoje kiepskie widzenie nocne, zmrużyła oczy, żeby coś dojrzeć, i poczuła chwilową ulgę, kiedy wydało jej się, że rozpoznaje rysy twarzy.

– Magnus?

Ulgą zamieniła się w czujność, podeszła bliżej ciemnej postaci.

– Co ty tutaj robisz? – spytała.

Teraz już zobaczyła wyraźnie jego twarz. Starła się ukryć swoją reakcję. Zwykle starannie uczesany Magnus Larsson dziś był rozczochrany, twarz miał zarośniętą i wyniszczoną; w ciągu ostatnich tygodni bardzo się postarzał. Wbrew sobie zrobiło jej się go żal, poczuła jakieś wyrzuty sumienia, ale przeszło jej to wszystko, kiedy spojrzała w jego pociemniałe od gniewu oczy. Wzdrygnęła się.

– A jak myślisz? – odparł.

Jego twarz wykrzywił dziwny uśmiech.

– Chciałem ci pokazać, jak wygląda mój osobisty upadek, żebyś się mogła nim nacieszyć.

Podszedł krok bliżej, zrobił obrót i rozłożył ręce.

– Straciłem pracę. Elinor wyrzuciła mnie z domu, a syn nie chce mnie znać. Rozbiłaś rodzinę, którą w dodatku dobrze znasz, z którą utrzymywałaś stosunki towarzyskie i która już wcześniej została dotknięta tragedią. Tak się to częściowo przedstawia. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona.

Zbliżył twarz, Mette czuła jego oddech, śmierdzący jak mokra wełna. Udając spokój, postawiła na ziemi torby z zakupami.

– Dlaczego miałabym być zadowolona? – spytała.

– Bo właśnie to chciałaś osiągnąć.

– A nie jest to twoje własne osiągnięcie?

– Nie. Nie robiłem nic innego niż miliony mężczyzn przede mną.

– Gwałcą?

Powiedziała to bez zastanowienia. W oczach Magnusa pojawiły się błyskawice, uchyliła się, ale spodziewany cios nie padł.

– Nikogo nie zgwałciłem. Dałem się skusić uwodzicielskiej kobiecie.

Wypluł te słowa, według Mette trochę śmieszne, jak w dziewiętnastowiecznej powieści.

– Tak to widzisz?

– Tak to było. Ale nie interesowała cię moja wersja, prawda? Wiesz, ja naprawdę uważałem cię za dobrą policjantkę. W dodatku jedną z niewielu znanych mi myślących kobiet.

Najwyraźniej się myliłem. Dobrego policjanta interesują racje wszystkich stron, nie działa pod wpływem łzawych opowieści historycznych kobiet.

– Nazywasz Lisę histeryczką?

– Nie ona pierwsza próbuje się zemścić za nieodwzajemnioną miłość. A ty pozwoliłaś, żeby jej wersja pozostała bez odpowiedzi.

– Nie paliłeś się specjalnie do dementowania, kiedy miałeś szansę.

– Bo byłem w szoku, kurwa! Oskarżony o coś, czego nie zrobiłem. A ty podobno byłaś jedną z najlepszych policyjnych ekspertek od przesłuchań, tak? To mnie najbardziej przeraża w tym cholernym kraju. Gdybyś była choć odrobinę profesjonalna, poprosiłabyś o moją wersję. Ale dziś posyła się wszystkich mężczyzn na szafot bez sądu, nawet kierownictwo policji tak się boi, że robi w majtki, jak tylko ktoś szepnie metoo. Czy ja wyglądam na faceta, który musi się uciec do przemocy, żeby zaciągnąć kobietę do łóżka? Co?

Uderzył się dłońmi po piersi, jakby dla podkreślenia swojego męskiego potencjału.

– I dlaczego musiało minąć przeszło dziesięć lat, zanim twoja mała adeptka wydusiła z siebie to oskarżenie? – ciągnął. – Dlaczego nie zgłosiła tego od razu? Przecież, kurde, jest policjantką! W dodatku szkoloną, żeby umieć się bronić. To dlaczego się nie broniła? Może jednak chciała, żeby ją wziąć lekką przemocą? Niektóre kobiety przecież to lubią. Ale ona automatycznie dostaje aureolę, podczas gdy mnie dodają diabelskie rogi.

Magnus cofnął się o krok, biorąc rozped.

– Wy, kobiety, budujecie groźne społeczeństwo. Wiatr wam sprzyja, ale tracicie wycucie prędkości. Jesteście gotowe wyciągnąć każdą, choćby najmniejszą krzywdę, byle móc na ołtarzu feminizmu złożyć ofiarę z niewinnych facetów.

Znów znalazł się bardzo blisko. Mette poczuła na twarzy krople jego śliny. Kątem oka widziała przez okno Mårtena, który kręcił się w kuchni. Niedługo zacznie się zastanawiać, ile spóźnienia ma jej autobus.

– Skończyłeś? – spytała.

Magnus już odchodził, ale przystanął i odwrócił się.

– To może byś posłuchał mojej wersji – powiedziała Mette. – Mam wiele empatii dla Elinor i twojego syna, życzylabym im lepszego losu niż ten, który ich spotkał. Ale to ty im to zgotowałeś, nikt inny. Oboje wiemy, że Lisa nie była jedyna. Zawsze miałaś reputację kobieciarza. Pozornie szarmanckiego, a w głębi duszy żywiącego głęboką pogardę dla kobiet. Wołałam cię rozgrzeszać, bo uważałam cię za świetnego policjanta, a twoje nieustanne aluzje zbywałam, traktując jak pewną manierę. Stykałam się z tym przez całe moje zawodowe życie, aż się na to znieczuliłam, więc w pewnym sensie też w tym uczestniczyłam. Ale faktem jest, że metoo otworzyło mi oczy. Zawsze zdawałam sobie sprawę z tego, jak wyglądają struktury władzy, ale nie zwracałam uwagi, bo tak jest i już, więc trzeba to polubić, żeby wytrwać. Aby się wybić, zawsze musiałam być lepsza od kolegów mężczyzn. Szanse nigdy nie były równe. A najwyższy czas, żeby to się zmieniło. I owszem, będą niewinne ofiary, chociaż to zawsze jest okropne. Jednak ty nie jesteś jedną z nich.

– Wiesz to na pewno?

– Tak, wiem. Widać to było po tobie, kiedy cię skonfrontowałam z oskarżeniem Lisy. Przestraszyłeś się, bałeś się, że wyjdzie na jaw więcej podobnych historii, dlatego wołałeś nie kwestionować decyzji kierownictwa policji. Ale skoro teraz chcesz, to proszę bardzo. Osobiście uważam, że powinieneś się cieszyć, że nie zrobili z tego jeszcze większej sprawy.

Magnus spojrział na Mette.

– Mette Olsäter, jesteś obrzydliwą zimną pizdą.

– Wcale nie, kosztuje mnie to więcej, niż myślisz, ale jestem policjantką do szpiku kości.

Wierzę w sprawiedliwość i w to, że winny musi ponieść karę. Każdy musi ponosić konsekwencje swojego działania.

– Byłaś policjantką i, kurde, nie masz serca!

Magnus kopnął torbę z zakupami, na chodnik potoczyły się jabłka. Mette spojrzała na niego.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy teraz doszli do czegoś więcej.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, potem się schyliła i pozbierała owoce. Podniósłszy się, zobaczyła Mårtena, który stał w drzwiach wejściowych.

– Mette! – zawołał. – Wszystko w porządku?

Magnus odwrócił się i ruszył do samochodu, a Mette pomachała uspokajająco mężowi.

– Tak, oczywiście, już idę!

Samochód Magnusa ruszył z piskiem kół, Mette musiała uskoczyć, żeby jej nie rozjechał.

– Mette! Co się dzieje?

Mårten pędził boso w stronę furtki.

– Dasz radę nalać mi wina?

Mette siedziała przy stole kuchennym, patrząc na męża. Mårten sięgnął po kieliszek i w połowie pełną butelkę czerwonego wina. Nalał jej i odstawił butelkę. Mette właśnie zdała mu krótką relację ze spotkania na ulicy z Magnusem Larssonem. Mårten odsunął krzesło i usiadł tuż obok żony.

– To, co mu zrobiłaś, to była konieczność – powiedział cicho.

– Wiem. Nie to mnie męczy.

– Tylko co?

– To, że nie widziałam, nie domyślałam się.

– Przecież nie zamykałaś oczu świadomie.

– Może i nie – przyznała Mette. – Ale powinnam bardziej się postawić.

– Wtedy pewnie nie osiągnęłabyś tego, co osiągnęłaś.

Mette wypila łyk wina, żeby przełknąć tę zwięzle wyrażoną prawdę.

Stilton zszedł do wody w samych majtkach. Nie spał całą noc. Ciągle wracał do niego obraz z kabiny Dechy, nagie ciało, chudziutki chłopiec z wykrzywioną twarzą, mężczyzna ze szklanym wzrokiem, jego złane potem plecy, jęki i sapanie. To było gorsze od koszmarów sennych. Musiał to splukać z siebie, odpłynął kawałek od brzegu i cały się zanurzył.

Musiał pomyśleć.

Decha jest pedofilem.

Czy o to chodziło Veronice, kiedy mówiła o złu? Wykorzystał jej dzieci? Czy w ogóle miała dzieci? I co to miało wspólnego z jej kalectwem?

Nie potrafił tego poskładać.

A więc co powinien teraz zrobić?

Little Pluto poprosił go, żeby nie ruszał Dechy. Stilton rozumiał dlaczego. Chłopiec bał się Dechy, a jednocześnie był do niego przywiązany.

W odróżnieniu od Stiltona.

Mógłby powalić Dechę, rozbroić go, związać i zabrać go jedną z łodek przycumowanych do pomostu. Ale dokąd? Do Wanssingi? Gdzie są ci handlarze narkotyków, przekonani, że go utopili? Decha prawdopodobnie zna ich wszystkich. Na policję? A jest tam w ogóle jakaś policja? A jeśli tak, co będzie ją obchodzić jakiś szwedzki pedofil gwałcący małego Rohingję?

Znów zanurkował.

Decha stał na pokładzie, a jeden z chłopców polewał jego nagie ciało zimną wodą z wiadra. Dobrze się czuł. To będzie fajny dzień. Zerknął w bok i zobaczył Stiltona kąpiącego się w rzece. Owinął biodra ręcznikiem i poszedł do kabiny Stiltona. Przed otwarciem drzwi rzucił jeszcze spojrzenie na rzekę, Stilton płynął wzdłuż brzegu. Wszedł do środka i popatrzył na leżący na podłodze materac. Musi mieć delikatne plecy, pomyślał, zamykając za sobą drzwi. Szybko stwierdził, że gość ma niewiele poza swoim ubraniem. Podniósł jego kurtkę, lekko powąchał i upuścił z powrotem na materac.

I wtedy coś dostrzegł.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wysunęła się kartka, a raczej zdjęcie. Nachylił się i je podniósł. Na zdjęciu był on sam. Odwrócił je. Z tyłu widniał napis: „Contamana”. Włożył je z powrotem do kieszeni i już wiedział, co myśleć: agenda Toma przedstawiała się całkiem inaczej, niż twierdził.

Wcale nie chodziło o łuskowce.

Zamykając za sobą drzwi po wyjściu z kabiny, zobaczył, że Tom właśnie wyszedł z wody. Po głowie chodziło mu tylko jedno pytanie. Co Stilton widział na barce?

Zaniepokoiło go to.

Wchodząc po trapie, Stilton zobaczył Dechę, który siedział na fotelu ustawionym na pokładzie dziobowym. W tym stanie ducha Stilton wolałby z nim nie rozmawiać, bo nie był pewien własnej reakcji. Skierował się więc do swojej kabiny, kiedy usłyszał głos tamtego.

– Tom!

Stilton się odwrócił. Decha kiwnął na niego, żeby podszedł. Tom wycierał powoli głowę ręcznikiem, wahał się kilka sekund, ale doszedł do wniosku, że byłoby dziwne, gdyby nie podszedł.

– Przyjemna kąpiel? – spytał Decha.

– Tak.

– Siadaj.

Decha kiwnął ręką w stronę drewnianej ławki. Stilton się nie ruszył.

– Chciałem się ubrać – powiedział.

– W ostatnich dniach rozmawialiśmy ze sobą o wielu interesujących rzeczach, jak morderstwo, łuskowce i robienie tego, co człowiek musi, prawda?

– Tak.

– To były ciekawe rozmowy.

– Rzeczywiście.

– Jak długo zamierzasz tu zostać? – spytał Decha.

– Jutro wyjeżdżam.

– Wyjeżdżasz? Jak?

– Chciałem prosić jednego z chłopców, żeby mnie zawiózł do Wanssingi. W porządku?

– Absolutnie – odparł Decha. – Znalazłeś jakieś łuskowce?

– Nie.

– Czyli wyprawa tutaj okazała się daremna?

– Przecież poznałem ciebie.

Stilton powiedział to bez uśmiechu. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie.

– Rzeczywiście, poznałeś. I co sądzisz? – spytał Decha.

Stiltonowi nie podobał się podtekst rozmowy, zastanawiał się, do czego tamten zmierza.

– Masz cholernie dobry rum – odparł.

Decha się zaśmiał, ale nie było w tym ciepła, przesunął ręką po rzadkich włosach i patrząc na Stiltona, spytał:

– Masz jakieś związki z policją?

– Dlaczego pytasz?

– Może nie jesteś mordercą, tylko przeciwnie? A może masz jakąś tajemnicę?

– Chyba jak każdy – zauważył Stilton.

– Oczywiście. Człowiek bez tajemnic jest jak akwarium bez ryb. Jaka jest twoja?

Stilton pomyślał o tym, co zrobił na Filipinach i co pozostanie jego tajemnicą do końca życia.

– Mamy się wymienić tajemnicami? – spytał.

– Czemu nie?

To akurat nie interesowało Stiltona. Choć wiele by dał, żeby poznać tajemnice Dechy. Jak się nazywa naprawdę? Co go łączy z Veronicą Wadner? Skąd pochodzi? A przede wszystkim: jak może wykorzystywać dzieci, które uratował z rąk przemytników opium? Może nawet z rąk Jhanga Sa?

– Moja tajemnica jest bardzo prosta – odparł Stilton. – Dobrze śpiam w nocy. A ty?

Mówiąc to, patrzył prosto w oczy Dechy. Ten wstał i spojrzał na dżunglę: Tom wie. Niedobrze. Jedno, co dobre, to to, że nikt nie wie, że on tu jest. A drugie, że Tom nie wie, że on widział zdjęcie. To mu dawało przewagę.

Zamierzał ją wykorzystać.

Po kąpielu i rozmowie z Dechą Stilton wyprawił się do dżungli. Nie był w stanie tkwić na barce i stykać się z Dechą. Umówił się z Little Pluto, że nazajutrz o świcie chłopiec zawiezie go do Wanssingi. Właściwie dało się to zrobić jeszcze w tym samym dniu, jednak coś go wstrzymywało.

Little Pluto.

Nie chciał go wypytywać, czy Decha wykorzystywał również innych chłopców. Możliwe, że jak to często bywa z pedofilami, znajdował sobie ulubieńca, którego przez pewien czas wykorzystywał seksualnie.

Nie spytał również, od jak dawna się to odbywa. Wiedział wprawdzie, że Little Pluto przebywał na barce od kilku lat. Myśl, że to wykorzystywanie mogło trwać przez cały ten czas, rozdzierała mu serce. Uzmysłowił sobie, że odczuwa podobne emocje jak wówczas wobec Marii Basescu, wtedy nienawiść sprawiła, że przekroczył granicę.

Zdał sobie sprawę, że teraz byłby w stanie zrobić to samo.

Wpaść do kabiny Dechy, zabrać mu pistolet i strzelić mu w łeb. Praktycznie żaden problem, bo w zestawieniu z nim Decha był zdechlakiem. Na poziomie emocji przyniosłoby mu to ogromną satysfakcję.

Jednak na poziomie osobistym byłoby to katastrofą.

Zniszczyłoby wszystko, co odbudował z pomocą Aditi. To, co stanowiło jego wewnętrzny kompas, który w ostatnich latach kilka razy zakwestionowała Mette. Poczucie, gdzie przebiega granica. Niezależnie od zaślepiającej go nienawiści. Potrzebował wielu rozmów i wielu długich nocy, żeby sobie uświadomić, że nie powinien być robić tego, co zrobił na Filipinach, nawet jeśli usprawiedliwiały to liczne okoliczności. Najistotniejsze było jedno.

Nie zabijaj.

Jednak zabił i musiał z tym żyć. Nawet mu się to częściowo udało. I miałby teraz znów zabić?

Osunął się na ziemię pod jakąś palmą niedaleko od miejsca, gdzie zatrzasnęła się pułapka z łuskowcem, i już miał jasność.

Nie zabije.

Postara się w ten czy inny sposób, żeby Decha otrzymał karę, nawet gdyby miała się ona nijak do tej, która według Stiltona mu się należała.

Kastracja?

Patrzył na strumyk, nad którym dwa dni temu stała pułapka, i miał w uszach głos Little Pluto: „Ty stąd wyjedziesz, a ja zostanę. Mieszkam tutaj”.

Czy nie mógłby po prostu zabrać go stąd? Dlaczego nie?

Stilton opłukał twarz wodą ze strumyka i podjął decyzję. Następnego dnia zabierze ze sobą Little Pluto. Po przybyciu do Wanssingi nie weźmie tuk-tuka, tylko taksówkę i razem z chłopcem pojedzie nią aż na dworzec autobusowy w Chiang Rai. Niezależnie od tego, co powie Little Pluto.

Lepsze to niż znów kogoś zabić.

W tym momencie usłyszał strzał.

Z barki. Stilton rzucił się biegiem przez gęste zarośla. Na skraju dżungli napotkał Little Pluto. Chłopiec niósł w ramionach martwego kota, podniósł oczy na Stiltona. Łzy płynęły mu po policzkach.

– Bagha – powiedział i wszedł w dżunglę.

Stilton popatrzył za nim i poszedł na barkę. Decha stał pochylony nad relingiem, w ręce trzymał pistolet. Spojrzeli na siebie.

– Jak mus, to mus – stwierdził Decha i poszedł do swojej kabiny.

Stilton zasnął w końcu w wilgotnej kabinie, ale spał niespokojnie, przewracając się co pół godziny z boku na bok. W pewnym momencie przez ten półsen przebił się jakiś odgłos, jakby słabe skrzypnięcie. Otworzył oczy i w szparze niedomkniętych drzwi zobaczył znikający cień mężczyzny. Usiadł nagle i usłyszał ciche szuranie po podłodze. W pomieszczeniu najwyraźniej znajdowało się jakieś zwierzę. Po sekundzie, gdy blask księżyca przebił się przez szpary w suficie, zobaczył, że na środku coś leży. Zwinięty wąż. Pewnie niemrawiec prądkowany, taki sam jak wtedy na plaży w Mae Phim, chociaż ten był większy i łeb skierował w stronę materaca. Stilton nawet nie drgnął. Nie miał fobii na punkcie węży, wychowując się na Rödlödde,

napotykał żyjące tam żmije – czuł przed nimi respekt. Światło księżycy się przesunęło, wąż leżał nieruchomo, zwinięty w kłębek, długi i piękny z lśnącymi czarnymi i żółtymi pręgami. Język trzepotał mu między szczękami. Stilton wiedział, że nawet najmniejszy ruch może spowodować atak, starał się oddychać, nie poruszając klatką piersiową, czuł pot spływający mu po twarzy. Atak był tylko kwestią czasu. Nagle wąż ruszył prosto w jego kierunku.

– Psst.

W drzwiach pojawił się Little Pluto.

W jednej ręce trzymał mysz, w drugiej maczetę. Pochylił się ostrożnie i wypuścił mysz, a ona popędziła przez środek do kąta kajuty, ale przebiegła ledwie metr, gdy wąż ją złapał. Little Pluto zrobił krok, wąż z myszą w paszczy zwrócił w jego stronę łeb – w tym momencie rozległ się świst maczety. Głowa węża została odcięta, zdychający korpus wił się na podłodze. Little Pluto odwrócił się do Stiltona.

– Chyba musisz uciekać – powiedział.

Stilton zerwał się na nogi, chwycił kurtkę i ruszył do wyjścia. Obejrzał się jeszcze i zobaczył, jak Little Pluto wyrzuca kawałki węża przez bulaj. Zbiegł w dół po trapie, nie zauważył, że chłopiec jest tuż za nim. Omal nie upadł, kiedy znalazł się przy rzece.

– Tam!

Little Pluto wskazał palcem znajdującą się nieco dalej niską metalową łódkę z silnikiem zaburtowym. Stilton pobiegł w tamtym kierunku i w tym momencie usłyszał huk strzału. Odwrócił się szybko i na pokładzie zobaczył rozbłysk kolejnego wystrzału. Rzucił się do motorówki, w tej samej chwili wskoczył do niej Little Pluto i szybkim szarpnięciem uruchomił silnik. Z wielką prędkością wypłynęli na rzekę. Następną kulą uderzyła w wodę tuż za nimi – Decha orientował się, gdzie są, po odgłosie silnika. Stilton kucnął, kiedy padł czwarty strzał. Wrzasnął z bólu, bo pocisk trafił go w bark.

Przecinając z hukiem ciemności, łódka wkrótce znalazła się poza zasięgiem ognia. Little Pluto klęczał przy silniku i sterował, jakby w oczach miał noktowizor. Stilton trzymał się za zraniony bark i patrzył przed siebie, choć prawie nic nie widział. Księżyc skrył się za chmurami. Stiltonowi nie mieściło się w głowie, że ten chłopaczek potrafi tak wspaniale radzić sobie ze sterem.

A potrafił.

Utrzymywali stałą dużą prędkość. Tu i ówdzie Stilton widział światła, zapewne z jakichś chat albo pochodni, odgłos pędzącej motorówki na pewno daleko się rozchodził i prawdopodobnie budził zaciekawienie.

Przecież był środek nocy.

Po pewnym czasie Stilton się zorientował, że wpłynęli w mniejszą, znacznie węższą rzekę, bo ocierały się o niego zwisające gałęzie drzew. Domyślał się, że Little Pluto wie, dokąd płyną.

– Tutaj.

Chłopiec nagle zwolnił i gładko wprowadził dziób łódki na piaszczysty brzeg. Nie wyłączył silnika.

– Idź prosto do góry wąską ścieżką, dotrzesz nią do drogi, potem skręć w lewo, a po pewnym czasie zobaczysz przystanek autobusowy. Kiedy się rozjaśni, złapiesz tam autobus do Chiang Rai.

Stilton podszedł do Little Pluto.

– Chcę, żebyś pojechał ze mną – powiedział.

– Muszę tam wrócić.

– Dlaczego?

– Mam tam jeszcze coś do zrobienia.

Stilton chciał podejść bliżej niego, ale w tym momencie dostał mocne uderzenie w pierś i wypadł na brzeg. Little Pluto wycofał łódkę, zanim Stilton zdążył wstać. Kiedy wreszcie mu się to udało, motorówka pędziła już środkiem rzeki.

– Będę w Mae Phim! – zawołał za chłopcem.

Kiedy łódź zniknęła w ciemności, Stiltona ścisnęło w żołądku, jakby miał tam twardy węzeł.

A potem poczuł ciepłą krew ściekającą mu po ramieniu.

Zbliżając się do antykwariatu Ronny'ego, Olivia trzymała w ręce książkę Lukasa. Ze względu na niezbyt późną porę założyła, że Ronny jest jeszcze na miejscu. Przez szybę dostrzegła palące się świeczki. Pchnęła drzwi i weszła. Stojące na środku pomieszczenia dwa duże kandelabry z mnóstwem świeczek stanowiły jedyne źródło światła. Z kuchni na zapleczu płynęła cicha, piękna muzyka, symfonia Arva Pärta.

Na fotelu pod niezapaloną lampą do czytania siedział Benseman. Wykonał w jej stronę gest oznaczający jednocześnie „cicho” i „chodź, siadaj”. Olivia podeszła i usiadła.

Wtedy zobaczyła Ronny'ego.

Stał na szczycie drabiny i sięgał do półek pod samym sufitem. Ściany antykwariatu były zastawione regałami. Ronny przesunął palcem po grzbietach książek, zatrzymał się na jednej, wyciągnął ją, zszedł z drabiny i szybkim ruchem wrzucił książkę do kartonu. Obok stało już jedno pełne pudło. Przesunął drabinę i znów na nią wszedł. Olivia spojrzała na kandelabry ze świeczkami.

– Co tu się odbywa? – spytała.

– Czuwanie przy trumnie – szepnął Benseman.

Ronny spojrzał na następną półkę, pokręcił głową i wyciągnął kolejną książkę. Zszedł i tę również wrzucił do kartonu. Olivia dostrzegła, że coś się z nim dzieje. Przygarbiony, wykonywał spokojne ruchy. W tym świetle nie widziała zbyt wyraźnie jego twarzy, ale chyba malowało się na niej coś w rodzaju melancholii.

– Co to za książki, które wyrzuca? – spytała szeptem.

– Takie, które brukają jego półki, czyści regały z pisarzy, którzy utracili autorytet moralny.

Olivia nie do końca rozumiała, co to znaczy, jednak sądząc po zachowaniu Ronny'ego i jego smutku, uznała, że to dla niego przykre.

– Składa do grobu członków Akademii Szwedzkiej – szepnął Benseman. – Czy też ich resztki.

Olivia zrozumiała, o co chodzi. Czytała pełne oburzenia artykuły o Akademii. Zaczęło się od człowieka, który przez lata dopuszczał się molestowania kobiet. Nie miała pojęcia, co go łączyło z Akademią, jednak sądząc po reakcji Ronny'ego, związek był niewątpliwy. Ronny wiedział, co robi. Całe życie poświęcił książkom, czytaniu i próbie zrozumienia, co to znaczy być człowiekiem, szanował wszystkich, którzy podejmowali próby opisanie lub objaśnienia ludzkiego żywota. Dziś najwyraźniej wielu z tych autorów miało trafić do śmieci.

Obserwowała tego starszego człowieka przeglądającego ukochane książki. Wyciągnął powoli cienki tomik i spojrzał na okładkę.

– *Ostatnia świnia*¹³ – powiedział cicho do siebie.

– Kto to napisał? – wyszeptła Olivia.

– Il Porco. Taki jeden nieduży gość, który ma duże usta i błyszczące buty – odpowiedział Benseman.

Olivia spojrzała na stojącego na drabinie Ronny'ego, który właśnie się schylił.

– Jakież to przygnębiające – powiedział cicho, wrzucając książkę do prawie pełnego kartonu.

– Co on z tym zrobi? – spytała Olivia.

– Chyba wywiezie na wysypisko w Vantör.

W końcu Ronny przysiadł na drabinie i spojrzał na dzieło swego życia, antykwariat, który

odziedziczył po matce i tak znakomicie prowadził. Uwolnił tysiące książek, które pozostały na pięknych regałach, od wątpliwego towarzystwa. Choć na większości półek ziały wyrwy po wyrzuconych pozycjach, to tej nocy wreszcie będzie dobrze spał, po raz pierwszy od dawna.

Znów miał czyste sumienie.

– Skończyłeś? – odważyła się spytać Olivia.

Ronny przytaknął.

– Mam nadzieję – powiedział. – Mam wielką nadzieję, że tak.

Olivia podetknęła mu książkę, z którą przyszła. *Gangrena* z pewnością nie trafi do śmieci.

– Chcę ją kupić – powiedziała.

– Podobała ci się?

– Tak. Jest fascynująca.

– Możesz ją sobie wziąć – odparł Ronny.

– Ale chcę ci zapłacić. Ile kosztuje?

– To ten Lukas Bengtsson, prawda?

– Tak.

– Skazany w związku z zamachem bombowym?

– Tak.

– W takim razie będzie droga.

– Dlaczego?

– Bo to pisarz o sławie herostratejskiej.

Olivia popatrzyła pytająco na Ronny'ego. Chce powiedzieć, że czyn Lukasa zwiększył wartość jego książki? W następnej chwili się zorientowała, że Benseman z trudem powstrzymuje śmiech.

– Żartowałem – powiedział Ronny. – Nie chcę od ciebie pieniędzy. Zatrzymaj książkę, może autor ci ją podpisze.

Już podpisał.

Chwilę później Olivia opuściła antykwariat i ruszyła do domu. Z Katarina Bangata do kościoła Högalid był spory kawałek, ale postanowiła, że zrobi sobie spacer. Zdecydowanie za mało ostatnio się ruszała. Gdy szła przez park Rosenlund, oszołomił ją widok kwitnących wiśni, aż musiała dotknąć bladnoróżowych kwiatków, bo wyglądały prawie jak sztuczne. Wyciągnęła komórkę i sfotografowała ten przepych. Wyśle zdjęcie Lunie. Kwiatów wiśni na pewno nie mają w tej Tajlandii.

W końcu dotarła do swojej bramy. Wchodząc, zobaczyła mężczyznę, który leżał na ziemi i aparatem fotograficznym, nie komórką, robił zdjęcie posadzki. Zatrzymała się.

– Co pan robi?

– Dokumentuję zarysowania.

– Tak? A kim pan jest?

– Jestem Belvin.

Mężczyzna wstał i skinął głową. Miał około czterdziestu pięciu lat i był ubrany w niebieski kombinezon roboczy. Podrapał się po swoich rzadkich, powiewających włosach, podszedł do Olivii, aż za blisko, i spojrzał jej w oczy.

– Jestem nowym zarządcą tej nieruchomości. Tu naprawdę potrzeba zarządzania. Niech pani tylko spojrzy!

Wskazał na kolorowe kartki na ścianie z najróżniejszymi informacjami: któryś lokator uprzedzał sąsiadów o remoncie i o towarzyszącym temu hałasie, inny informował o imprezie w mieszkaniu, a kolejny proponował, że opiekuje się małym dzieckiem.

– Tak nie może być! – powiedział.

– To znaczy jak?

– Kartki poprzylepiane byle gdzie, zaśmiecające przestrzeń. Powieszę tu tablicę, ludzie będą mogli z niej korzystać, używając do tego odpowiedniego papieru. Ma pani dzieci?

Nie miała, a pytanie jej się nie podobało.

– Nie, bo co?

– Pani patrzy!

Pokazał ręką na kilka wózków stojących pod jedną ze ścian.

– Takie zastawianie jest śmiertelnie niebezpieczne! To przejście musi być puste na wypadek pożaru.

– A gdzie mają stawiać wózki?

– Muszą je zabierać do mieszkań. Gdzie pani mieszka?

– Klatka D na samej górze.

Belvin znów skinął głową i wyjął wizytówkę.

– To mój numer telefonu. Czynny całą dobę, również w ciągu dnia.

Olivia wzięła wizytówkę i pospieszyła do wyjścia na podwórko, skąd prowadziły drzwi do jej klatki.

Nowy zarządca nieruchomości?

Śliski typ.

Pogrążony w głębokim śnie Silton słyszał syreny statku pożarniczego. Mama trzymała go za rękę, był prawie goły i stał boso na skale, patrząc na dom spalony już prawie do fundamentów – z płomieni sterczał tylko komin, który wyglądał jak czarny filar. Syreny wyły coraz bliżej, chciał ku nim bieć, jakby statek mógł uratować dom jego dzieciństwa.

W tym momencie się obudził.

Nie słyszał syren, lecz klakson kolorowego autobusu, który stał kilka metrów od niego. Powinien się pospieszyć.

– Zasnąłem – powiedział do tajskiego kierowcy, a ten odpowiedział mu szerokim uśmiechem. – Poproszę do Chiang Rai.

Pogrzebał w kieszeni, żeby zapłacić za bilet, ale kierowca zbył go machnięciem ręki. Wtedy Silton się obejrzał i zobaczył, że autobus jest prawie pusty. W środku siedziała wtulona w siebie para młodych ludzi i starszy mężczyzna w słomkowym kapeluszu, który spał z głową opuszczoną na pierś. Silton zajął miejsce na samym końcu pojazdu i nie był to najlepszy wybór, zważywszy na jakość dróg i fakt, że z tyłu zawsze najgorzej trzęsie. Jednak nie miał siły, żeby się przesiąść.

Podróż zabrała sporo czasu.

Trasa wiodła przez przepiękną okolicę, widział wioski, w których ludzie ciągnęli wozy, a wielkie zwierzęta prowadzili przed sobą. Na szczycie góry zobaczył lśniąca złotem figurę Buddy patrzącego na tę krainę. Ciekaw był, co Budda powiedziałby na ataki na Rohingjów. To wprawdzie nie buddyści, ale ludzie mający takie samo prawo do życia jak ich sąsiedzi. Pewnie odwróciłyby wzrok. Taki był generalny pogląd Stiltona na symbole religijne i bogów, którzy patrzą gdzie indziej, żeby nie widzieć, co się dzieje.

A potem stanął mu przed oczami Little Pluto.

Zabolało.

Co miał zrobić? Co mógł zrobić? Przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien ściągnąć Abbasa i posłać go na barkę razem z jego armią czarnych noży, niechby posiekał Dechę na potrawkę z woka. Oczywiście nie była to zbyt mądra myśl, chociaż przyjemna. Policja? To byłoby oczywiście najrozsądniejsze.

A potem pomyślał o Veronice Wadner.

O co chodzi z tym jej zleceniem? Co ona wie, czego mu nie powiedziała? Po co jej informacja na temat jakiegoś obrzydliwego pedofila? Nieznanego jej człowieka, jak twierdziła. Kłamała?

I wtedy pomyślał o Lunie. Na pewno się denerwuje.

Zadzwoń do niej, jak tylko zdobędzie jakąś komórkę.

Chiang Rai to stare miasto na północy Tajlandii, mieszanina slumsów i nowoczesnych budynków. Wzdłuż głównych ulic ciągną się rzędy straganów dla turystów oferujących wszystko, co przyciąga klientów, począwszy od podróbek markowych zegarków, aż po prawdziwe skóry węży. Handel odbywa się niemal całą dobę, dzięki czemu śródmiejska część bezustannie tętni życiem. Działają w niej też różne nielegalne lokale oferujące seks albo makowe noce.

Wysiadłszy z autobusu nieopodal wielkiego targu warzywnego, Silton miał tylko jeden cel: posterunek policji. Była prawie dziewiąta wieczorem, więc zdawał sobie sprawę, że trudno mu będzie trafić na oficera rangi odpowiedniej do tego, o czym zamierzał opowiedzieć. Popisał i w końcu znalazł się przed drewnianymi drzwiami opatrzonymi wielkim emblematem policji.

Otworzył je i wszedł do sporego pomieszczenia z neonowym oświetleniem i nagimi ścianami w szarozółtym kolorze. Jedyna znajdująca się tam osoba siedziała tyłem do drzwi.

Kobieta.

– Dobry wieczór – odezwał się Stilton.

Nie odwróciła się, zajęta oglądaniem jakiegoś teleturnieju na stojącym przed nią telewizorku. Stilton podszedł do lady i zapukał w brązowy blat. Teraz się odwróciła i spojrzała na niego wzrokiem wyraźnie mówiącym, że jej przeszkadza. Nie miała makijażu i przypuszczalnie była jeszcze młodsza, niż wskazywał jej wygląd.

– Tak? – powiedziała.

– Chciałbym rozmawiać z oficerem.

– Ma pan na myśli policjanta.

– Jest tu ktoś taki?

– O co chodzi? – spytała.

– Chcę zgłosić przestępstwo.

– Został pan obrabowany?

– Nie.

– A wygląda pan, jakby pan został.

Przyjrzała mu się. Stilton był w kurtce, która zakryła ramię zabandażowane po postrzale, ale wciąż miał duży plaster na głowie, więc raczej nie przypominał wymarzonego kandydata na zięcia.

– Spiesz mi się – powiedział.

– W takim razie może pan porozmawiać z komisarzem Lekiem.

– Gdzie?

Odwróciła się i znów spojrzała na telewizor, jakby sprawdzała, czy może oderwać się na chwilę od teleturnieju – najwyraźniej uznała, że tak. Podniosła się, obeszła ladę i bez słowa zagłębiła w jakiś korytarz.

Stilton podążył za nią.

Zatrzymała się na końcu korytarza przed drzwiami, nad którymi migała lampka, i pokazała ręką, żeby nie podchodził zbyt blisko. Stilton stanął. Lekko zapukała, w środku rozbrzmiał krótki odgłos, wtedy uchyliła drzwi i powiedziała kilka słów. Padła szybka odpowiedź. Kobieta wzruszyła lekko ramionami, jakby tłumaczyła, że nie ma pojęcia, kim jest człowiek, który chce coś zgłosić. Po kilku dalszych słowach otworzyła drzwi szerzej i ruchem ręki pokazała Stiltonowi, żeby wszedł.

Zrobił to.

W pewnej odległości od niego siedział mężczyzna w średnim wieku, był w szarej koszulce bez rękawów, przed sobą miał gazetę i opróżnioną do połowy szklankę z nieznaną zawartością. Raczej nie jest to rum ani dżin, pomyślał Stilton.

– Chciałbym złożyć doniesienie na pedofila, który przebywa w okolicy Wansingi – powiedział.

– Siadaj.

Komisarz Lek złożył gazetę i odpędził muchę ze stołu, a Stilton usiadł. Krzesło dla interesantów stało pod ścianą w żółtym kolorze, na której wisiał wielki portret Bhumibola, zmarłego przed rokiem ukochanego króla Tajlandii.

– Na pedofila? – spytał Lek.

– Tak.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem dokładnie, to Szwed, posługuje się pseudonimem Decha. Mieszka na barce

rzecznej, która nosi nazwę „Contamana”.

- Skąd wiesz, że to pedofil?
- Widziałem, jak gwałcił małego chłopca.
- Taja?

Stilton już miał powiedzieć, że nie, gdy przypomniał sobie, że Rohingjowie są tu pariasami. Wprawdzie człowiek, z którym rozmawiał, był policjantem, ale Stilton nie był pewien, jaka będzie jego reakcja i czy nie wpłynie na jego zaangażowanie w sprawę. Więc odpowiedział:

- Tak mi się wydaje.
- Lek skinął głową i zapisał w notesie kilka słów.

- Ty też jesteś Szwedem?

– Tak.

- A nazywasz się?

– Tom Stilton.

- Mieszkasz tu?

– Nie, w Mae Phim pod Bangkokiem.

- I co tam robisz?

Nagle okazało się, że tematem rozmowy jest on sam. Nie tak to sobie wyobrażał.

- Mieszkam w ośrodku należącym do mojej przyrodniej siostry.

– A co robiłeś w górach opiumowych? – pytał dalej Lek.

- Szukałem Dechy.

- Wiedziałeś, że jest pedofilem?

– Nie, odkryłem to po tym, jak go znalazłem.

- Dlaczego go szukałeś?

– Dużo tych pytań – zauważył Stilton.

- Owszem. To jakiś problem?

– Nie.

Lek przyglądał się Stiltonowi. Szwed, który składa doniesienie na innego Szweda. Stilton przerwał ciszę.

- On jest uzbrojony, ma pistolet.

Lek znów zrobił krótką notatkę, oparł nagie przedramię na stole i pozwolił, żeby chodziły po nim dwie muchy. Obserwował trzecią, która bzyczała w powietrzu, a kiedy usiadła, wykonał błyskawiczny ruch drugą ręką i złapał wszystkie w zaciśniętą pięść.

– Pedofilia jest poważnym przestępstwem – powiedział. – Niezależnie od narodowości sprawcy.

- Wyszedłem z takiego założenia.

Lek otworzył dłoń. Dwie muchy były martwe, a trzecia, zataczając się, popęzła do szklanki.

– Niestety zalewa nas fala pedofilów z Zachodu, między innymi z twojego kraju. Mocno nas to absorbuje. Masz jakieś dowody, że ten Decha jest pedofilem? Poza tym, co widziałeś?

– Nie.

- Więc jeśli zaprzeczy, będzie słowo przeciw słowu?

Stilton przyjrzał się Lekowi. Zdawał sobie sprawę, że tamten po prostu robi to, co do niego należy, prawdopodobnie to samo, co Stilton robiłby na jego miejscu. I wiedział, ile trzeba podjąć działań, żeby dopaść pedofila. Śledzenie, zdjęcia, zarekwirowanie komputera, ustalenie sieci kontaktów. Jedno doniesienie naocznego świadka nie wystarczy. Ale zgłosił to, co widział, złożył formalne doniesienie. Jeśli to nie wystarczy, żeby zamknąć Dechę, to są przecież inne sposoby. Mniej oficjalne, za to groźniejsze.

Stilton wstał.

– W Szwecji przez wiele lat byłem komisarzem policji kryminalnej – powiedział – i wiem, jaki jest problem z dopadnięciem pedofila. Niemniej musiałem to zgłosić. Dziękuję za rozmowę.

Ruszył w stronę drzwi.

– Mister Stilton – powiedział Lek, patrząc na niego. – Dziękuję za informacje. Przyjrzymy się sprawie. Nie ma tu za wiele, na czym można się oprzeć, ale jeśli masz rację, zrobimy, co się da, przy naszych skąpych środkach. Pedofile są utrapieniem dla tego kraju. Więcej nie mogę obiecać.

Stiltonowi musiało to wystarczyć.

*

Jedną z cech, które Stilton podziwiał u Suzy, było to, że nie pytała, gdy człowiek sam nie mówił. Tego, że został postrzelony, domyśliła się zapewne od razu, chociaż rana nie była duża, bo pocisk przeszedł przez mięsień; bez słowa przemyśla ją i obandażowała. Gdy skończyła, powiedziała:

– Znalazłeś tego człowieka ze zdjęcia.

– Tak.

– Co byś chciał zjeść?

– Jakąś zupę, pikantną.

Suzy kiwnęła głową, po czym weszła do swojej maleńkiej kuchni. Stilton rozparł się na krześle, pół godziny temu przyjechał autobusem z Chiang Rai do Bangkoku i przyszedł prosto tutaj. Spojrzał na mrowie ludzi w wąskiej uliczce. Młoda dziewczyna prowadziła na linie słoniątko, za nimi szedł mężczyzna, niosąc na ramieniu zrolowany dywan. Kilka metrów nad nimi zwisała gigantyczna płatanina lśniących przewodów, przy ścianie naprzeciwko tłuste szczury wślizgiwały się pod skrzynki z sałatą. Otulony mieszaniną zapachów i dźwięków, poczuł spokój. Było mu przyjemnie, że to wszystko dzieje się bez jego udziału.

– Proszę bardzo.

Suzy postawiła przed nim parującą zupę, przetarła łyżkę białą materiałową serwetką i usiadła obok niego.

– Pali – powiedziała.

Stilton kiwnął głową, tego oczekiwał. Nieważne, czy jej uwaga dotyczyła smaku, czy temperatury zupy. Nabrał trochę na łyżkę i podmuchał.

– Mój mąż umarł.

Powiedziała to w momencie, gdy chciał przełknąć, ale zdołał jeszcze powiedzieć:

– To przykre.

– I tak, i nie. Chorował i był z nim głównie kłopot. Teraz zrobiło się pusto, ale jest łatwiej.

– Może znajdziesz sobie nowego męża?

– Może. Jeśli będzie mi potrzebny.

Stilton jadł zupę, a Suzy siedziała obok, żadne z nich nie mówiło wiele, nie było potrzeby, znali się, i to wystarczyło. Stilton wytarł usta serwetką.

– Masz komórkę, z której mógłbym skorzystać? Muszę zadzwonić.

Suzy poszła do kuchni i wróciła z komórką w etui w kwiatki, nie najnowsza, ale działająca.

– Dziękuję.

Wybrał numer Luny, ale nie odebrała. Suzy wstała i pogłaskała go lekko po policzku.

– Będzie dobrze – powiedziała, znikając w kuchni.
Stilton położył trochę pieniędzy na pękniętym plastikowym stoliku, wstał i poszedł.

Zadzwoiła do niej Mette. Było wpół do siódmej wieczorem, Olivia siedziała w kuchni nad sałatką.

– Lukas Bengtsson uciekł.

Olivia milczała.

– Halo? Olivia?

– Kiedy uciekł?

– W nocy. Zorientowali się rano – odparła Mette.

– Jak to: uciekł?

– Nie znam szczegółów.

– I co teraz?

– Zarządzono poszukiwania. Wątpię, żeby udało mu się długo ukrywać, ale może się skontaktuje z tobą.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Sama wiesz najlepiej. Wracam na moją emeryturę. Pa, pa.

Rozłączyła się. Olivia siedziała jeszcze chwilę z komórką w ręce. „Sama wiesz najlepiej”. Co ta Mette sobie wyobraża? Dlaczego Lukas miałyby się z nią kontaktować? Jeśli kogoś naprawdę nie lubi, to chyba jej? Kobiety bez ust?

Odsunęła od siebie sałatkę, wypila szklankę wody. Miała w głowie gonitwę myśli.

Lukas uciekł?

Z jednej strony nie dziwiło jej to, pewnie każdy chciałby uciec od warunków panujących w zakładzie psychiatrycznym. Jednak zważywszy na stan, w jakim go tam widziała, wydawało się to aż nieprawdopodobne. Sprawiał wtedy wrażenie, jakby był zupełnie nieobecny, otumaniony lekami.

Skończyła jeść i pozmywała, wciąż z głową pełną myśli. Gdzie teraz jest Lukas? Mette miała rację, że nie zdoła długo się ukrywać. Nie miał w świecie przestępczym kumpli, którzy mogliby się nim zaopiekować i wyekspediować go do Holandii albo choćby do Dalarny. Może krąży po mieście?

Weszła do sypialni i usiadła na łóżku.

A jeśli rzeczywiście to zrobi? To znaczy skontaktuje się z nią. Z tego czy innego powodu. I będzie musiała to zgłosić, żeby go zamknęli.

Ponownie.

Olivia, weź się w garść, pomyślała. Chodzi o skazanego zamachowca. Nieważne, że utalentowanego. Jesteś policjantką. Masz obowiązki służbowe, których nie wolno mieszać z życiem prywatnym. Lukas jest fascynujący, ale to samo można powiedzieć o wielu poważnych przestępcach. Pamiętaj, czego cię nauczyli w szkole policyjnej: kto za długo patrzy w oczy potworowi, sam staje się potworem.

Lukas nie jest potworem.

Wierzyła w to.

Nie pogodziła się z myślą, że popełnił czyn, za który został skazany. Proces był poszlakowy. W prawie są dziury, zdarzają się mordy sądowe, jak choćby w przypadku Joya Rahmana czy Kaja Linny¹⁴ i innych.

Może Lukas też wpadł w taką prawną dziurę?

Powoli się rozebrała, zastanawiając się, dlaczego próbuje bronić Lukasa. Czy tylko z powodu intuicji, że jest niewinny? Czy jeszcze czegoś? Zdawała sobie sprawę ze swoich uczuć

względem Lukasa jako osoby, artysty i poety, były one trudne i na innym poziomie mąciły jej osąd.

Co wywołało te uczucia?

Pewnie wyzwanie, jakie stanowił ten człowiek, tak inny od wszystkich znanych jej mężczyzn, jednocześnie nieobecny i pełen energii, serdeczny i szczery. Chory psychicznie, ale fascynujący w przerwach między nawrotami choroby.

Potem pomyślała o jego książce. O tym, że nawiązała jakąś relację z Lukaszem poprzez jego teksty. Był dla niej kimś, zanim go poznała. Weszła do jego życia poprzez książkę.

Jakie to dziwne.

A teraz okazuje się, że uciekł.

Czy rzeczywiście się z nią skontaktuje?

Stilton siedział przy stole i od dłuższej chwili milczał. Luna i Aditi nic nie mówiły, dawały mu czas, aby psychicznie doszedł do siebie. Ciszę zakłócała jedynie delikatna muzyka dochodząca z bungalowu Aditi.

Przyjechał godzinę temu, taksówką, i od razu poszedł pod palmy, gdzie znajdował się osłonięty prysznic. Długo stał z opuszczoną głową pod łagodnym strumieniem letniej wody. Potem owinał się wielkim prześcieradłem kąpielowym, a następnie się ubrał, przyszedł do nakrytego już stołu i usiadł na niebieskim kocu. Luna zrobiła zakupy, a Aditi nagotowała pysznego jedzenia, które stało teraz przed nim w glinianych miskach. Nałożył sobie na talerz i zaczął jeść.

Po chwili odwrócił się do Luny i zobaczył, że ona patrzy na jego nieładną bliznę na skroni.

- Poślizgnąłem się i uderzyłem o krawędź skały – powiedział.
- Nie trzeba było tego szyć?
- Pewnie tak, ale nie bardzo było jak.

Odłożył sztucę i zaczął opowiadać, wiedząc, że musi to zrobić. O wydarzeniach na barce Dechy, o gwałcie na Little Pluto i paru innych epizodach. Nie wdawał się w niepotrzebne szczegóły, zwłaszcza te z odwiedzin u opiumowego barona Jhanga Sa ani te związane z krokodylami, komarami przenoszącymi dengę i pijawkami. Może kiedyś opowie Lunie, w odpowiedniej chwili, ale nie teraz. No i nie zdjął jeszcze kurtki.

A kiedy już ją zdjął, padły pytania.

- Co ci się stało?

Luna sięgnęła do mokrego bandażu na jego ramieniu, a Stilton się odsunął, bo rana nadal mocno go bolała.

- To postrzał. Zostałem ostrzelany koło barki.
- Przez tego Dechę?
- Tak. Pocisk trafił w mięsień.
- Byłeś w szpitalu?
- Nie. Suzy mnie opatrzyła.
- Suzy? – zdziwiła Aditi.

Nie miała pojęcia, kim jest Suzy. W przeciwieństwie do Luny.

- To dziewczyna Toma w Bangkoku.

Powiedziała to, uśmiechając się lekko. Aditi spojrzała na Stiltona.

- Twoja dziewczyna?
- Kobieta, która ma dobrą jadłodajnię. Lubimy się. Nie zadaje zbędnych pytań.
- W odróżnieniu od nas? – spytała Aditi.
- Tego nie powiedziałem.
- Co się stało w tej wsi? – dociekała Luna. – Wanssingi? Rozmawialiśmy przez telefon i nagle połączenie zostało przerwane. Próbowaliśmy potem dzwonić i odebrał jakiś obcy facet.
- Wybuchła awantura o łódkę, którą chciałem wynająć, ale wszystko się wyklarowało.

Przy okazji zgubiłem komórkę.

- Zegarek też?

Luna zauważyła brak zegarka i czekała, aż Tom sam o tym wspomni. Wiedziała, ile dla niego znaczył ten zegarek.

- Zegarek też – odparł, patrząc w talerz.

Co dla Luni, która potrafiła z niego niejedno wyczytać, oznaczało zupełnie co innego. Blizna na czole? Postrzał w ramię? Utracona komórka i zegarek?

– Co cię spotkało w tych górach? – zatroskała się i położyła dłoń na jego nagim ramieniu.

Dotyk jej ciepłej ręki sprawił, że puściła w nim tama, na co nie był przygotowany.

– Dość paskudne rzeczy.

Patrzył na niebieski koc i czuł przyływ emocji, którym nie chciał dać ujścia w tym momencie i w tym miejscu, ale powstrzymanie ich nie było łatwe.

– Chodzi o tego chłopca? – spytała.

Kiwnął głową. O chłopca, który został na rzece w środku nocy. Wstał i poszedł do bungalowu.

Musiał się z tym uporać w samotności.

Kiedy Luna przyszła do niego po jakimś czasie, leżał przykryty kocem na miękkim materacu. Rozebrała się do naga i wsunęła obok. Przesunęła powoli dłoń po jego piersi w dół do bioder. Do uszu Stiltona dobiegł delikatny dźwięk dzwonek wiatrowych przed domem.

Jutro odwiedzi Veronicę.

*

Na długo przed jego przyjściem Veronica zjechała – nie bez problemów – nad brzeg morza, chciała być na powietrzu. Unosiła się mgła. Na twarzy czuła ciepłą mżawkę. Stilton nie powiedział, co ustalił, oznajmił jedynie, że chce się spotkać i złożyć raport. Zwróciła uwagę na to sformułowanie, domyśliła się, że to pozostałość po latach pracy w policji, ale poczuła się jak zleceniodawca.

Co na swój sposób było zgodne z prawdą.

Spojrzała na dłonie, lekkie drżenie zdradzało jej stan ducha. Trwał od wczoraj, nim jeszcze się dowiedziała, że Stilton wrócił. Może jej podświadomość wiedziała pierwsza? Nie mogła spać, przeszkadzała jej panująca w domu cisza, bo żywiły się nią myśli, których wolałaby nie mieć. O tym, co będzie, jeśli Stiltonowi się udało to, o co prosiła. Wszystko by się wtedy zmieniło. Nie przeszłość, ale prawda o niej.

A potem?

Jeśli potwierdzą się jej obawy, które obudziła ręcznie zapisana notatka z zielonego skoroszytu, to co będzie dalej? Czy wpłynie to na jej smutek? Raczej nie. Na jej wygląd? Zdecydowanie nie.

Ale obudzi w niej wielką żądzę zemsty.

Idąc plażą na spotkanie, Stilton nie miał o tym wszystkim pojęcia. Wzbudził w sobie dość energii, żeby od tej niepełnosprawnej kobiety wyciągnąć odpowiedź, o co chodzi w tej sprawie. Nawiązując do słów, które wypowiedziała, kiedy widzieli się ostatnio: „Na wszystko jest jakieś wyjaśnienie”.

Bardzo chciał dostać teraz to wyjaśnienie.

Zbliżając się do jej domu, zobaczył, że nie ma latawca.

– Cześć, Veronica.

Zatrzymał się parę metrów od jej wózka inwalidzkiego, nad samą wodą. Veronica spojrzała na niego bez słowa. Domyślił się, że oczekuje natychmiastowego sprawozdania, więc je złożył.

– Mężczyzna ze zdjęcia jest obrzydliwym szwedzkim pedofilem i przebywa na barce na rzece Kok. Każe mówić na siebie Decha, jego prawdziwego nazwiska nie znam. Możliwe, że jest zamieszany w przemyt opium, nie ustaliłem tego. Mówi, że nie ma pojęcia, kim jesteś.

– Powiedziałeś mi o mnie?

– Podaliśmy twoje nazwisko i spytałem, czy cię zna.

– Czy to było konieczne?

– Tak wtedy uznałem. To ma jakieś znaczenie?

Nie odpowiedziała. Ruszyła z wózkiem w stronę domu, Stilton szedł za nią.

– Pedofil? – powtórzyła cicho, jakby do siebie.

– Tak. Gwałci birmańskich chłopców na barce. Złożyłem na niego doniesienie na policji.

Zbliżali się do domu. Stilton powiedział, co wie, w każdym razie z grubsza, i czekał na jakiś dalszy ciąg z jej strony. Nie nastąpił. Kiedy dotarli do rampy, chwycił jej wózek z tyłu i przytrzymał. Veronica odwróciła głowę i spojrzała na niego.

– O co chodzi?

– O wiele rzeczy. Zacznijmy od człowieka ze zdjęcia. Miałaś mi opowiedzieć o nim, jeśli go znajdę.

– Nie. Jeśli dowiesz się, kim jest. Decha nic mi nie mówi. Nadal nie wiem, kim jest ten człowiek.

– Ale już wiesz, czym się zajmuje? Że jest pedofilem?

– Tak. Okej, zawsze to jakiś krok we właściwą stronę.

– Czyli jaką?

– Żeby poznać jego nazwisko. Chcesz, żebym ci zapłaciła?

Stilton drgnął lekko.

– Czyli na tym koniec?

– Chyba nie dasz teraz rady ustalić więcej?

– Złożyłem na niego doniesienie. Może policja ustali, kim jest.

– Tak. Może – przyznała.

– Wydajesz się rozczarowana.

– Nie tobą. Zrobiłeś, ile mogłeś, nie mogłabym wymagać więcej. Przypuszczam, że to była trudna wyprawa?

– Tak.

Wjechała na rampę. Stilton stał, patrząc za nią.

– I nie powiesz mi nic więcej?

Zatrzymała się i odwróciła głowę.

– Teraz nie. Może pewnego dnia. Jeśli jeszcze tu będziesz.

Stilton szedł powoli brzegiem morza. Stwierdzić, że był wściekły, to mało powiedziane.

Przez chwilę poczuł się wykorzystany.

O co tu chodzi? Co jest takie cholernie tajne?

Poprosiła o pomoc i dobrze zapłaciła, i co dalej? Co ona teraz zrobi?

Kiedy powiedział jej o pedofilii, zareagowała, ale dosyć wstrzemięźliwie. Jakby przyjęła to do wiadomości i tyle.

Czyżby wiedziała o tym wcześniej?

Coraz mniej rozumiał Veronicę Wadner.

A Veronica Wadner rozumiała całkiem sporo. Z okna werandy patrzyła na odchodzącego Stiltona. Był dobrym policjantem, przypomniała sobie. Jak to się stało, że wiele lat temu został bezdomnym? Podjechała do barku, łamiąc własną zasadę, bo było jeszcze za wcześnie na dżin, ale jak sama mówiła, czas płynie raz szybciej, raz wolniej. Tym razem płynął szybciej. Nalała sobie, rozmyślając nad tym, co powiedział Stilton. Wprawdzie nie ustalił nazwiska nieznanego mężczyzny, ale odkrył, że jest pedofilem. Ta informacja była znacznie ważniejsza, niż sądził.

Prawdopodobnie miała związek z pewną tragedią.

Olivia wyszła spod prysznica, długo tam stała, budząc się pod strumieniem gorącej wody.

Wytarła się ręcznikiem, ściągnęła szlafrok z krzesła w kuchni i owinęła się nim. Herbata, to była pierwsza myśl, ale potem poczuła ochotę na coś innego. Otworzyła lodówkę i sprawdziła zawartość. Wszystkiego po trochu, między innymi plastikowa butelka z sokiem z buraków – zaciekawił ją, gdzieś czytała, że jest dobry na cerę, a może na ciśnienie?

Otworzyła ją, wypila łyk i usiadła przy stole. Szybko stwierdziła, że sok może i jest zdrowy, ale nie nadaje się do picia. Odstawiła butelkę, wzięła komórkę i zobaczyła, że Lennie przesłała przez WhatsAppa kilka zdjęć ze swego beztroskiego emigranckiego życia w Kopenhadze. Fotografie roześmianych znajomych, pięknych ogródków restauracyjnych i tego wszystkiego, na co Olivia wcale nie miała ochoty patrzeć, bo przypominało o rzeczach, których w jej życiu nie było. W każdym razie nie teraz. Kliknęła na album z własnymi fotkami, może znajdzie coś, żeby skontrolować tamte. Wtedy ukazały się jej ostatnie zdjęcia.

Potrzebowała dłuższej chwili, żeby zrozumieć, na co patrzy.

Nagie zdjęcia jej samej.

Pod prysznicem.

Dwa.

Wypuściła z ręki telefon, jakby był skażony, tętno jej przyspieszyło, po chwili nachyliła się i przyjrzała zdjęciom jeszcze raz.

Zostały zrobione wczoraj.

Ktoś robił mi zdjęcia pod prysznicem, pomyślała, i to moją własną komórką! Stał w przedpokoju i fotografował!

Zerwała się z krzesła, aż ją skręciło w żołądku, musiała podejść do umywalki i odkręcić wodę. Nie piła, stała tylko i patrzyła na strumień z kranu, jakby czekała na spłynięcie pytań, które sobie zadawała.

Kto?

Kto tu był, do diabła? Kto ma klucze do jej mieszkania? Musiała się zastanowić. Lennie ma, ale jest w Kopenhadze. Kto jeszcze?

Nikt.

Podbiegła do drzwi w przedpokoju. Nie wiadomo po co, chciała się tylko przyjrzeć. Zatrask. Niezbyt trudny do otwarcia. Chwyciła za klamkę, drzwi się otworzyły, zapadka nie wskoczyła na miejsce jak powinna. To się już zdarzało.

I kto?

Kiedy wracała do kuchni, minął już pierwszy szok, jakiego doświadczyła na widok własnych zdjęć pod prysznicem. Lukas? Jest zbiegiem. Mette powiedziała, że być może będzie chciał się z nią skontaktować. Ale to?

Dlaczego miałby się włamywać do niej i robić jej zdjęcia pod prysznicem?

Czy on w ogóle wie, gdzie ona mieszka?

Przed oczami stanął jej obraz Lukasa, jak wyglądał w Karsudden, z mętnym wzrokiem, ogoloną głową i jakimś proszkiem w kącikach ust. Lukas?

Niemożliwe.

Tak czy inaczej aż się spociła, chociaż dopiero co wzięła prysznic. Sięgnęła po komórkę, zadzwoniła do kolegi w komendzie i spytała o Lukasa Bengtssona. Okazało się, że nadal jest poszukiwany. Ale jak zdołał uciec? Tamten człowiek, którego widziała w szpitalu, nie byłby w stanie tego zrobić. Może zmienili mu leki? Albo ich nie przyjął. Może po prostu sam sobie

poradził ze sobą? Rozłączyła się i zadzwoniła do gospodarza budynku. Zapisała jego numer w komórce, kiedy dał jej wizytówkę.

– Belvin, słucham!

– Mówi Olivia Rønning, klatka D, trzecie piętro. Chcę wymienić zamek w drzwiach wejściowych.

– A dlaczego?

– Miałam włamanie i chcę go wymienić. Natychmiast.

– Postaram się przyjść jak najszybciej, muszę jeszcze zdokumentować motorower, który zaparkowano poza miejscem do tego przeznaczonym na podwórku.

Zjawił się kwadrans później ze sporą torbą na narzędzia. Olivia zdążyła się już ubrać i zejść z obrotów.

Trochę.

Wpuściła Belvina.

– A więc miała pani włamanie?

– Tak.

– Coś zginęło?

– Nie.

– To skąd pani wie, że było włamanie?

– Bo ktoś wszedł i zrobił mi zdjęcia pod prysznicem moją własną komórką – odparła Olivia.

– Bierze pani prysznic przy otwartych drzwiach?

– A co panu do tego?

Belvin zeszywniał i odwrócił się do drzwi.

– To ten? – spytał, pokazując na zamek.

– Mam tylko jedno drzwi wejściowe.

Belvin odstawił torbę z narzędziami i przyjrzał się zamkowi.

– Stary jest – zauważył.

– Tak? No i?

– Nie mam takiego pod ręką, muszę go ściągnąć. Przy innym zamku musiałbym wiercić dziury w drzwiach.

– Ile czasu panu potrzeba na ściągnięcie pasującego zamka?

– Jeden, może dwa dni – odparł Belvin.

– Okej. Proszę załatwić to jak najszybciej.

– Tak jest.

Belvin wyszedł na korytarz i przystanął. Olivia zamknęła drzwi. Śliski typ, pomyślała.

Wróciła do kuchni i zadzwoniła do Lisy.

Musiała pogadać.

*

W ciągu dnia miały tyle rutynowych zadań, że postanowiły wyjść gdzieś razem po pracy, żeby omówić, co się wydarzyło.

Zdjęcia pod prysznicem.

Znalazły przyjemny stolik w ogródku restauracyjnym. Tym razem obie piły piwo. Olivia odczekała, aż kelner przyniesie zamówienie, i dopiero potem wyjęła komórkę, żeby pokazać zdjęcia. Lisa zareagowała mniej więcej tak, jak się spodziewała Olivia.

– Przecież to chore – powiedziała.

– Owszem.

– Złożyłaś doniesienie?

– Tak. O włamaniu. Pytanie, co z tego dalej wynika.

– Nie przychodzi ci do głowy, kto to mógł być? – dopytywała Lisa.

– Nie. Jediną osobą, która oprócz mnie ma klucz do mojego mieszkania, jest moja przyjaciółka, ale ona jest w Kopenhadze. Ale to stary zamek zatrzaskowy, więc pewnie nie było trudno dostać się do środka.

Lisa, kręcąc głową, oddała jej komórkę. Miała własne doświadczenia z molestowaniem, brutalniejszym niż robienie zdjęć, ale i tak rozumiała, że w tym przypadku została przekroczona granica.

Chowając telefon, Olivia stwierdziła:

– A Mette dopilnowała, żeby Magnus zniknął.

Skoro już weszły na ten temat, Lisa przytaknęła:

– Tak, podobno sam się zwolnił w trybie natychmiastowym.

– Nie odzywał się więcej do ciebie?

– Ani słowem. To wielka ulga.

– Odbierasz to jako rodzaj zadośćuczynienia? – spytała Olivia.

– Jeszcze nie wiem... Ale dobrze, że nastąpiło jakieś domknięcie tej sprawy. Możesz sobie przypisać zasługę, bo może nigdy nie zdobyłabym się, żeby o tym powiedzieć, gdybyś wtedy, u ciebie, nie postawiła tego tak jasno. Dziękuję.

– Na zdrowie.

Uśmiechnęły się i wypily po łyku piwa.

– A jak odbierasz tę historię z Lukaszem Bengtssonem? – spytała Lisa. – Że uciekł z zakładu?

– Wydaje mi się to dziwne. Żeby tylko nie zrobił czegoś głupiego.

– W rodzaju?

– Sama nie wiem, przecież on się podle czuje, jest na lekach, a to nefajna kombinacja.

Olivia spojrzała do szklanki, jakby się spodziewała, że mignie jej tam Lukas. Nie mignął. Lukas był daleko.

*

Chłopczyk siedział na kamieniu leżącym w jeziorze, parę metrów od brzegu. Patrzył na swoje odbicie w wodzie. Tuż pod powierzchnią płynęła ławica małych okoni. Zobaczył rybki pod odbiciem swojej twarzy i zacisnął w dłoni kamyk. Pragnął siedzieć tak jak najdłużej. Wtedy usłyszał głos, wołał go. „Lukas”. Nie chciał słyszeć tego głosu, nigdy więcej. „Lukas!” Cisnął kamykiem w wodę, jego twarz rozpadła się na tysiące kawałeczków, w tym momencie wiedział, że już nigdy nie poskłada jej w całość. Głos się zbliżył, a wtedy chłopczyk zaczął płakać.

Teraz też płacząc, pomyślał Lukas, patrząc na inną wodę. Wspomnienie powinno zniknąć, przecież tak zawsze jest? Dlaczego pojawiło się teraz?

Właściwie nigdy nie myślał o sobie jako o osobie. Był stworzeniem, które jedynie egzystuje. Działy się różne rzeczy, które jakoś go dotyczyły, i czasem rozumiał dlaczego, a czasem nie. Śmierci bał się tylko wtedy, kiedy miał iść spać. A dlaczego właśnie wtedy – też nie wiedział. Bał się zasnąć, bał się tego, co się stanie we śnie i co się w nim potem odłoży, głęboko w środku, i że dotrze do tego tylko wtedy, gdy go tutaj nie będzie.

Tego się bał.

Spojrzał w dół poza krawędź.

Prawie żadnych samochodów, przecież to środek nocy, więc ryzyko, że spadnie na jakiś pojazd i ktoś zostanie poszkodowany, było minimalne.

Podobnie jak ryzyko, że przeżyje.

Dotknął kurtki i zorientował się, że w wewnętrznej kieszeni ma pędzel. Wyjął go i przyjrzał mu się. Żebro, pomyślał, albo kotwica.

Powstrzymywało go malowanie. Najczęściej.

Dawniej, zanim go zamknęli.

Wiatr targnął jego włosy, zachwiał się. Zimna w ogóle nie czuł. Patrzył na wygaszony nocą Sztokholm, martwy widok, a kiedy spojrzął za krawędź, podjął decyzję.

*

Olivia we śnie przewracała się na łóżku. Znajdowała się w olbrzymim kamiennym labiryncie i goniła dziecko. Gdy je zobaczyła, ono zaśmiało się szyderczo.

– Stój! – krzyknęła i nagle usiadła na łóżku, zlana potem.

Światło księżycy przesączało się przez żaluzje, oczy potrzebowały czasu, żeby się przyzwyczaić do półmroku, czuła pulsowanie tętna na szyi, dyszała, po kilku sekundach uspokoiła oddech.

– Cześć – zabrzmiało w ciemności.

Rzuciła się do tyłu i uderzyła głową o ścianę za łóżkiem. Zobaczyła ciemną postać stojącą nieruchomo w drzwiach. Już miała krzyknąć, kiedy blask księżycy oświetlił jego twarz.

Był to Lukas.

Jak wszedł do mieszkania? Wprawdzie wciąż miała niezmienny zamek, ale jak to zrobił? Po powrocie do domu chyba sprawdziła, czy zapadka zaskoczyła? A może nie?

Podciągnęła kołdrę aż pod brodę.

– Co ty tu robisz, Lukas? – Starła się mówić spokojnym głosem.

– Chciałem z tobą porozmawiać.

– Uciekłeś.

– Ale nie od siebie.

Olivia poczuła, że jej tętno się uspokaja, musi zapanować nad sytuacją, w jej ciemnej sypialni stoi człowiek, który jest chory. Trzeba mówić do niego jak najspokojniej.

– O czym chcesz rozmawiać?

– Pytałaś, kim jest czarne monstrum na moich obrazach.

– Tak.

– Czy to kobieta.

– Tak.

– To nie jest kobieta, to mężczyzna – wyjaśnił.

– Kto?

– Wiem to tylko wtedy, kiedy tam jestem.

Zrobił kilka kroków w głąb pokoju. Zobaczyła, że wygląda znacznie lepiej niż poprzednio, jest szczuplejszy, ma bardziej świadomy wyraz twarzy. Podciągnęła się na łóżku, kołdrę wciąż trzymała pod samą brodą. Również głos Lukasa brzmiał zupełnie inaczej niż wówczas, kiedy była u niego w zakładzie i mówił o niebieskim odłamku. Teraz brzmiał spokojnie, znajomo.

Stanął naprzeciwko jej łóżka.

– Wiesz, na co cierpię? – spytał.

– Tak.

– Staję się kimś innym.

– Wiem.

– Może wtedy też byłem kimś innym. Kiedy się to stało z tym samochodem.

– Może.

– Wszyscy myśleli, że kłamię – powiedział. – A ja nie kłamałem. Nie było mnie tam.

– Byłeś – odpowiedziała. – Chociaż o tym nie wiedziałeś.

– Pewnie tak. Mogę usiąść?

Lukas wskazał brzeg łóżka. Przytaknęła. Czuła, że napięcie puszcza. Potrafi z nim rozmawiać. Uciekł, a teraz jest u niej. Dokładnie tak jak przewidziała Mette. Co skądinąd było dość irytujące.

Lukas usiadł w pewnej odległości od jej podciągniętych stóp.

– Jeszcze chwilę temu chciałem skoczyć – powiedział.

– Skoczyć?

– Ale się rozmyśliłem. Wiesz dlaczego?

– Nie?

– Bo to by było niesprawiedliwe.

– Tak?

– Jeśli człowiek wie, że jest w nim ktoś inny, nawet jeśli nie ma pojęcia, kto to ani jaki jest, samobójstwo oznaczałoby zamordowanie tego kogoś, tak?

– Okej? – odparła pytająco.

Olivia próbowała nadażyć za tokiem jego myślenia. Dopiero co się wydostała z kamiennego labiryntu, gdzie goniła zgubione dziecko, a teraz siedzi z mężczyzną, który mówi, że samobójstwo jest równoznaczne z morderstwem.

Musiła uporządkować jakoś tę sytuację.

Wzięła komórkę z nocnego stolika, chciała wyklikać swoje zdjęcia spod prysznicza, ale zmieniła zdanie i spytała:

– Czy robiłeś mi nią zdjęcia, kiedy byłam pod prysznicem?

Lukas spojrział na komórkę.

– Nie. Po co miałbym to zrobić?

Jego zdziwienie wydawało się szczere, ale po chwili się zgarbił i odezwał ledwo słyszalnym głosem.

– Może to ten drugi? – powiedział. – W takim razie przepraszam cię w jego imieniu.

Przysunęła się bliżej niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

Spojrzał na nią.

– Doskonale rozumiem, dlaczego nie mówiłaś, że jesteś policjantką – powiedział.

– To dobrze.

– Ty też jesteś inna.

Mówiąc to, uśmiechnął się. Olivia odpowiedziała uśmiechem. Też była inna. Nie w sensie mentalnym, ale inna. Różnica polegała na tym, że mogła o tym sama decydować. A Lukas nie.

– Jak idzie twoja terapia? – spytała.

– Prowadzą mnie do parku i znów do budynku, czasem ktoś przychodzi, żeby ze mną porozmawiać, ale głównie dają mi leki. Przecież wiem, o co chodzi.

O leczenie. Już miała to powiedzieć, ale zdała sobie sprawę, że to mylące określenie. Raczej przymusowe leczenie.

– Uważasz, że ci pomaga?

– Nie wiem, w czym właściwie miałyby mi pomóc, czy chodzi o to, żebym znów był jednym całym Lukasem. Nie wiem, czy tego chcę.

– Dlaczego?

– Bo może mi to odbierze talent.

Przyjęła ten argument, rozumiała go, rozumiała jego lęk przed utratą kontaktu ze źródłem

swej kreatywności. Ale jednocześnie cierpiał, przecież nie chciał zniknąć. Chyba że...?

– Dobrze chociaż, że nauczyłem się rozpoznawać sygnały – powiedział. – Kiedy to się zaczyna. A zaczyna się prawie zawsze od bólu głowy, potem znikam.

– Ale chyba chciałbyś być zdrowy?

Milczał dłuższą chwilę, następnie chwycił jej dłoń, pozwoliła mu. Pogładził ją drugą ręką, widziała, że oczy mu się zaszkliły, był bliski płaczu.

– Ja nie chcę tam być – powiedział cicho. – Chcę być tutaj.

Nie była pewna, czy Lukas mówi o Karsudden, czy o swoim drugim stanie. Co do Karsudden, niestety, musiał tam wrócić.

Długo milczeli, siedząc blisko siebie. W końcu Olivia zrozumiała, że musi działać. Cofnęła rękę, sięgnęła po komórkę i zadzwoniła do Lisy, przeprosiła za porę i wyjaśniła, że chciałyby pożyczyć jej samochód, żeby odwieźć Lukasa Bengtssona do Katrineholmu.

– Może powinnam pojechać z wami? – spytała Lisa.

– Nie trzeba, wszystko w porządku.

– Okej.

Lisa uznała, że na wyjaśnienia przyjdzie czas.

Lukas zasnął na przednim siedzeniu już wtedy, gdy mijali Hornstull, i obudził się dopiero, gdy Olivia dotknęła jego ręki, mówiąc, że są na miejscu. Zajechała przed główne wejście do zakładu Karsudden. Pół godziny wcześniej uprzedziła personel, jaka jest sytuacja. Nie była pewna, czy Lukas słyszał rozmowę, chyba nie. Podniósł wzrok i po chwili się zorientował, gdzie jest. Spojrzał na podchodzące do auta trzy osoby z personelu i odwrócił się do Olivii.

– Istnieją dwa sposoby na odebranie sobie życia – powiedział. – Jednym z nich jest śmierć.

Pchnął drzwi i wysiadł.

Przez całą drogę powrotną Olivia usiłowała ogarnąć to, co się rozegrało w jej sypialni. Rozmowę z Lukaszem, Lukaszem obecnym.

Który zamierzał skoczyć, ale zmienił zdanie.

Który określił samobójstwo jako morderstwo.

Czuła się coraz bardziej skonfundowana jego chorobą.

Luna i Aditi były zajęte podlewaniem. W panującym upale spora część roślin w ogrodzie wymagała wsparcia. Zajmowało to dużo czasu, ale przy okazji mogły swobodnie porozmawiać. Grupy medytacyjne Aditi jeszcze się nie zebrały, a Stilton siedział w bungalowie i zgrzytał zębami. W każdym razie tak określiła jego stan Luna. Robił to od powrotu ze spotkania z Veronicą Wadner.

– Rozumiem go – stwierdziła Luna. – Nadstawiał karku i nie otrzymał nic w zamian.
– Może ona ma jakiś powód?
– Niby jaki?
– Nie wiem, jednak spotkało ją coś strasznego i to się z tym w jakiś sposób wiąże, może nie ma siły mu odpowiedzieć.
– Ja uważam, że wrednie się zachowała – powiedziała Luna.
– Wobec Toma?
– Tak, oczywiście świetnie mu zapłaciła, ale chyba powinna rozumieć, jakie to dla niego frustrujące. Chciałby w końcu wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Przecież o mało nie zginął.

Aditi spojrzała na Lunę i uśmiechnęła się lekko.

– Co takiego? – spytała Luna.
– Ta twoja miłość.
– Moja miłość?
– Do Toma.
– No i co z nią?
– Zazdroszczę ci jej.

Aditi się odwróciła, kierując strumień wody na nieco oddaloną rabatę.

– Dlaczego? – spytała Luna.
– Bo nigdy nie kochałam w ten sposób.

Luna prawie nic nie wiedziała o jej przeszłości, Aditi nie mówiła o niej, skupiając się na teraźniejszości. Tom opowiadał trochę o jej dorastaniu, podczas którego nie zaznała zbyt wiele szczęścia ani radości.

– Nie byłaś nigdy zamężna? – spytała Luna.
– Nie. Poświęciłam się temu.

Potoczyła wzrokiem po pięknym ośrodku, a Luna dojrzała w jej oczach cień smutku, który jednak zaraz zniknął.

– I dało mi to szczęście.
– Rozumiem, tu jest cudownie. W życiu nie było mi tak dobrze jak teraz. Ani trochę nie tęsknię za domem.

Aditi znów się uśmiechnęła.

– Możesz tu zostać, jak długo zechcesz – oznajmiła.

Luna zakręciła wodę i kucnęła. Rozmowa przeszła na grząski grunt. Nie tylko nie tęskniła za domem, ale też chciała zostać.

Tutaj.

Nigdy nie czuła się równie spokojna i harmonijna, jakby znikła jej zagmatwana przeszłość, zastąpiło ją naturalne poczucie równowagi. Po części wynikało to z samego miejsca i spokoju, który tu panował, ale głównie chodziło o Aditi. Ona była kimś, kogo Lunie brakowało przez całe życie: starszą od niej kobietą, mówiącą jej, co i jak należy robić. Jej mama uciekła, czy

też zniknęła, kiedy Luna była dzieckiem, a tata kapitan chyba nie do końca się sprawdził.

Problem stanowił Tom.

– Za jakiś czas ktoś będzie musiał przejść to miejsce – powiedziała Aditi, siadając obok Luni. – Ale może Tom nie widzi tutaj swojej przyszłości z tobą?

Luna patrzyła na piasek między stopami. Życie tutaj razem z Tomem? Zdarzało jej się nad tym zastanawiać, zwłaszcza nocami, kiedy budziła się z powodu gorąca i przez szpary w bambusowej ścianie patrzyła na księżyc. Z początku wydawało się to bez sensu, ale popracowała nad tą myślą, poobracała ją i poskładała. Co go ciągnie do Szwecji? Co on tam ma? Nic. Rödlöge? Rozwalającą się drewnianą budę na wyspie w połowie drogi do Morza Alandzkiego. Owszem, ma w Szwecji przyjaciół, kilkoro, ale ma ich również tutaj. A przynajmniej ukochaną kobietę i przyrodną siostrę. Pracy tam nie ma. Dlaczego nie mógłby pomyśleć o pozostaniu tutaj?

Zdała sobie sprawę, że trochę się zapędziła i pominęła inne argumenty za porzuceniem przez Toma Szwecji. A może jednak? Ludzie się zmieniają, zwłaszcza po ciężkich przejściach, a wiedziała, że tak było z Tomem. Może wpłynęły na niego pozytywnie i zechce tutaj zostać?

– Teraz pewnie nie jest to marzenie Toma, ale z nim nigdy nie wiadomo – odpowiedziała.

– Nawet ty nie wiesz?

Luna właśnie miała odpowiedzieć, że zwłaszcza ona nie wie, gdy rozbrzmiało powiadomienie o esemesie. Akurat była pora komunikacji telefonicznej i internetowej, więc spojrzęła na wyświetlacz.

– Co to? – spytała Aditi.

– Do Toma.

Luna wstała i poszła do bungalowu. Stilton siedział oparty o bambusową poręcz i obserwował cykadę, która wdrapywała się po jego podudziu. Swędziało go, ale chciał zobaczyć, na ile starczy jej odwagi. W tym momencie nie miał większych ambicji.

– Masz zadzwonić pod ten numer – powiedziała Luna, podtykając mu swój telefon z esemesem.

Stilton spojrzął. Numer nic mu nie mówił poza tym, że był miejscowy. Sięgnął po swoją nową komórkę, którą kupił w Mae Phim.

– Komisarz Lek.

Policjant z Chiang Rai. Stilton zerwał się na nogi, opuściła go dotychczasowa apatia.

– Tu Tom Stilton, Szwed. Schwytaliście Dechę?

– Niestety nie. Byliśmy na barce, ale już go nie zastaliśmy. Według chłopców wyjechał zaraz po twojej ucieczce.

Stilton się zgarbił.

– I co zrobiliście? – spytał.

– Przeszukaliśmy barkę, ale niewiele to dało. Żadnej broni. Żadnych narkotyków.

Stilton usłyszał zawód w głosie Leka.

– A przesłuchaliście chłopców? – dopytywał Stilton.

– To Rohingjowie, nie Tajowie, jak mówiłeś.

– I co, nie dało się z nimi porozmawiać?

– Owszem, ale nie palili się do kontaktu z policją. Tak czy inaczej żaden nie chciał potwierdzić, że stosowano wobec nich przemoc w jakiegokolwiek formie. Właściwie to nie spodziewaliśmy się niczego innego. Mogę o coś spytać? Mówiłeś, że szukałeś tego Dechy, dlaczego?

– Chciałem ustalić, kim jest.

– Dlaczego?

I znów wrócili do osoby Stiltona.

– Cóż, na to nie mam odpowiedzi – odparł.

Bo nie miał. De facto. Przez moment chciał odesłać Leka do Veroniki, ale dał spokój. Nieznanemu tajskiemu policjantowi nie powie więcej niż jemu.

Postanowił za to opowiedzieć o swoich odwiedzinach u Jhanga Sa. Może to poprawi humor Lekowi.

Poprawiło, i to znacznie.

Kiedy skończył, Lek zauważył:

– Raczej nie chciał, żebyś przeżył.

– Raczej nie.

Zapadła chwila milczenia.

– Jhang to groźny człowiek.

– Wiem. Ale dzięki za pomoc w sprawie Dechy.

– Odezwę się, jeśli będzie jakiś postęp.

– Okej.

Stilton się rozłączył. Luna patrzyła na niego.

– Nie złapali go?

– Nie.

Stilton grzmotnął ręką o ścianę, aż zadrżał cały bungalow, a cykada pobiła rekord świata w skoku w dal.

– Muszę złapać to ścierwo!

Osunął się na ziemię.

– Miałeś jego zdjęcie, prawda? – spytała ostrożnie.

– No i?

– Konsultowałeś się ze szwedzką policją? Skoro facet jest pedofilem, to może figuruje w jakimś rejestrze w Szwecji?

Stilton tylko patrzył na nią.

Gustav Frövik wcisnął Olivię między dwie wizyty pacjentów. Przekonała go, że rozmowa nie będzie długa, znów chodzi o Lukasa Bengtssona i spotkanie, które z nim miała.

– Proszę, niech pani siada.

Olivia usiadła na tym samym krześle co poprzednio. Tym razem nie była zdenerwowana. Wiedziała, że Frövik jest dobrze zorientowany w kwestii, o którą chciała go wypytać, i na pewno potrafi jej odpowiedzieć.

– Wie pani, że nadal nie mogę udzielać szczegółowych informacji na temat terapii Lukasa Bengtssona – powiedział.

– Wiem. Pomyślałam jednak, że podejmiemy do tego hipotetycznie.

Frövik uśmiechnął się lekko, domyślając się, o co jej chodzi.

– Porozmawiamy o hipotetycznym przypadku?

– Coś w tym rodzaju. Chodzi mi o to, czy hipotetyczna osoba, która ma epizody dysocjacji, może wchodzić w ten stan i wychodzić z niego ot tak?

– Wyjaśniłem to częściowo poprzednim razem. To jest choroba, która ma okresy remisji, a wtedy chory przechodzi od jednej tożsamości do drugiej.

– Ale czy on sam wie, kiedy to się dzieje? To znaczy, że przechodzi od jednej tożsamości do drugiej?

– Na to nie ma prostej odpowiedzi. Wiele osób cierpiących na tę chorobę uczy się rozpoznawać pewne sygnały. Mogą to być silne bóle głowy, które ostrzegają o zmianie tożsamości. W tym sensie można powiedzieć, że wiedzą, co się z nimi dzieje.

– Ale jeśli wiedzą o swojej chorobie i co ona oznacza, czyli wiedzą, że się zamieniają w kogoś innego, czy mogą wtedy czuć się odpowiedzialni za to, kim się stają? Za to, co ta osoba robi?

– Jak to: odpowiedzialni?

Olivia nie bardzo wiedziała, jak wytłumaczyć, że Lukas nie chciał popełnić samobójstwa, bo oznaczałoby to zabicie drugiej osoby, którą również jest. Która może chce żyć? Zdawała sobie sprawę, że te rozważania mogą się wydawać mętne, niemniej dla Lukasa problem był bardzo realny.

– Nie potrafię tego jasno wytłumaczyć – stwierdziła. – Niedawno się z nim spotkałam, zastanawiał się nad swoją relacją z osobą, w którą się zamienia w stanie choroby.

– Odwiedziła go pani w szpitalu?

– Nie, przyszedł do mnie w nocy, uciekł wtedy z zakładu, długo rozmawialiśmy, potem odwoziłam go z powrotem do Karsudden.

– Czyli łączą was dobre relacje?

– Nie wiem, czy aż tak, ale wydaje się, że on się teraz lepiej czuje.

– To świetnie.

Frövik uśmiechnął się lekko. Olivia wstała.

Po wyjściu na ulicę zdała sobie sprawę, że cała ta rozmowa była właściwie bez sensu. Wynikała tylko z jej chęci dotarcia do Lukasa, kiedy przeżywa epizod dysocjacyjny. Wskoczyła do autobusu jadącego do Mariatorget i już na miejscu przysiadła na ławce, żeby popatrzeć na grupki graczy w bule. Nigdy w to nie grała, a wyglądało ciekawie. Ludzie rzucali kule, które się zderzały, potem z największą powagą dokonywali pomiarów, popijając przy tym piwo.

Pod wpływem panującej tu luźnej atmosfery odprężyła się. Język graczy był zabawny, dosadny i bardzo odległy od jej świata. Spontanicznie się śmiała, słysząc kolejne uwagi na temat

kul, świnki i tak dalej. Jeden z graczy zaproponował jej wykonanie paru rzutów i już miała dołączyć do zabawy, gdy przeszkodziło jej brzęczenie w kieszeni. Wyjęła komórkę, okazało się, że to MMS od Toma, zdjęcie mężczyzny. Tom napisał:

To szwedzki pedofil. Używa ksywy Decha. Sprawdź, czy figuruje w naszych rejestrach. Muszę wiedzieć, jak się nazywa. To pilne.

Olivia zamknęła zdjęcie. Nie musiała sprawdzać, od razu poznała, kto jest na zdjęciu.

*

Jedną z wielu korzyści wynikających z emerytury jest możliwość spędzania czasu we dwoje. Jeśli żyje się w parze. Mette zaczęła się powoli przyzwyczajać, że jest z mężem również w ciągu dnia, i to w środku tygodnia. Nie obyło się bez tarć, ale działało nieźle. Mårten bardzo się starał, żeby ich codzienność była interesująca. Wiedział, że podczas całego życia zawodowego żona jechała na adrenalinie i z pewnym lękiem myślała o siedzeniu w wielkim domu w Kummelnäs. Dzieci i wnuki mieszkaly osobno, ale starał się je ściągać możliwie jak najczęściej. Życie i ruch wypełniały dom energią. Może nie taką jak ta, którą się czuje, kiedy się staje przy dopiero co zastrzelonej ofierze, ale zawsze jakąś. Jednak to nie to samo, myślał Mårten.

Tego dnia wybrali się do hipermarketu na wielkie zakupy, dzięki czemu zapełnili na pewien czas zarówno lodówkę, jak i zamrażarkę. Mårten wiedział, że Mette nie cierpi zakupów spożywczych, więc dopilnował, żeby wystarczyły na sporo lunchów i kolacji. Próbował zainteresować żonę gotowaniem, ale bez większego powodzenia. Najważniejsze, że była obok w kuchni, robiła uwagi i próbując potraw, wtykała palec to tu, to tam. Z czasem może nabierze ochoty na samodzielne gotowanie, pomyślał. Tego dnia na obiad była zaplanowana jedna ze specjalności Mårtena, indyjska potrawka. Niezbyt wielkie wyzwanie kulinarne, ale danie dobrze przyprawione i zachęcające do popijania go winem.

Wielki gar pełen aromatów wylądował właśnie na stole, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Mårten widział, że Mette drgnęła, jakby na alarm. Czyżby wyjazd na akcję? A potem się przygarbiła, było, minęło. Mårten pospieszył do przedpokoju.

– Cześć, Olivia! Wchodź! Mamy na obiad indyjską potrawkę jagnięcą, musisz spróbować!

Olivia weszła do kuchni i uściskała wyraźnie ożywioną Mette. Odwiedziny Olivii mogły oznaczać wiele rzeczy, w najlepszym razie nawet jakąś aktywność związaną z policyjną robotą.

Olivia usiadła przy stole i spojrzała na Mårtena. Mette nie rozumiała, dlaczego najpierw patrzy na niego, ale doszła do wniosku, że pewnie zaraz to wyjaśni. Domyślała się, że raczej nie chodzi o potrawkę. Uspokoiła się, gdy potem Olivia spojrzała na nią.

– Coś ci leży na sercu, tak? – odezwała się Mette.

– Dostałam dziś MMS-a od Toma.

– Tak?

– Tego.

Olivia podsunęła jej komórkę z MMS-em Stiltona. Mette spojrzała na zdjęcie i przeczytała tekst pod nim.

– Chce złapać pedofila?

– Tak. Nie rozpoznajesz tego człowieka? – spytała Olivia.

– Nie.

– To Gustav Frövik.

– Ten psycholog?

– Tak.

Zapadło dłuższe milczenie, potrawką nikt już nie zawracał sobie głowy.

– Skąd Tom wie, że on jest pedofilem? – spytała w końcu Mette.

– Zadzwoiłam do Toma, powiedział, że widział, jak Frövik gwałci chłopca w Tajlandii.

Tam używa ksywy Decha.

– Gustav Frövik? – odezwał się Mårten.

– Tak.

Do tej pory milczał. Nie bez powodu. Jego szok był pewnie jeszcze większy niż Olivii i Mette. Spojrzał na Oliwię, w oczach miał dezorientację, może nawet przestach, kiedy usiłował to sobie uporządkować.

– Frövik pracował w Skå – wyjaśnił.

– Kiedy to było?

– Jakieś dwadzieścia lat temu. – Mårten mówił tak, jakby wolał o tym nie pamiętać.

– Wtedy, kiedy ty tam pracowałeś? – spytała Olivia.

– Tak. I to ja go tam zaprosiłem. Specjalizował się w terapii strauumatyzowanych dzieci.

Znów zapadło milczenie. Mette chwyciła butelkę i naląła mężowi wina, domyślając się, że mu się przyda.

– I okazał się pedofilem? – dopytywał.

Potrzebował dłuższego czasu, żeby to przetrawić i przyjąć do wiadomości. Tyle długich lat pełnej poświęcenia pracy z dziećmi znajdującymi się w trudnej sytuacji życiowej. Pedofil w Skå?

– Tak – potwierdziła Olivia.

Mette sobie również naląła, chciała mieć pod ręką wino, skoro musi coś powiedzieć, choć wolałaby nic nie mówić.

– W dokumentacji sądowo-psychiatrycznej odnotowano, że Lukas Bengtsson przez kilka lat przebywał w Skå.

Podniosła szybko kieliszek do ust i wypiła łyk. Teraz piłka była po stronie Olivii i Mette wiedziała dokładnie, co nastąpi. Jednak minęło kilka sekund, nim Olivia zwróciła się do Mårtena:

– Czy Lukas Bengtsson przebywał tam w tych samych latach co Frövik?

Przywołany do terażniejszości Mårten spojrzał na Oliwię.

– Nie pamiętam, ale mogę sprawdzić.

Olivia wyszła od nich bez spróbowania potrawki. Nie miała apetytu. Para emerytów została w kuchni, patrzyli na siebie. Mette otrzymała swoją porcję adrenaliny, ale tym razem zdecydowanie jej się to nie spodobało. Czy Olivia dogrzebie się w przeszłości Lukasa Bengtssona kontaktów z Gustavem Frövikiem?

I co to będzie oznaczało?

Mårten powiedział żonie, żeby jadła bez niego, chciał pobyć sam.

Zszedł do swojego pokoju muzycznego, swojej jaskini, w której się chował, kiedy odgradzał się od wszystkiego. Czasem, gdy odwiedziny dzieci i wnuków okazywały się nadmiernie stresujące, a czasem z potrzeby samotności.

Albo z innych powodów.

Jak dziś.

Podszedł do odtwarzacza i puścił muzykę. Ostatnio słuchał irlandzkiej pieśniarki, która według niego zbyt wcześnie zakończyła karierę. Sinéad Lohan. Uwielbiał jej niezwykle głoś. Dzielił się tą muzyką z pajakiem Kerouakiem, sieciarzem jaskiniowym. Kerouac właściwie powinien już nie żyć od lat, Mårten sprawdził to, ale widać z pajakami jest tak samo jak ze starymi psychologami dziecięcymi, żyje sobie, żyje, aż w końcu umrze.

Głos Lohan rozbrzmiał w pokoju, a Kerouac wypełził ze swojej szczeliny w murze

i kołysząc się, pełzł po pobielonej wapnem ścianie. Mårten podążał za nim wzrokiem do momentu, gdy pająk zatrzymał się w swoim ulubionym kącie.

Wszystko było teraz na swoim miejscu.

I musiał się zmierzyć z tym, co było powodem, że tu zszedł.

Z faktem, że jeden z jego najlepszych współpracowników był i jest pedofilem. Człowiek, który go zauroczył i zaimponował mu zarówno głęboką wiedzą teoretyczną o chorobach psychicznych, jak i niezwykłą umiejętnością przełamywania barier u ciężko strauumatyzowanych dzieci i nawiązywania z nimi kontaktu. Kilka takich przypadków zostało uznanych niemal za cud. Podczas lat pracy w Skå Frövik cieszył się opinią niemal geniusza w swojej dziedzinie. Uznano, że ma szczególny talent do wychwytywania mikrosygnatów wysyłanych przez dzieci, które przeszły ciężkie urazy.

Pedofil?

Mårten był uodporniony na najróżniejsze przejawy ludzkich zachowań, rzadko się dziwił, kiedy Mette opowiadała o okropnych sprawach, z którymi miała do czynienia. Wiedział, że człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Ale to?

Wstrząs, jaki przeżył, wynikał pewnie z faktu, że ten przejaw ludzkiego zła był tak blisko. Nie tylko sam ściągnął Fröviką do Skå, ale jeszcze spotykał się z nim towarzysko. Chodzili na wspólne kolacje, podczas których rozmawiali o życiu i dzieciach przebywających w Skå.

I Frövik miałby w tym czasie molestować te dzieci?

Wprawdzie tego jeszcze nie ustalono. Frövik nie musiał tego robić akurat w Skå, ale istniało duże ryzyko, że jednak tak było.

Za plecami Mårtena.

Spojrzał na swoje dłonie zaciśnięte na oparciu fotela. Dręczyło go, że nie wiedział i się nie domyślił.

Stilton odczuwał niejaką satysfakcję, kiedy szedł ponownie do Veroniki. Olivia powiedziała mu przez telefon, jak brzmi prawdziwe nazwisko Dechy. Zaraz poda je Veronice. Tym razem nie było jej na plaży. Podeszedł do drzwi, odsunął warkocz i zapukawszy lekko, wszedł do środka.

– Nie wchodzić! – rozległ się ostry głos Veroniki.

Stanął jak wryty.

– Przepraszam, chciałem ci tylko powiedzieć, że wiem, kim jest ten pedofil.

Żadnej reakcji. Coś się stało? Stilton nie wiedział, czy ma wejść do pokoju na werandzie, czy zostać. Po chwili zrozumiał, gdy w przedpokoju pojawił się i zaraz wyszedł z domu Taj z nagim torsem i koszulą w rękę.

– Mogę już wejść? – zawołał Stilton.

– Nie.

Stilton czuł się głupio.

– To był ślusarz – powiedziała Veronica.

Jej głos dochodził z głębi pokoju na werandzie, teraz był bardziej uprzejmy.

– Wyglądał sympatycznie – stwierdził Stilton, chociaż sam nie wiedział, skąd mu to przyszło do głowy.

– Jak się nazywa ten pedofil?

Stilton nie zamierzał z nią rozmawiać, stojąc w przedpokoju. W dodatku jej nie widział, więc podeszedł do drzwi.

– Nazywa się Gustav Frövik i podobno jest psychologiem.

Veronica siedziała na niedużej półokrągłej sofie w rogu pokoju, owinięta szlafrokiem, perukę miała trochę przekrzywioną. Nie spodziewała się wizyty.

– Gustav Frövik? – powtórzyła.

Po głosie poznał, że zrobiło to na niej wrażenie.

– Tak. Znasz to nazwisko?

Veronica splotła dłonie, jakby chcąc je unieruchomić, a kiedy knykcie aż zbieleły, podniosła wzrok na Stiltona stojącego w drzwiach.

– Nie, niestety nie.

Olivia dokończyła śniadanie bez większego zapału. Czekala na telefon od Mårtena. Zadzwońił, kiedy już sama miała wybrać jego numer. Odebrała, stojąc przy oknie. Mårten od razu przeszedł do rzeczy:

– Lukas Bengtsson mieszkał w Skå w latach, kiedy pracował tam Gustav Frövik. W domu działa mu się krzywda, miał problemy psychiczne.

Olivia milczała. Tak długo trawiła tę informację, że prawie zapomniała o Mårtenie.

– Olivia?

– Już jestem, przepraszam. Dziękuję, że to sprawdziłeś.

– Co robimy? – spytał.

– Z tą wiedzą?

– Tak.

– Sama nie wiem.

Oboje zdawali sobie sprawę, co to oznacza. O następnym kroku zdecydował Mårten.

– Uważam, że powinniśmy się spotkać z Lukaszem – powiedział.

– Dobrze. No to spotkajmy się.

Rozłączyła się. Patrzyła na zlew w kuchni, a w uszach miała słowa Frövika o osobach cierpiących na dysocjacyjne zaburzenia tożsamości. „Okolo dziewięćdziesięciu procent ma za sobą jakieś traumatyczne przeżycia typu przemoc albo molestowanie seksualne w okresie dorastania”. Czy Lukas był molestowany w dzieciństwie? Przez Frövika? Podczas pobytu w Skå?

*

Siedzieli w tym samym pokoju odwiedzin, w którym Olivia była poprzednim razem, z drewnianym stołem z trzema krzesłami i dwoma wąskimi oknami na jednej ścianie. Padające z zewnątrz światło tworzyło na zielonej podłodze abstrakcyjny wzór.

Olivia próbowała się zorientować w stanie Lukasa. Wzrok miał mętniejszy niż wtedy, gdy go tu przywozła, przypuszczalnie znów był na lekach.

Mam nadzieję, że jest tutaj, pomyślała.

– To jest Mårten Olsäter – powiedziała. – Były psycholog dziecięcy i mój przyjaciel.

Lukas spojrział na Mårtena bez słowa.

– Cześć, Lukas. Wiele lat temu mieszkałeś w Wiosce Dziecięcej Skå – odezwał się Mårten. – Pracowałem tam wtedy. Nie wiem, czy mnie pamiętasz, ale ja pamiętam ciebie. Świetnie rysowałeś. Wtedy pracował tam także Gustav Frövik. Pamiętasz go z tamtych czasów?

Frövik badał Lukasa w związku z procesem, ale Mårten chciał sięgnąć jeszcze dalej w przeszłość.

Lukas nie odpowiedział.

– Gustav Frövik miał bliski kontakt z wami wszystkimi, był bardzo lubiany, pamiętasz go?

W ciszy, która nastąpiła, Olivia spojrziała na Mårtena, jakby chciała spytać: „Sądziysz, że on tu teraz jest?”. Mårten skinął głową i znów zwrócił się do Lukasa:

– Pytam, bo przypuszczamy, że Gustav...

– Miałem wtedy zaledwie osiem lat.

Mówiąc to, Lukas wpatrywał się w stół, ale jego głos był mocny.

– Wtedy? – spytał Mårten.

– Kiedy zacząłem gnić.

Spojrzał w stronę okien, za którymi można było zobaczyć park, drzewa i rozciągające się nieco dalej jezioro. Olivia chciała powiedzieć, ale Mårten ścisnął jej ramię. Minęła dłuższa chwila, Lukas znów odwrócił głowę w stronę stołu.

– Co masz na myśli, mówiąc o gniciu? – spytał Mårten.

– Że umiera to, co zdrowe.

– Dlaczego wtedy umarło?

– Bo było za słabe i za małe. Jego głos nie był słyszalny – powiedział Lukas.

– Czy gnicie zaczęło się, kiedy byłeś w Skå?

– Tak. Twarz mi pękła w wodzie.

Olivia musiała powstrzymać szloch wzbierający w gardle, odwróciła głowę, żeby Lukas nie widział jej załzawionych oczu.

– Smutno ci? – spytał, bo jednak je zobaczył.

– Tak – przyznała.

– Dlaczego?

Nie umiała na to odpowiedzieć albo nie chciała.

Chciała tylko uciec stamtąd.

Wracając do samochodu, Olivia dała upust emocjom, wybuchła niepohamowanym płaczem i zaczęła z całej siły kopać opony auta. Mårten musiał trzymać ją mocno w ramionach.

Oboje mieli absolutną jasność co do sensu spotkania.

Lukas był podczas pobytu w Skå gwałcony przez Gustava Fröviką.

Miał wtedy osiem lat.

*

Olivia siedziała przy stole w kuchni, usiłując uspokoić tętno. Przyspieszało, gdy tylko pomyślała o Lukasiu, a na wspomnienie o Fröviką prawie dostawała palpacji. Czuła, że musi z kimś porozmawiać. Ale nie z kimkolwiek, może z Lisą? Najlogiczniej byłoby z Mette. Przecież to ona podrzuciła jej trop wiodący do Skå i ona również potrafi ocenić, jaki powinien być następny krok.

Chociaż jest na emeryturze.

Zadzwoiła do Mette i odbyła z nią długą rozmowę na temat spotkania z Lukasiem. Głos jej się łamał, kiedy opowiadała o molestowaniu. Mette słuchała uważnie, chociaż sporo wiedziała już od Mårtena i czekała na ten telefon Olivii. Była równie wzburzona jak oni, ale głównie słuchała, żeby Olivia mogła to wszystko z siebie wyrzucić. Kiedy w pewnym momencie Olivia przerwała, Mette uznała, że czas się włączyć.

– Co chcesz z tym zrobić? – spytała.

– Zatrzymać go i przesłuchać.

– Czy aby na pewno będzie to mądry ruch?

– Jak to mądry? Przecież to pedofil.

– Owszem. A czy Lukas będzie w stanie zeznawać?

– Tego nie wiem. Czuje się, jak się czuje.

– A co zrobisz, jak Frövik pójdzie w zaparte, a na pewno tak się stanie?

– Tom widział, jak popełnił inny czyn nierządny.

– Tom jest w Tajlandii.

Mette ripostowała w ten sposób, bo wiedziała, do czego Olivia zmierza. Chciała doprowadzić do uznania Fröviką za winnego gwałtów na nieletnich. Gdyby udowodniła, że spotkało to Lukasa Bengtssona, przy okazji wyszłoby, że Frövik przyczynił się do wyroku skazującego Lukasa. W każdym razie w pewnym sensie. Chciała obalić opinię

sądowo-psychiatryczną. A potem?

– Nie ja decyduję – stwierdziła Mette. – Przesłuchaj go, jeśli uważasz, że tak trzeba. Tylko pamiętaj, żeby zrobić to dyskretnie. Jeżeli ogłosisz, że jest pedofilem, nie mając na to dostatecznych dowodów, uderzy to w ciebie. Uważam, że musisz mieć na niego coś więcej.

– W razie czego Tom będzie zeznawał przed sądem.

– W obecnej sytuacji Tom może zostać uznany za niezbyt wiarygodnego świadka.

Może i tak, pomyślała Olivia, ale przecież słyszała, jaki był wzburzony, opowiadając jej, co Decha robił birmańskiemu chłopcu, i była pewna, że jeśli będzie trzeba, dostarczy dowodów.

Zwykle to robił.

A więc postanowiła przesłuchać Gustava Fröviką, psychologa o miłym spojrzeniu.

Gdy wraz z Lisą zadzwoniły do drzwi Fröviką na czwartym piętrze przy Grev Magnigatan w dzielnicy Östermalm, otworzyła jego żona Inger.

– Tak?

– Dzień dobry, Olivia Rönning z policji kryminalnej, chcemy porozmawiać z panem Fröviką. Zastałyśmy go?

Inger Frövik była kobietą dbającą o swój wygląd, z każdym rokiem coraz bardziej, po części dla siebie, a po części dlatego, że często musiała występować publicznie jako organizatorka zbiórek pieniędzy na rzecz organizacji pomocowej Dobro Dzieci. W tym momencie była w niebieskiej garsonce z odpowiednio dobraną apaszką na szyi, bo wybierała się na spotkanie informacyjne na temat wielkiej gali dobroczynnej planowanej na najbliższy weekend.

Starannie umalowane usta zamknęły się, a potem otworzyły ponownie.

– O co chodzi? – spytała.

Twój mąż jest pedofilem, pomyślała Olivia, a głośno powiedziała:

– Chcemy go przesłuchać, wstępnie. Zastałyśmy go?

– Przesłuchać w jakiej sprawie?

Olivia wyczuła jakieś wibracje. „Przesłuchać w jakiej sprawie?” Jakby małżonka już chciała się skryć za tarczą obronną, bo są sprawy, o których lepiej nie mówić, a przynajmniej nie poza sypialnią.

Co do pewnego stopnia było prawdą.

Inger podziwiała męża, który był psychologiem odnoszącym wielkie sukcesy, ale miał też jakąś ciemną stronę. Nie wiedziała dokładnie, o co chodzi, ale chciała chronić swoje małżeństwo i w tym celu była gotowa posunąć się bardzo daleko.

– Nie mogę o tym mówić – odpowiedziała Olivia.

– Cóż, w każdym razie tu go nie ma. Niestety.

– A gdzie go złapiemy?

– Próbowaliśmy panie w jego gabinecie? – spytała Inger.

Gustava Fröviką nie było w jego gabinecie. Przebywał na swojej letniej działce na wyspie Ingarö, a w momencie gdy zadzwoniła jego wyraźnie zdenerwowana żona, był zajęty smołowaniem łódki.

– Ale uspokój się, Inger. Czego chciały te policjantki? – spytał.

– Nie powiedziały, mówiły, że nie mogą, chciały cię przesłuchać, podobno wstępnie. Dlaczego? Potem pojechały do twojego gabinetu. O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie wiem. Jak się nazywała ta, która z tobą rozmawiała?

– Nie pamiętam, Olivia coś tam.

– Rönning?

– Może. Potem jeszcze zadzwoniły, żebym dała im znać, jak tylko się z tobą skontaktuję.

– Nie rób tego. Zostaw to mnie. Wszystko będzie dobrze.

– Ale o co...

– Wracam do miasta. Pa, pa.

Frövik nie miał najmniejszego zamiaru wracać do miasta ani do domu. Nie wiedział, czy policja obserwuje jego mieszkanie albo gabinet. Wiedział jednak czy też obawiał się, że ukrywana dotąd część jego życia zostanie za chwilę ujawniona. Co byłoby katastrofalne pod każdym względem. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło, ale też nie zamierzał czekać, żeby się tego dowiedzieć.

Odstawił puszkę ze smołą i spojrzął na morze, spokojne i ciche jak okiem sięgnąć. To oczywiście musiało nastąpić, wcześniej czy później, nie dało się tego uniknąć, mimo że był bardzo ostrożny. Nie da się przejść przez życie i nie zostać zdemaskowanym. A jednak próbował i zamierzał to robić dalej.

Chwycił marynarkę i pobiegł do auta.

Olivia Rönning, pomyślał. Lukas Bengtsson? Tak się to odbyło?

*

Olivia zaprosiła do siebie Lisę. Tym razem nie spotkały się w środku nocy i nie miało to związku z Magnusem Larssonem. Chciała porozmawiać o Gustavie Frövik. Ani on, ani jego żona jeszcze się nie odezwali.

Olivia postawiła na stole dwa kieliszki i poprosiła Lisę, żeby wyjęła z lodówki butelkę białego wina. Lisa podeszła do lodówki i stanęła. Poprzednim razem nie zauważyła rysunku przyklejonego do ściany, bo też wtedy go nie było.

– Kto to narysował? – spytała, patrząc na napis widniejący w jego rogu. – „Bóg obdarty ze skóry”?

– Lukas, narysował to, kiedy go odwiedziłam przed procesem.

– Świetny.

– Owszem – przyznała Olivia.

Lisa otworzyła lodówkę, wyjęła butelkę białego wina i podała Olivii. Zanim usiadła przy stole, jeszcze raz spojrzała na rysunek.

– Dlaczego nie narysował ust? – spytała.

– Nie wiem, nie czuł się wtedy dobrze.

– A teraz czuje się lepiej?

– Chyba tak.

Olivia napełniła kieliszki, nie chciała rozmawiać o Lukasiu. Zapaliła na stole kilka tealightów, głównie dla nastroju, bo z każdym dniem wieczór zapadał coraz później – teraz było widno aż do dziesiątej.

– I co robimy z tym Frövikiem? – odezwała się Olivia.

– W razie gdyby się nie odezwał?

– Tak. Zarządzimy poszukiwania?

– A mamy podstawy?

– Według Mette nie, ale facet może się ulotnić.

Lisa skinęła głową, przysunęła sobie żółty notatnik i ołówek, a potem, jakby myślała o czymś innym, napisała „Frövik”. Olivia obserwowała, jak Lisa się zastanawia i raz za razem podkreśla to nazwisko.

– O co chodzi? – spytała.

– Coś mi chodzi po głowie, odkąd tylko pojawiło się jego nazwisko. Zaczęło się, kiedy byliśmy u niego w domu i rozmawialiśmy z jego żoną.

- I cię uwiera?
- Natknęłam się na nie już wcześniej.
- Brał udział w badaniu sądowo-psychiatrycznym Lukasa.
- Nie czytałam tej opinii, to musiało być gdzie indziej, w materiałach, które przeglądałam.

Podkreśliła jego nazwisko jeszcze kilka razy, aż ukruszyła czubek ołówka. Spojrzała na Olivię.

- Już wiem – powiedziała.

Była późna noc, a one wciąż przeglądały teczki i skoroszyty z biurka Lisy, wszystkie materiały z dochodzeń, którymi się zajmowała. Dochodziła druga, kiedy Lisa krzyknęła:

- Jest! To jest to! Spójrz!

Podala Olivii kartkę, którą sama zapisała. Olivia zauważyła kilka błędów ortograficznych i gramatycznych. Czytając, zrozumiała, dlaczego Lisa krzyknęła. O mało nie zrobiła tego samego. Jej uwagę od razu przyciągnęła pewna koincydencja, a kiedy sobie uświadomiła, co to znaczy, sięgnęła po telefon.

- Do kogo chcesz dzwonić?
- Do Mette.
- Jest druga w nocy.

Olivia opuściła rękę i spojrzała na zegarek. Dzwonić do Mette? Przecież przeszła na emeryturę.

A jednak obudziła ją i powiedziała, że chcą z Lisą przeprowadzić przeszukanie u Frövika, a potem wyjaśniła szczegółowo dlaczego.

– Do kogo trzeba się zwrócić, żeby obyło się bez problemów? – spytała. – Do Tovy Hemmingson? Przeszukanie trzeba zrobić jak najszybciej!

Mette szybko podjęła decyzję.

- Sama to z nią załatwię – powiedziała. – Tak będzie najlepiej.
- Dzięki!

Mette dotrzymała słowa i rano, tuż po dziesiątej, Olivia znów stanęła pod drzwiami mieszkania Frövika, tym razem z nakazem przeszukania. Towarzyszyli jej Lisa i dwóch kolegów. Na ich widok Inger od razu oznajmiła:

- Mąż wyjechał za granicę.
- Tak? A kiedy?
- Wczoraj.

Olivia uznała, że Inger Frövik nie zmyśla, zdając sobie sprawę, że policja może to szybko sprawdzić.

Czyli zapewne jest to prawda.

- Dokąd pojechał?
- Nie wiem.
- Nie wie pani?

– Nie, Gustav często wyjeżdża nagle albo zapowiada to z niewielkim wyprzedzeniem, ma wiele zadań w różnych kryzysowych rejonach świata. Nie było mnie w domu, kiedy wyjeżdżał, przypuszczam, że wkrótce się odezwie i da mi znać, gdzie jest.

Olivia podsunęła jej dokument.

- To jest nakaz, przystępujemy do przeszukania państwa mieszkania.

Policjanci weszli do domu równie zszokowanej, co wystraszonej Inger. Zabrali to, co uznali za istotne, zwłaszcza komputer i iPad, pozostawiając małżonkę Frövika w stanie totalnej konsternacji.

– Może byście mi jednak wyjaśnili, o co chodzi!

– O przemoc – powiedziała tylko Olivia, wychodząc.

Zamknąwszy za nimi drzwi, Inger opadła na miękkie krzesło w przedpokoju. Bała się chwili, gdy sekretne życie jej męża przestanie być tajemnicą, a to, co ukrywane i mroczne, zostanie wystawione na światło dzienne. Z konsoli pod lustrem wzięła białą, ładnie złożoną chusteczkę i ją przygryzła. A co zostanie ujawnione? Tego nie wiedziała. Zdawała sobie jednak sprawę, że Gustav ma jakieś uzależnienia, o których nigdy nie mówi. Budząc się w nocy, wielokrotnie się zastanawiała, o co chodzi. Narkotyki? Przecież by się zorientowała. Kochanka? I co z tego! Zbyt banalne. prostytutka? Czy miał szczególnie rozwiązłe potrzeby, których nie umiała zaspokoić? Chodził w miejsca, gdzie był biczowany albo bawił się w pielęgniarkę? Nie miała pojęcia.

W którymś momencie instynkt samozachowawczy powściągał jej wyobraźnię.

Kiedyś, i był to jeden jedyny raz, spytała go o to całkiem poważnie.

– Co ty przede mną ukrywasz?

– To, co muszę, żebyśmy mogli razem żyć.

Tylko tyle.

Spojrzała na długowłosego jamniczka, który merdał kikutem ogona, stojąc na chodniku w przedpokoju.

Ty przynajmniej nie masz tajemnic przede mną, pomyślała.

Olivia i Lisa pojechały z resztą ekipy prosto do gabinetu Gustava Frörika. Starsza pani w recepcji była równie zszokowana, jak wcześniej żona lekarza. Nie protestowała, tylko przekazała policjantom wszystko, o co prosili, a nawet jeszcze więcej.

– Jest też kalendarz wizyt, chcecie go?

– Poprosimy – odparła Lisa.

Następnie udali się na letnią działkę Frörika na Ingarö.

A potem rozpoczęło się czekanie.

Podczas przeszukań zebrano obszerny materiał, teraz zajęli się nim technicy kryminalistyczni różnych specjalności. Olivia i Lisa, a także do pewnego stopnia również Mette, były skazane na pełne napięcia wyczekiwanie. Technicy to szczególnie ludzie, wrażliwi, a jednocześnie dość odporni na stres. Praca zabiera im tyle czasu, ile musi.

Olivii o gwałcie popełnionym przez Frörika na barce powiedział Stilton. Miała też wiedzę, którą razem z Mårtenem uzyskała od Lukasa na temat Skå.

Jednak dla sądu ani jedno, ani drugie nie stanowiło dowodu.

Trzeba było czegoś więcej, aby łańcuch dowodowy zachował spójność.

Minęło kilka dni, zanim dostała do ręki szczegółowy raport. Po jego przeczytaniu od razu zadzwoniła do Mette. Opowiedziała jej, co zawiera, i na koniec oznajmiła:

– Pójdzie tym tropem zabierze nam trochę czasu, ale dostałyśmy z Lisą środki, o które wystąpiłyśmy. A tymczasem chciałabym włączyć Toma.

Tym razem Mette nie miała nic przeciwko temu.

Stilton myślał, że czeka go popołudnie równie nudne jak poprzedniego dnia. Zdążył się już zorientować w działalności ośrodka. Rano ćwiczył pod okiem Aditi, która była z niego bardzo zadowolona.

– Jesteś co najmniej dwa razy bardziej elastyczny, niż kiedy przyjechałeś!

I co najmniej dwa razy bardziej otępiały, pomyślał Stilton.

– Może przerobimy kolejną rundkę ćwiczeń? – spytała, bo właśnie znów podeszła.

Uratował go telefon od Olivii.

Chociaż nie obyło się bez problemów: Aditi przypomniała mu o zasadach obowiązujących w ośrodku – w tym momencie nie ma zgody na korzystanie z komórki, może za godzinę.

Stilton nie zamierzał czekać godzinę, więc zaproponował:

– Po lunchu zrobię podwójny zestaw ćwiczeń.

Na tyle udobruchało to Aditi, że pozwoliła mu odebrać.

– Cześć, Olivia! Co słychać?

Skoro tu się nic nie dzieje, mógłby przynajmniej telefonicznie uczestniczyć w wydarzeniach w Sztokholmie.

Olivia opowiedziała mu o swoim odkryciu dotyczącym związku między Gustavem Frövikiem a Lukaszem Bengtssonem. Niewiele mu to mówiło, Stilton nie wiedział, kim jest Lukas Bengtsson. Znacznie bardziej zaciekało go, co powiedziała potem.

– Frövik przysnął za granicę.

– Wiadomo dokąd?

– Nie – odparła.

– Pomyślałaś, że może tu?

– Właśnie.

Miało to sens. Jeśli Frövik chce się gdzieś zaszyć, to ma idealną kryjówkę w górach opiumowych. Na wycofanej z użytku barce rzecznej, gdzie nazywają go Decha i nikt nie zna jego prawdziwej tożsamości.

Jak sądzi.

– Może ukryje się na barce w górach opiumowych – powiedział Stilton.

– Może. Mógłbyś go tam poszukać?

– Mogę spróbować.

Olivia nie orientowała się, jakie są możliwości Stiltona. Dla niego była to jednak szansa, żeby dokończyć sprawę, i to na kilku poziomach.

Od razu się zdecydował.

– Jadę tam jeszcze dziś!

– Lepiej poczekać do jutra.

– Dlaczego?

– Bo jutro w Bangkoku wylądzuje Abbas – powiedziała Olivia.

– Abbas?

– Dyskutowaliśmy o tym z Mette, chce, żeby ci pomógł.

– Tak?

Nie miał nic przeciwko Abbasowi, odwrotnie, sam myślał parę razy, że dobrze byłoby mieć go obok siebie w Wanssingi, ale to decydowanie bez pytania go o zdanie odebrał, no właśnie, jak? Jakby go umniejszała? Bo co, sam nie podoła zadaniu?

Wszystko jedno.

– Dobra. Odbiorę go z lotniska.

*

Śniady mężczyzna w szytym na miarę garniturze okrywającym szczupłe, sprawne ciało odstawał od ubranych w szorty i kwieciste koszule białoskórych Szwedów o spragnionych gardłach.

Abbas przybył na miejsce.

Kiedy spotkał się ze Stiltonem, trzymał w ręku wąską walizkę, którą spokojnie mógłby zabrać jako bagaż podręczny, jednak nie zrobił tego, ponieważ zawierała coś, co nie przeszłoby kontroli bezpieczeństwa przy odprawie.

Stilton wiedział, co to.

– Siemasz! Udana podróż? – spytał.

– Biznesklasą.

Stilton już zdążył to odnotować. Nie zamierzał pytać, kto płaci za tę ekstrawagancję. Najważniejsze, że Abbas jest w formie.

Czekała ich długa wyprawa.

– Fajnie cię widzieć – powiedział Stilton.

– Wzajemnie. Schudłeś.

Czyżby? – pomyślał Stilton. A poprzednio byłem gruby? Czy to tylko taka zagrywka Abbasa?

– A ty zawsze ten sam – odparł. – Mam bilety autobusowe do Chiang Rai, wyjeżdżamy za cztery godziny. Jesteś głodny?

– Tak.

Stilton patrzył, jak Abbas pochłania kolejne dania Suzy, co najmniej trzy, jedno po drugim. Sam zjadł kurczaka z woka z tajską bazylią i miał dość. Zauważył, że Suzy stoi w drzwiach do kuchni i obserwuje głodnego Szweda.

Przyjaciel Toma, ale zupełnie inny niż on. Bardziej w guście Suzy, chociaż trochę za młody. Wprawdzie jako wdowa była otwarta na różne opcje, ale przyjaciel Toma?

Abbas popił ostatnie danie szklanką zimnej wody. Stilton sącył piwo.

– Smaczne jedzenie, prawda? – spytał.

– Fantastyczne – przyznał Abbas.

Odwrócił się do Suzy i pokazał wystawiony do góry kciuk. Kobieta lekko spuściła wzrok.

– Ona mi przypomina moją mamę.

Powiedział to cicho, jakby się bał, że Suzy rozumie po szwedzku. Stilton się zdziwił.

– Mamę, która zaginęła?

– Może dostała się tu jakoś i otworzyła knajpkę w którymś zaułku?

– Suzy nie jest twoją mamą – zauważył sucho Stilton.

– Wiem, przypomina ją tylko z oczu.

Stilton spojrział na Suzy. Oczy jak u mamy Abbasa?

– Wciąż nie wiesz, gdzie się podziewa? – spytał.

– Wiele lat temu dostałem dziwną pocztówkę z Trivandrum w Indiach, widocznie tam przebywała.

– Co napisała?

– „Dbaj o siebie. Spotkamy się w innym wymiarze”. Chyba była na dragach. No to opowiadaj, dokąd jedziemy? Do pedofila, którego Mette i Olivia chcą ściągnąć do Szwecji?

– Tak.

– O którym wiadomo ci coś więcej?

– O wiele więcej.

Stilton potrzebował jeszcze dwóch piw, żeby wyłożyć na stół całą historię o pedofilu na barce.

– Czyli Gustav Frövik używa tam ksywy Decha? – upewnił się Abbas.

– Tak.

– I jak sobie wyobrażasz nasze działanie?

Zakładał, że Tom wszystko przemyślał, przecież był doświadczonym policjantem, a on tylko pomocnikiem. Wprawdzie cennym dzięki specjalnym umiejętnościom, ale to nie on stał za sterem.

– Pomyślałem, że najpierw pojedziemy do Wanssingi – odparł Stilton. – To ostatnia miejscowość w drodze na barkę. Są tam ludzie, z którymi mam niewyrównanie rachunki, ale uporamy się z tym.

– Jak zwykle. O której odchodzi autobus?

Stilton spojrział na zegarek i zdał sobie sprawę, że mają jeszcze przeszło godzinę. Pora się ruszyć. Wstał i położył należność za posiłek na stole. Abbas podszedł do Suzy.

– Dziękuję – powiedział. – Masz bardzo ładne oczy.

Suzy przez dłuższą chwilę cieszyła się tymi słowami.

Abbas stał na dworcu autobusowym i czekał na Toma, który powiedział, że musi jeszcze coś załatwić. Obserwował Taja, który chodził z miotłą i zamiatał śmieci, a potem je rozsypywał i zaczynał wszystko od początku.

Pewnie pracował na godziny.

Abbas usiadł na ławce w hali dworcowej i się rozglądał. Nie było wielu pasażerów, jedni szli do autobusów, głównie młodzi ludzie z plecakami, inni zmierzali do wyjść. Pogrążył się w myślach o Tomie. Gliniarzu, który wyciągnął go z bagna, jakim był handel podrabianymi torebkami, a potem sam wylądował w rynsztoku. Teraz mieli się razem udać do Złotego Trójkąta. Abbas wiedział o nim sporo, a przynajmniej o skutkach jego istnienia. W pewnym okresie miał w Marsylii do czynienia z siatką narkotkową, która żyła z dostaw z gór opiumowych w Złotym Trójkącie. Był to opłacalny, chociaż niebezpieczny interes. Tak niebezpieczny, że Abbas wołał zakapować, a wtedy ustanowiono cenę za jego głowę.

Ach, ten Tom, pomyślał.

Niejedno przeszli, czasem na granicy śmierci, ale też grali razem w tryktraka. Niewiele za to gadali, w każdym razie nie o tym, o czym nie trzeba.

Teraz znów przyszła pora wspólnego działania.

Podniósł wzrok i zobaczył idącego Stiltona. Najpierw jego uwagę przyciągnęła niesiona przez niego plastikowa torba z domu towarowego MBK, a potem jego kurtka. Niby wyglądała tak samo jak godzinę temu u Suzy, a jednak inaczej.

– Masz pistolet?

– To widać?

– Tak.

– Smith and wessona.

– Kto ci załatwił?

– Douglas. Rudzielec w szortach.

Abbas spojrział na Stiltona, uśmiechając się lekko.

– Myślisz, że do tego dojdzie?

– Może tak być.

– Opowiadaj.

Stilton opowiedział Abbasowi całą historię o Jhangu Sa. Zaczął od skradzionego zegarka.

*

Na dachu bambusowego domku piał szalony kogut, szalony, bo dochodziła dziesiąta wieczorem, czyli pora, gdy koguty raczej nie pieją.

Stilton i Abbas słyszeli go, bo znajdowali się niedaleko. Przyczaili się w pobliżu domu Jhanga, czekając na nocne ciemności. Stilton kupił w MBK tanie bluzy z kapturami, obaj je włożyli i zakryli głowy. Nadal było gorąco, ale nie lepko. Nieco chłodził ich lekki wietrzyk.

– To jego dom? – spytał szeptem Abbas, wskazując głową duży ciemny budynek za potężną bramą.

– Tak – odpowiedział szeptem Stilton.

Jego plan składał się z trzech etapów. Najpierw wizyta u Jhanga, następnie krótki postój u Aom i wreszcie barka. Abbas nie był zachwycony. Przyjechał tu, żeby zabrać osobę, którą mieli nadzieję zastać na barce, dwie pozostałe sprawy to była prywatna Toma.

Jednak prawie nigdy nie kwestionował jego zamiarów. Stawał u jego boku. Tak jak Tom stanął u jego boku w Marsylii.

– Jak się dostaniemy do środka? – spytał.

– Nie wiem.

– Jest alarm?

– Może, ale przy wejściu nie ma kamer.

Abbas pomacał kieszenie, upewniając się, że ma swoje narzędzia. Stilton powiedział mu dość dużo o właścicielu domu, synu legendarnego barona opiumowego, dziedzicu przemysłowego imperium.

Nie jest to ktoś, kto by chodził nago po lesie.

– Idziemy – odezwał się Stilton.

Podniósł się i ruszył wzdłuż wysokiego muru otaczającego dom. Przed bramą odczekali chwilę, upewniając się, że na terenie posiadłości nie ma Jhanga i zgrai jego prymitywnych pachołków. W domu nie dostrzegli światła. Może niedługo wróca. Albo nie, bo baron jest akurat w innej części kraju. To był strzał w ciemno, Stilton postanowił jednak zaryzykować. Zakładał, że w budynku są inne osoby. Choćby ten obojętny gość, który prowadził go przez pokoje do akwarium.

I do bestii.

Stilton posuwał się wzdłuż muru aż do miejsca, gdzie zaczynał się płot ogrodu. Abbas szedł tuż za nim. Stilton spojrzał na płot, miał prawie trzy metry wysokości. Czy jest pod napięciem? Istniało takie ryzyko, więc się pochylił i zaczął kopać. Abbas odbierał od niego wykopaną ziemię. Zabrało im to ponad kwadrans. Stilton wykopał przejście, przez które można było się przedostać na drugą stronę.

– Ty pierwszy – szepnął.

Abbas spojrzał na niego.

– Dlaczego ja?

– Bo ja wiem? – odparł Stilton i zaczął się przeciskać pod płotem. Było to trudne, ale przedostał się na drugą stronę, nie dotknąwszy płotu – pod napięciem albo i nie. Kilka sekund później Abbas zrobił to samo.

Pobiegli razem w stronę domu, co chwilę kryjąc się za drzewami. Trawnik był idealnie przystrzyżony.

– A jeśli zaminował to gówno? – szepnął Abbas, kiedy byli w połowie trawnika.

– Facet ma psy, muszą mieć gdzie srać.

– Okej.

A przynajmniej jednego psa, pomyślał Stilton, obchodząc dom od tyłu. Świeciło się w dwóch oknach. Przesuwali się wzdłuż ściany domu, aż dotarli do wielkich drewnianych drzwi. Wejście kuchenne, pomyślał Stilton. Nacisnął klamkę. Zamknięte.

– Latarka – szepnął.

Abbas wyciągnął wąską latarkę, osłonił światło dłonią i skierował je na piękny, stary, pokryty patyną zamek pasujący do całego domu. Dziwne, pomyślał Stilton, przecież każdy go otworzy. Zaskoczyła go nonszalancja Jhanga. Czy wynika z niedbałości? A może z przekonania, że przed włamaniem chroni go jego władza, że nikt się nie odważy tego zrobić? Oto przykład nadmiernej pewności siebie.

Stilton się odważył. W kilka sekund otworzył zamek za pomocą scyzoryka i pchnął drzwi. Zaskrzypiały lekko, więc wślizgnęły się szybko do środka i zamknęły je za sobą.

– Wiesz, w którym miejscu domu jesteście? – szepnął Abbas.

– Nie mam pojęcia.

Fajnie, pomyślał Abbas. Nie miał nic przeciwko spontanicznemu działaniu, często to najprostsza droga do celu, ale akurat tu, w twierdzy handlarza narkotyków, wolały się orientować w jej rozkładzie.

Stilton wziął od niego latarkę i ruszył przed siebie. Przez krótki przedpokój, ciemną kuchnię, aż do szerokich schodów. Drzwi, przez które weszli, znajdowały się na parterze, a jego prowadzili wtedy po szerokich schodach od wejścia, przyjął więc, że te schody wiodą na piętro, gdzie są różne interesujące rzeczy. Pomieszczenia, przez które wtedy przechodził.

Może nie tylko te.

Nie powiedział Abbasowi, po co chce tu przyjść. Motywy jego działań były częściowo prywatne, nie godził się, żeby robiono mu takie rzeczy. Ale miał też inne powody. Chciał znaleźć biuro albo gabinet Jhanga, by zdobyć informacje. Jhang kazał go skatować i wrzucić do rzeki, biorąc go za informatora.

W takim razie postara się zasłużyć na to miano.

W dodatku odezwał się w nim policjant z trzydziestoletnim doświadczeniem. Chciał dopaść Jhanga, jeśli będzie to możliwe.

Ruszył schodami na górę, kierując snop światła latarki pionowo w dół. Nie słyszał żadnych dźwięków, głosów czy poszczekiwania. Dotarł do szczytu schodów i poczekał na Abbasa.

– Co teraz? – szepnął tamten.

Stilton odważył się unieść lekko latarkę i zobaczył duże pomieszczenie. Wtedy tu nie był.

– Wygląda na jadalnię. Jesteś głodny? – spytał Abbas, żeby rozładować napięcie.

Przez jadalnię doszli do jakichś drzwi. Stilton nie miał pojęcia, dokąd prowadzą. Nacisnął klamkę, otworzyły się, wewnątrz panowała ciemność. Podniósł latarkę i poświecił. Wzdłuż ścian stały półki pełne segregatorów, a środek pokoju zajmowały dwa biurka umieszczone naprzeciw siebie. A więc biuro.

Stilton wszedł pierwszy, idący za nim Abbas cicho zamknął drzwi. Stilton zwiększył moc latarki i przesunął snopem światła po ścianach. Jedna była bez półek, pokrywał ją szeroki ekran od podłogi aż po sufit. Świecąc latarką po ekranie, w prawym dolnym rogu dostrzegł przycisk. Wdusił go, ekran podniósł się powoli, odsłaniając wielką mapę. Przyjrzał jej się bliżej, była to bardzo szczegółowa mapa północnej Tajlandii z dużą liczbą kresek tworzących coś w rodzaju pajęczej sieci. W niektórych miejscach kreski łączyły się w zaznaczonych kółkach.

Stilton nie był pewien, co przedstawia ta mapa, domyślał się jednak, że jest ważna, i to z wielu powodów, choćby dlatego, że znajduje się w tym pokoju. W najlepszym razie, pomyślał,

jest to mapa tras przemytu Jhanga.

Posługując się scyzorykiem, odczepił ją od ściany i złożył wielokrotnie, żeby wcisnąć ją pod kurtkę, po czym wskazał Abbasowi drzwi.

Przemknęli przez jadalnię, a kiedy dotarli do schodów, Stilton szepnął:

– Muszę tu jeszcze coś załatwić. Zobaczymy się w porcie.

Abbas spojrział na Stiltona. Pamiętał, że ma pistolet pod kurtką i radzi sobie w podbramkowych sytuacjach, ale dlaczego miałby go tu zostawić?

– Zjeżdżaj – szepnął Stilton.

Abbas jak najciszej pomknął w dół po schodach.

Skierował się do portu. Minąwszy sporo domów skleconych z desek i stojących na palach, trafił w końcu na nabrzeże. Uderzył go odór odpadków, benzyny i słodkawy smród dymu. Większość okien była ciemna, ale w okolicy działało kilka barów, z których rozbrzmiewała tajska muzyka pop. Szedł spokojnie, nikt nie wiedział, kim jest. Gdyby ktoś się domyślał, że przed chwilą włamał się do domu barona opiumowego, mogłoby być inaczej.

Ale nikt nie wiedział, a przynajmniej na to liczył Abbas.

Zaszedł do jednego z barów ze stolikami na wąskim pasku chodnika schodzącego nad wodę, parę metrów od krawędzi nabrzeża. Przy bojach kołysały się mocno wysłużone drewniane łodzie rybackie ze sterówkami pomalowanymi na czerwono oraz małe plastikowe. Nie wiedział, jak Tom wyobraża sobie dotarcie do „Contamany”, ale na pewno potrzebna będzie jakaś łódka. Równie dobrze mógł ją zdobyć teraz, w oczekiwaniu na szefa tej wycieczki. Usiadł przy stoliku na zewnątrz i przywołał do siebie mężczyznę słusznej postury, który stał oparty o framugę w drzwiach do baru. Zakładał, że to kelner.

Tamten spojrział na Abbasa.

– Życzysz sobie czegoś ode mnie? – spytał po angielsku.

– Szklankę wody i łoż, możesz mi to załatwić?

– Po co ci łoż?

– A po co komu łoż?

Tamten wciąż patrzył i zapewne myślał, chociaż na to nie wyglądał. Po kilku sekundach dosiadł się do stolika Abbasa.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – powiedział.

Abbas zdał sobie sprawę, że nie mówi do kelnera, że ten gość przypuszczalnie ma więcej wspólnego z opiumowym baronem niż z tym barem.

Zapowiadała się niezła zabawa.

– Po prostu potrzebna mi łódka.

– Dokąd popłyniesz?

– W górę rzeki.

– Po co?

Abbas zaczynał mieć dość. Przyszło mu do głowy, że może przysiadł się do niego dziwny gliniarz po cywilnemu, ale wtedy spojrział na zegarek tego człowieka. A raczej zegarek Toma, na tyle wyjątkowy, że nie było możliwości, aby miejscowy oprych miał taki sam. Wykluczone.

Zmienił temat.

– Fajny masz zegarek.

Mężczyzna spojrział w ciemne tchnące spokojem oczy Abbasa i trochę go to wytrąciło z równowagi. Położył dłonie na stole, jakby chciał zaznaczyć, że pora mówić otwarcie.

– Spadaj, masz trzy sekundy – powiedział.

Abbas odczekał dwie sekundy, a potem wąskim czarnym nożem przybił dłoń mężczyzny do stołu, a drugą ręką wymierzył cios w grdykę. Mężczyzna, charcząc, opadł na krzesło. Abbas

wstał, zdjął mu z nadgarstka zegarek, wyszarpnął nóż i się rozejrzał. W drzwiach baru stały dwie kobiety i paliły papierosy. Nie wyglądały na szczególnie oburzone. Podeszedł do nich i powiedział, że chce wynająć łódź. Jedna z kobiet weszła do środka. Abbas miał oko na rannego mężczyznę. Druga kobieta podeszła do stolika i ciemnym ręcznikiem starła krew z blatu.

– Jest.

Pierwsza kobieta wróciła z głębi baru i podała Abbasowi kluczyk.

– Do tej.

Wskazała na jedną z plastikowych łódek z silnikiem zaburtowym.

– Ile płacę?

– Nic. Ten gość to świnia – powiedziała, wskazując na mężczyznę, który właśnie zsuwał się z krzesła na ziemię.

– Dziękuję – odparł Abbas.

Wziął kluczyk i poszedł do łódki.

Stiltonowi spieszyło się, i to z wielu powodów. W domu u Jhanga narobił za dużo hałasu, wyskoczyli na niego jacyś ludzie, musiał uciekać w ciemność. W dodatku było jedynie kwestią czasu, kiedy się zorientują, że zniknęła mapa, i chciał uniknąć tego, co wtedy nastąpi.

Wbiegł na nabrzeże i zobaczył rosnącego mężczyznę z zakrwawioną ręką powalonego obok stolika. Czyżby Abbas? Zatrzymał się na moment, lekko zdezorientowany.

– Siedzi w tamtej łódce – odezwała się jedna z kobiet, wskazując kierunek ręką z papierosem. Stilton spojrział w tamtą stronę. Abbas kiwnął do niego z małej plastikowej łódki. Z włączonym silnikiem. Stilton podbiegł i wskoczył do środka.

– Ruszaj!

Abbas odbił od nabrzeża, ale nie widział w nocy tak dobrze jak Little Pluto, więc nie płynął zbyt szybko. Przez pewien czas w nawigowaniu pomagały mu światła Wanssingi, ale potem zrobiło się trudniej. Tu i ówdzie stały jakieś domy, z których światło padało na rzekę, ale było ich coraz mniej. Stilton powiedział, że następny etap to chata Aom. Problem w tym, że nie miał pojęcia, jak daleko muszą płynąć. Domyślał się, że skoro został wrzucony do rzeki z pomostu w Wanssingi i wyciągnięty przez Aom, odległość nie może być duża. Prąd nie był zbyt silny.

Wtedy uderzyła go myśl: jak to możliwe, że zniosło go pod prąd? Przecież Wanssingi znajdowało się poniżej domu Aom?

Dziwne. Jakieś wiry? A może prądy podwodne?

– Dłużej się nie da – odezwał się Abbas. – Nic nie widzę.

– Jeszcze kawałek – odpowiedział Stilton.

Po chwili nagle zobaczyli migoczące światełko.

– Przybij tutaj – powiedział.

Abbas przybił do brzegu, zrobiło się płytko, łódka znieruchomiała. Stilton nic nie widział poza migoczącym nieco wyżej światełkiem. Odwrócił głowę i w ciemności zamajaczył mu drewniany kajak. Taki sam jak ten, który pożyczył i stracił. Kajak Aom.

– To tutaj – powiedział.

Wyciągnęli łódkę na brzeg. Stilton zapalił latarkę i ruszył w stronę bambusowej chaty. Miał nadzieję, że nie wystraszą obu kobiet.

Wystraszyli.

Ale tylko jedną.

Sudarat.

Stała w drzwiach domu i patrzyła na latarkę.

– To ja – odezwał się Stilton. – Tom. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. Czy Aom

śpi?

– Nie żyje.

Sudarat powiedziała to spokojnie i miękko, jakby już się pożegnała. Stilton znieruchomiał.

– Kiedy to się stało?

– W czwartek.

Tego dnia była niedziela. Cztery dni temu.

– Wejdz.

Sudarat zrobiła zapraszający gest i zniknęła w głębi domu. Stilton spojrzął na Abbasa, a potem wszedł za Sudarat. Młoda kobieta zapaliła świece rozstawione na całej podłodze, na półce obok Buddy i przy łóżkach. W chacie unosił się słaby zapach kadzidła.

– Usiądź.

Wskazała jedno z łóżek. Stilton usiadł. W drzwiach stanął Abbas. Sudarat podeszła do Toma, przykucnęła przed nim i chwyciła jego dłoń.

– Akurat była w zielniku i tam umarła. Skremowaliśmy ją, a wczoraj urządziliśmy ceremonię upamiętniającą. To dla ciebie.

Sudarat wzięła kawałek czerwonej nitki i owinęła ją wokół guzika przy kurtce Stiltona.

– I co teraz będzie? – spytał. – Z tobą?

– Będę dorosła.

Podniosła się i usiadła na łóżku naprzeciw. Stilton obserwował jej twarz, ujrzał w jej oczach to, co czujemy, kiedy nagle zabraknie nam kogoś, kto ochroni, okryje i pocieszy, kiedy między nami a śmiercią nie ma już nikogo.

– Chcecie tu przenocować? – spytała.

– Bardzo o to prosimy – odparł. – To jest Abbas.

Abbas przywitał się z Sudarat i również dostał czerwoną nitkę.

Rano odbyło się poruszające pożegnanie. Abbas nie bardzo rozumiał, o co chodzi. Wiedział wprawdzie, że Tom kiedyś tu trafił i przez kilka dni udzielano mu pomocy, a potem popłynął dalej. Nie były to osoby, które znał całe życie. Widział jednak, że obejmując Sudarat, Tom z trudem powstrzymuje łzy.

– Płyniemy dalej?

Sudarat odprowadziła ich do plastikowej łódki. Stilton wyjaśnił, co się stało z pożyczonym kajakiem, i za niego zapłacił, a Sudarat schowała pieniądze w fałdach spódnicy, równie swobodnie jak zrobiła to Aom. Tak samo praktyczna jak matka.

Wyłynęli na rzekę, Sudarat stała na brzegu i machała do nich. Stilton również machał – długo. W końcu usiadł na dziobie.

– O co w tym wszystkim chodziło? – spytał Abbas.

– Co takiego?

– Wydajesz się strasznie przejęty.

Stilton spojrzął na niego i poczuł, że musi mu wszystko opowiedzieć.

– Sudarat i Aom wyciągnęły mnie z rzeki, ratując przed utonięciem. Aom leczyła mnie jakąś magiczną paćką, od której przeszły mi wszystkie bóle, potem dała mi kajak i słoik z jakąś miksturą, która prawdopodobnie uratowała mnie przed śmiercią z powodu dengi. Wreszcie przypominała mi, co w życiu ma prawdziwą wartość. A teraz nie żyje.

I wtedy Abbas zrozumiał. Mniej więcej.

Pokonali sześć zakrętów na rzece, gdy Abbas poczuł, że pora spytać o coś, czego Tom pewnie sam nie powie.

– Co robiłeś w tamtym domu po moim wyjściu? – spytał.

– Zostawiłem pozdrowienie.

– Dla kogo?

– Jhanga Sa.

– Jakie pozdrowienie?

Jhang był w Chiang Rai w sprawach związanych z transportem swojego towaru. Kiedy dostał telefon z wiadomością, co się stało w domu, wrócił do Wanssingi helikopterem. Późną nocą wylądował na trawniku, gdzie czekało na niego kilku podenerwowanych i wystraszonych ludzi, którzy zdawali sobie sprawę, że to koniec ich pracy w tym miejscu.

A może w ogóle koniec.

Jhang wbiegł do swego biura i zobaczył, że zginęła mapa przedstawiająca najważniejszą część jego działalności biznesowej. Kto? W jego własnym domu! Kto się odważył? Zdawał sobie sprawę z tego, że niektórzy pomniejsi baronowie próbują zagarnąć część jego rynku. Ale włamać się do jego domu? Do świętego świętych? Kto był na tyle bezczelny?

– Jhang Sa – odezwał się jeden z jego ludzi, który wiedział, że jego dni są policzone. Głos mu drżał, ale wydusił z siebie: – Chodź.

Zaprowadził go przed drzwi, otworzył je, a potem się odsunął. Jhang wszedł do środka.

Zobaczył leżący w kącie gruby łańcuch, rozlaną po całej podłodze wódkę ryżową, a w akwarium martwą bestię z przestrzelonym łbem.

Wtedy się domyślił.

Abbas uśmiechnął się, gdy Stilton skończył opowiadać. Zemsta to zawsze zemsta. Prymitywna przyjemność, stabuizowana, ale dająca mnóstwo satysfakcji. Zwiększył prędkość łodzi do maksimum. Teraz, za dnia, mógł lawirować między gałęziami i różnymi rupieciami, które wystawały z wody. Zastanawiał się, kiedy wyciągnąć z rękawa asa. Najlepiej tak, żeby wyrzucić odpowiednie wrażenie.

Stilton spojrział na niego i powiedział:

– Dzięki, że przyjechałeś.

Odpędził z twarzy owady. Zapomniał o słoiku od Aom i zostawił go w ośrodku Aditi. Co za niedbałość.

– To dzięki Mette – odparł Abbas.

– Nie ufa mi.

– Z pewnością ufa, ale boi się o ciebie.

Stilton to przetrawił. Mette bała się o niego, tak jak o Abbasa, dwóch wariatów zdolnych do wszystkiego, między innymi do załatwiania jej różnych spraw.

Uwielbiał Mette.

– Zaniepokoiło cię to? – spytał Abbas.

– Niby co?

– To, że mnie przysłała?

– Ani przez chwilę.

– Trochę się przydałem.

Uśmiechnął się, a Stiltonowi przypomniał się powalony gość z zakrwawioną ręką w porcie w Wanssingi.

– Absolutnie – przyznał. – Załatwiłeś łódkę.

– I zegarek.

Stilton spojrział na niego ze zdziwieniem, nie załapał, zegarek?

– Jaki zegarek? – spytał.

– Ten.

Abbas wyjął zegarek starego łowcy fok i podał Stiltonowi, który potrzebował dłuższej

chwili, żeby to poskładać.

– Facet w porcie?

– Tak.

– Dziękuję.

Założył zegarek i spojrział na rzekę.

– Został jeszcze jeden zakręt – powiedział.

Swąd spalenizny, ostry i gryzący, poczuli już wcześniej. Pokonali ostatni zakręt i wtedy zobaczyli, skąd idzie dym: z barki. Pochłaniało ją morze płomieni – buchały ze wszystkich kabin i rzucały tysiące iskier na dżunglę. Na dole przy pomoście zgromadziła się grupka krzyczących chłopców. Paru innych wybiegło z barki, w rękach trzymali małe wiaderka.

Stilton stał w łodzi, gdy Abbas dobijał nią do brzegu. Wyskoczył i wbiegł po trapie do relingu, już docierały tam języki ognia. Za nim podążał Abbas. Stilton wpadł na pokład i usłyszał potworny ryk z kabiny Dechy. Spojrzął w tamtym kierunku, przez rozwalone drzwi wyskoczyła płonąca postać. Ogień huczał wokoło, gdy Stilton przedzierał się w stronę płonącego człowieka. Wiedział, że to Decha. Ściągnął kurtkę i zaczął okładać nią palące się ciało. Niewiele to pomogło. Abbas dobiegł i chwycił ramię Dechy.

– Musimy odstawić go na dół! – krzyknął.

Stilton chwycił Dechę z drugiej strony, a potem zaciągnęli go, płonącego, po trapie w dół do rzeki. Abbas poczuł pieczenie na dłoniach. Chłopcy nad wodą krzyczeli, wymachując rękami. Stilton pociągnął Dechę i wrzucił go do wody. Zasyczało i ogień zgasł. Abbas spojrzął na poparzone ciało, spalone ubranie, czarną twarz z otwartymi ranami.

– Do łódki! – rzucił.

Wnieśli Dechę i położyli na dnie łódki. Abbas wskoczył do środka i uruchomił silnik. Stilton odwrócił się i popatrzył na chłopców stojących nad brzegiem. Nie zobaczył znajomej twarzy.

– Gdzie jest Little Pluto?

Dwóch chłopców pokazało na barkę, a raczej na to, co z niej zostało.

– Został na górze? – krzyknął Stilton.

– W kabynie Dechy.

Stilton pobiegł z powrotem na pokład.

– Tom! – krzyknął za nim Abbas.

Stilton dopadł do trapu, kiedy nastąpił pierwszy wybuch, który zniszczył to, co jeszcze zostało z nadbudówki. Kolejny rozwalił ładownię, od strony rzeki ziała wielka dziura. Fala uderzeniowa przewróciła i przekreśliła Stiltona. Kiedy znów spojrzął na barkę, zobaczył, że cała konstrukcja runęła i zamieniła się w płonące piekło. Zrobiło się tak gorąco, że musiał wrócić nad rzekę. Słaniał się na nogach, przy pomoście upadł.

– Musimy płynąć! – krzyczał Abbas.

Stilton stał na czworaka w wodzie, łapiąc powietrze. Znów spojrzął na resztki barki. Przypuszczał, że eksplodowały butle z gazem.

A potem pomyślał o małym chłopcu.

Abbas zobaczył, że Stilton cały się trzęsie. Wskoczył z łódki i podszedł do niego.

– Musimy ruszać, ten gość w łódce długo nie pożyje.

Stilton kiwnął głową, Abbas położył dłoń na jego ramieniu. Stilton wstał, wciąż się trząsł.

– Chodź.

Abbas wziął go pod rękę i pociągnął do motorówki. Z pewnym trudem udało mu się posadzić go na ławce z przodu.

Stilton patrzył na poparzonego, ciężko dyszącego mężczyznę na dnie łodzi. Żył,

w przeciwieństwie do Little Pluto. Trudno opisać, co Stilton czuł, była to mieszanina furii, bólu i smutku.

– Czy w Wanssingi jest jakiś szpital? – spytał Abbas.

– Nie mam pojęcia.

Abbas widział, że Tom jest w stanie podobnym do szoku. Nie bardzo rozumiał, z jakiego powodu, później się dowie. W tym momencie należało po prostu zmusić go do działania.

– To się dowiedz! – zawołał, przekrzykując silnik. – Teraz!

Stilton wziął się w garść. Sięgnął po telefon. Szpital w Wanssingi? Być może, ale na pewno nie taki, jakiego wymaga ten poparzony pakunek na dnie łodzi, taki szpital może być w Chiang Rai.

Komisarz Lek?

Znalazł jego numer i zadzwonił. Po paru sekundach odezwał się męski głos.

– Komisarz Lek, słucham.

– Cześć, mówi Tom Stilton! Mam tu pedofila Dechę, płyniemy rzeką Lat, gość jest ciężko poparzony i musi jak najszybciej trafić do szpitala. Możesz pomóc? Płyniemy do Wanssingi.

– Okej. Będziemy tam.

Stilton się rozłączył. Jak to dobrze, że są jeszcze ludzie, którzy nie mieli ozorem bez potrzeby.

Minąwszy siódmy zakręt, Stilton zaczął się rozglądać za domem Aom i Sudarat, wkrótce powinni przepływać obok. Zakrył nos ręką, żeby nie czuć ostrego obrzydliwego smrodu ciała leżącego na dnie łódki. Nie patrzył tam, odkąd pokonali pierwszy zakręt, obserwował rzekę i Abbasa.

– Już ci lepiej? – spytał Abbas.

Stilton przytaknął, głównie po to, by uniknąć następnych pytań. Nie miał siły ujawniać prawdziwych emocji.

– Tak, lepiej.

Abbas wskazał ręką brzeg, nad którym stał dom obu kobiet. Drzwi były zamknięte, nie zobaczyli Sudarat ani ostatniego kajaka. Stilton przysunął sobie kurtkę leżącą obok Dechy. Trochę się przypaliła i śmierdziała dymem, ale nadawała się jeszcze do użytku. Odwrócił ją i zobaczył przy guziku czerwoną niteczkę od Sudarat. Dlaczego mu ją dała? I Abbasowi? Sięgnął do kieszeni po mapę Jhanga. Była pusta. Wtedy sobie przypomniał: uciekając z Wanssingi, wsunął ją pod przednią ławkę.

I tam właśnie leżała.

Lek rzeczywiście nie był człowiekiem, który miele ozorem bez potrzeby, a poza tym dysponował odpowiednimi środkami. Po telefonie Stiltona zadbał, aby do Wanssingi poleciał wojskowy śmigłowiec, jednocześnie postawił na nogi grupę policyjną szybkiego reagowania. Przewidywał, że z wielu powodów w Wanssingi zrobi się spore zamieszanie. Wojskowy śmigłowiec i motorówka z trzema farangami, w tym jednym mocno poparzoną, wzbudzą niemałą sensację. Wioska była pod kontrolą Jhanga, jednego z ludzi, których od lat Lek chciał zatrzymać – tak jak jego ojciec chciał zatrzymać ojca Jhanga, Kuhna Sa. Czasem udawało się odkryć jedną czy drugą drogę przemytu i zatrzymać jakąś partię opium, ale nie było to coś, co mogło poważnie zachwiać tym biznesem. I nie dowodziło, że za tą przestępczą działalnością stoi ojciec Jhanga albo on sam.

Należało to zrobić.

Głównym powodem zarządzenia akcji policyjnej była jednak opowieść Stiltona o tym, jak znalazł się w domu Jhanga i jak próbowano go zamordować. Gdy Stilton pojawi się ponownie na terytorium Jhanga, wszystko może się zdarzyć.

Lek wolał być na miejscu.

Komisarz i jego mała armia dotarli do celu mniej więcej w tym samym czasie, gdy łódka Abbasa i Stiltona wpłynęła do portu w Wanssingi. Sanitariusze przełożyli poparzone ciało na nosze i odstawili do stojącego na nabrzeżu kawałek dalej śmigłowca. Kiedy ten odleciał, Stilton zobaczył, że Lek wysiada z jeepa w towarzystwie kilku dobrze uzbrojonych i elegancko umundurowanych funkcjonariuszy.

Uroczysta zbiórka, pomyślał Stilton, wychodząc z motorówki. Lek podszedł z wyciągniętą ręką. Stilton już miał mu podać swoją, kiedy poczuł pieczenie poparzonej dłoni. Odwrócił ją i pokazał Lekowi.

– Cała barka spłonęła – powiedział.

– Ale zabraliście ze sobą pedofila, to chyba najważniejsze?

Na jednym poziomie tak, na innym wcale nie. Jednak nie miał siły rozmawiać o tym z Lekiem. Przed chwilą, kiedy wpływali do portu, opowiedział Abbasowi o Little Pluto. Wystarczy. A więc tylko przytaknął.

– Jak się stąd zabierzecie? – spytał Lek.

– Fajnie byłoby mieć policyjną eskortę do Chiang Rai.

Lek lekko się uśmiechnął.

– Tak będzie najbezpieczniej – odparł. – Nie trzeba dużo czasu, żeby Jhang Sa się dowiedział, że znów tu jesteś, jeśli już tego nie wie.

Co przypomniało Stiltonowi o mapie.

Nie myślał zbyt przytomnie.

Poszedł do motorówki, uniósł przednią ławkę i wyjął mapę. Abbas pomógł mu wyjść z powrotem na nabrzeże.

– Może ci się przyda – powiedział Stilton, podając mapę Lekowi.

Lek rozłożył mapę, spojrzał najpierw na nią, potem na Stiltona, rozejrzał się, a potem spytał cicho:

– Skąd ją masz?

– Wisiała na ścianie w biurze Jhanga w jego domu.

– Znów tam byłeś?

– Tak. Wczoraj.

Studiując mapę, Lek skinął na człowieka w mundurze. Teraz obaj patrzyli to na mapę, to na siebie.

– Wiesz, o co chodzi? – spytał Stilton.

– Tak – odparł Lek i znów się rozejrzał. – To prawdopodobnie mapa jego tajnych baz przeładunkowych.

– To świetnie – stwierdził Stilton. – Jedziemy?

Lek złożył mapę i podał mężczyźnie w mundurze, a ten schował ją do czarnej teczki i szybko poszedł do jeepa. Lek pokazał Stiltonowi, który samochód ich zabierze. Ruszyli tam, gdy Stilton usłyszał, że ktoś do niego mówi.

– Tom.

Odwrócił się. Sudarat wyszła przed jeden z barów. W ręce trzymała szklankę soku. Stilton podszedł i ją uściskał. Sudarat skinęła głową w stronę miejsca, gdzie przedtem stał śmigłowiec.

– To był ten mężczyzna ze zdjęcia?

– Tak. Zły człowiek.

– Wracasz teraz do domu?

Do domu? – pomyślał Stilton. A gdzie to jest?

– Tak. To znaczy jadę do mojej przyrodniej siostry w Mae Phim – odparł. – A ty?

– Ja już nie mam domu. Wprowadziłam się tu do przyjaciółki. Będzie dobrze.

Stilton kiwnął głową i spojrzał na czerwoną nitkę na swojej kurtce.

– Dlaczego ją dostałem?

– Bo tak się robi. To wspomnienie duszy mojej mamy. Może ją kiedyś spotkasz.

– Może.

Uśmiechnął się, pogładził Sudarat po ramieniu i poszedł za Abbasem do samochodu, trzymając w ręce swoją śmierdzącą dymem kurtkę. Ciekaw był, czy w Chiang Rai znajdzie się jakaś ekspresowa pralnia chemiczna.

– Może byśmy zadzwonili do Olivii – odezwał się Abbas, gdy doszli do samochodu.

– Oczywiście. Ty czy ja?

– Ty.

Olivia odebrała telefon od Stiltona, będąc już w komendzie. Miała po nim mieszane uczucia. Cieszyła się, że schwytali Fröviką, ale niepokoiła się o jego stan. Dochodzenie przeciwko niemu było w fazie końcowej i miała dostatecznie dużo materiału, żeby przedstawić mu zarzuty. Tymczasem ciężko poparzony Frövik przebywał w szpitalu w Bangkoku. Czy umrze, zanim Olivia zdąży go przesłuchać i zanim zostanie pociągnięty do odpowiedzialności? Zdawała sobie sprawę z cynicznego charakteru takiego myślenia, ale trudno. Zadzwoiła do Mette, aby ją poinformować, jaka jest sytuacja.

– Co mam zrobić, jak uważasz? – spytała na koniec.

– Jedź tam, jak tylko dokończysz dochodzenie. Pojadę z tobą.

Powiedziawszy to, Mette się rozłączyła.

– A dokąd ty z nią pojedziesz? – spytał Mårten, opryskując cytrusową roślinkę, na której pojawiło się jakieś robactwo.

– Do Tajlandii.

– Do Tajlandii! Dlaczego?

– Olivia będzie tam przesłuchiwać Frövikę.

– Co ty masz z tym wspólnego?

Mårten nie potrafił zrozumieć, po co Mette ma jechać do Tajlandii, gdzie Olivia będzie przesłuchiwać pedofila. Choćby odrażającego. Przecież ona jest na emeryturze!

– Potraktuj to jak wycieczkę emerycką. Mnóstwo emerytów podróżuje teraz do Tajlandii.

– W takim razie ja jako emeryt też jadę – oznajmił Mårten, kończąc oprysk.

Mette nie mogła się sprzeciwić, choćby nawet chciała.

Aditi wyczarowała skądś tryktraka i umieściła planszę przed dwoma mężczyznami siedzącymi w cieniu. Stilton wybrał białe pionki, dla Abbasa zostały czarne. Pochyleni nad grą mogli nie odpowiadać na ciągle im zadawane pytania, coraz bardziej szczegółowe. Opowiedzieli już o swojej wyprawie na północ, chwilami dość dramatycznej. Abbas, kiedy był w odpowiednim nastroju, naprawdę umiał ubarwić historię. Luna i Aditi wysłuchały jej z pewnym niedowierzaniem i zadziwieniem.

Czy to się wydarzyło naprawdę?

Stilton nie był w stanie mówić o tym, co w tej historii było najtrudniejsze, o stracie Little Pluto. Nie miał siły opowiadać, a więc pozwolił Abbasowi zabawiać obie panie, a sam leżał w cieniu i pociągał z butelki przemycone piwo. Gdy Abbas skończył, Stilton usiadł i uśmiechnął się lekko. W większości się udało, załatwili, co mieli załatwić, i nawet więcej.

I o to chodziło.

Dla Luni najważniejsze było, w jakim stanie jest Tom. Stał się innym człowiekiem. Głos, oczy, jego ręka pieszcząca ją w bungalowu. Tom wrócił. Wolała nie myśleć, co musiało się wydarzyć, żeby tak się stało. Aditi jednak wbijała jej do głowy: „Najważniejsze jest tu i teraz, na tym można budować”.

A było bardzo dobrze.

– Kiedy przylatują Olivia z Mette? – spytała.

Stilton mówił jej, że się zjawią.

– Jak tylko Olivia skończy.

– Mam nadzieję, że nas odwiedzą – odezwała się Aditi.

– Ja też mam taką nadzieję – powiedział Abbas, przesuwając czarny pion.

*

Veronica jechała powoli wózkiem przez pustawy korytarz. Obecność w szpitalu kobiety ze śladami poparzeń wydawała się naturalną częścią otoczenia. Nie musiała wiele pytać o drogę, by trafić do celu: do mężczyzny opartego o wezłowie łóżka, z którego rąk sterczały różne rurki. Większą część jego ciała zasłaniały bandaże, nie miał włosów, jego twarz była prawie czarna, pokryta gnijącą tkanką, a obie jego nogi zaatakowała gangrena.

Podjechała do okna w korytarzu, sąsiadującego z jego pokojem, i stanęła wózkiem tak, że mężczyzna nie mógł jej widzieć.

Obserwowała go w ciszy.

W całym swoim życiu nigdy nawet nie zbliżyła się do tej emocji, która w niej wezbrała, szczęścia, które rozgrzało jej nienaruszone wnętrze. Czuła radosne buzowanie krwi krążącej w jej ramionach, kiedy patrzyła na to okaleczone stworzenie.

Na Gustava Fröviką.

Długo tam siedziała, aż do momentu, gdy przechodząca pielęgniarka spytała ją:

– Przepraszam, a co pani tu robi?

– Rozkoszuję się.

Veronica wycofała wózek. Skończyła. Nie mówiąc nic więcej, skierowała się do windy.

*

Stilton spoglądał na nazwę szpitala nad wejściem. Próbował ją wymówić, i to kilka razy, ale poddał się. Phramongkutklao. Duży nowoczesny szpital w samym centrum miasta często był

wykorzystywany przez wojsko. Przypuszczał, że to dlatego Lek przywiózł tu Dechę. Dla Stiltona człowiek z barki był nadal Dechą, chociaż już znał jego prawdziwe nazwisko.

Stał pod daszkiem nad przeszklonym wejściem, padał rześisty deszcz. Właśnie wrócił z krótkich odwiedzin u Suzy i czekał na przyjazd z lotniska szwedzkiej delegacji. Gdyby zjawił się godzinę wcześniej, zobaczyłby wyjeżdżającą z budynku znajomą postać na wózku.

Wypatrywał w deszczu taksówki.

Nie był całkiem spokojny, upłynęło sporo czasu od ostatniego spotkania z tą trójką. Wprawdzie utrzymywali ze sobą kontakt, rozmawiali przez telefon, jednak to nie to samo. Oprócz Luny i Abbasa właśnie te trzy osoby znaczyły dla niego najwięcej. I jeszcze Aditi, pomyślał, bo jego relacja z przyrodnią siostrą pogłębiła się podczas pobytu w jej ośrodku – ją również zaliczył do swego najbliższego kręgu. W dodatku okazała się fajną osobą. Rano, przed wyjazdem tutaj, zaproponowała mu, żeby zrobił sobie tatuaż. Stiltonowi taka ozdoba zawsze się kojarzyła ze światem przestępczym. Przeżył wstrząs, kiedy odkrył jeden na plecach Luny. Nawet nie sam tatuaż, ale to, co on ujawnił.

Spytał Aditi, co według niej miałby sobie wytatuować, a ona zaproponowała jakiś symbol. „Symbol czego?” – spytał. „Czegoś, co dla ciebie jest ważne”. Zmusiło go to do zastanowienia się, co jest dla niego ważne. Po po dłuższej chwili uzmysłowił sobie, że może właśnie o to jej chodziło.

Żeby się nad tym zastanowił.

Ale przypomniał mu się Little Pluto i wyszedł.

Teraz patrzył na wyasfaltowany dziedziniec przed szpitalem. To na pewno ta, pomyślał, gdy z deszczu wyłoniła się duża błyszcząca taksówka i zatrzymała przed wejściem. Od razu do niej podszedł. Olivia uścisnęła go krótko.

– Później pogadamy – powiedziała i od razu weszła do środka.

Nieczęsto widywał u niej taki zacięty wyraz twarzy.

Mette okazała większą serdeczność, długo trzymała go w uścisku i wypowiedziała kilka słów więcej.

– Gdzie Abbas?

– Został w ośrodku.

– Okej. Razem tam pojedziemy, kiedy będzie już po wszystkim.

I poszła za Olivią.

Mårten nie zaoferował uścisku, bo ciągnął za sobą dwie walizki. Ale za to nie miał problemów z rozmową, bo lęk przed lataniem leczył alkoholem, więc wyraził wielką radość, że znów widzi Toma.

– Ty naprawdę zdrowo wyglądasz!

*

Olivia stała samotnie przy oknie w szpitalnym korytarzu. Patrzyła na siąpiący deszcz. Lot do Tajlandii był koszmarny i długi. Było jej niewygodnie i prawie nie spała. Pozostawała w jakimś odrętwieniu, w głowie miała karuzelę myśli bez jakiegokolwiek związku. Zastanawiała się, jak podejść do czekającego ją przesłuchania, a już po chwili dumiała o gapiącym się na nią administratorze domu, który zwracał jej uwagę, że wycieraczka do butów leży przed drzwiami, a nie w środku.

Powinna maksymalnie się skupić. Miała świadomość, że czeka ją swoisty egzamin na czeladnika. To ona doprowadziła do tego wyjazdu i dostała zgodę na jego sfinansowanie z państwowej kiesy. Nie objęło ono Mårtena, ale przyjazd Mette udało się jakoś wpisać na policyjną fakturę.

To akurat było mało ważne. Gra toczyła się o coś więcej.

Znacznie więcej.

Gdyby końcowy rezultat okazał się inny niż ten, na jaki liczyła, prawdopodobnie odbiłoby się to na jej karierze w policji.

Spojrzała na zewnętrzny parapet, z którego staczały się pojedyncze krople wody.

– Wchodzimy? – spytała Mette.

Stała kawałek od Olivii, przed jakimiś otwartymi drzwiami. Mårten i Stilton siedzieli jeszcze dalej na niskich drewnianych fotelach. Mårten, ciągle na rauszu, trzymał w ręce filiżankę kawy.

Olivia i Mette weszły do tymczasowego pomieszczenia przesłuchań, a raczej oddanego im do dyspozycji pokoju odwiedzin. Wewnątrz były tylko stół i dwa krzesła.

Dwa? – zdziwiła się Olivia, zanim sobie uprzytomniła, że osoba przesłuchiwana zapewne nie będzie siedzieć na krześle. Mette przesunęła jedno krzesło pod ścianę i na nim usiadła. Olivia podeszła do stołu, położyła na nim mały magnetofon i część materiałów zebranych podczas dochodzenia.

I też usiadła, nie spojrzawszy na Mette.

Czuła, że jest bardzo spięta, lekko pochyliła się do przodu, opierając się na podłodze samymi palcami stóp; miała nadzieję, że zapanuje nad głosem.

Jeszcze nigdy nie była w takiej sytuacji.

Owszem, prowadziła przesłuchania, nawet całe mnóstwo, ale żadne z nich nie było tak ważne. W dodatku zdawała sobie sprawę, że jej zadanie będzie polegało na złamaniu ciężko rannego człowieka.

Świnię, sama się napomniała.

Nie zapominaj o tym, nie pozwól, aby zwiódł cię jego wygląd, jest sprawcą, niezależnie od tego, co go spotkało. Jego ofiary są co najmniej tak samo poszkodowane jak on.

I wtedy stało się to, na co tak bardzo starała się uodpornić: stanął jej przed oczami Lukas, ludzki rozbitek, siedzący naprzeciw niej w Karsudden.

Zobaczyła ten obraz w chwili, gdy spojrzała na mężczyznę na wózku, który właśnie wtoczyła do pokoju tajska pielęgniarka. Był to Gustav Frövik. Olivia wskazała przeciwną stronę stołu, pielęgniarka postawiła wózek, zablokowała go i wyszła. Dopiero wtedy Olivia popatrzyła Frövikowi w oczy.

Nie miał już powiek.

Szarzielony przewiewny szpitalny szlafrok zakrywał bandażę, twarz mężczyzny była całkowicie zniekształcona.

Na szczęście cię znam, pomyślała Olivia.

Na głowie miał okrągły płaski czepek.

Ręce trzymał pod stołem.

Olivia włączyła magnetofon, nagrała formalny wstęp i odchyliła się na krzesło. Uczestniczyła w wielu przesłuchaniach prowadzonych przez Mette i dużo się od niej nauczyła, między innymi tego, że trzeba od razu przejść do rzeczy.

– Czy jest pan pedofilem? – zapytała.

Frövik przesunął wzrokiem po jej twarzy, jakby chciał się upewnić, kim jest. Potem chrząknął, gardło też miał poparzone, jego głos brzmiał, jakby wydobywał się z głębokiej wąskiej studni.

– Jestem psychologiem – odparł. – Jak pani wie.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie, również psycholog może być pedofilem. Jest pan pedofilem?

– Pominąwszy niesłychaną bezczelność pytania, jest ono absolutnie bezpodstawne.

– Czyli odpowiedź brzmi: nie?

– Oczywiście.

– Oto pięć pornograficznych fotografii przedstawiających małych chłopców w sytuacjach krytycznych.

Podsunęła zdjęcia Frövikowi, a on szybko na nie zerknął.

– Rozpoznaje pan te zdjęcia? – spytała.

– Nie potrafię tego stwierdzić.

– A powinien pan. Znaleźliśmy je w jednym z pańskich komputerów.

– A, te? Już rozumiem. Pochodzą z kierowanego przeze mnie projektu badawczego dotyczącego dzieci w traumie. Dzieci, które były wykorzystywane seksualnie. To materiał badawczy.

– I w tym projekcie użyto tylko tych zdjęć?

– Tak, jeśli dobrze pamiętam.

– To niedobrze pan pamięta – odparła.

– Tak?

– Znaleźliśmy więcej zdjęć na cyfrowych nośnikach pamięci, które należą do pana.

– Tak? Cóż, możliwe, że było ich jeszcze trochę.

– Przeszło pięćdziesiąt tysięcy.

Patrzyła mu prosto w oczy w spalonej twarzy, widziała reakcję źrenic.

– Pięćdziesiąt tysięcy – powtórzyła. – Większość z nich znajdowała się w prywatnym komputerze, niepowiązany z pańską praktyką. Jak pan to wytłumaczy?

Frövik uciekł wzrokiem, powędrował spojrzeniem w stronę jedyne okna, w które wciąż bębnił deszcz. Po chwili znów popatrzył na kobietę siedzącą naprzeciwko.

– A co to za zdjęcia? – spytał głosem brzmiącym bardziej jak syk.

– Na niektórych pozuje pan nago z nieletnimi w sytuacjach seksualnych. Czy te zdjęcia zostały zrobione na pańskiej barce?

– Na mojej barce?

– Jest pan, czy raczej był pan, bo się spaliła, właścicielem barki rzecznej „Contamana” na dopływie rzeki Kok. Używał pan tam pseudonimu Decha. Na barce mieszkała pewna liczba birmańskich Rohingjów, prawda?

– Tak. To dzieci, które przeżyły pogromy i prześladowania. Próbowałem im pomóc, ratować je, dałem im dom, karmiłem je, uczyły się angielskiego, puszczałem im muzykę i dawałem poczucie bezpieczeństwa.

– Ale musiały za to zapłacić pewną cenę – powiedziała zimno Olivia. – Były gwałcone. Przez pana.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Ja nie sądzę, bo nie na tym polega moja praca, ja wiem. Oprócz pańskich zdjęć jest świadek, który widział, jak na barce gwałcił pan dwunastoletniego chłopca. Świadek potwierdzi swoje zeznanie w sądzie.

Olivia odwróciła się do Mette, która już była przy drzwiach, otworzyła je i czekała. Po dłuższej chwili wszedł Stilton. Podszedł do stołu i patrząc na Frövik, zobaczył mniej więcej to samo, co parę godzin wcześniej Veronica Wadner.

Z tą różnicą, że się nie rozkoszował.

– To jest Tom Stilton, ekskomisarz szwedzkiej policji kryminalnej – powiedziała Olivia.

Frövik po raz pierwszy położył ręce na stole. Również były poparzone, ale mimo to próbował zacisnąć dłonie w pięści.

Olivia zwróciła się do Stiltona:

– Możesz powiedzieć, co widziałeś na barce „Contamana”?

Stilton był całkowicie opanowany. Zmusił się do patrzenia prosto w oczy Frörika i dokładnie opisał, czego był świadkiem tamtej nocy, gwałtu w jego kabinie. Dodał, że ofiara potem potwierdziła, że nie był to jedyny raz.

– Chłopiec, niestety, nie będzie mógł tego sam zeznać, bo zginął w pożarze twojej barki – powiedział.

Frörik pochylił nieco głowę, może na myśl o barce, a może o Little Pluto, a potem poszukał spojrzenia Stiltona.

– A ja przeżyłem – powiedział. – Dzięki tobie. Uratowałeś mi życie.

– Tak.

– Dlaczego? Ciągłe się nad tym zastanawiam.

– Żebyś do końca życia mógł patrzeć na swoje odbicie w lustrze.

– Tom! – Mette się zorientowała, że sytuacja rozwija się w niewłaściwym kierunku.

Stilton odwrócił się na pięcie i wyszedł. Kiedy zamknął drzwi, Olivia spojrzała na Frörika.

Przygarbił się, głowa zwisała mu na pierś. Olivia nie była pewna, czy jest przytomny. Przecież został ciężko ranny, może właśnie odpływa? Odwróciła się w stronę Mette, a ona krótko kiwnęła głową, jakby mówiła: kontynuuj.

A więc kontynuowała.

– Nadal pan utrzymuje, że nie jest pedofilem? – spytała.

Frörik nie drgnął, pogрузił się w rozmyślanie o przeszłości, przypomniało mu się, jak Tom spytał go, czy cierpi na jakąś nieuleczalną chorobę, a on odpowiedział: „To zależy, jak określisz chorobę. Bycie chorym nie musi oznaczać, że cierpisz na jakąś dolegliwość fizyczną czy psychiczną. Chodzi o to, jak definiuje to świat”.

W końcu podniósł głowę, mówił teraz bezdźwięcznym głosem, niemal szeptem.

– To skłonność, na którą nie ma rady – powiedział i umilkł.

– To jest zaburzenie, które jest karalne, jeśli prowadzi do nadużyć wobec dzieci – odparła.

Frörik patrzył na nią, widziała, że usiłuje poruszyć spalonymi wargami.

– Ta kara towarzyszy mi przez całe życie – odparł. – Kara, o której pani mówi, jest jak wybawienie. Skończyliśmy już? Jestem dość zmęczony.

– Zaraz. Jeśli pan chce, możemy zrobić przerwę.

Mårten wytrzeźwiał dzięki mocnej kawie i zimnej wodzie. Siedział razem ze Stiltonem niedaleko pokoju przesłuchań. Po krótkiej pauzie, gdy Stilton tam poszedł, wrócili do rozmowy o ostatnich wydarzeniach w życiu każdego z nich. W przypadku Mårtena była to przede wszystkim emerytura Mette, bardzo go też poruszyła opowieść Stiltona o jego wyprawie do Złotego Trójkąta.

– A dotarłeś do sedna swojego bólu?

– Mojego bólu?

– Nie o to chodziło z tą podróżą? Żebyś dotarł do sedna?

Stilton nie do końca rozumiał, co ma na myśli Mårten. Aditi uderzała w podobne tony. Jakie sedno bólu?

– Chciałem schwycić pewnego pedofila – powiedział.

– Nie, Tom, chciałeś uchwycić samego siebie. I co, uchwyciłeś?

Stilton już miał powiedzieć Mårtenowi, że rzeczywiście uchwycił w sobie niejedno, gdy wyszła do nich Mette.

– Skończyliście? – spytał Mårten.

– Przyznał, że jest pedofilem.

Stilton zacisnął pięść. Wiedzieć to jedno, co innego udowodnić i jeszcze uzyskać przyznanie się. Olivia najwyraźniej zaliczyła hat tricka.

Niesamowite.

Zaprosi ją w nagrodę do Suzy.

– Ale to jeszcze nie koniec – dodała Mette.

– Jak to nie koniec? – zdziwił się Stilton.

– Zrobiliśmy tylko przerwę.

Mårten odwrócił się do Stiltona.

– Mogę cię spytać, dlaczego wyprawileś się za tym, jak go tu nazywali, Dechą?

– Dostałem zlecenie od pewnej kobiety. Dała mi zdjęcie nieznanego mężczyzny i chciała, żebym go znalazł. Nazywa się Veronica Wadner. – I odwróciwszy się do Mette, Stilton dodał: – Z nią powinnaś porozmawiać.

Zdażył dostrzec, że zareagowała, ale wówczas Olivia zawołała:

– Chciałabym kontynuować przesłuchanie!

Mette ich zostawiła, a Mårten spojrział na Stiltona.

– Przerwano nam – powiedział. – A więc: sedno twojego bólu?

Gdy Mette wróciła do pokoju, Olivia stała przy oknie i patrzyła na ciemny deszczowy Bangkok. Podeszła do niej i bez słowa położyła jej rękę na ramieniu. Olivia odczytała to jako wyraz wsparcia.

Potrzebowała tego.

Teraz dopiero się zaczyna.

Znów zajęła miejsce naprzeciw Frövika. W przerwie pielęgniarka podała mu wodę i leki, siedział teraz na wózku wyprostowany. Oliwię uderzył absurd sytuacji: ma przesłuchać ciężko poparzonego człowieka, który jest zaledwie strzępem dawnego siebie.

Przesłuchać w innej sprawie niż pedofilia.

Przypomniał jej się Lukas i od razu zniknęła odrobina empatii, jaką poczuła dla Frövika.

– Kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, wyjaśnił pan, co może wywołać dysocjacyjne zaburzenie osobowości. Na przykład wykorzystywanie seksualne w dzieciństwie. Zgadza się?

– Tak. Ale co to ma do rzeczy?

– Bardzo wiele. I łączy się z Lukaszem Bengtssonem.

Frövik zareagował prawie niezauważalnym drgnieniem ramion, Olivia je odnotowała i mówiła dalej.

– Przed jego procesem był pan członkiem zespołu ekspertów, którzy badali jego stan psychiczny, prawda?

– Tak, przecież pani wie.

– I doszliście do wniosku, że cierpi na dysocjacyjne zaburzenie osobowości.

– Tak jest.

– Przejrzałam dokumentację pana prywatnych pacjentów, wynika z niej, że z Lukaszem Bengtssonem łączyła pana długoletnia relacja, zgadza się?

– Z całkiem uzasadnionych powodów. On ma problemy psychiczne, a ja jestem psychologiem.

– W relacji z Lukaszem jest pan kimś znacznie więcej. Przypuszczam, że ta relacja sięga daleko wstecz, do lat, gdy pracował pan w Skå. Relacja seksualna. Przypuszczam, że już wtedy pan go wykorzystywał, uzależniając od siebie.

Olivia waliła prosto z mostu, bezlitośnie.

Jego twarz z oczywistych powodów była pozbawiona wyrazu, ale Olivia odniosła

wrażenie, że dostrzega ruch mięśni policzka.

– Dużo pani przypuszcza – odparł Frövik. – Lukas pani coś mówił?

– Powiedział dostatecznie dużo.

Olivia otworzyła teczkę, dotąd zamkniętą, i wyjęła kilka kartek. Frövik usiłował podejrzeć, co na nich jest, ale bez powodzenia.

– Co to? – spytał.

Nie odpowiedziała, rzuciła szybkie spojrzenie na Mette, jakby oczekiwała jej wsparcia przed tym, co miało nastąpić.

Nie dostała go.

Mette chciała, żeby Olivia przeprowadziła to przesłuchanie całkowicie samodzielnie. Była zupełnie spokojna. Nie bała się o swoją uczennicę.

A Olivia była już gotowa do lotu.

Odwróciła się z powrotem do Frövika.

– Przed chwilą przyznał się pan do pedofilii i wykorzystania dużej liczby dzieci, zarówno za pośrednictwem mediów cyfrowych, jak i fizycznie. Gdyby to wyszło na jaw pół roku temu, oznaczałoby to katastrofę dla pana osobiście, jak i dla pańskiej żony i jej pracy na rzecz organizacji Dobro Dzieci. Zgadza się?

– Teraz też tak będzie.

– Ale pół roku temu nikt o tym nie wiedział. Oprócz pana i pańskich ofiar, prawda?

– Można to wyrazić w ten sposób.

W tym momencie Olivia zmieniła wątek.

– Zapewne wie pan o zamachu bombowym na rodzinę Brovallów w Sztokholmie.

Frövik zrobił zdziwioną minę, dokładnie tak, jak się spodziewała.

– Tak, straszna historia.

– Kaj Brovall, który zginął w tym zamachu, był pana księgowym, zgadza się?

– Tak. Współpracował z wieloma ludźmi.

– Ale tylko jeden z nich był pedofilem, przynajmniej miejmy taką nadzieję.

Uśmiechnęła się lekko, sama nie wiedząc dlaczego, i wyciągnęła jedną kartkę.

– To jest notatka, którą Kaj Brovall sporządził kilka dni przed śmiercią. Krótkie zapiski, nie wymienił w nich żadnego nazwiska, ale to jasne, że chodzi o pana i podejrzenia, że jest pan pedofilem. Wynika z nich, że był bardzo wzburzony i zastanawiał się nad złożeniem doniesienia do policji. Wiedział pan o jego podejrzeniach?

– Nie.

– A ja myślę, że tak.

Odłożyła kartkę i lekko się nachyliła do Frövika. Siedząca za nią Mette była zachwycona. Nareszcie ma następczynię w subtelnej sztuce przesłuchiwania. Ona też się wychyliła lekko do przodu, żeby nie uronić ani słowa.

– Myślę, że celem zamachu na Brovallów był Kaj, a nie jego żona Malin. Chodziło o to, żeby zabić człowieka, który mógł ujawnić pana pedofilską aktywność, a jednocześnie stworzyć wrażenie, że celem zamachu była prokurator Malin Brovall. Podejrzenia o dokonanie zamachu miały być skierowane na chorego psychicznie Lukasa Bengtssona.

Umilkła.

Powiedziała to.

Po raz pierwszy przyszło jej to do głowy, kiedy wraz z Lisą odkryły, że Kaj Brovall był księgowym Gustava Frövika. Przypadek? Czy może Kaj odkrył, że Frövik jest pedofilem, i zamierzał to ujawnić? Może to on był właściwym celem zamachu? Czyli wszyscy rozumowali niewłaściwie? Ona też?

Ta myśl długo wydawała się absurdalna, ale w miarę jak w różnych schowkach Frövika znajdowano coraz więcej dowodów, stawała się coraz bardziej realistyczna.

A przynajmniej prawdopodobna.

Olivia spojrzała na Mette. Emerytowana pani komisarz miała spokojną i aprobującą minę. Poznała te ustalenia jeszcze przed wyjazdem do Bangkoku. I wiedziała, że Olivia prawdopodobnie doprowadzi do rehabilitacji Lukasa.

Przy znacznej pomocy Toma i dzięki odkryciu, jakiego dokonał podczas wyprawy do Wansingi.

Mette pomyślała, że napisze o tym w swoich wspomnieniach.

Frövik milczał równie długo jak Olivia. Zorientował się już, że ta kobieta zamierza udowodnić, że odpowiada za zabójstwo rodziny Brovallów. Uzmysłowił sobie, że jest bardziej zafascynowany niż przestraszony, i chciał się przekonać, jak Olivia się do tego zabierze. Jego ciało zostało okaleczone na zawsze, a pozycja społeczna bezpowrotnie zrujnowana, nie pozostało mu wiele.

Olivia też była tego zdania.

– Uważam, że to pan podłożył bombę w samochodzie Brovallów – zaczęła.

Przez pół godziny mówiła, jak to zrobił; oparła się na szczegółowych danych uzyskanych przez sztokholmską policję: billingach zaszyfrowanych rozmów telefonicznych, zdjęciach, starych mailach z pogrózkami od Lukasa i tak dalej.

Na przykład o tym, jak Frövik skonstruował bombę na podstawie szczegółowej instrukcji z sieci.

Link do odpowiedniej strony znaleziono w jego komputerze.

– Podczas przeszukania na pana letniej działce na Ingarö w szopie na łódzie znaleźliśmy fragmenty materiału do konstrukcji bomby – powiedziała.

– Na przykład?

– Resztki masy plastycznej używanej w ładunkach wybuchowych, takich jak ten, który eksplodował w samochodzie Brovallów.

Potem przeszła do sprawy Lukasa Bengtssona. Musiała uważać, żeby nie ulec osobistym emocjom. Czuła na plecach spojrzenie Mette.

Starając się mówić pewnym głosem, opisała, jak Frövik zmanipulował Lukasa, żeby poszedł do domu Malin Brovall, i następnie do niego zadzwonił, aby numer Lukasa zalogował się w pobliżu miejsca zbrodni. Potem w noc przed eksplozją wysłał do Malin Brovall mail z pogrózkami sformułowanymi w taki sposób, żeby wskazywały, iż zrobił to Lukas.

– Nasi eksperci to potwierdzili.

Frövik milczał. Patrzył na tę stanowczą kobietę i czuł straszliwe zmęczenie.

– Wiedział pan, jaki Lukas miał stosunek do Malin Brovall – ciągnęła Olivia. – I o wcześniejszych pogrózkach, które do niej kierował, prawda?

– To była część jego terapii. Musiał pokonać swoją fiksację na jej punkcie.

– Czyli wiedział pan, jak to zostanie zinterpretowane, gdy się okaże, że Lukas był na miejscu przestępstwa?

Frövik nie odpowiedział, było to oczywiste i stanowiło samo jądro jego planu. Powiedział Lukasowi, że Malin Brovall zgodziła się z nimi spotkać, by mu pomóc w przezwyciężeniu obsesji. Rzekome spotkanie miało odbyć się u niej w domu i tam się umówili, ale potem zadzwonił do Lukasa, że Malin Brovall przesunęła je na następny dzień, i powiedział mu, żeby wracał do domu. Dla pewności jeszcze podrzucił rękawiczkę Lukasa obok samochodu. Nie było tego w jego pierwotnym planie, ale kiedy poszedł do mieszkania Lukasa pod pozorem obejrzenia jego nowych obrazów, a tak naprawdę, żeby wsunąć między jego książki manifest Unabombera,

zabrał ją z przedpokoju.

Ostatecznie jego plan się nie powiódł.

Gdy Olivia spytała wprost, czy to on podłożył bombę w samochodzie Brovallów, stwierdził słabym głosem:

– Cały czas chodziło tylko o upodobanie do chłopców.

Na tę obrzydliwą odpowiedź Olivia zamknęła swoje skoroszyty i opuściła pokój.

Mette podeszła do stołu, skierowała mikrofon w stronę Frörika i powiedziała:

– Dla formalności proszę o potwierdzenie, że to pan umieścił ładunek wybuchowy w samochodzie Brovallów.

– To ja.

– Dziękuję.

Gdy Mette wyszła na zewnątrz, Mårten wstał.

– Skończyłyście już? – spytał.

– Tak.

– A ja nie.

Wszedł do pokoju przesłuchań i zamknął za sobą drzwi. Odwróciwszy się, napotkał spojrzenie Frörika. Było martwe. Mårten patrzył na mężczyznę na wózku, który przez długie lata był jego bliskim współpracownikiem w Skå, jednym z najlepszych, posiadającym wyjątkową umiejętność nawiązywania kontaktu ze strauumatyzowanymi dziećmi.

Na pedofila.

Nie powiedział ani słowa. W końcu Frörik spytał:

– Nie przekreślisz noża wbitego w ranę?

Wtedy Mårten się odwrócił i wyszedł.

Stilton poszedł razem z Mette i Olivią do niewielkiego pokoju socjalnego. Obie milczały.

Kiedy już nalały sobie kawę do filiżanek, odważył się spytać:

– O co tam jeszcze chodziło? Poza tym, że jest pedofilem?

Odpowiedź go zdziwiła, i to bardzo.

*

Wszyscy pojechali białym busem z Bangkoku do Mae Phim. Przed powrotem do domu planowali przenocować w ośrodku Aditi, zjeść coś i pobyć razem. Stilton poprosił, żeby go po drodze wysadzili, bo musi jeszcze kogoś odwiedzić.

Znaną już sobie plażę dotarł do domu Veroniki. Widział, że w pokoju na werandzie pali się światło. Wszedł na górę, zapukał i otworzywszy drzwi, zawołał:

– Cześć, tu Tom Stilton! Jesteś sama?

Wolał nie wpaść znów na ślusarza.

– Wejdz, proszę!

Wszedł do przedpokoju i dalej na werandę. Veronica siedziała na sofie pod ścianą, była owinięta pledem od pasa w dół, w ręce trzymała szklankę. Przypuszczał, że to dżin.

– Napijesz się whisky?

– Whisky?

– Nie należy się przyzwyczajać – powiedziała, wskazując mu barek.

Stilton podszedł do niego i nalał sobie whisky. Czuł, że ma powody, żeby się napić. Wizyta w szpitalu poruszyła go z wielu względów, sporo kosztowało go zwłaszcza spotkanie z poparzoną Frörikiem, chociaż tego nie okazywał.

– Możesz mi pomóc? – spytała Veronica.

Obejrzał się, pokazała na swój wózek inwalidzki. Odstawił szklankę i pomógł jej się

przesiąść.

– *Skål* – powiedziała.

Stilton uniósł szklankę w geście toastu i powiedział:

– Szwedzka policja właśnie przesłuchiwała w Bangkoku Gustava Frövíka. Przyznał, że jest pedofilem i że wykorzystywał seksualnie dzieci.

– Bardzo dobrze.

– Poza tym przyznał się do wysadzenia w powietrze samochodu z trzema osobami w środku.

– Wiem.

– Skąd wiesz?

– Bo byłam jedną z osób w tym samochodzie.

Stilton połapał się dopiero po bardzo długiej chwili. Gapił się na nią z otwartymi ustami.

– Malin Brovall? – spytał w końcu.

– To kwestia definicji.

– Przeżyłaś?

– Przeżyłam, może dlatego, że nie zdążyłam wsiąść do samochodu. Säpo aż do procesu ukrywało ten fakt, żeby mnie chronić, bo z początku myślano, że zamach był sprawką terrorystów, którzy postanowili mnie dopaść. Po wyjściu ze szpitala natychmiast sprzedałam dom i przeprowadziłam się tutaj, wróciłam też do panińskiego nazwiska, Malin Veronica Wadner, chciałam zniknąć. Nie miałam po co żyć.

Stiltonowi odebrało mowę.

Siedziała przed nim Malin Brovall.

Bardziej stworzenie niż człowiek, jak to sama ujęła.

Musiał się pozbierać.

– Czy Mette Olsäter o tym wiedziała? – wykrztusił w końcu.

– Tak. Od samego początku. To ona mi podpowiedziała Mae Phim, kiedy postanowiłam wyjechać do Tajlandii; znała to miejsce i miała prowadzącą tu azyl znajomą, która mogła pomóc mi się podnieść.

– Aditi.

– Tak. A potem Mette podpowiedziała mi ciebie.

– Mnie?

Tego było już za wiele, nie wiedział, co powiedzieć. Widząc, jaki jest skonsternowany, Malin uznała, że należy mu się wyjaśnienie.

Spokojnie, jakby z pewnym rozbawieniem zaczęła mówić.

– Po powrocie ze szpitala pod domową drukarką w gabinecie Kaja znalazłam zielony skoroszyt z zapisaną ręcznie kartką i zdjęciem nieznanego mężczyzny. Wyglądało, jakby je tam schował. Na kartce zanotował kilka rzeczy, które wprawiły mnie w zdumienie.

– Co takiego?

– Luźne zdania o człowieku z mroczną tajemnicą, Kaj wpadł na nią i bardzo go to wystraszyło. Przypuszczałam, że chodziło mu o mężczyznę ze zdjęcia, ale akurat wtedy myślałam tylko o tym, żeby wszystko sprzedać, wyjechać i zniknąć. Znalazłam ten dom i tanio go kupiłam. Po pewnym czasie, kiedy odzyskałam jako taką równowagę, sięgnęłam znów po tę kartkę i zdjęcie, przeczytałam notatki Kaja i nagle sprawa nabrała nowego wymiaru. Kaj naprawdę bardzo się przestraszył. Czego? Tego człowieka z tajemnicą? I wtedy przysłała mi do głowy pewna myśl.

Umilkła. Stilton siedział bez ruchu, trochę za blisko niej.

– Jaka myśl? – spytał.

– Że celem tego zamachu nie byłam ja, tylko Kaj.

Upiła łyk ze szklanki i odczekała, aż to zdanie wybrzmi. Wypowiedziane pierwszy raz było szokujące. Teraz się potwierdziło.

– Kiedy szok już puścił, znów się przyjrzałam zdjęciu – ciągnęła. – Przedstawiało nieznanego mi mężczyznę, a na jego odwrocie widniał dziwny napis.

– „Contamana”.

– Tak. Może Kaj widział je gdzieś, może gdy odkrył, czym się Frövik zajmuje, a może niechcący zobaczył w jego komputerze pedofilskie zdjęcia z tej barki? Tak czy inaczej pewnego dnia byłam w Orientale w Bangkoku i nagle zobaczyłam tego mężczyznę ze zdjęcia. Od razu go poznałam i się przeraziłam. Po powrocie do domu zadzwoniłam do Mette Olsäter i wszystko jej opowiedziałam. Mówiłam jej, że nie wiem, o co chodzi z tymi notatkami Kaja ani ze zdjęciem, ale ona od razu zareagowała. Powiedziała, żebym spróbowała się dowiedzieć, kim jest ten mężczyzna. Nie chciałyśmy wciągać w to tajskiej policji, za bardzo to wszystko było niejasne, więc Mette zaproponowała, żebym się skontaktowała z tobą. Wiedziała przecież, że mieszkasz u Aditi. Uznałam, że to dobry pomysł. Znałam cię z nazwiska, kiedy jeszcze pracowałeś w starym Riksrím¹⁵, więc dla mnie byłeś wręcz idealny do tej roboty.

Stilton siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę i usiłował nadążyć za tymi rewelacjami.

– Resztę mniej więcej znasz – powiedziała Malin.

Uśmiechnęła się i podsunęła mu swoją szklankę. Stilton nalał jej whisky, dopił swoją i sobie też dolał. Potrzebował tego. Od początku był oszukiwany, więc czuł się tak, jak można oczekiwać: wprowadzony w błąd, wykorzystany i zmanipulowany, ale z drugiej strony rozumiał ich powody.

– Dla naszych celów byłeś idealny – dodała, sącząc whisky.

Stilton kiwnął głową i wziął łyk alkoholu.

– A dlaczego od początku mi nie powiedziałaś, jak jest? I kim jesteś – spytał.

– Po pierwsze dlatego, że pewnie o mnie słyszałeś, i wolałam, żebyś myślał o dawnej mnie, a nie takiej, jaka teraz jestem. A po drugie nie chciałam wydać Mette.

– Dlaczego?

– Bo ona nie chciała, żebyś wiedział, że mi ciebie podpowiedziała.

Tę informację przyswoił sobie bardzo dokładnie, wróci z nią do ośrodka Aditi. Wypił kolejny łyk.

– To była dla nas wszystkich długa podróż – zauważył.

– Tak. Dla ciebie chyba najdłuższa – powiedziała.

– Nie, nawet nie ma porównania – zaproponował, patrząc na okaleczoną kobietę. – Jak się teraz czujesz? Kiedy już jest po wszystkim?

Uśmiechnęła się, na ile potrafiła.

– Wydaje się to kompletnie absurdalne – odpowiedziała zgaszonym głosem. – I zupełnie inne niż jeszcze przed chwilą.

– Co takiego?

– Byłam w szpitalu, patrzyłam na niego, widziałam, w jakim jest stanie, i czułam ogromną satysfakcję. Jakbym dzięki nienawiści na chwilę odżyła i poczuła spokój. Na pewnym poziomie, poziomie nienawiści, zło otrzymało twarz. Pokiereszowaną jak moja. Ale to nie zmienia ani przeszłości, ani przyszłości. Pozostała żałoba, która jest podsumowaniem straty. W moim przypadku straty rodziny. Żałoba i cisza.

– Czyli nie zostało nic, co mogłoby cię trzymać przy życiu.

– Aditi tak powiedziała?

– Coś w tym rodzaju – odparł.

– Pewnie ma rację. – Patrząc w swoją szklankę, ciągnęła: – Mąż i dziecko wyrwani z życia, kontakty towarzyskie nie istnieją, zmasakrowane ciało i twarz, na co komu takie życie?

Stilton nie miał na to odpowiedzi.

– Na nic – kontynuowała. – Przestajesz żyć, bo to, co było definicją życia, zostało unicestwione. Osoba, którą widzisz w lustrze, nie jest tobą... Jesteś spustoszoną wnętrzem, przeszłością uwięzioną w zdeformowanym ciele. Jedyne, co cię łączy z prawdziwą tobą, są oczy w lustrze, twój wewnętrzny zwiadowca, który zmusza cię do patrzenia na tę, którą się stałaś. To dość wyniszczające.

– Jesteś rozgoryczona?

– Nie, to znacznie więcej.

Malin się odwróciła, podjechała do okna i spojrzała na morze. Stilton stanął tuż za nią, pogłaskał ją delikatnie po policzku i przytrzymał dłużej rękę. To był policzek Malin Brovall. Kiedy poczuł na palcach ciepłe łzy, cofnął dłoń.

Zemsta, pomyślał Stilton, idąc plażą do ośrodka. Malin miała swoją zemstę, która dała jej satysfakcję. A on, czy poczuł satysfakcję? Na Filipinach? To bardzo wątpliwe. Zemsta napędzała go do działania, ale nie przyniosła satysfakcji. Raczej przeciwnie. Stała się udręką.

Malin nie zamordowała Gustava Frövik, więc to niezupełnie to samo.

Jednak dopilnowaliśmy, żeby dwa ludzkie potwory zostały ukarane, pomyślał. Kara w przypadku Frövik była właściwa, w przypadku kobiety na Filipinach budziła wątpliwości.

Nie zabijaj.

Może właśnie to powinienem sobie wytatuować? – pomyślał.

Zorientował się, że szumi mu w głowie od whisky.

Postanowił posiedzieć chwilę na plaży i oprzytomnieć.

Mårten z Olivią przeszli się po sklepach przy handlowej ulicy Mae Phim. Kupili wszystko z listy Aditi i jeszcze więcej. Między innymi dobre wino i miejscowe piwo. Mårten odwiedził stragany z przyprawami i warzywami, a Olivia przyjrzała się rybom i owocom morza. Często nie wiedziała, na co patrzy, więc musiała trochę ryzykować. O zmierzchu wrócili do ośrodka wypakowanym po dach tuk-tukiem.

A teraz usiedli do kolacji.

Wszyscy uczestniczyli w przygotowaniu jedzenia. Aditi rozłożyła wielki piękny koc – zastawili go po brzegi miseczkami i półmiskami w najróżniejszych kolorach, pełnymi najrozmaitszych potraw. Był to przepyszny bufet o takich zapachach, że skusiłyby nawet najbardziej najedzonego człowieka. Między naczyniami przyrodnia siostra Toma rozstawiła świece w szklanych buteleczkach. Większe butelki Mårten ustawił na niskim drewnianym stoliku obok koca.

Olivia i Abbas siedzieli obok siebie po jednej stronie koca, Mette z Mårtenem naprzeciwko, a Aditi zajęła miejsce obok Luny.

Stilton jeszcze się nie pojawił.

Aditi, która była tu gospodynią, postanowiła, że zaczną jeść. Pozostali uznali tę decyzję za słuszną. Kto wie? Może Tom jest w drodze do Chiang Rai?

– *Skål!*

Mårten wypowiedział szwedzkie zaklęcie otwierające ten sezam, a potem już poszło. Pierwszy kwadrans upłynął na nakładaniu na talerze i pałaszowaniu, wszyscy byli nadzwyczajnie głodni i nie mieli czasu na rozmowy.

Na to ostatnie czas przyszedł po zaspokojeniu pierwszego głodu, gdy również wino zdążyło zrobić swoje.

Mårten oznajmił, że nie zamierza rozmawiać o Gustavie Fröviku.

– Tego nam ten typ nie zepsuje.

Rozmawiali więc o czym innym, a słońce zachodziło, świece trzeba było zastąpić nowymi. Szczególny nastrój, powstały dzięki pięknemu miejscu i wybornemu jedzeniu, sprzyjał opowieściom, wspomnieniom i żartom. Widać było, że wszyscy bardzo potrzebowali tego, by zostawić za sobą mrok i napięcie. Dotyczyło to zwłaszcza Olivii i Mette.

Kiedy Mårten oddalił się na chwilę, aby opróżnić pęcherz, Mette podjęła zakazany temat.

– Jestem z ciebie bardzo dumna – powiedziała do Olivii. – Przesłuchanie Frövika było wręcz wzorowe, zwłaszcza że tak wiele od tego zależało.

– Dziękuję – odparła Olivia. – Miałam moment zawahania, ale może nie było tego widać?

– Nie było. To się zdarza podczas trudnych przesłuchań, chodzi tylko o to, żeby tego nie pokazać. Czy to było wtedy, kiedy zaczęłaś mówić o Lukasiu Bengtssonie?

– Tak.

Mette pokiwała głową. Podczas przesłuchania obserwowała mowę ciała Olivii i dostrzegła niewielką zmianę, kiedy zaczęła ona mówić o Lukasiu, Mette zachowała to jednak dla siebie.

– Dzwoniłaś do Lisy? – spytała.

– Tak. Zaprasza na szampana po naszym powrocie.

Mette się uśmiechnęła. Zauważyła zmianę, która nastąpiła ostatnio w relacjach między jej ulubienicami, zwłaszcza po historii z Magnusem Larssonem. Bardzo ją to ucieszyło, jej działka trafiła w dobre ręce.

– Chyba nie międlicie znowu o Fröviku, co? – Mårten wrócił i usiadł obok żony.
– Ależ skąd, opowiadałam o naszej wspaniałej wyprawie do angielskich ogrodów – odparła Mette.

Na te słowa Mårten dolał jej do kieliszka i uśmiechnął się z uznaniem, chociaż wiedział, że skłamała.

Kolacja trwała.

Zapadła ciemność. Kilka razy pozamieniali się miejscami i podjęli nowe tematy. I nie od razu zareagowali, gdy w pewnym momencie podeszła do nich milcząca postać.

– Tom? – zawołał Mårten i spróbował wstać, ale z takim skutkiem, że poleciał w tył, bo wcześniej mocno popijał, żeby zapomnieć o pedofilach.

Luna zachowała większy umiar w picciu, podniosła się i podeszła do Stiltona. Uściskała go, korzystając z ciemności pod palmą, a potem wzięła pod rękę i podprowadziła do koca, na którym wciąż było sporo jedzenia. Stilton skinął wszystkim głową i usiadł przy pustym talerzu. Zorientował się, że Mette szuka jego spojrzenia, ale zignorował ją, sam chciał wybrać odpowiedni moment. Wiedział, o co jej chodzi: chciała się dowiedzieć, jak zareagował na opowieść Malin Brovall. Postanowił, że potrzyma ją jeszcze w napięciu, aby przynajmniej w ten sposób trochę jej dopiec.

– No i o czym rozmawialiście? – spytał, raczej po to, żeby w ogóle się odezwać.

– O tobie.

Odpowiedziała mu Aditi i częściowo była to prawda.

– Tak? I co, fajnie było?

Stilton nałożył sobie porządną porcję jedzenia i dostał duży kieliszek białego wina od uśmiechniętego Mårtena.

– Bardzo fajnie. Podobno zostajecie tu na stałe!

Stilton omal nie rozlał wina. Luna wtrąciła się szybko, żeby dodatkowo nie pogorszyć sytuacji.

– Mówiłam im, że Bettan chce kupić barkę – wyjaśniła. – Uważam, że to dobry pomysł. Nie mam ochoty tam wracać.

– Możemy zamieszkać na Rödlödze – odparł Stilton i pociągnął spory łyk z kieliszka.

– Ty może tak, ja nie.

– Dlaczego nie?

Wszyscy słuchali tego w napięciu, zwłaszcza Abbas. Zapowiadało się starcie, którego wolałby nie być świadkiem.

– Bo zwariowałabym, gdybym miała być tam z tobą sama – powiedziała Luna.

– No to już wiem, na czym stoję.

– Wiesz, że nie chodzi o ciebie ani o nas, tylko o to, gdzie mamy razem żyć.

– A ty chcesz mieszkać tutaj? – spytał.

– Myślę, że mogłabym.

– Przecież nie musicie decydować o tym w tej chwili – wtrąciła się Aditi.

Stilton znów zaczął jeść. W rzeczywistości był mniej zły, niż się wydawało, zresztą chodziło o coś zupełnie innego. Od dawna zdawał sobie sprawę, że Luna chciałaby tu zostać. Rozmyślał o tym podczas wielu nocy.

On nie chciał.

Chciał do domu, do Szwecji. Zdawał sobie sprawę, że ośrodek we wschodniej Tajlandii to nie miejsce dla niego. Gdyby doprowadziło to do rozstania z Luną, to uznałby, że widocznie tak miało być. Liczył jednak na to, że uda się tego uniknąć, choć wiedział, że Luna jest kobietą, która sama decyduje o sobie. Nie pojechałaby za nim tylko dlatego, że on tego chce.

Napił się jeszcze wina i poczuł, że musi iść na stronę. Wtedy właśnie nadarzyła się okazja do rozmowy, choć nie w takich warunkach, jakich by sobie życzył. Kiedy odszedł na bok, żeby się wysikać, podeszła Mette.

– I jak poszło u Veroniki? – spytała, stając tuż za nim.

Stilton nie odpowiadał, sikał dalej.

– Co ci powiedziała?

Stilton skończył sikać i zapiął rozporek. Obejrzał się. Widząc, że nikogo innego nie ma w pobliżu, spytał:

– Dlaczego?

Wbił w nią wzrok. Gdyby to był ktoś inny, pewnie by się cofnęła o krok, ale ona wiedziała bardzo dobrze, z kim ma do czynienia.

– Ze względu na ciebie... – odparła.

– Ze względu na mnie... – powtórzył lodowatym tonem i zawiesił głos, jakby oczekiwał dalszych wyjaśnień.

– Wiedziałaś, w jakiej jesteś formie – ciągnęła. – Czyli podłej. Martwiliśmy się o ciebie z Mårtenem, bardzo przeżywaliśmy, kiedy byłeś na dnie, wiesz o tym, i nie chcieliśmy, żeby to się powtórzyło.

– Ciężko wam było?

Jego sarkazm spłynął po niej, wiedziała, o co mu chodzi.

O szczerść.

– Bałam się, że znów wpadniesz w psychozę, że znikniesz, ukryjesz się gdzieś. Robiłam, co mogłam, żeby do tego nie dopuścić.

– Manipulując mną?

– Robiąc, co się da, żeby cię zaktywizować, żebyś znów stanął na nogi. Kiedy Malin opowiedziała mi o nieznanym z Orientu, stwierdziła, że musi się dowiedzieć, kto to jest, zaproponowałam cię. Jesteś w tym lepszy niż ktokolwiek inny.

– Ale dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bałam się, że gdybyś się dowiedział, że to ja próbuję cię zaangażować w to przedsięwzięcie, zareagowałbyś tak samo jak podczas poprzedniego kryzysu. Wycofałbyś się jeszcze bardziej. Wolałam do tego nie dopuścić.

Stilton stał, zaciskając szczęki, i patrzył na dżunglę za ośrodkiem.

– Serio myślałaś, że znów grozi mi psychoza?

– Tak.

– Dlaczego?

W tym momencie Mette mogłaby powiedzieć, że dostała raport z Interpolu o znalezieniu zwłok kobiety w wąwozie na Filipinach i że była to poszukiwana Maria Basescu, która prawdopodobnie zginęła podczas skoku na bungee, a także to, że z premedytacją nie sprawdziła, kiedy i dokąd Stilton wyjechał po zniknięciu Basescu, bo nie chciała tego wiedzieć.

Zamiast tego powiedziała:

– Bo mi zależy.

Stilton patrzył w ziemię, a Mette zrobiła coś, co zdarzało jej się niezwykle rzadko, uściskała go.

– I trochę się martwiłam, kiedy na jakiś czas zniknąłeś – szepnęła.

Uczujący przy kocu zobaczyli, jak Stilton i Mette się obejmują, każde z nich miało zapewne własną interpretację tego faktu. Najbliższy prawdy był chyba Mårten.

– Oni się wyraźnie lubią, może za to wypijemy?

Posiedzieli jeszcze kilka godzin w świetle księżycy, a potem przyszła pora iść do pokoi.

Mårten musiał skorzystać z pomocy swojej emerytowanej żony. Wszyscy usłyszeli jeszcze, jak próbował naśladować irlandzką pieśniarkę, ale Mette bezceremonialnie zatkała mu usta.

Stilton wślizgnął się do łóżka obok Luny, wiedział, że musi jeszcze o coś spytać, żeby móc zasnąć.

– Jak rozwiążemy ten problem?

– Postaramy się o dziecko.

Stilton uniósł się na łokciu. Na pewno nie był trzeźwy, ale słuch miał w porządku.

– Dziecko?

Luna przytuliła się do tego tępego wyspiarza, żeby mu pomóc zrozumieć, o co jej chodzi.

*

Osoby wsiadające następnego ranka do białego minibusa wyglądały na dość zmarnowane. Poprzedni wieczór i noc odcisnęły na nich wyraźny ślad, choć w różnym stopniu. Jednak uściski, które wymienili na koniec, były pełne serdeczności. Pobyli ze sobą i porozmawiali tak, jak chyba nigdy wcześniej, a w każdym razie od bardzo dawna. Wyjeżdżający mieli też świadomość, że być może są tu ostatni raz. Chyba że Luna namówi Stiltona do zajęcia się rybactwem w Mae Phim.

Szansę na to były jednak niewielkie.

Bus odjechał. Stilton stał, patrząc za nimi i obejmując dwie kobiety – jedną kochał, druga była jego siostrą przyrodnią. Nie powiedziałby, że kocha Aditi, ale pojawiła się między nimi swoista bratersko-siostrzana więź. I bardzo dobrze.

W połowie drogi przez Mae Phim Mette nachyliła się do kierowcy i poprosiła, aby się zatrzymał.

– Źle się czujesz? – spytała Olivia.

– Nie, zaraz wracam. Nie budź Mårtena.

Mårten zasnął, jak tylko bus wyjechał z ośrodka Aditi, bo nie spał tyle, ile po imprezie potrzebuje człowiek w jego wieku. Teraz chrapał w najlepsze, oparłszy głowę o ramię Abbasa.

Mette wysiadła i poszła prosto nad brzeg morza. Wcześniej zadzwoniła, uprzedzając Malin o swojej wizycie. Malin zjechała po rampie na plażę i zatrzymała się w pewnej odległości od wody. Nie widziały się od czasu, gdy Mette zawiadomiła ją, że Säpo postanowiło utajnić fakt, że przeżyła zamach. Potem, gdy stało się to możliwe, Malin postarała się wyjechać jak najprędzej ze Szwecji, nie chciała tam być podczas procesu. Od tamtej pory kilka razy rozmawiały ze sobą przez telefon, Mette uznała, że pora znów się zobaczyć.

Choćby na krótko.

Podeszła kawałek i zatrzymała się parę metrów od Malin. Popatrzyły na siebie, kiedyś koleżanki i członkinie tego samego klubu czytelniczego.

– Dziękuję – odezwała się Mette.

– To ja ci dziękuję. Dobrze się czujesz?

– Tak. A ty?

– Dużo lepiej, odkąd tu przyjechałam. Tom jest fajnym towarzystwem dla kogoś takiego jak ja.

Uśmiechnęła się, Mette odpowiedziała tym samym.

– Był wściekły, kiedy przyszedł do was? – spytała Malin.

– Tak. Nawet nie na ciebie, bo zdążył to przetrwać, ale na mnie. Rzecz jasna.

– Ale dobrze się skończyło?

– Z Tomem zawsze się dobrze kończy, jeśli człowiek jest wobec niego szczery. Powiedziałam, jak było, że się martwiłam o niego i żeby to zmienić, wykorzystałam ciebie i to,

czego ty się chciałaś dowiedzieć.

– Kupił to?

– Przecież to prawda. Myślę, że w głębi serca jest zadowolony. Bez jego pomocy nigdy nie złapalibyśmy mordercy Kaja i Idy, on to wie.

– To dobrze. Wracasz do domu?

– Tak. Przywiozłam ci to.

Mette otworzyła niedużą torbę i wyjęła książkę. *Błękitne noce* Joan Didion.

– Pamiętasz?

Malin przytaknęła.

– Miałyśmy ją przeczytać, ale przestałyśmy się spotykać w klubie.

– Planowałam przeczytać ją podczas lotu do domu. Może się skontaktujemy i porozmawiamy o niej?

Malin wzięła książkę i spojrzała na Mette. Na pożegnanie podały sobie ręce.

*

Stilton rozsiadł się przed bungalowem, obok postawił wielką butelkę zimnej wody, bo wciąż czuł nieprzyjemną suchość w ustach. Patrzył, jak Aditi rozstawia kilka przepełnionych nadzieją siostrzanych dusz wokół wielkiej spatynowanej misy z wodą, w której pływają kwiaty. Wszystko jest jak zwykle, pomyślał, ona robi swoje, ja sobie siedzę, a Luna pewnie poszła się kąpać. Reszta wróciła do domu.

Po raz pierwszy od bardzo dawna złapał się na tym, że dalej jego refleksja nie sięga. Teraz znaczy teraz. Albo, jak by pewnie powiedział stary łowca fok: tak czy inaczej będzie dobrze.

– Tom!

Wołała go Luna, widocznie już się wykapała. Odwrócił się i zobaczył, że Luna pokazuje palcem w stronę ciemnej gęstwiny za ośrodkiem. Stilton spojrzał w tamtym kierunku. W głębi między drzewami ujrzał smukłą postać smagłego chłopca. Trzeba było wielu sekund, może nawet pół minuty, zanim to do niego dotarło. Stilton zerwał się i pobiegł między drzewa.

– Little Pluto!

Porwał go w ramiona. Niemożliwe! Tak mocno go przyciskał, że aż zabołały: chłopca – ręce, Stiltona – pierś.

– Myślałem, że zginąłeś w pożarze! – krzyknął.

Puścił Little Pluto i mu się przyjrzał. Chłopiec miał sporą ranę na ramieniu.

– Co ci się stało?

– Oparzyłem się, kiedy podпалиłem barękę.

– To ty?!

Little Pluto przytaknęła. Stilton spojrzał w jego czarne smutne oczy i znów chwycił go w objęcia, ale już nie tak mocno, a kiedy go w końcu puścił, spytał:

– Jak tu dotarłeś?

– Sprzedałem łuskowca w Chiang Rai i wsiadłem do pociągu. Krzyczałeś wtedy, że mieszkasz w Mae Phim.

Stiltonowi wciąż nie mieściło się w głowie, że stoi przed nim Little Pluto, musiał przykucnąć i wpatrzeć się w niego.

– Masz pojęcie, jak ja się cieszę? – powiedział.

– Co się stało z Dechą?

– Chodź.

Objął go ramieniem i poprowadził do ośrodka, opowiadając mu, co się stało.

– To on teraz siedzi na wózku? – spytał Little Pluto.

– Nie dość, że na wózku, to jeszcze posiedzi w więzieniu. W Szwecji. Zamordował tam dwie osoby.

– A tutaj jeszcze Baghę.

– Tak, a tutaj Baghę. To zły człowiek.

Weszli do ośrodka, Luna i Aditi wyszły im naprzeciw.

– To jest Little Pluto – powiedział Stilton, jakby przedstawiał jakąś pozaziemską postać. – Little Pluto jest Rohingją i nie ma gdzie mieszkać.

– W takim razie będzie mieszkać tutaj – oznajmiła Aditi, patrząc na chłopca. – Jesteś głodny?

– Tak.

Aditi wzięła go pod rękę i razem odeszli. Luna spojrzała na Stiltona i wsunęła swoją dłoń w jego.

Olivia prosto z Arlandy pojechała na sztokholmski dworzec centralny, a stamtąd pociągiem do Katrineholmu. Na miejscu była około piątej po południu. Wcześniej zadzwoniła do Karsudden i uprzedziła o swoim przybyciu, więc przy głównym wejściu czekała na nią jakaś kobieta i od razu zaprowadziła ją do pokoju Lukasa Bengtssona.

Poprzednie spotkania odbywały się w zimnej sali odwiedzin. Ten pokój był jego indywidualną przechowalnią. Olivia bywała w różnych celach więziennych i aresztach, to pomieszczenie sprawiało podobne wrażenie.

Przygnębiające.

Lukas siedział na nieposłanym łóżku, ubrany tak samo jak ostatnim razem. Włosy mu odrosły, ale jeszcze nie na tyle, żeby się kręcić. Spojrzał na Olivię, kiedy weszła. Zamknęła drzwi i usiadła na łóżku tuż obok. Odsunął się. Pochyliła się i delikatnie chwyciła jego dłonie. Chciał je cofnąć, ale je przytrzymała. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Jesteś tu?

– Jestem – odpowiedział z uśmiechem.

Ten uśmiech przypominał jej ich pierwsze spotkanie; pamiętne dla niej spotkanie z radosnym, interesującym malarzem.

Od tamtej pory nie widziała u niego tego uśmiechu.

– Jesteś niewinny – powiedziała.

– Wiem. Ale inny ja jest winny.

– Nie, nie. Nie podłożyłeś bomby w samochodzie Brovallów, ani ty, ani ten, którym się stajesz, kiedy cię tutaj nie ma.

Spojrzał na nią i w jego niebieskich oczach pojawił się znów błysk dawnego temperamentu.

– Skąd wiesz?

– Bo Gustav Frövik się przyznał, że to on umieścił ładunek wybuchowy w tym samochodzie. I tak to zorganizował, żebyśmy oskarżyli o to ciebie.

Puściła jego ręce.

Lukas splótł je na kolanach, przekrzywił lekko głowę, miał nieobecny wzrok, jakby się zanurzył w przeszłości.

– Gustav – powiedział po chwili.

– Czarne monstrum na bladożółtym koniu.

– Tak.

– Dostanie wysoki wyrok – oznajmiła Olivia.

Lukas kiwnął głową i znów się uśmiechnął.

– Wiedziałem.

– Co takiego?

– Kto psuje innych, sam jest najbardziej zepsuty.

Olivia znów chwyciła jego rękę, była zimniejsza niż jej. Popatrzyła na nią.

– Zostanę tutaj?

– Nie wiem, ale skończy się przymusowe leczenie.

Jednak nadal masz to zaburzenie psychiczne, pomyślała. Może będziesz mógł się leczyć gdzie indziej. Może na chorobę wpłynie świadomość, że jesteś niewinny. Może będziesz mógł wrócić do bardziej normalnego życia, takiego jak przedtem, zanim się to wszystko wydarzyło.

– Moje leczenie przebiega pomyślnie – powiedział. – Coraz rzadziej znikam. Zmniejszyli

mi o połowę dawki leków.

– Świetnie. Może pójdziemy na spacer?

Ciekawski obserwator patrzący na nich od strony jeziora mógłby wziąć ich za dwoje spacerowiczów, za parę albo rodzeństwo, a może za krewną i bliską jej osobę.

A przecież nie byli ani jednym, ani drugim.

Na rozgrzanej słońcem ławce pod kwitnącą lipą usiedli policjantka i pacjent.

Formalnie rzecz biorąc.

Obserwator, który podkradłby się bliżej i podsłuchał ich rozmowę, zapewne by się zdziwił. Policjantka wyrażała się w sposób niemający nic wspólnego z jej zawodem, a pacjent w żadnym razie nie przypominał osoby chorej.

Mimo że znajdowali się w szpitalnym parku.

Ona, policjantka, opowiadała, że chciała kupić książkę napisaną przez pacjenta, ale dostała ją za darmo.

On spytał dlaczego.

Odparła, że człowiek, do którego należała książka, jest jej znajomym.

Gdy zaczęła mu opowiadać o czuwaniu przy trumnie Akademii Szwedzkiej, ciekawski obserwator zapewne wycofałby się z powrotem nad jezioro, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego nic nie jest tym, na co wygląda.

Lukas spoglądał na trawniki wokół Karsudden i nie patrząc na Olivię, chwycił jej rękę.

– Najtrudniejsze jest wywlekanie wszystkiego – powiedział. – Tego wszystkiego, czego człowiekowi wcale nie brakuje. Albo co wyparł. Co to pomoże, że będzie się pamiętać rzeczy, o których się próbowało zapomnieć? Przecież musi być jakiś powód, że chcemy żyć tak, by nie zadrećcać się przeszłością.

– Może to sposób zbliżenia się do tego, co wpływa na naszą teraźniejszość?

– Może.

Lukas puścił jej rękę.

– Kiedy byłem mały, często znikalem – powiedział. – Próbowałem się nauczyć, jak zabłądzić, żeby nie trafić do domu.

– Może dzisiaj jest tak samo?

– W jakim sensie?

– Malujesz stany ducha, choć nie wiesz, czego dotyczą, żeby nie musieć się w nich znajdować.

Widziała, że się namyśla, a potem się uśmiechnął.

– Jestem w szpitalu psychiatrycznym, tu chodzi właśnie o to, żeby błądzić.

Wstał i pociągnął ją za rękę. Ruszyli w stronę budynku szpitala.

– Potrzebujesz czegoś? – spytała.

– Paru dobrych pędzli. Znów zacząłem malować. Dostałem farby olejne i kilka niedużych płócien, ale nie mam dobrych pędzli.

– Co teraz malujesz?

– Nie wiem, po prostu maluję, a kiedy kończę, jest obraz.

Gdy doszli do wejścia, Lukas wsunął rękę pod kurtkę, wyjął złożoną kartkę i podał Olivii.

– Co to jest?

– Tekst, który dla ciebie napisałem.

– Dziękuję!

Już chciała rozłożyć kartkę, ale on powiedział:

– Nie czytaj teraz.

*

Był późny wieczór. Olivia szła do domu z przystanku metra. Odczuwała spokój, jakiego od dawna nie doświadczyła. W Bangkoku wszystko sprowadzało się do napięcia, skupienia i walki o to, żeby przy Fröviku panować nad swoimi emocjami. W samolocie zasnęła jeszcze przed startem, obudziła ją dopiero Mette, kiedy podawali nijakie śniadanie. Była kompletnie wyczerpana. Spotkanie z Lukaszem, któremu powiedziała, że jest niewinny, bardzo się przyczyniło do tego spokoju.

Było jej dobrze, i to po raz pierwszy od wielu tygodni.

Podeszła do bramy, z której właśnie wyszli dwaj policjanci, prowadząc gospodarza domu Belvina. Jednego z funkcjonariuszy znała, więc odciągnęła go delikatnie na bok.

– Co się stało?

– Zatrzymany w związku z naruszeniem miru domowego. Wszedł do cudzego mieszkania i robił tam zdjęcia. Znasz go?

– Nie, ale dobrze, że się go pozbędziemy.

– Uważaj na siebie.

Funkcjonariusz wrócił do kolegi. Olivia weszła do bramy i dopiero wtedy do niej dotarło: więc to Belvin robił jej zdjęcia pod prysznicem! Śliski typ. Tylko dlaczego użył jej telefonu? Bo to po prostu zbok?

Pokręciła głową, otworzyła drzwi mieszkania, odwiesiła kurtkę i z kartką od Lukasa poszła do nagrzanego i dusznej kuchni. Otworzyła okno i spojrzała w noc, chłodny wiatr głaskał jej policzki. Przez dłuższą chwilę cieszyła się orzeźwiającym chłodem, wreszcie usiadła przy stole, zapaliła tealight i rozłożyła kartkę od Lukasa. Jej uwagę zwrócił piękny charakter pisma. Zaczęła czytać:

*nie mogłem narysować
najpiękniejszych ust,
zostały w ołówku,
kiedy odeszłaś.
utknąłem w tym szkicu,
rozmyślając o
nienarodzonym dziecku,
które płakało w twoim spojrzeniu.
kiedyś,
gdy będę sobą,
pojedziemy do Cuatro Cienegas
we dwoje.*

¹ Decha – tajskie imię, które znaczy „potężny”. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Säpo – Policja Bezpieczeństwa (Säkerhetspolisen), szwedzki kontrwywiad.

³ Sös – potoczna nazwa Södersjukhuset, szpitala w dzielnicy Södermalm (Söder).

⁴ NFC – Centrum ekspertyz sądowych (Nationellt forensiskt centrum), znajduje się w Linköping.

⁵ Waxholmsbolaget – przedsiębiorstwo żeglugowe, do którego należą statki obsługujące regularny ruch z nabrzeży w centrum stolicy na szkiery w regionie sztokholmskim.

⁶ Temaresor – wycieczki tematyczne.

⁷ Rachmat Akiłow – Uzbek, sprawca zamachu w centrum Sztokholmu w 2017 roku, w którym zginęło pięć osób, a wiele zostało rannych. Skazany na dożywocie.

⁸ *Nagi lunch (Naked lunch)* – powieść Williama S. Burroughsa.

⁹ Skå – w tej miejscowości w latach 1947–2005 znajdował się ośrodek prowadzący alternatywny program opieki nad tzw. trudną młodzieżą.

¹⁰ Tom – znaczy również „pusty”.

¹¹ Carl Fredrik Hill, Ernst Josephson, Erland Cullberg – szwedzcy malarze; dwaj pierwsi tworzyli głównie w 2. poł. XIX w., a trzeci – w 2. poł. XX w. i na początku XXI w.

¹² Minken jak zwykle miesza powiedzenia.

¹³ *Den sista grisen* – zbiór aforyzmów, rozważań i opowiadań autorstwa Horacego Engdahla, członka Akademii Szwedzkiej (potocznie zwanej noblowską).

¹⁴ Joy Rahman, Kaj Linna – skazani za zabójstwa, którzy po latach zostali uniewinnieni przez szwedzki Sąd Najwyższy.

¹⁵ Riksrím – Rikskriminalpolisen, Krajowa Policja Kryminalna, poprzedniczka NOA (Centralnego Biura Operacyjnego).

